# HOLISTIC .NEWS

Cena 12 zł w tym 8% VAT
Numer 1/2019

## ZBURZMY SZKOŁĘ I ZBUDUJMY OD NOWA. NAGRODA 30 000 ZŁ

**Jeśli nie Bóg, to co?**
Mikołejko

**Świat mody okrada Indian**
Synowiec

**Polityka bez polityków**
Weil vs Hartman

**Youtuber na wagarach**
Ajgor Ignacy

9 772544 607908 03

# Aluminium zmienia wszystko

OKNA | DRZWI | ROLETY

ALUPROF
SYSTEMY ALUMINIOWE

www.aluprof.eu

**International Building Projects Team Poland**
AGC Glass Poland Sp. z o.o. - ul. M. Jachimowicza 11 - 58-306 Wałbrzych, Polska, Biuro: ul. Małowiejska 30, 04-962 Warszawa
Phone : +48 22 872 02 23 - Mobile : +48 606 380 606 - dariusz.podobas@eu.agc.com - www.agc-glass.eu - www.agc-yourglass.com

Your Dreams, Our Challenge

# 0,5 MLN M² POWIERZCHNI BIUROWEJ

KRAKÓW | WARSZAWA | WROCŁAW | KATOWICE | TRÓJMIASTO | BIELSKO-BIAŁA

nowoczesne

# BIURA

# WYNAJMIJ

+48 531 014 298
+48 533 889 240

CAVATINA

LOCAL • GLOBAL • HOLISTIC

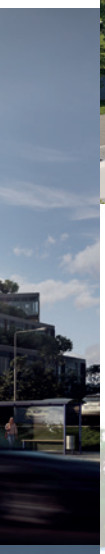

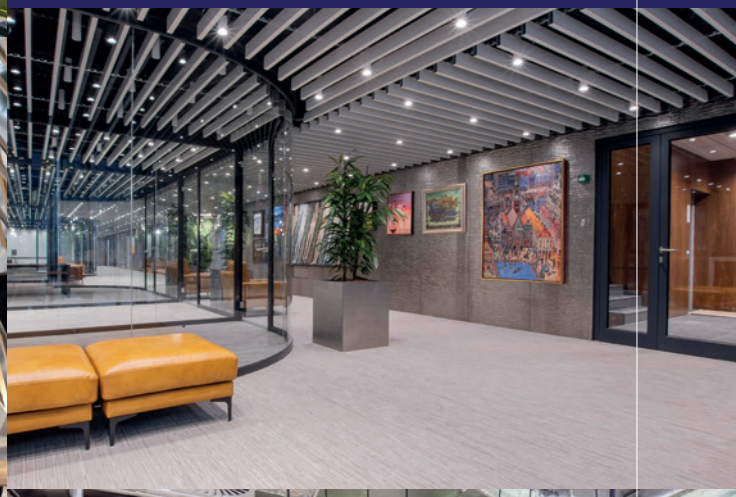

# funkcjonalne WNĘTRZA

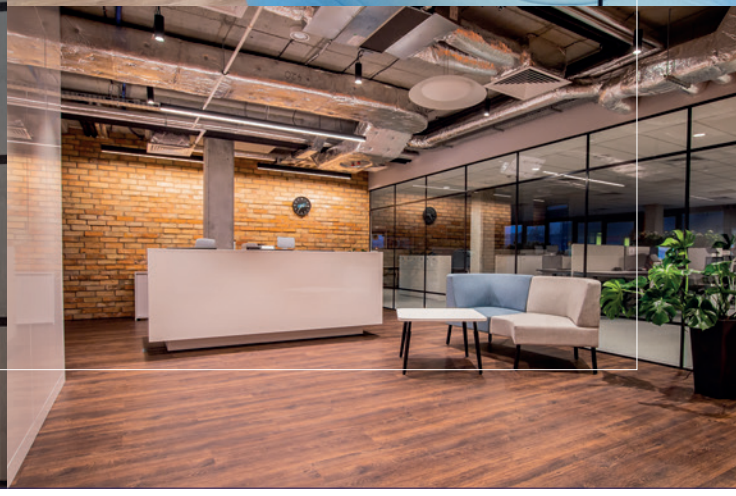

marketing@cavatina.pl cavatina.pl

Magazyn Holistic, ISSN 2544-607X
INDEKS: 427713
Wydanie: marzec 03/2019 (1)

**Redaktor Naczelny:** Mariusz Zawadzki
**Redaktorzy:** Olga Kotulska, Przemysław Henzel
**Kierownik redakcji:** Szymon Wachal

Wydawca: Deweloper Media Sp. z o. o.
Adres redakcji: ul. Wielicka 28, 30-552 Kraków
tel. 33 333 91 13, e-mail: redakcja@holistic.news

**Projekt graficzny i skład:** Arkadiusz Kantor
**Fotoedycja:** Katarzyna Bieniaszewska
**Ilustracje i okładka:** Paweł Kuczyński

**Dziennikarze:**
Piotr Chałubiński, Wiktor Cyrny, Katarzyna Domagała, Anna Gromnicka, Łukasz Grzesiczak, Dominika Kardaś, Karolina Anna Kuta, Maciej Kochanowski, Paweł Konar, Michał Niepytalski, Mateusz Tomanek, Adam Woźniak, Paulina Żebrowska

**Współpracownicy:**
Anna Brzeska, Magdalena Chodownik, Łukasz Dziatkiewicz, Veronica Egui Brito, Terry Friel, Jakub Janiszewski, Ajgor Ignacy, Jowita Kiwnik-Pargana, Paweł Pieniążek, Michał Rolecki, Ola Synowiec

**Korekta:**
Firma Korektorska UKKLW

**Druk:** Walstead Kraków Sp. z o. o.

**Dystrybucja:** Polperfect Sp. z o.o.

EMPIK, RUCH, INMEDIO, RELAY

**Biuro reklamy:**
Justyna Kłęk, justyna.klek@holistic.news

Szukaj nas na:
**www.holistic.news**
@holisticnews
www.facebook.com/portalHolisticNews/
https://soundcloud.com/user-807189294
https://twitter.com/news_holistic
https://www.youtube.com/c/HOLISTICNEWS

creo concept

PERFECT WALL

DIAMENT POLSKIEJ JAKOŚCI 2016

Firmaroku•2015 OGÓLNOPOLSKI PLEBISCYT

System zarządzania ISO 14001:2004 TÜVRheinland CERTYFIKOWANO www.tuv.com ID 9105082099

RZETELNA Firma

www.creoconcept.pl

PRZED ZAKUPEM SYSTEMOWYCH ŚCIANEK SZKLANYCH ZAPOZNAJ SIĘ Z KRAJOWĄ OCENĄ TECHNICZNĄ DOŁĄCZONĄ DO PRODUKTU BĄDŹ SKONSULTUJ SIĘ Z INSPEKTOREM NADZORU, GDYŻ KAŻDY SYSTEM NIEWŁAŚCIWIE STOSOWANY ZAGRAŻA TWOJEMU ŻYCIU LUB ZDROWIU.

- MARZYSZ O PRACY DZIENNIKARZA?
- JESTEŚ DOCIEKLIWY I UMIESZ PISAĆ?
- CHCESZ RAZEM Z NAMI NAPRAWIAĆ ŚWIAT, PAŃSTWO I SZKOŁĘ?

CZEKAMY NA TWOJE ZGŁOSZENIE!

WEJDŹ NA **WWW.HOLISTIC.NEWS/APLIKUJ**

MURAPOL

# Szukasz nowego mieszkania? Kup je z Murapol Appartme

Podnieś standard życia i wybierz Murapol.
Sprawdź ofertę 2000 mieszkań
z technologicznymi rozwiązaniami
SMART HOME

murapol.pl

# Polityka dla ludzi


**40** **Dlaczego demokracja przestała działać?**
felieton Kaushika Basu, ekonomisty Banku Światowego

**42** **W kwestii likwidacji wszystkich partii politycznych**
esej Simone Weil z 1943 r.

**46** **Partie są beznadziejne, ale potrzebne**
prof. Hartman polemizuje z Simone Weil

**52** **Zakaz używek gorszy niż używki**
marihuanowa prohibicja to nie rozwiązanie, tylko przyczyna problemu

**58** **Odczarować słowo „polityka”**

**62** **Czy Azjaci umieją myśleć?**

**68** **Ład przestrzenny, głupcze!**
prof. Böhm, architekt, wzywa Polaków, żeby się ogarnęli

IKON

# Konflikty

FORUM


**100** **Inżynier Aboud nie schodzi z posterunku**
cichy bohater wojny w Syrii

**104** **Wojna, która ma zapach barbowalu**
reportaż z domu, na który spadła bomba

**110** **Świat mody kradnie ludowe wzory**
bo prawo autorskie nie chroni indiańskiego folkloru

**116** **Socjalizm XXI w., czyli Wenezuela cofa się do neolitu**

**120** **Meksyk traci kukurydzianą duszę**

**124** **Czy Zachód zapłaci za krzywdy Afryki?**


# Dawaj z głową


**148** **Nie trać kasy na pomoc biednym**
felieton Bjørna Lomborga, sceptycznego ekologa

**150** **Inwazja wakacyjnych wolontariuszy**
wolontariat w Afryce jako pomysł na egzotyczne wakacje

**154** **Zróbmy dom, z którego będziemy dumni**
ks. Mirek Tosza wśród ubogich

EAST NEWS

# Jeśli nie Bóg, to co?

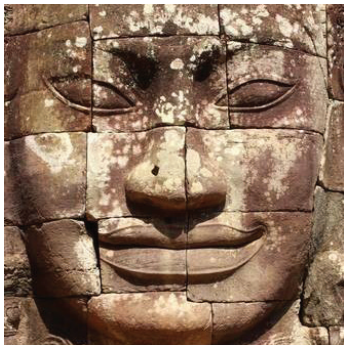

EAST NEWS


**76** **Wino zamiast brewiarza**
reportaż z pielgrzymki do Santiago de Compostela

**82** **Potrzebujemy czegoś, co nas przerasta**
prof. Mikołejko o duchowości bez religii

**90** **Desperacka pogoń za szczęściem**
wywiad z filozofem Tomaszem Stawiszyńskim

**96** **Przyjaźń od pierwszego wejrzenia**
i w czym jest lepsza niż miłość

# Szkoła od nowa

IKON


**14** **Koniec szkoły, jaką znacie**
trzeba zburzyć system i zbudować od nowa

**18** **Podręcznik na XXI w.**
konkurs dla czytelników Holistic, wysokie nagrody, cel: zmieńmy szkołę!

**20** **Wolnym dzieciom rosną skrzydła**
czy edukacja poza systemem jest możliwa?

**26** **Nauczyciele mają dość**
bo szkoła to farsa

**30** **Szkoło, dziękuję ci za wagary**
Youtuber Ajgor Ignacy

**32** **Nie zagubić idei uniwersytetu**
wywiad z dr. Tomaszem Majewskim

**36** **Szkoła na wojennej ścieżce**
i jak z niej zejść


# Prognoza na jutro


**160** **Ile wart jest portret namalowany przez algorytmy**
pół miliona dolarów, ale czy to jeszcze sztuka?

**166** **Sorry, ale lotu na Marsa nie będzie**
bo są lepsze pomysły na wydanie biliona dolarów

**172** **Czemu one nas nie chcą, czyli rebelia inceli**
piekło odrzuconych, sfrustrowanych mężczyzn

**176** **Indie. Najpierw rozwój, potem ekologia**
reportaż z frenetycznego Bangalur, gdzie rodzi się potęga Indii

**180** **Dzieci ocieplają klimat**
czy zatem powinniśmy rezygnować z potomstwa?

**182** **Auroville, czyli zróbmy sobie świat idealny**
jak wyszła utopia w realu

EAST NEWS

FORUM

# Bliżej świata


**132** **Jak jeździć rowerem i przeżyć w Szanghaju**

**136** **Czas na feministyczne badania lodowców**
o prowokacji, która ośmieszyła pseudonaukę

**142** **Córki na sprzedaż**
wstrząsający reportaż z brazylijskiej Amazonii

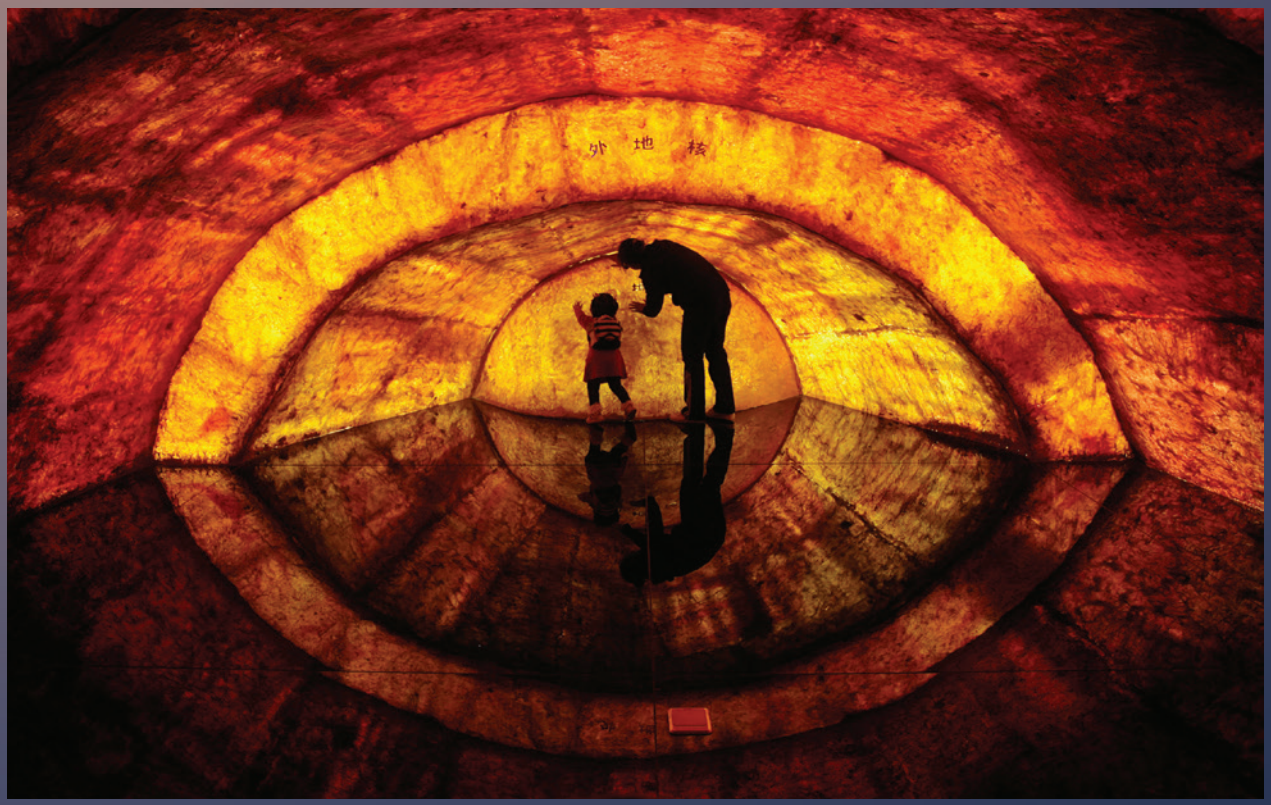

SEAN YONG/REUTERS/FORUM

# JAK PRZEŻYĆ W NAJ

**NIKT NIE MA WPŁYWU NA TO, GDZIE SIĘ URODZI, W JAKIEJ RODZINIE, ŚRODOWISKU, KULTURZE. KIEDY ZATEM PRZYCHODZI MOMENT, W KTÓRYM ZACZYNAMY DECYDOWAĆ O SWOIM ŻYCIU?**

W jakimś stopniu musimy się pogodzić z faktem, że wszystkiego nie kontrolujemy. Sporo zależy od tego, czy wychowujemy się na wsi czy w mieście, w rodzinie lekarza czy bezrobotnego, czy rodzice mają takie czy inne osobowości. Czasami w jakiś sposób stawiamy siebie od młodych lat w opozycji do zastanego środowiska – i tak jeśli ojciec był wojskowym, to syn staje się wojującym pacyfistą.

Wszakże warto pamiętać o ważnym, kluczowym czynniku, który na nas wpływa – otóż ludzie przychodzą na świat w państwach. Od wczesnych lat dziecinnych państwa wtłaczają ich w szereg procesów, z których jednym z najważniejszych jest szkoła.

Zamiast przygotowywać nas do życia, uczyć, jak odnaleźć się w państwie i wśród innych ludzi – bo przecież nie każdy rodzi się z takimi zdolnościami – szkoła wtłacza w nas mnóstwo zbędnych informacji, które niczemu nie służą, wręcz powodują spowolnienie rozwoju myślowego i zamknięcie na szereg możliwości, które nigdy nie zidentyfikowane, zostają nieodkryte raz na zawsze.

W młodym wieku człowiek najsilniej reaguje na życie, na wiedzę, na zdarzenia, spotkania z innymi, jest najbardziej otwarty i zdolny do przetwarzania danych. I w tym właśnie kluczowym momencie szkoła – często, zbyt często – zabija w nas to, co mamy najlepszego.

Mówiąc obrazowo – szkoła podcina nam skrzydła, po jej ukończeniu zakładamy szare palto, bierzemy teczkę i idziemy do biura – zamiast spełniać marzenia i rozwijać talenty.

Nie tylko szkoła, ale również demokracja, która od 200 lat wydawała się – przynajmniej w kulturze zachodniej – najlepszym z ustrojów, jest w kryzysie. Zaczyna się od tego, że w szkole nie uczymy się być obywatelami. Potem zostajemy wtłoczeni w skorumpowany i nieskuteczny system; mamy dość polityków, którzy nie spełniają obietnic, oraz wyborów, które zamieniają się w teatr.

Słowo „polityka" kojarzy się tak źle, że wielu rozsądnych ludzi, którzy chcą zrobić coś dobrego lub pożytecznego dla ogółu, zastrzega, że z polityką nie mają nic wspólnego! A kiedyś przecież słowo to miało wydźwięk jednoznacznie pozytywny.

Co robić, żeby to wszystko odwrócić? Żeby szkoła stała się miejscem rozwoju, a nie tłamszenia talentów i ustawiania wszystkich w jednym szeregu? Żeby uczyła tego, co jest w życiu naprawdę potrzebne? Jak naprawić demokrację, żeby stała się forum, na którym wspólnie wyznaczamy drogę dla wszystkich, a nie tylko polem bitwy o władzę?

Te pytania zamierzamy w naszym magazynie stawiać.

Nie udajemy, że znamy wszystkie odpowiedzi, ale będziemy ich szukać. Będziemy pytać, podważać istniejące prawdy, prowokować. Bo jedno wiemy na pewno: zarówno szkoła, jak i demokracja wymagają kapitalnego remontu.

Ale też, zdając sobie sprawę ze słabości szkoły i państwa, nie zamierzamy popadać w defetyzm. Bo żyjemy w najlepszych czasach w historii ludzkości. Często nie zdajemy sobie z tego sprawy, bo tonie my w powodzi nieszczęść i skandali, która każdego dnia wylewa się na nas z ekranów telewizorów, telefonów i monitorów.

Dwa lata temu przeprowadzono w USA sondaż, w którym kazano ludziom wybrać jedną z trzech odpowiedzi, ich zdaniem prawdziwą (pisał o tym m.in. Nicholas Kristof, felietonista „New York Timesa").

Każdego dnia liczba ludzi żyjących na świecie w skrajnej nędzy:

A) rośnie o 5 tys. ze względu na niewystarczającą produkcję żywności, korupcję i globalne ocieplenie;
B) nie zmienia się;
C) maleje o 250 tys.

90 proc. ankietowanych wybrało odpowiedź A lub B. Tymczasem prawdziwa jest odpowiedź C.

**SZKOŁA PODCINA NAM SKRZYDŁA, PO JEJ UKOŃCZENIU ZAKŁADAMY SZARE PALTO, BIERZEMY TECZKĘ I IDZIEMY DO BIURA – ZAMIAST SPEŁNIAĆ MARZENIA I ROZWIJAĆ TALENTY**

# LEPSZYCH CZASACH

Żeby zatem pokazać pełny obraz świata, lektorzy czytający wieczorne wiadomości w telewizji – po doniesieniach o kolejnej masakrze w Syrii, nowych ekscesach Donalda Trumpa, następnej próbie atomowej w Korei Północnej itd. – powinni dodawać: „A poza tym, 250 tys. ludzi wydobyło się od wczoraj ze skrajnej nędzy".

Oczywiście nigdy tego nie robią, ale my zamierzamy takie rzeczy czasami, a nawet dość często, przypominać. Bo chcemy pokazywać pełny obraz świata.

200 lat temu 94 proc. ludzkości żyło w skrajnej nędzy, a prawie połowa dzieci nie dożywała piątego roku życia. I tak było zawsze – aż do czasów nowożytnych. Ten koszmar pozostaje relatywnie nieznany, bo literatura i spisana historia opowiadają prawie wyłącznie o pozostałych 6 proc. – rodzinach królewskich, arystokracji, szlachcie, burżuazji.

Dzisiaj tylko 10 proc. z siedmiu miliardów obywateli Ziemi żyje w skrajnej nędzy (czyli poniżej dwóch dolarów na osobę dziennie). A tylko 4 proc. dzieci nie przeżywa pięciu lat.

Przez całą historię cywilizacji zdecydowana większość ludzi była analfabetami, ale dziś 85 proc. mieszkańców naszej planety umie czytać, miliardy mają telefony komórkowe i dostęp do internetu.

Oczywiście nie należy popadać w samozadowolenie. Bo przecież nędzę, analfabetyzm i śmiertelność dzieci można wyeliminować prawie całkowicie. Choć głodnych ludzi na świecie jest dwa razy mniej niż 20 lat temu, to żeby ich nakarmić, wystarczyłoby, żeby ktoś gdzieś zrezygnował z jednego nowego lotniskowca czy kilkudziesięciu błyszczących myśliwców.

Mimo ogromnego skoku cywilizacyjnego, jaki się dokonał, wielu ludzi żyje w niepewności, stresie, nie są szczęśliwi. Psychiatrzy i psychoterapeuci nie mogą opędzić się od pacjentów. W dużym stopniu wynika to z szalonego tempa zmian.

Kiedyś rodziliśmy się, żyliśmy i umieraliśmy w takim samym, dobrze sobie znanym świecie. Dzisiaj ludziom dojrzałym czasy ich dzieciństwa – bez komputerów, internetu, tanich linii lotniczych, Facebooka – wydają się zamierzchłe i niemal nierealne. Nikt nie jest w stanie przewidzieć, do czego doprowadzi inżynieria genetyczna i jak zmieni się organizacja społeczeństw, kiedy część pracy przejmą roboty.

Otwierają się niezliczone nowe możliwości, ale jednocześnie stają pod znakiem zapytania niektóre dotychczasowe osiągnięcia cywilizacji. Czy nie jest za późno, żeby powstrzymać globalne ocieplenie? Czy kapitalizm bez interwencji państwa musi prowadzić do wzrostu nierówności? Jak utrzymać emerytury, czyli wynalazek z końca XIX w., kiedy średnia długość życia wynosiła 50 lat i większość ludzi nie dożywała emerytury?

Na takie i inne ważne pytania również będziemy szukać odpowiedzi. Wymagają one spojrzenia na problemy w sposób całościowy; poszukiwania zależności między wszystkim, co istnieje; odkrywania wzajemnych powiązań.

Dlatego nazwaliśmy się Holistic.

# Koniec szkoły, jaką znacie

TRZEBA ROZWALIĆ CAŁY SYSTEM SZKOLNICTWA I ZBUDOWAĆ GO NA NOWO OD PODSTAW. JEGO REFORMOWANIE NIE MA JUŻ ŻADNEGO SENSU

Wiktor Cyrny

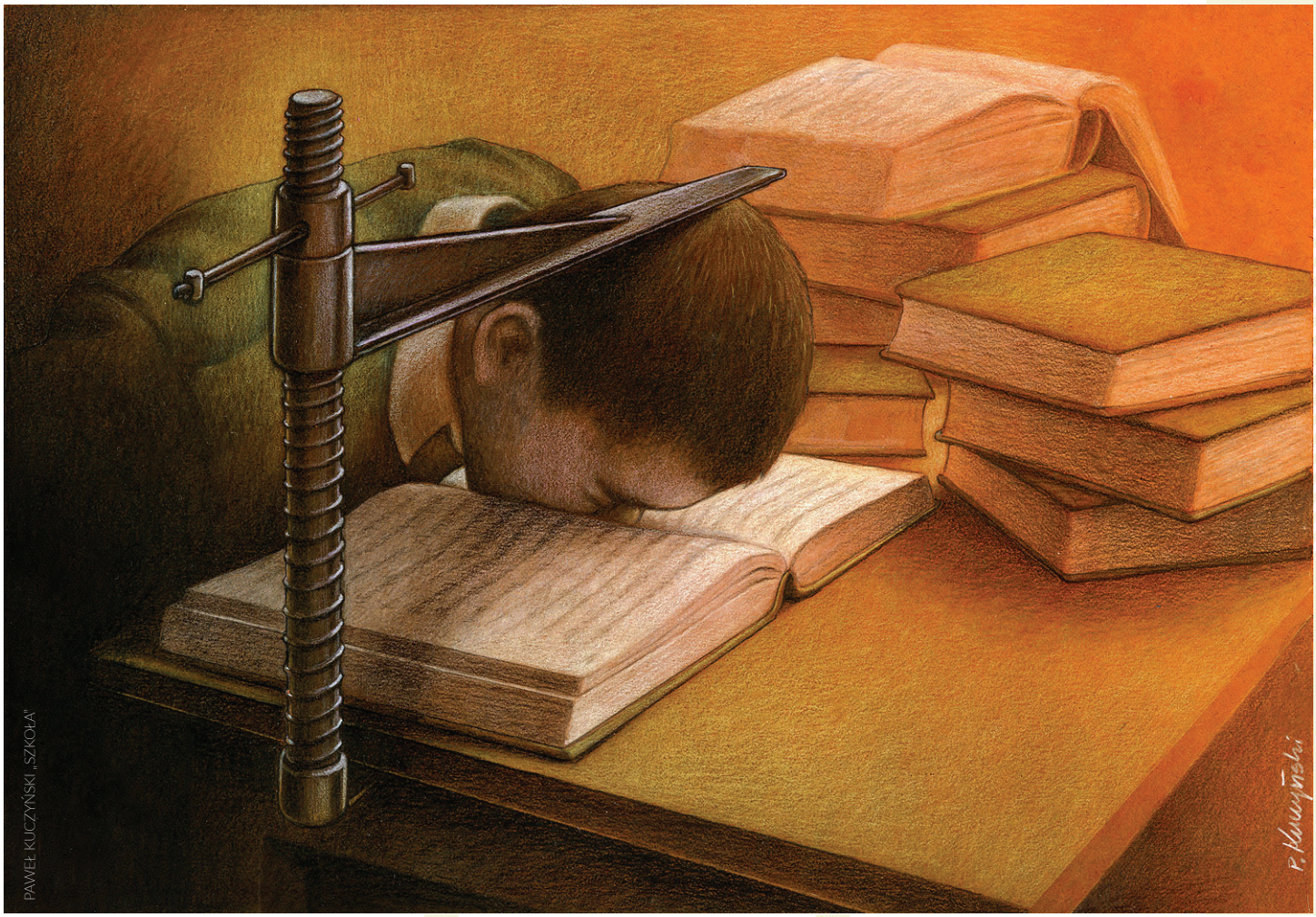

PAWEŁ KUCZYŃSKI „SZKOŁA"

**SZKOŁA UMARŁA. NIE DA SIĘ JEJ ZREFORMOWAĆ, TRZEBA JĄ ZAMKNĄĆ" – WZYWAŁ W JEDNYM ZE SWOICH FELIETONÓW PROF. JAN HARTMAN**

„Dopóki szkoła będzie sobą, dopóty będzie potworem" – pisał filozof. „Nie pomogą potworowi operacje plastyczne i makijaż. Trzeba szkołę zaorać i postawić w to miejsce coś innego, jakieś obiekty, w których dzieci i młodzież będą spędzać czas przyjemniej i sensowniej...". W różnych krajach ów potwór przybiera różne oblicza, ale w wolnej Polsce narodził się w latach 90., kiedy postkomunistyczni działacze przerwali sen o szkole wolnej od wpływu polityków. Nasze prawo oświatowe nie tylko jest przestarzałe, ale dodatkowo urosło do kuriozalnych rozmiarów; proces jego wdrażania mógłby zostać materiałem na scenariusz Stanisława Barei.

Od 1991 do 2016 r. ustawa o systemie oświaty była zmieniana ponad 150 razy. Drugim, równie kluczowym aktem prawnym w szkolnictwie jest Karta Nauczyciela – zmieniana przez kolejne rządy ponad 90 razy.

Doktor Katarzyna Maj-Waśniowska, która dokonała powyższych obliczeń, wspomina przypadek, gdy Kartę Nauczyciela zmieniano codziennie: w dniu 23 i 24 sierpnia 2001 r. Przy czym kolejna ustawa zmieniała niektóre rozstrzygnięcia przyjęte dzień wcześniej.

W zeszłym roku Artur Olszewski i Mateusz Pilch wydali księgę *Prawo oświatowe oraz przepisy wprowadzające*. Opatrzona koniecznymi komentarzami liczy 1172 strony zapisane drobną czcionką.

A jak jest gdzie indziej? W krajach z najlepszymi systemami edukacji prawo oświatowe mieści się na kilku stronach A4 – jest przejrzyste i zrozumiałe, bo przecież edukacja to podstawa, na której buduje się przyszłość społeczeństwa.

## NOWE CZASY, A SZKOŁA PO STAREMU

Niestety, nasi urzędnicy, jak twierdzi prof. Hartman, „kochają reformowanie, wymądrzanie się i udawanie, że wszystko idzie jak najlepiej".

W małostkowych działaniach, żeby naprawiać i indoktrynować polskie dzieci, zapominają o zasadniczym, globalnym wyzwaniu, o którym obszernie pisze Yuval Harari w *21 lekcjach na XXI wiek*:

„Obecnie zbyt wiele szkół skupia się na wtłaczaniu informacji. W przeszłości miało to sens, ponieważ o wiadomości i wiedzę było trudno. Tymczasem w XXI wieku zalewają nas olbrzymie ilości informacji. W takim świecie ostatnią rzeczą, którą nauczycielka powinna przekazywać dzieciom w szkole, są kolejne informacje. Dzieci i tak już mają ich za dużo. Zamiast coraz więcej informacji ludziom potrzebna jest zdolność ich rozumienia, odróżniania tego, co ważne, od tego, co nie, przede wszystkim zdolność łączenia bitów informacji w szerszy obraz świata. Szkoły powinny przestawić się na uczenie czterech K – krytycznego myślenia, komunikacji, kooperacji i kreatywności. Powinny kłaść mniejszy nacisk na umiejętności techniczne, a silniej akcentować uniwersalne umiejętności życiowe. Najważniejsza będzie umiejętność radzenia sobie ze zmianą i uczenia się nowych rzeczy".

A zatem całkowicie musi zmienić się filozofia szkoły. Michał Pasterski, edukator pracujący nad stworzeniem alternatywnego systemu edukacji, przygotował listę głównych jego grzechów. Umieścił na niej:

- **Podział na przedmioty humanistyczne i ścisłe.** To błąd, bo przecież największe innowacje, wynalazki i praktyczne pomysły wynikają z połączenia dyscyplin, a nie z ich dzielenia. Sztuczne podziały szufladkują dzieci i zniechęcają do zgłębiania wielu dziedzin.
- **Pomijanie nauki kompetencji społecznych.** Szkoła nie uczy, jak radzić sobie w relacjach międzyludzkich, w codziennym życiu, w relacjach obywatela z państwem.
- **Hierarchizację przedmiotów.** Dla przykładu artystyczne talenty dzieci są ignorowane. Jeśli lubisz malować, tańczyć lub śpiewać, to musisz zrezygnować z tego, co kochasz na rzecz „ważniejszych" przedmiotów np. matematyki.
- **Uczenie schematyczne wg klucza.** Indywidualiści, którzy wyłamują się ze schematu, są traktowani jak uczniowie problematyczni. Podobne podejście upośledza umiejętność poszukiwania kreatywnych i oryginalnych rozwiązań.
- **Mierzenie wszystkich dzieci tą samą miarą**. Każdy uczeń powinien być oceniany względem własnych możliwości, tak jak to ma miejsce np. w fińskich szkołach.
- **Szufladkowanie.** Nadawanie uczniom łatek, np. „pilny" lub „zły", które ciągną się za nimi przez całe życie, buduje atmosferę nieprzyjaznej konkurencji i rozpoczyna życiowy wyścig szczurów.
- **Przymus umieszczenia w klasach rówieśniczych.** Specjaliści twierdzą, że klasy powinny być dobierane do etapu rozwoju intelektualnego ucznia, nie zaś do jego wieku.

Siedem grzechów głównych, które wylicza Pasterski, to dopiero początek długiej listy problemów paraliżujących polską szkołę. Nauczyciele, tłamszeni kolejnymi reformami, zmuszani do realizowania programów niedostosowanych do współczesnego świata, produkują ludzi podległych władzy i bezkrytycznie dostosowujacych się do systemu, zamiast go naprawiać.

## BUNTOWNIK

Jeśli belfrzy chcą wyrwać się z klinczu, muszą walczyć. Niestety, pole bitwy przypomina bagna, których zadaniem jest unieruchomienie wybitnych nauczycieli i kreatywnych uczniów. Kto chce pokonać system, musi ryzykować.

**SZKOŁA SKUPIA SIĘ NA WTŁACZANIU INFORMACJI. W PRZESZŁOŚCI TO MIAŁO SENS, W XXI W. INFORMACJA JEST DOSTĘPNA NA KAŻDE KLIKNIĘCIE**

Walkę z wiatrakami podjął Przemysław Staroń, który w listopadzie ub.r. otrzymał od magazynu „Głos Nauczycielski" tytuł Nauczyciela Roku. Dla pracowników oświaty to jedno z największych wyróżnień, bo do nagrody nominują uczniowie.

„Żeby przekazywać wiedzę w atrakcyjny sposób, potrzebna jest przyjazna przestrzeń, z jak największą liczbą metod dydaktycznych" – mówi laureat. „Razem z uczniami stworzyłem wspaniałe miejsce, barwną klasę z makietami, transparentami czy memami edukacyjnymi". >>

LONDON METROPOLITAN ARCHIVES/EAST NEWS

Lekcja geografii w szkole w Londynie, 1905 r.

Słynna klasa U3 Staronia, pokazywana w programach TVP i TVN, to formalnie szkolny magazyn. Sanepid nie pozwoliłby na nauczanie w takim miejscu. To właśnie tam nauczyciel roku wykształcił 27 olimpijczyków z filozofii.

„W duchu jestem antysystemowcem i od lat sądzę, że powinniśmy rozwalić system edukacji w obecnej formie" – mówi Staroń. „Wyszedłem z założenia, że skoro likwidacja szkół jest raczej niemożliwa, to robię wszystko, by zmieniać je oddolnie."

Problem w tym, że na wojnie z systemem nauczyciele stają się ofiarami zwalnianymi z pracy za naruszenie przepisów.

Marianna Kłosińska, założycielka fundacji i szkoły Bullerbyn, która proponuje alternatywne sposoby nauczania, dostrzega, że wielu polskich belfrów ma dobre chęci i świetne pomysły, lecz system wiąże im ręce. „Nauczyciele w polskiej szkole stali się niewolnikami procedur. Nadrzędne instytucje zamiast wspierać pedagogów, pilnują, czy nie łamią milionów niepotrzebnych przepisów. To bardzo obciąża pracowników oświaty, obarcza ich lękiem przed złamaniem prawa i oskarżeniami o naruszenie bezpieczeństwa uczniów. To absurd, w ten sposób nauczyciele tracą możliwość budowania lepszego, przyjaznego środowiska dla uczniów" – mówi Kłosińska.

**WSPÓŁCZESNA SZKOŁA OPARTA JEST NA MODELU PRUSKIM, KTÓRY WYPRACOWANY ZOSTAŁ 200 LAT TEMU**

## MINISTERSTWO DO LIKWIDACJI

Prof. Bogusław Śliwerski z Uniwersytetu Łódzkiego, znany w kręgach nauczycieli naukowiec, uważa, że nie powinniśmy zaczynać od likwidacji szkół, a raczej od zlikwidowania Ministerstwa Edukacji.

„Szkoła jest dobrodziejstwem ludzkości, jednak obecny system szkolny opiera się na ustroju autokratycznym, całkowicie centralistycznym, w którym to od władzy zależy, czego i jak będą uczyć się młodzi. Mamy do czynienia z silnym gorsetem ideologicznym, jaki władza zaciska na nauczycielach i uczniach, zupełnie jak w państwach totalitarnych. MEN jest toksyczną instytucją nie liczącą się z potrzebami edukacyjnymi dzieci i młodzieży" – mówi prof. Śliwerski i dodaje, że likwidacja MEN to pomysł sprawdzony.

W USA system nauczania jest zdecentralizowany, większość decyzji podejmują władze poszczególnych stanów czy hrabstw. Amerykanie, gdyby ktoś chciał im stworzyć w Waszyngtonie urząd narzucający sztywne reguły i programy szkolne w całym kraju, stukaliby się w głowy.

Prof. Śliwerski uważa, że to dobry trop – zmianę należy zacząć od decentralizacji oświaty, czyli zwiększenia autonomii samorządów.

„Gminy i powiaty w Polsce świetnie wywiązują się z obowiązku prowadzenia szkół. W perspektywie lokalnej zawsze łatwiej jest zrozumieć potrzeby uczniów i nauczycieli" – mówi naukowiec. „Czy naprawdę musimy utrzymywać MEN, partyjniacką strukturę biurokratyczną z jej wygodnymi posadkami? Ministerstwo Edukacji nie kreuje nic wartościowego. Jedynie przeszkadza we wprowadzeniu sensownych zmian, co prowadzi do ciągłych konfliktów między władzą a nauczycielami czy ekspertami".

Naszym ministrom edukacji brak odpowiedniego wykształcenia. Marnują pieniądze, wprowadzają kosztowne i często bezsensowne programy, które wkrótce upadają.

„Ile milionów wyrzucono w przysłowiowe błoto?" – zastanawia się prof. Śliwerski. „Gdyby dyrektor szkoły był tak niegospodarny, to siedziałby już w więzieniu. A minister edukacji? Nie ponosi żadnej odpowiedzialności! Ani politycznej, ani karnej".

Niestety, edukacja jest przedmiotem politycznej rozgrywki – kolejni ministrowie zarządzają nią pod dyktando własnej partii. Co jeden zaczyna, drugi porzuca. Kolejne „reformy" czy „antyreformy" mają pokazać wyborcom, że władza wzięła sprawy w swoje ręce i naprawia to, co zniszczyli poprzednicy.

## A MOGŁO BYĆ TAK PIĘKNIE

Prof. Śliwerski z żalem i tęsknotą wspomina lata 1989-1993, kiedy system edukacji w Polsce tworzyły elity intelektualne Solidarności. Opierał się on na opozycji do opresyjnego modelu szkół z okresu PRL. Na początku lat 90. Henryk Samsonowicz, pierwszy minister edukacji w wolnej Polsce, powiedział słynne zdanie, o którym dziś mało kto pamięta: „Od teraz władza nigdy nie będzie się wtrącać w działanie szkół".

„Szkoła, jaką wtedy budowaliśmy, skupiała się przede wszystkim na dobru dziecka. Wprowadziliśmy m.in. system klas autorskich" – mówi prof. Śliwerski.

Przykład? Pomysł Anny Sowińskiej, jednej z nauczycielek klasy autorskiej w edukacji wczesnoszkolnej. Zamiast korzystać z dostępnych książek, zaproponowała, że stworzy własny elementarz, a jego treść wymyśli razem z dziećmi i ich rodzicami.

Tak powstał elementarz *Podróże z Kacprem*. Pomysł świetnie się przyjął. Później korzystało z niego wielu uczniów. W tym przypadku wiedzę dostosowywano na bieżąco do potrzeb dzieci, nie zmuszano ich do nauki z góry określonych tematów.

Postać Kacpra łączyła różne dziedziny. Ten elementarzowy bohater zabierał uczniów w podróż po różnych obszarach zainteresowań, spajał wiedzę ścisłą z humanistyczną.

Interdyscyplinarny charakter zajęć to jedno z głównych założeń edukacyjnych, jakie proponowała Solidarność. Kolejne to szacunek wobec uczniów i niezależność nauczycieli. Ci drudzy stali się kreatorami, a nie podwykonawcami odgórnych poleceń. Rodzice wybierali dla dzieci takie klasy i zajęcia, jakie im odpowiadały najbardziej.

„Wtedy szkoła najbardziej zbliżyła się do rodziny i spełniała konstytucyjne warunki" – mówi prof. Bogusław Śliwerski. „Bo w naszej ustawie zasadniczej i w prawie oświaty jest zapis, że szkoła pełni funkcję pomocniczą rodzinie"

Niestety dobre zmiany z początku lat 90. zostały zaprzepaszczone przez polityków, którzy położyli łapy na edukacji, podobnie jak na publicznej telewizji i spółkach Skarbu Państwa.

Teraz rodziców i opiekunów obecnych uczniów traktuje się w szkole jak natrętów, kiedy to właśnie oni mają zagwarantowaną konstytucyjną możliwość wpływu na edukację swoich dzieci. „Jeśli placówka jest publiczna, to oznacza, że podlega kontroli obywatelskiej. I tego warunku szkoła nie spełnia!" - mówi prof. Śliwerski.

Nowoczesna szkoła, o której marzył, powstała nie w Polsce, tylko w Danii. To jedyny kraj Europy, w którym nie wprowadzono obowiązku szkolnego. To nauczyciele muszą robić na tyle ciekawe zajęcia, żeby dzieci chciały na nie przychodzić.

Czy polski system edukacji może wrócić na właściwą drogę? Trudno sobie niestety wyobrazić, że któraś z rządzących w Polsce partii odważyłaby się na radykalną, śmiałą reformę. Prof. Śliwerski wierzy w bunt młodych: „Trzeba pokazywać alternatywne systemy, tłumaczyć, że inne nauczanie jest możliwe i inspirować do walki o swoje, tak jak my walczyliśmy w młodości". ◎

**Wywołajmy wspólnie lawinę, która obali przestarzały system edukacji. Wysyłajcie nam Wasze pomysły na nową szkołę. Zbierzemy je w podręczniku na XXI w., a za najlepsze wypłacimy atrakcyjne nagrody pieniężne**

Wszyscy, których pytamy o szkołę, odpowiadają jednym głosem: system edukacji jest kompletnie bezsensowny! Stał się samonapędzającą się machiną do wpajania dzieciom zbędnych, nieprzydatnych w dorosłym życiu informacji. Takie odczucie mają obecni uczniowie i nauczyciele; profesorowie zajmujący się edukacją oraz absolwenci, dla których szkoła jest już tylko mglistym wspomnieniem.

„Szkoło, dziękuję ci. Nie nauczyłaś mnie praktycznie niczego" – pisał w 2016 r. Jakub Szczęsny, młody dziennikarz Antyweb, w gorzkim felietonie podsumowującym kilkanaście lat swojej edukacji: nauki rysowania, czytania nudnych lektur, rozwiązywania równań kwadratowych, interpretowania wierszy wg narzuconego schematu oraz wkuwania zagadnień takich jak „morena czołowa" czy „cytoplazma". Nic z tego nie pomogło mu w dorosłym życiu.

Niektórzy twierdzą, że obecna, przestarzała szkoła – która uczy powielania schematów, a nie samodzielnego myślenia – jest jak demokracja. Ma wiele wad, ale lepszego systemu jeszcze nie wymyślono.

To nieprawda. Tak być nie musi i nie może. Głęboka reforma edukacji w wielu krajach już się zaczęła. Model szkoły opartej na indywidualnych pasjach, zainteresowaniach i talentach uczniów sprawdza się w Finlandii czy Danii. Tymczasem u nas kolejne rządy wdrażają pozorne, kosmetyczne reformy.

Minęło 30 lat od upadku komunizmu, a ministerstwo edukacji w Polsce nie zrozumiało jednej podstawowej zasady skutecznego nauczania. „Dzieci uczą się i rozwijają, gdy coś je zainteresuje i wzbudzi emocje" – podkreśla Angelika Talaga, strateg edukacji. „Zakuwanie lub przymusowe omawianie tematu nie ma sensu. Nasz mózg już o to zadba, by wyrzucić wszystko, co uważa za zbędne".

Potrzebna jest rewolucja i redakcja Holistic chce ją przyspieszyć. Mamy jednak poczucie, że jeden artykuł, czy nawet seria artykułów, to za mało. Dlatego przystępujemy do pracy nad nowym, alternatywnym podręcznikiem dla szkoły XXI w. Chcemy, żeby stał się jednym z kamyków, który – mamy nadzieję – wywołają lawinę.

Ale będzie to możliwe tylko wtedy, gdy również Wy, Drodzy Czytelnicy, dorzucicie własne kamyki. Jeśli razem z nami będziecie się domagać od polityków radykalnej zmiany.

Piszcie do nas czego nie nauczyliście się w szkole, czego powinno się tam uczyć i jak to robić. Wszystkie Wasze listy wezmą udział w konkursie – patrz obok – który rozstrzygnie (do 1 sierpnia 2019 r.) panel niezależnych ekspertów ds. edukacji. Wasze najlepsze pomysły wykorzystamy w podręczniku na XXI w. lub opublikujemy na portalu.

Równocześnie będziemy pytać ekspertów o nowatorskie metody dydaktyczne, analizować pomysły z całego świata, odświeżać idee filozofów Jest oczywiste, że w szkole potrzebne są nowe przedmioty, które wprowadzą młodych ludzi w dorosłe życie. Takie jak np.:

**Selekcja i ocena informacji,** bo każdy powinien wiedzieć, jak odnaleźć się w nawale informacji płynącym ze wszystkich stron; jak nie dać sobą manipulować; jak odróżnić informacje wiarygodnych od fake newsów.

**Obywatel w państwie,** czyli wychowanie świadomych wyborców i aktywnych uczestników demokracji. Wszyscy powinni wiedzieć na co przeznaczane i skąd się biorą pieniądze w budżecie państwa; umieć rozliczać się z urzędem skarbowym; wiedzieć jakie mają prawa wobec państwa i jak je kontrolować.

**Przedsiębiorczość.** Uczniowie powinni zakładać własne przedsiębiorstwa, sklepiki, manufaktury; robić biznesplan, planować budżet, księgować przychody i wydatki, ubiegać się o pożyczkę. Przyda się, kiedy potem będą zakładać prawdziwą firmę.

**Komunikacja i autoprezentacja,** czyli np. oswajanie uczniów z wystąpieniami publicznymi – już od przedszkola. Np. dzieci przynoszą ulubioną zabawkę, wychodzą na środek klasy i muszą o niej opowiedzieć.

Jakie jeszcze umiejętności powinna dawać szkoła? I jak ich uczyć? Czekamy na Wasze pomysły!

Historia pokazała, że książki mają wielką moc, wywołały niejedną rewolucję. Najbardziej odważne palono na stosach, wpisywano w rejestr zakazanych lektur i siłą odbierano czytelnikom. Wychodząc z ideą podręcznika, nie mamy takich wybujałych ambicji; chcemy, żeby stał się zapowiedzią rewolucji całkowicie bezkrwawej, konstruktywnej i pozytywnej.

Zróbmy ją razem – dla dobra naszych dzieci i dla lepszej przyszłości.

# PISZEMY PODRĘCZNIK

IKON IMAGES/EAST NEWS

# KONKURS

# NA XXI W.

Zgłoszenia do konkursu przyjmujemy na stronie **www.holistic.news** albo pod adresem **podrecznik21@holistic.news**. Wykorzystamy je w pracach nad podręcznikiem XXI w., a najlepsze nagrodzimy następująco:

- **Pierwsza nagroda 30 000 zł**
- **Druga nagroda 15 000 zł**
- **Trzecia nagroda 7 500 zł**
- **5 wyróżnień po 1 000 zł**

Co może być zgłoszeniem w konkursie?

– pomysł – nakreślony ramowo lub rozwinięty – na lepszą organizację edukacji na dowolnym poziomie, poczynając od przedszkolnego po uniwersytet;

– pomysł – nakreślony ramowo lub rozwinięty – na zmianę programu lub na nowy przedmiot szkolny na dowolnym poziomie, poczynając od przedszkola po uniwersytet;

– pomysł – nakreślony ramowo lub rozwinięty – na rozdział „Podręcznika dla szkoły XXI w.". Będzie on inspiracją do reformy, która dostosuje przestarzały system do współczesnych realiów, da uczniom umiejętności praktyczne i nauczy ich życia w państwie i społeczeństwie.

# Wolnym dzieciom rosną skrzydła

JAK WYGLĄDA W POLSCE KSZTAŁCENIE POZA SYSTEMEM? CZY W OGÓLE JEST MOŻLIWE? I CZY JEST LEPSZE OD TRADYCYJNEJ EDUKACJI?

Anna Brzeska

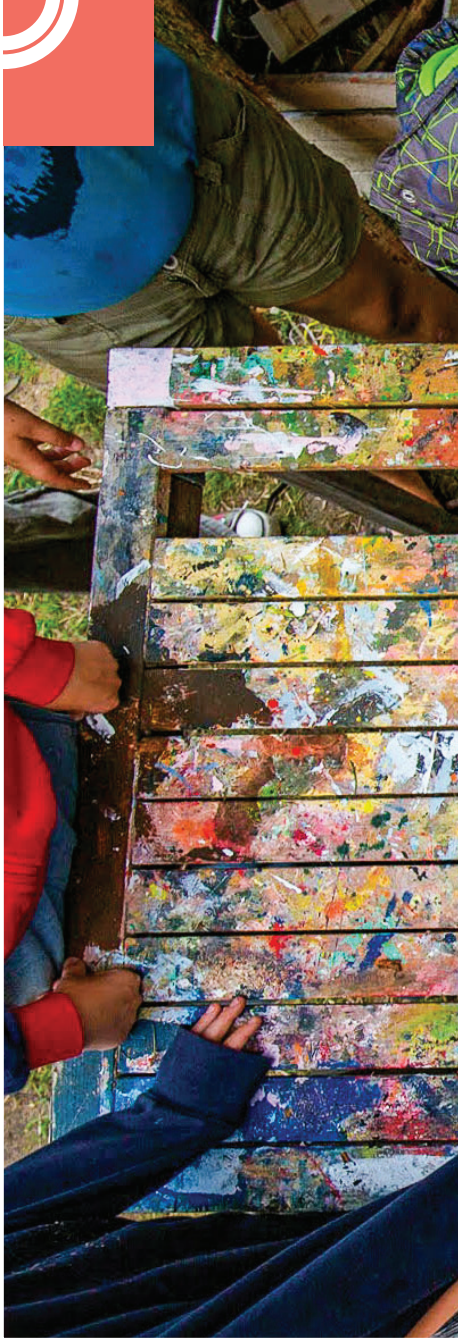

TOMASZ GÓRECKI

Michelle nie lubi tracić czasu. O początkach swojej edukacji poza systemem opowiada, wbijając kołki ogrodzenia pastwiska dla koni.

„Niesamowite było to, jak bardzo zwiększyła się mi ilość ruchu. Uczyliśmy się przypadków, skacząc na trampolinie!" – śmieje się.

Do Bullerbyn – jednej z pierwszych szkół w Polsce, gdzie dzieci uczą się nie tego, czego muszą, lecz tego, czego chcą – Michelle trafiła po państwowej, sześcioletniej podstawówce. Czemu piątkowa uczennica i jej rodzice nie chcieli dalej płynąć z głównym nurtem edukacji?

Jak sama wyjaśnia, ukończenie podstawówki po prostu zbiegło się w czasie z przeprowadzką pod Warszawę, gdzie jej rodzina poznała Mariannę Kłosińską, założycielkę Fundacji Bullerbyn. Ale nie tylko – Michelle sama czuła, że zwykła szkoła nie ma wiele wspólnego z prawdziwym życiem.

„Bardzo też nie lubiłam tego, że jesteśmy oceniani w sposób, który może kogoś dotknąć" – dodaje. „Usłyszałam w autobusie rozmowę dwóch nauczycielek. »Ten uczeń jest mierny, ten też jest mierny«. A przecież ktoś może być geniuszem w jakiejś dziedzinie, a oceny z innych przedmiotów tego nie pokażą!"

## CIEKAWOŚĆ, NIE PRZYMUS

Unschoolersi (czyli „ludzie poza szkołą"; chodzi tu nie tylko o dzieci, ale całe środowisko tworzące alternatywne formy edukacji) wychodzą z założenia, że dzieci mobilizuje naturalna ciekawość świata, nie zaś zewnętrzny przymus wywierany przez rodziców czy pedagogów. Wewnętrzna motywacja i samodzielne decydowanie o tym, czego uczniowie chcą się uczyć, to najważniejsze filary szkół demokratycznych.

Michelle: „W Bullerbyn nie było presji, ryzyka ostracyzmu związanego z tym, że np. nie lubię matematyki. Tam nauczyłam się, że mogę jej nie lubić i dostać na końcowym egzaminie tróję. I że nikt nie będzie mnie z tego powodu oceniał. Ja wiem, ile potrafię. Uczę się przecież dla siebie, a nie po to, by mieć jakieś tam oceny, zadowolić nauczycieli czy kolegów. Wszystko, co robię, jest dla mnie".

## SZKOŁA, ALE NIE SZKOŁA

Pierwszą szkołę demokratyczną – brytyjską Summerhill – założył w 1921 r. Alexander S. Neill. Jeśli chodzi o Polskę, warto wymienić Janusza Korczaka, bohaterskiego lekarza i pedagoga. Wśród jego podstawowych założeń były podmiotowość dziecka, należny mu szacunek i partnerstwo.

„Na przedmiotach, które lubimy, robimy znacznie wiecej niż wymaga program”

## W BULLERBYN DZIECI UCZĄ SIĘ PRZEDE WSZYSTKIM TEGO, CZEGO CHCĄ. TO PODSTAWOWE ZAŁOŻENIE SZKOŁY: AUTONOMIA KAŻDEGO – NAWET MŁODEGO – CZŁOWIEKA

Ich wdrożenie uniemożliwił wybuch II wojny światowej, a potem pół wieku komunizmu.

Ale problem nie zniknął z upadkiem komunizmu, bo założenia szkoły demokratycznej nie są w pełni zgodne z tym, czego wymaga państwo. Wszystkie polskie dzieci obowiązuje ta sama podstawa programowa. Wszystkie muszą być też formalnie uczniami szkół publicznych lub niepublicznych.

Furtką do obejścia systemu jest edukacja domowa. Szkoły demokratyczne z punktu widzenia prawa nie są szkołami, lecz zwykle działają jako fundacje czy stowarzyszenia wspierające dzieci i rodziców w domowej nauce.

Dzieci z Bullerbyn połowę tygodnia spędzają na wsi, drugą połowę w Warszawie. Rytm dnia jest regulowany porami posiłków. Wiąże się to nie tylko z jedzeniem, ale i z całą sferą odpowiedzialności za jego przygotowywanie, sprzątanie, dzielenie się obowiązkami.

„Troszczymy się też o rozwój poznawczy dzieci, dlatego proponujemy im różnorodne warsztaty, a one same decydują, w czym biorą udział. Mamy także grupowe spotkania z tzw. tutorami, na których dzieci planują, w jaki sposób zrealizują ministerialną podstawę programową” – mówi Marianna.

Ale, jak dodaje, w szkole panuje pełna zgoda na „nicnierobienie”: „Pierwszy filar szkoły demokratycznej to autonomia każdego człowieka i jego swoboda decyzji. Nikt nikogo do niczego nie zmusza”.

>>

Olga Górniak, mama Matyldy: „Pamiętam dyskusję o używaniu smartfonów. Uznaliśmy, że jeśli im zabronimy, stracą wolność wyboru. Co ciekawe, dzieci starały się same siebie pilnować. Na zebraniach mówiły sobie: »Przeginasz. Jesteś no-life'em, martwimy się o ciebie«".

Lekcje biologii w szkole demokratycznej nie polegają na wkuwaniu teorii.

„Przychodziła pani, która jest leśniczką" – mówi Michelle. „Chodziliśmy z nią do lasu zbierać owady. Mogliśmy rozpoznawać ich gatunki, analizować budowę. W ramach zajęć z muzyki sami oczywiście ją tworzyliśmy. Pochłonęła nas też grafika komputerowa – zajęcia z Photoshopa".

Michelle skupiła się głównie na zwierzętach, m.in. opiece nad końmi. Jako unschooler miała więcej czasu niż rówieśnicy: „Najbardziej kręciło mnie to, że mogłam iść np. do weterynarza, siedzieć u niego w lecznicy, obserwować jego pracę i pytać, o co zechcę".

W Bullerbyn na koniec roku uczniowie uczestniczą w tzw. konferencjach, na których mogą pochwalić się zdobytą wiedzą. „Fajnie było posłuchać, co przygotowała reszta szkoły" – opowiada Michelle. „Niektórzy pokazywali swoje obrazy albo slajdy. Inni przygotowywali plakaty albo makietę wulkanu wybuchającego na oczach widowni".

## POD PRĄD

Wiedzę narzucaną przez podstawę programową sprawdza się na corocznych egzaminach, organizowanych przez szkoły macierzyste, czyli placówki, do których formalnie zapisane są dzieci.

Dzieci z Bullerbyn połowę tygodnia spędzają na wsi

TOMASZ GÓRECKI

Pod tym względem polscy unschoolersi mają pod górkę. „W szkołach demokratycznych w USA w ogóle nie ma podstawy programowej" – wyjaśnia Marianna.

Michał Sienicki wspomina także o tym, jak wygląda to w Skandynawii, słynącej z doskonałych wzorców edukacyjnych:

„W przeciwieństwie do naszych realiów, gdzie każdy, kto chce wprowadzić innowacje, ucieka od systemu, w krajach skandynawskich to państwo reformuje szkoły publiczne. Można więc tam spotkać wiele szkół systemowych, które właściwie spełniają kryteria demokratycznych. Podobnie jest w Izraelu, gdzie przez ostatnich 25 lat powstało ponad 40 publicznych szkół demokratycznych liczących po kilkuset uczniów. Stało się to dzięki determinacji jednego człowieka – Yaacova Hechta, który wymarzył sobie nieodpłatną publiczną szkołę demokratyczną".

Za systemowymi rozwiązaniami idą pieniądze, niezbędne do rozwoju. Ta kwestia wciąż spycha szkoły demokratyczne w niszę edukacji dla osób zamożnych. Czesne oscyluje w granicach 800-2000 zł miesięcznie (zależnie m.in. od regionu czy wielkości szkoły).

## ZA MAŁO PIENIĘDZY

Marianna przyznaje, że model Summerhill – gdzie uczniowie wybierają dziedzinę sztuki czy nauki, którą chcą opanować, po czym ściągany jest ekspert, który je tego uczy – jest wciąż poza zasięgiem polskich szkół.

„Myślę, że gdy dojdziemy do etapu, gdy w szkole będzie 100-150 dzieci. W tej chwili, gdy dzieci jest ok. 30, logistycznie byłoby to trudne, biorąc pod uwagę budżet szkoły. Skupiamy się więc na aktywnościach, które są w jakimś stopniu związane z podstawą programową" – wyjaśnia.

Michelle opowiada, jak to wygląda z perspektywy uczennicy: „Każdy z nas znał swoje zainteresowania. Z przedmiotów, które lubił, robił

znacznie więcej, niż przewidywała podstawa programowa. Ponieważ nie byliśmy zmuszeni siedzieć w ławkach i wkuwać, mieliśmy czas na rozszerzenie tego materiału. Natomiast z przedmiotów, które nas nie interesowały, których nie lubiliśmy – lub do których mieliśmy uraz po zwykłej szkole – robiliśmy absolutne minimum podstawy programowej".

„Nasza koncepcja uczenia się jest zupełnie inna niż koncepcja kuratorium" – mówi Marianna.

„Prawo oświatowe przedstawia tylko jeden model uczenia się – czy bardziej nauczania – dziecka, które musi przyswoić konkretną wiedzę. To jest całkowicie niespójne z tym, co my jako rodzice myślimy o edukacji. Ale funkcjonujemy w realiach polskiego prawa, więc zobowiązaliśmy się, że będziemy dzieci wspierać w realizacji obowiązku szkolnego. Dbamy o to, by miały kontakt z matematyką, językiem polskim czy historią".

## PUNK'S NOT DEAD

Mimo trudności wynikających z narzuconej podstawy programowej i relatywnie wysokiego czesnego chętnych nie brakuje. Zdaniem Olgi Górniak, mamy Matyldy, zainteresowanie szkołami demokratycznymi wynika z ogromnej motywacji wielu rodziców do odcięcia się od systemu:

TOMASZ GÓRECKI

Kontrakt, który dzieci podpisują na początku roku szkolnego

**NIESTETY SZKOŁA DEMOKRATYCZNA, DO KTÓREJ ZAPISAŁAM SYNA, NIE SPEŁNIAŁA NASZYCH OCZEKIWAŃ. WOLNOŚĆ – TAK, NATOMIAST TEJ WOLNOŚCI BYŁO ZDECYDOWANIE ZA DUŻO**

„Środowisko, które skupiają te szkoły, jest dość jednorodne, trochę hipisowskie. Ci rodzice noszą wciąż w sobie hasło »Punk's not dead«, zwykle sami mieli złe doświadczenia ze szkołą".

Ale często zdarza się, że po jakimś czasie rodzice rezygnują. Bo obawiają się, że ich dzieci będą miały problem ze zdobyciem dostatecznej wiedzy. Albo z innych powodów.

„Uważam, że jest to fantastyczny pomysł. Dlaczego zrezygnowaliśmy? Niestety placówka, do której zapisałam syna, nie spełniała naszych oczekiwań. Nie podążało to w takim kierunku, jakiego oczekiwaliśmy. Wolność – tak, natomiast tej wolności było zdecydowanie za dużo. Były to głównie sprawy natury organizacyjnej. Sytuacja, w której dzieci były świadkami zajęcia komorniczego w szkole, przelała czarę goryczy".

Czasami rezygnacje wynikają z prozy życia – rodzice tracą pracę i nie mają na czesne.

To, co wydaje się słabością – duża rotacja uczniów – jest zdaniem Marianny Kłosińskiej nieodłącznym elementem idei: „Szkoły demokratyczne, jak każde przedsięwzięcie związane z rozwojem osobistym, powstają po to, by wspierać autonomię. I musimy borykać się z tego konsekwencjami. Nie możemy zatem ludzi wiązać ze sobą czy wikłać w toksyczne układy" – stwierdza. „Po to budujemy to miejsce, by ludziom rosły skrzydła. Również rodzicom".

Marianna podkreśla jednak, że właśnie ze względu na trudności jej rolą we wstępnych etapach rekrutacji jest >>

Dzieci same decydują, w jakich warsztatach biorą udział

TOMASZ GÓRECKI

raczej zniechęcanie rodziców: „Szkoła demokratyczna to nie raj. Dzieje się tu dokładnie to samo, co w każdej innej grupie społecznej. Różnica jest taka, że w szkole demokratycznej się nad tym pracuje. To jest jednak proces. Nie wszyscy są w stanie to udźwignąć. Dajemy rodzicom dużo możliwości rezygnacji. Proces rekrutacyjny zaczyna się od dwóch odpłatnych konsultacji. Przynajmniej 80 proc. skutkuje tym, że rodzice już do nas nie wracają. Jedno z tych spotkań służy temu, by rodzice jak najwięcej się dowiedzieli o tym, na czym polega koncepcja edukacji demokratycznej. Druga konsultacja to spotkanie z psychologiem, podczas którego rodzic ma się zorientować, czy forma edukacji jest bliska jego wartościom. Jeśli po tych dwóch spotkaniach rodzice chcą spróbować, dziecko przychodzi na miesięczny okres adaptacyjny".

Marianna nie ukrywa, że rodzice muszą mieć w zanadrzu wyjście awaryjne, czyli zaklepane miejsce w zwykłej szkole.

## UCIECZKA OD WOLNOŚCI

„Miałam to szczęście, że dość wcześnie odeszłam ze szkoły systemowej" – mówi Michelle. „Nie zdążyłam zostać zindoktrynowana systemem. Obserwowałam jednak wiele osób, które dołączyły do nas dopiero w liceum. W Bullerbyn nie były w stanie znaleźć sobie zajęcia ani motywacji, kiedy nikt im nie kazał nic robić, kiedy nie miały presji z zewnątrz. Część tych osób wróciła do zwykłej szkoły".

Michelle została w Bullerbyn do końca. Mimo że wcześniej nie lubiła matematyki, zdała ją na maturze na ponad 70 proc. Potem dostała się na wymarzone studia – indywidualne studia międzyobszarowe na kierunku biologia i antropologia.

Oczywiście pojedynczy przypadek Michelle niczego nie dowodzi. Na ocenę szkół demokratycznych w Polsce jest za wcześnie. Istnieją za krótko, jest za mało uczniów.

Bardziej miarodajne badania są prowadzone na Zachodzie, gdzie idea wdrażana jest znacznie dłużej. Amerykańscy psychologowie Peter Gray z Boston College i Gina Riley z Hunter College w Nowym Jorku prześledzili losy 75 osób po szkołach demokratycznych z USA, Kanady, Wielkiej Brytanii i Niemiec. Średnia wieku wynosiła 24 lata, ośmioro wciąż było nastolatkami. Konkluzja: „Brak narzuconego programu nauczania nie pozbawił ich wiedzy i umiejętności potrzebnych do osiągania sukcesów na uczelni. Większość twierdziła wręcz, że ma przewagę w nauce w porównaniu z kolegami, ponieważ nie doznali uczucia wypalenia na skutek uczęszczania do zwykłych szkół. Nauczyli się też samodzielności w swoich wyborach i odpowiedzialności za nie, postrzegali naukę jako swój własny wybór i zamierzali w pełni wykorzystać to, co miała do zaoferowania szkoła. Wielu z nich zgłosiło natomiast rozczarowanie społecznością college'u. Mieli bowiem nadzieję, że zostaną zanurzeni w intelektualnie stymulującym środowisku, natomiast okazało się, że ich koledzy bardziej interesują się imprezami i piciem".

Wysoki odsetek ankietowanych stanowili szukający pracy, którą można określić jako kreatywną – a więc rzemiosło, muzyka, sztuki piękne, fotografia, film i pisanie. W grupie absolwentów, którzy nigdy nie otarli się o szkołę systemową, najwięcej, bo aż 79 proc., obrało właśnie taką karierę.

## ZAMIAST MORAŁU: CO JEST NAJWAŻNIEJSZE?

Marianna: „Uczniowie mogą uczyć się na swoich błędach, ponoszą konsekwencje swoich decyzji. W ten sposób poznają realne życie – nie układany sztucznie świat ocen, punktowania za to, że coś jest prawdłowo wykonane. Absolutnie nie ma treningu z posłuszeństwa. Jest tylko i wyłącznie uczenie się bycia wśród ludzi, sięgania po wiedzę i poznawania siebie samego". ◎

TOMASZ GORĘCKI

Na koniec roku a tzw. konferencjach wszyscy opowiadają rówieśnikom, czego się nauczyli

# Nauczyciele mają dość

ICON IMAGES/EAST NEWS

**NA WIOSNĘ PLANOWANY JEST JEDEN Z NAJWIĘKSZYCH STRAJKÓW OŚWIATY PO 1989 R. SZACUJE SIĘ, ŻE STRAJKOWAĆ MOŻE NAWET 20 TYS. SZKÓŁ W CAŁYM KRAJU**

Nauczyciele chcą więcej zarabiać. I choć minister edukacji narodowej Anna Zalewska na początku lutego podpisała rozporządzenie w sprawie zasadniczych wynagrodzeń, to zakłada ono podwyżki między 121 a 166 zł brutto. Tymczasem związki zawodowe domagają się dodatkowego 1000 zł brutto. W rezultacie czeka nas burzliwa wiosna. Ministerstwo przestrzega, że może dojść do ogromnego kryzysu w oświacie. Pytanie tylko, czy ten kryzys dopiero nastąpi, czy może permanentnie trwa od lat? O sytuacji polskiego szkolnictwa rozmawiamy z trójką nauczycieli z Trójmiasta, którzy w obawie o pracę i karierę chcą pozostać anonimowi.

**Dorota Laskowska: Dlaczego nie chcecie rozmawiać otwarcie, pod własnymi nazwiskami?**

Ponieważ cały system szkolnictwa polskiego jest bardzo polityczny. Czym innym jest wziąć udział w strajku, a czym innym opowiadać o upadłym systemie oświaty, o jego wadach, o układach między placówkami. Każda taka oficjalna wypowiedź niesie za sobą ryzyko, że stracimy pracę i żadna placówka w regionie nie będzie chciała nas ponownie zatrudnić. To, o czym opowiadamy, ma miejsce w szkołach, w których pracujemy. Ale istota błędu tkwi głębiej. Szkoły, dyrektorzy, nauczyciele radzą sobie, jak potrafią. Dzięki temu mamy etaty. Ale to cały system jest chory, niewydolny i może warto w końcu powiedzieć o tym głośno.

**Zacznijmy od waszych zarobków. Bo rozumiem, że jest to główny powód planowanych strajków.**

To jest tylko kropla w morzu potrzeb, ale od czegoś trzeba zacząć. Nasze zarobki należą do najniższych w Europie. Również średnie wynagrodzenie nauczycielskie, które wynika z rozporządzenia ministra edukacji narodowej, jest zdecydowanie niższe niż średnie wynagrodzenie krajowe. W latach 2007-2012 nasze zarobki wzrosły o 44 proc., ale potem stały już w miejscu. Dziś większość z nas zarabia między 1750 a 2800 zł na rękę. Czasami we własnym zakresie opłacamy także materiały dydaktyczne, którymi posługujemy się podczas zajęć.

**Szkoły nie mają budżetu na dodatkowe materiały dydaktyczne?**

Co roku każdy z nas może złożyć zapotrzebowanie na takie materiały. Ale niestety czasem czekamy na nie po kilka lat. Przykładowo, na słowniki do języka hiszpańskiego czekałam dwa lata. Na 10 słowników po 20 zł za sztukę! Na tablicę korkową do sali – trzy lata. Podobnie było z magnetofonem. To są podstawowe rzeczy do nauki języków obcych. Dlatego, jeżeli chcę podchodzić do pracy profesjonalnie, nie mogę czekać. W międzyczasie inwestuję swoje prywatne pieniądze w materiały, które mogą mi pomóc uatrakcyjnić zajęcia, zaciekawić dzieci i ułatwić im przyswajanie wiedzy. Są oczywiście specjalne programy, dofinansowania z miasta czy ministerstwa. Ale takie wnioski musimy pisać sami, szkoła nam zazwyczaj w tym nie pomaga, wyraża jedynie zgodę. Nie ukrywajmy jednak, że takie wnioski są ogromnie czasochłonne i często skomplikowane. I wcale nie jest łatwo takie dofinansowanie otrzymać.

**OK, zarobki są niskie, ale wykonujecie zawód, gdzie etat oznacza 18 godzin dydaktycznych w tygodniu, dwa miesiące letnich wakacji oraz ferie zimowe. Macie również możliwość dorabiania na korepetycjach. Czy można to wszystko uznać za wartość dodaną do waszych pensji?**

Jeżeli chodzi o korepetycje, to jest to częsty argument, który wiele osób podnosi. Więc odwróćmy teraz sytuację. Czy fakt, że jest pani dziennikarką i może pisać wiele artykułów na zlecenie do różnych mediów oznacza, że pracodawca może płacić pani mniej za usługę? To, że posiadam obszerną wiedzę w zakresie danego przedmiotu i udzielam po godzinach korepetycji, nie oznacza wcale, że chcę to robić. Finansowo nie mam innego wyjścia. Co do pozostałych kwestii, to obawiam się, że to również są mrzonki. Etat to 18 godzin dydaktycznych, ale do tego proszę doliczyć przerwy, dyżury, okienka, rady pedagogiczne, szkolenia, spotkania z rodzicami, konsultacje z przedmiotów, wywiadówki i te wszystkie godziny, które muszę spędzić na sprawdzianach, klasówkach i przygotowaniach się do zajęć. Łącznie wyjdzie ok. 40 godzin. Nie liczę nawet czasu, który spędzam w domu na wypełnianiu wszystkich dokumentów, wniosków, sprawozdań. Co do czasu wolnego, to też nie jest tak, że mam dwa miesiące wakacji – tak naprawdę sześć tygodni.

**Plus ferie, co i tak daje nam łącznie więcej niż przeciętny urlop w zawodzie komercyjnym.**

Tak, więcej. Ale proszę pamiętać, że zawód nauczyciela nie należy do najprostszych. Uczniowie to są młodzi ludzie, często krnąbrni, uparci, czasem leniwi. A my nie tylko ich uczymy, ale i kształtujemy ich osobowości. Jest to zadanie odpowiedzialne, wymagające wysiłku fizycznego i emocjonalnego. Bardzo łatwo jest o wypalenie zawodowe w naszej profesji. I często okazuje się, że ten okres ferii i wakacji to dla nas wybawienie. Naładowanie energią, zdystansowanie się. Nasze codzienne emocje nie mogą mieć wpływu na naszych uczniów. Z drugiej strony powiem pani szczerze, że u większości z nas te wakacje to nie jest czas, który poświęcamy na wyjazdy zagraniczne czy jeżdżenie po kurortach. Wielu z nas po prostu na to nie stać. W wakacje nie mamy korepetycji.

>>

IKON IMAGES/EAST NEWS

**Mówicie, że kryzys w oświacie już jest i że wina leży po stronie nieudolnego systemu edukacji. Co macie na myśli?**

Czasy się zmieniły. Młodzież się zmieniła. Ma inne oczekiwania, dostęp do nowych technologii, ale też czas ich skupienia znacznie się skrócił. Żeby mogli najefektywniej przyswoić wiedzę, dziś nie wystarczy już tylko nauczyciel, książka i zeszyt do ćwiczeń. Musimy ich zaciekawić przedmiotem, pokazać, że będą mogli tę wiedzę wykorzystać. Dzieci nie chcą uczyć się rzeczy, które w ciągu sekundy mogą sprawdzić w internecie. Nawet jak wkują coś na blachę, to do matury o tym zapomną. Uczymy ich ogromnej ilości wiedzy teoretycznej, zapominając o praktycznej. Nie uczymy ich, jak dyskutować, jak szukać i jak sprawdzać informacje, co w dobie fake newsów wydawałoby się kluczowe. Nie uczymy ich argumentacji, dyskusji, asertywności. Dajemy im wiedzę, która nie ma szans ich nawet zaciekawić. Dziecko to wkuje, a po maturze zapomni. Więc po co? Inna sprawa, że gdyby literalnie przestrzegać wymagań, to znacznie więcej uczniów nigdy nie powinno nawet zdać matury.

**Dlaczego? Skoro ich wiedza nie jest wystarczająca, to matury raczej nie zaliczą?**

Nie do końca. To wszystko jest fikcja. Nasz system jest tak zbudowany, że ten uczeń w końcu zda. Podam przykład z autopsji. Jestem egzaminatorem języka angielskiego. Na egzaminie ustnym w komisji egzaminacyjnej w mojej szkole będę ja i egzaminator ze szkoły partnerskiej, czyli takiej, która funkcjonuje w pobliżu. Ja otrzymuję tytuł egzaminatora nadzorującego, czyli mam ostateczny głos co do przebiegu egzaminu. I tu zaczyna się problem. Bo jest niepisany nacisk ze strony dyrekcji, żeby zaliczyć wszystkim. A w sytuacji, gdy poziom jest bardzo zaniżony – oblać jedną, dwie osoby. Egzaminator ze szkoły partnerskiej widzi, że na egzaminie resztką sił wyduszam z ucznia chociażby jedno słowo, żebym mogła go przepuścić. Potem sytuacja się odwraca, czyli ja udaję się na matury do szkoły partnerskiej. Ten sam nauczyciel zostaje egzaminatorem nadzorującym, ja wspomagającym. Skoro on przymknął oko na poziom uczniów z mojej szkoły, ja muszę zrobić to samo.

**Skąd taka zasada? Dostajecie odgórny nakaz przepuszczania wszystkich na ustnych maturach?**

Nikt nie powie tego wprost. Żaden szanujący się dyrektor nie wyartykułuje tego na głos. Ale są pewne niepisane formy nacisku. Prowadzone są tzw. rozmowy motywacyjne, sugestie, aby wyniki były jak najlepsze. A my, nawet jakbyśmy chcieli złamać tę zasadę, to musimy liczyć się z konsekwencjami. Po każdym egzaminie maturalnym egzaminator musi wytłumaczyć się dyrekcji ze swoich decyzji. Pytają cię, dlaczego tyle osób nie zdało. Podobnie jak

egzaminujesz w szkole zewnętrznej. Tam nie musisz się tłumaczyć, ale pamiętajmy, że to wszystko jest zamkniętym środowiskiem. Wielu nauczycieli nie ma etatów w jednej szkole, tylko łączy je w kilku różnych. Jeżeli oblejesz zbyt wielu uczniów ze szkoły partnerskiej, możesz zapomnieć, że kiedykolwiek dostaniesz tam pracę. Tu chodzi o relacje pomiędzy szkołami, egzaminatorami, tobą a dyrektorem. Wytwarza się układ, który podtrzymuje fikcję.

**Czy to jest powszechne działanie?**

Z pewnością popularne. Szkoły walczą o rankingi zdawalności matur. Nauczyciele migrują pomiędzy szkołami. Pamiętam, jak kiedyś moja szkoła została ogłoszona najgorszą w woj. pomorskim. Dyrektorka przez tydzień dostawała telefony od burmistrza, wójta, kuratorium, Centralnej Komisji Egzaminacyjnej. Ostatecznie, jeżeli uczeń nie zdał, to jest to wina szkoły, czyli nauczyciela.
Co roku, na każdej radzie pedagogicznej powtarza nam się, że każdy uczeń to pieniądz, dlatego powinniśmy przedmiot zaliczać. Jeżeli chcemy dać uczniowi nauczkę i zrobić egzamin poprawkowy w sierpniu, to mamy zielone światło, ale w sierpniu musimy go przepuścić. Jeżeli tego nie zrobimy, a uczniowie będą odchodzić ze szkoły, my nie będziemy mieć etatów. To jest takie błędne koło całego systemu.

**Ale przecież ciągle są jakieś reformy szkolnictwa?**

Tak, ale żadna z nich nie dotyka istoty problemu. Były zmiany ze względu na ilość lat, gimnazja, potem ich likwidacja, zmiany podręczników. Ale to wszystko jest bardzo powierzchowne. Tylko po to, żeby dana partia rządząca mogła powiedzieć, że przecież zrobiła coś w kierunku edukacji. Tak naprawdę szkoła to jest system zakorzeniony jeszcze w czasach komunizmu. Tu każdy sobie rękę myje. Jest bardzo politycznie, z zachowaniem poprawności i starego myślenia. Wszystko się zmienia, cały świat idzie do przodu, a w szkole nie zmienia się nic! Tyle mówi się o nowych technologiach. U nas to oznacza użycie komputera na zajęciach. Naprawdę, nasz system nauczania trzeba by było zburzyć i postawić na nowo. Ale nikt nie ma odwagi. Więc jak słyszymy czasem, że nasz strajk może wywołać kryzys w oświacie, to myślę sobie, że my w tym kryzysie trwamy od wielu lat.

**Jaki wpływ ma obecny system nauczania na młodych ludzi?**

Ogromny. Podcinamy skrzydła naszym dzieciom, które mogłyby osiągnąć dużo więcej, gdybyśmy uwzględnili wyzwania XXI w. w programie nauczania. Musimy zacząć korzystać z nowych technologii. One po to są właśnie, żeby pewne rzeczy stawały się łatwiejsze. Obecnie uczymy dzieci na poziomie ogólnokształcącym, na każdym przedmiocie jest dużo szczegółów i nie dajemy im czasu na to, żeby zdążyły się zainteresować jakimś tematem. Wkuwamy na pamięć tysiące informacji o wszystkim, a na końcu nie wiemy nic. Są oczywiście dzieci, które już od początku edukacji kładą nacisk na konkretne przedmioty i są w stanie wyobrazić sobie swoją dalszą ścieżkę kariery. Ale coraz częściej widzimy, że przerażająca większość nie wie na tym poziomie, co zrobi dalej ze swoim życiem. Jak często słyszymy od wielu osób, które opowiadając o swojej karierze, wspominają nauczyciela, który przekazał im tego bakcyla? Tę ciekawość? Jeżeli mamy dobrego nauczyciela z historii czy z fizyki, to on będzie umiał rozpalić tę iskrę, albo przynajmniej tak wytłumaczyć dane zagadnienie, że stanie się ono dla nas zrozumiałe, logiczne. Nie będzie tylko kolejną regułką do wykucia i wymazania z pamięci. Ale nauczyciel, który nie będzie zarabiał na przyzwoitym poziomie, przestanie się w końcu starać.

**NASZE REFORMY SĄ POWIERZCHOWNE, NIE DOTYKAJĄ ISTOTY PROBLEMU. KOLEJNE RZĄDY ROBIĄ JE TYLKO PO TO, ŻEBY POKAZAĆ, ŻE DBAJĄ O EDUKACJĘ**

**Chodzi o wypalenie zawodowe?**

Tak. Większość z nas lubi swoją pracę, ale nieustanna walka z wiatrakami i niskie zarobki sprawiają często, że pierwsze oznaki wypalenia pojawiają się u młodych nauczycieli już po kilku latach pracy. Pamiętajmy, że między nauczycielem a uczniem jest pokolenie, a nawet dwa pokolenia różnicy. To, co działało, kiedy my byliśmy młodzi, nie będzie działać dziś. Jeżeli nauczyciel z 20-letnim stażem pracy ma zrozumieć, jak myśli współczesna młodzież, musi mieć czas, chęci i pieniądze na to, aby poznać środowisko tych młodych ludzi. Musi poruszać się w świecie aplikacji, kolejnych zdobyczy technologii, żeby z jednej strony nawiązać z uczniem kontakt, a z drugiej – wykorzystać te zdobycze w swojej lekcji. Dlatego nauczyciel musi być doinwestowany.

**Dlaczego wciąż pracujecie w zawodzie? Może nie ma sensu walczyć z wiatrakami i warto poszukać dla siebie miejsca w innej branży?**

Część z nas wciąż pracuje z pobudek ideologicznych. Po prostu kochamy swoją pracę. Część wrosła w system i nie umie znaleźć dla siebie innego miejsca. Są tacy, którzy argumentują to sprawami finansowymi, nie stać ich na przebranżowienie się teraz. Ale większość z nas widzi również zagrożenia i negatywne efekty dotychczasowego systemu nauczania i traktowania nauczycieli. Bo nawet jak odejdziemy i znajdziemy inną pracę, to wciąż musimy posyłać nasze dzieci do szkoły. To jest problem, który dotyczy wszystkich, nie tylko nauczycieli. Jeżeli go nie rozwiążemy zdecydowanie, to ofiarami będą nasze dzieci. ◎

# Szkoło, dziękuję ci za wagary

## ZNANY POLSKI YOUTUBER OPOWIADA, JAK NIE ZOSTAĆ KOLEJNĄ CEGŁĄ W MURZE

Ajgor Ignacy

**POWIEDZIEĆ, ŻE SZKOŁA NAUCZYŁA MNIE NIEWIELE, TO TROCHĘ TAK, JAKBY NIE POWIEDZIEĆ NIC. WIERZCIE MI: ZDECYDOWANIE WOLAŁBYM TERAZ WYSMAŻYĆ WAM – LUDZIOM, KTÓRZY POŚWIĘCAJĄ SWÓJ CENNY CZAS NA CZYTANIE MOICH WYPOCIN – CAŁĄ BRYTFANKĘ SŁODKICH CIASTECZEK, Z KTÓRYCH TO KAŻDE BYŁOBY ODPOWIEDNIKIEM JEDNEJ CENNEJ UMIEJĘTNOŚCI, JAKĄ NABYŁEM WŁAŚNIE W SZKOLE. SERIO**

Tylko że problem polega na tym, iż ilekroć myślę o tej starej cholerze potocznie zwanej szkołą, to na myśl przychodzi mi tylko jedna rzecz: cegła.

Ale od początku. Kojarzycie może ten kawałek Floydów pt. *Another Brick in the Wall*? A konkretniej jego fragment, w którym David Gilmour śpiewa, że „ostatecznie każde z nas jest tylko kolejną cegiełką w murze"? No więc wyobraźcie sobie, że dokładnie tak czułem się, gdy zmuszony byłem iść do szkoły. Jak cholerna cegła w cholernym murze.

Mierzi mnie na samą myśl, gdy przypomnę sobie te wszystkie sytuacje, podczas których byłem gnojony tylko i wyłącznie za to, że odważyłem się powiedzieć coś innego, niż oczekiwali ode mnie nauczyciele.

Skrętu kiszek, porównywalnego do tego po zjedzeniu kebaba z podejrzanej budy, dostaję za każdym razem, gdy oczami wyobraźni widzę, czego tak naprawdę chcieli nas niektórzy belfrowie nauczyć. I tym czymś nie były ani biologia, ani polski, ani historia, ani chemia. Tym czymś w zasadzie nie był ani jeden przedmiot, z którym zetknąłem się podczas mojej krótkiej, lecz jakże bolesnej przygody z polskim systemem oświaty.

Tym czymś była umiejętność znajdowania swojego miejsca w szeregu. Umiejętność tego, by się za bardzo z niego nie wychylać. Nienawidzę za to szkoły, ale jednocześnie… rozumiem, że jest to poniekąd słuszne podejście. Bez tego ten świat już dawno by się rozpadł.

Jednak w każdym murze jest miejsce na wyrwę i szczelinę, za którą czają się nasze marzenia. I są ludzie, którym ani się śni być jedną z tych cegieł i chcą sprawdzić, co tak naprawdę jest po drugiej stronie muru.

Długo nie rozumiałem, gdzie znajduje się moje miejsce w szeregu. Teraz już wiem: nie ma go wcale.

Abstrahując jednak od cegieł i innych prostopadłościanów, chciałbym powiedzieć coś jeszcze.Na szczęście, moje spojrzenie na szkołę nie jest skrzywione doszczętnie. Otóż zawdzięczam jej coś ważnego. Nakierowała mnie na ścieżkę, którą od paru lat nieustannie podążam.

Byłbym ignorantem i ogromnym niewdzięcznikiem, gdybym nie podziękował polskiemu szkolnictwu za to, że właśnie dzięki niemu znajduję się tutaj, gdzie zawsze znaleźć się chciałem.

Ogromnym faux pas z mojej strony byłoby stwierdzenie, że szkoła nic mi nie dała.

W końcu gdyby nie te wszystkie nudne niczym pieprzenie Wojciecha Cejrowskiego o globalnym ociepleniu lekcje, nie odkryłbym największego daru, jakiego mogłem doświadczyć tylko i wyłącznie za sprawą szkoły.

Wagarów.

Bez nich z całą pewnością nie zacząłbym rozwijać swoich pasji i – co najważniejsze – nie sięgnąłbym po swoje marzenia. Aż strach pomyśleć, gdzie bym się teraz znajdował, gdyby lekcje były prowadzone w sposób interesujący! Gdyby – zamiast odpychać mnie na każdym kroku niczym otwarta puszka kiszonego śledzia – szkoła przyciągałaby mnie tak, że na lekcje przychodziłbym z bananem na twarzy. Dlatego z tego miejsca biorąc sobie wszystkich, którzy czytają właśnie ten artykuł za świadków chciałbym podziękować polskiemu szkolnictwu. Bo to właśnie jego mizerii i beznadziei w dużej mierze zawdzięczam pozycję, którą udało mi się przez lata wypracować.

Mówiąc jednak bardziej serio: od zawsze wydawało mi się, że system, w jakim przyszło nam się kształcić, więcej ma wspólnego z klepanym fiatem multiplą niźli z porządnie działającym passerati 1.6 w dieslu o przebiegu wskazującym na to, że właściciel samochodem tym jeździł jedynie na plac po kartofle, tudzież w niedzielę do kościoła.

Wiecie, chodzi mi o wpajanie nam do głów całych ton niepotrzebnej do życia wiedzy. Do dziś pamiętam,

jak w gimnazjum przez pół roku przerabialiśmy królestwa organizmów. Teraz, po prawie 10 latach, pamiętam jedynie to, że pantofelkiem nazywaliśmy jednego klasowego leszcza, który zawsze kapował na nas nauczycielom, że na przerwach paliliśmy fajki. I żeby była jasność: nie uważam, że wszystko, czego uczymy się w szkole, jest niepotrzebne. Myślę po prostu, że całą tę wiedzę można by spokojnie przetasować i uszczuplić do niezbędnego minimum.

Ktoś mógłby teraz powiedzieć, że dzięki ogólniakom w dorosłość wchodzimy z ogromnym plecakiem pełnym fantów z każdej dziedziny nauki. A ja Wam powiem, że ktoś się walnął na taśmie produkcyjnej i zaraz wyleci z roboty, bo wszyscy, których znam, te plecaki mają dziurawe.

Prawda jest taka, że już nawet na etapie wkuwania tej całej teorii połowę zapominamy. Ponadto w Polsce właściwie całkowicie zapomina się o jeszcze jednym istotnym elemencie, który powinien być wręcz podstawą naszej przygody ze szkołą. O praktyce! Każe nam się zakuwać teorię, z którą później w znakomitej większości przypadków nie mamy pojęcia, co zrobić. Wiecie, to trochę tak, jakbyśmy jazdy na nartach mieli się nauczyć z podręczników o fizyce w slalomie alpejskim. Wkuwasz to wszystko przez parę lat, w międzyczasie twoi koledzy zapaleńcy już dawno zdobywają medale, bo zamiast zasypiać z nosem w książkach postanowili po prostu założyć narty i śmigać. A gdy przychodzi co do czego, gdy już stajesz sam na sam z górą i białym puchem, zdajesz sobie sprawę, że to nie dla ciebie. Bo nikt wcześniej nie dał ci możliwości, byś na własnej skórze poczuł, co to znaczy dostać śniegiem w twarz przy prędkości 80 km/h. I to jest chyba to, co bolało mnie najbardziej. Brak możliwości ćwiczenia zajawek oraz rozwijania naszych pasji.

No bo wyobraźcie to sobie. Zamiast marnować kolejne godziny na uczenie się o tym, jakie reakcje (nie tylko chemiczne ;) mogą powstać z próby łączenia kwasów z zasadami, mielibyśmy już od najmłodszych lat w szkołach organizowane fakultety, na których moglibyśmy rzeźbić swoje pasje pod okiem ludzi, którzy także czują do tego powołanie. Wiem, marzenie ściętej głowy, ale pomyślcie sobie, ile talentów mogłoby zostać dzięki temu odkrytych! A wszystko dlatego, że szkoła zamiast ciosać kolejne sześciany, które pasują do muru, starałaby się nas szlifować tak, byśmy w pewnym momencie zaczęli błyszczeć sumą naszych pasji oraz zainteresowań!

Chciałbym napisać: nie musi tak być. Ale czuję, że w myśleniu rządzących musiałoby dojść do jakiegoś konkretnego przełomu, w którym priorytetem stałby się obywatel, a nie system. Bo w końcu obywatel jest największą częścią systemu.

Gdyby ludziom odpowiedzialnym za system edukacji włączyła się chęć szlifowania diamentów zamiast wypalania cegieł do kolejnego muru, kto wie może bylibyśmy jednym z najlepiej rozwijających się państw na świecie?

Na dany moment jedyne, co zostaje, to sensowne gospodarowanie własnym czasem. Pamiętajcie, w pierwszej kolejności stawiajcie na wasze pasje, a nie na przedmioty, które was nie interesują.

To nawijałem ja, Iggy. Naiwny marzyciel.

MATERIAŁY PRASOWE

# Nie zagubić idei uniwersytetu

## ODDZIELENIE OD ŚWIATA ZEWNĘTRZNEGO I OD NACISKÓW POLITYCZNYCH – TEGO POTRZEBA, ŻEBY SWOBODNIE PRAKTYKOWAĆ KRYTYCZNE MYŚLENIE

z kulturoznawcą dr. hab. Tomaszem Majewskim rozmawia Paweł Konar

**UNIWERSYTET TO NIE FABRYKA ZASILAJĄCA RYNEK PRACY ABSOLWENTAMI. TO ETAP ŻYCIA OPARTY NA CIĄGŁYM KWESTIONOWANIU, KTÓRE SŁUŻY POZNANIU SAMEGO SIEBIE**

**Paweł Konar: W artykule *Nowa idea uniwersytetu*, który ukazał się w miesięczniku „Znak", pisze pan o uniwersytecie jako „formie życia o określonym smaku". Pytanie: czy da się zrozumieć coś, czego nigdy się nie zasmakowało?**

**Dr hab. Tomasz Majewski*:** To bardzo dobre pytanie. Mówimy tutaj o formie jako doświadczeniu. Samo „doświadczenie" to bardzo stare słowo. Jego indoeuropejski rdzeń peri, pero odnosi się do greckiej empirii, ale także w rozumieniu próby albo testu. Dla mnie po latach jest jasne, że uniwersytet to nie jest jedynie okres zawieszenia pomiędzy życiem młodzieńczym a dorosłym. To coś więcej. Można też powiedzieć, że ten etap życia ma swoją specyficzną barwę oraz smak. Jest to czas wychodzenia z naszych znaturalizowanych przeświadczeń, które nabyliśmy w rodzinie, w najbliższym otoczeniu, w naszej grupie społecznej. Są one poddawane krytyce, są kwestionowane, postawione pod znakiem zapytania.

**Czyli uniwersytet jest przestrzenią, w której to, co nas budowało, i to, co kształtowało tożsamość, z jaką przychodzimy, może zostać zakwestionowane?**

Nawet bardziej chodzi o to, czy my sami jesteśmy w stanie wejść w ten proces podważania, być może odkrywając też inny, szerszy, bardziej uniwersalny horyzont wartości. Mogą one stać się naszymi wartościami, ale może być i tak, że po takiej krytyce wracamy do naszej wcześniejszej formy życia, tej sprzed uniwersytetu, z tym że jest ona już utwierdzona, czyli wiemy, że chcemy właśnie tak żyć – sprawdzamy, odrzucamy, jesteśmy pewni.

**SZKOŁA WYŻSZA, KTÓRA TYLKO UCZY, A NIE PROWADZI BADAŃ NAUKOWYCH, NIE JEST PRAWDZIWYM UNIWERSYTETEM – MÓWIŁ WILHELM VON HUMBOLDT, NIEMIECKI FILOZOF Z XIX W.**

JONATHAN MCHUGH/IKON IMAGES/EAST NEWS

To wymaga nieustannego wystawiania się na doświadczenia, które dla nas, wykładowców i wychowawców, nie są łatwe. Ja myślę, że ja też za każdym razem wystawiam się na doświadczenia ze studentami, którzy myślą inaczej, kiedy tu przychodzą.

**Szedłem na studia z przeświadczeniem, że wyższa uczelnia stanowi dystrybutor, który napełni mnie konkretnym zasobem wiedzy i kompetencji. Dopiero później dostrzegłem, że uniwersytet jest przede wszystkim sferą błądzenia, które w innych obszarach życia społecznego bywa piętnowane.**

To bardzo częste, wiele osób przychodzi z takim nastawieniem – że otrzyma kwantum wiedzy, która będzie użyteczna, stanie się ich zasobem, kompetencjami. I wydaje mi się, że tutaj dobrze zdać sobie sprawę z jednej rzeczy – odróżnienia uniwersytetu i jego specyficznej misji od wszystkich innych uczelni wyższych. Wydaje mi się, że uczelnie politechniczne, różnego typu instytuty i szeroko rozumiane szkoły wyższe mogą służyć temu, by przekazywać konkretne kompetencje na poziomie fachowym, kształcić absolwentów od strony zawodowej.

Oczywiście uniwersytet też w pewnej mierze pełni taką rolę, ale chciałbym podkreślić, że robi też coś, w czym żadna inna uczelnia go nie zastąpi. Chodzi o formę życia, o której cały czas mówię. Ona jest szczególnie widoczna w naukach społecznych i humanistycznych, które mają kontakt z początkami myślenia krytycznego, czyli tak naprawdę z Grecją sprzed 2,5 tys. lat, gdzie chodziło o gnothi seauton, czyli „poznaj siebie samego".

Sięgnąłbym jeszcze do Humboldtowskiej idei uniwersytetu, tej, która jest teraz zabijana przez Ustawę 2.0 [obecnie wdrażaną ustawę o szkolnictwie wyższym – red.]. Wilhelm von Humboldt, który praktykował na uniwersytecie w Berlinie, podkreślał, że konieczne jest powiązanie nauczania i badania.

>>

To znaczy, że nie ma to być przestrzeń, w której przekazuje się gotową wiedzę (paradoks tego, czego się od nas teraz oczekuje), tylko miejsce, w którym prowadzi się badania w kwestiach, które nie są jeszcze ustalone. Albo podważa się wcześniejsze odpowiedzi, jakich sobie udzieliliśmy.

Możemy jedynie powiedzieć, jak wygląda stan dociekań na dany dzień, okres, ale zawsze to, czego się nauczyłeś, po 10 latach może zostać zakwestionowane. Dam taki przykład – genom ludzki. W książce, która leży w księgarni w 2018 r., czytam, że ludzki genom obejmuje ok. 18 tys. genów, ale kiedy sięgam do najnowszych periodyków z tego samego roku, dowiaduję się, że jest już 21 tys. genów kodujących białka i 21,3 tys. genów niekodujących białek.

Zatem mówienie autorytatywne „jest tak i tak i nigdy nie będzie inaczej" nie jest godne naukowca. Możemy jedynie powiedzieć, co wiemy, a czego nie wiemy na dany moment.

Jeżeli pokazujemy warsztat i kuchnię, to bardziej odbieramy pewność poznawczą naszym absolwentom, niż upewniamy ich w naszych przekonaniach. Zawsze jest więcej ciemności niż światła. My staramy się dawać narzędzia, które pozwolą posuwać się w ten mrok – w poszukiwaniu światła, czyli promieni wiedzy.

**Zatem można powiedzieć, że uniwersytet nie daje gotowych recept, tylko raczej uczy nas, jak radzić sobie z niewiedzą? Jak sceptycznie podchodzić do tego, co sądzimy?**

Tak. Ale absolutnie nie jestem postmodernistą. Nie postrzegam wyników poznawczych jako czegoś całkowicie relatywnego. Mam jednak świadomość, że są nietrwałe. Chodzi o aproksymację – o to, by dążyć do znalezienia najlepszej jakościowo odpowiedzi na daną chwilę.

Uczymy, jak radzić sobie z niepewną i niepełną wiedzą. Albo z obszarami zupełnej niewiedzy, bo wszędzie taka mozaika występuje.

Natomiast trzeba zaznaczyć, że nasza niewiedza radykalnie różni się od potocznej niewiedzy. Nasz rodzaj niewiedzy wynika z tego, że wielu rzeczy jeszcze nie sprawdziliśmy, a nie z tego, że z góry głosimy: „czegoś nie da się ustalić". Albo że przyjmujemy bezrefleksyjnie jakieś nieuprawnione założenia.

**Taka misja uniwersytetu nie do końca daje się zmierzyć. Z zewnątrz czasami wydaje się celem samym w sobie...**

Nie powiedziałbym, że uprawianie humanistyki jest celem samym w sobie. Niewątpliwie jednak humanistyka i nauki społeczne szczególnie wymagają autonomii. Wymagają oddzielenia od nacisków ze strony świata społecznego i potrzebują wolności do tego, by móc zabierać głos w każdej sprawie i móc wszystko zakwestionować – chodzi o sam przywilej, a nie krytykanctwo z zasady.

To nie jest do spełnienia, jeśli uniwersytet tkwi w porządku życia społecznego, bo tam najczęściej pewne poglądy są limitowane, a za niektóre można zostać ukaranym i wykluczonym z grupy. W porządku społecznym krytyczne myślenie bywa ryzykowne.

Z drugiej strony autonomia zakłada, że uniwersytet nigdy nie powinien być instrumentem zmiany społecznej, tak jak było to postrzegane w latach 90. To nie akademicy powinni projektować, co ludzie powinni robić, bo to byłoby wypaczanie idei uniwersytetu. To już ktoś inny, np. polityk, musi na własną rękę przełożyć gest takiego myślenia na praktykę, a my musimy mieć prawo, żeby po prostu to pomyśleć.

Co do humanistyki w kontekście wolnego rynku, jej „mierzalności": nie można uciec od kwestii obecnej reformy szkolnictwa wyższego, która kaleczy uniwersytet, co zauważa coraz więcej osób.

Ministerstwo chce oceniać akademików wedle kryteriów, które wymyślili urzędnicy, a nie tych, które pochodzą z wnętrza praktyki.

Tymczasem humanistyka przypomina dziedzinę sztuki – w takim rozumieniu, że jeżeli ktoś nie zagra 10 tys. godzin na wiolonczeli, to nie wie, jak ma wyglądać porządne vibrato na wiolonczeli. I kryterium oceny dobrego wykonania, nie tylko czystości dźwięku, musi być brane jakby z wnętrza praktyki tego, kto to robi.

Nie twierdzę, że nikt z zewnątrz nie ma prawa do oceniania nas. Ale kryteria nieuwzględniające specyfiki, której my jesteśmy świadomi, są nonsensem.

Rynek domaga się takiej sancta simplicitas, naiwnego sposobu myślenia o naszej praktyce, który nie odpowiada złożoności misji uniwersytetu. Dopomina się funkcjonalizacji, czyli tego, że musimy wykazać się przełożeniem na PKB, albo tym, że wytwarzamy wiedzę, która jest wartościowa w obrębie innych praktyk. Trzeba podkreślić, że jako humaniści wytwarzamy naddatek – to znaczy, że często tworzymy wiedzę, choć na danym etapie jeszcze nie wiemy nawet, jak tę wiedzę zagospodarować.

Ale nie przypominam sobie sytuacji, by wiedza wytworzona w kontekście akademickim nigdy się do niczego nie przydała. Pod tym względem największy problem ponoć powinni mieć matematycy, ponieważ oni rzeczywiście zajmują się nauką czystą, a paradoksalnie właśnie matematyka ma najwięcej zastosowań w kontekście np. społeczeństwa algorytmicznego, nowych technologii itd. Bynajmniej nie dlatego, że matematycy szukają rozwiązań dla tych problemów. Oni rozwiązują czyste problemy, które okazują się mieć implikacje praktyczne.

UNDERWOOD ARCHIVES/EAST NEWS

Studenci amerykańskiego Uniwersytetu Columbia, 1938 r.

**Ale poziom nauczania, poziom organizacji studiów, nawet w obrębie jednej uczelni, często jest bardzo nierówny. Wydaje się, że w tym świetle standaryzacja jest potrzebna. Tylko jak głęboko ma ona sięgać, jak ustalić jej proporcje i czy da się ją osiągnąć bez centralizacji, którą zakłada Ustawa 2.0?**

Nie wiem, czy w ogóle centralizacja jest potrzebna do – używając języka ustawodawcy – „tworzenia rozwiązań projakościowych".

Dwa kraje, które są przedstawiane jako te mające znakomicie zorganizowaną naukę, czyli Stany Zjednoczone i Niemcy, w ogóle nie mają centralnego ministerstwa szkolnictwa wyższego.

Czymś innym jest autonomia instytucjonalna danej uczelni, a czymś innym autonomia samych badaczy. W perspektywie obecnej reformy polskie uczelnie otrzymały sporą autonomię (większą niż za sprawą poprzedniej ustawy), ale odnosi się ona przede wszystkim do władzy rektora oraz nowego ciała – rady uniwersytetu.

Natomiast autonomia badaczy – wydziałów, instytutów, katedr – została znacząco ograniczona. Rozporządzania ministerialne decydują o tym, do jakich dyscyplin należymy, co mamy badać, jak mamy tworzyć zespoły, gdzie publikować. W wyniku potencjalnego braku finansowania uczelnie nie życzą sobie pewnych dyscyplin u siebie, dlatego namawia się kulturoznawców, by byli literaturoznawcami w Toruniu albo archeologami w innym ośrodku.

**Głównym hasłem ustawodawcy jest „dorównywanie światowym standardom". Ale chyba nie chodzi o przeszczepianie gotowych recept, tylko o otwartość na „nowe", na rozwiązania wynikające z lokalnych warunków?**

Badałem transfery intelektualne między Europą Środkowo-Wschodnią a Ameryką w latach 30. i 40. Na tej podstawie mogę powiedzieć, że system amerykański, do którego mamy zmierzać, jest efektem drenażu mózgów głównie z krajów Europy Środkowej, czyli regionu najmocniej naznaczonego przez totalitaryzmy. Amerykańskiej nauce pomogły też pewne rozwiązania legislacyjne: autonomia uniwersytetów oparta o to, że mają swój kapitał żelazny (czego absolutnie u nas nie ma). Czyli ktoś z sektora prywatnego przekazuje środki, z których następnie odsetki służą zatrudnieniu profesorów mających pełną swobodę badań. To tworzy rdzeń, zapewnia niezależność od zamówień na konkretne badania, które składają agendy rządowe.

## HUMANISTYKA WYMAGA AUTONOMII. KRAJE, KTÓRE PODAJE SIĘ JAKO WZÓR – NIEMCY I USA – NIE MAJĄ MINISTERSTW SZKOLNICTWA WYŻSZEGO

Dzisiaj wiemy – wiedzą to szkoły amerykańskie – że jeśli wielkie korporacje finansują konkretne projekty naukowe [a nie uniwersytet jako taki – red.], to niesie to ze sobą niebezpieczeństwo. Wszyscy chcą badać tylko te zagadnienia, na które są pieniądze, i zaniedbuje się wszystkie inne obszary, na których być może pojawiłaby się wiedza kwestionująca właśnie to, co tam zauważono. Albo znalazłby się zupełnie inne, nowatorskie rozwiązania.

Dlatego pomysł, żeby urzędnicy czy darczyńcy decydowali, na co dawać pieniądze, jest zły. Bo tym sposobem można zabić krytyczne myślenie. ◎

* DR HAB. TOMASZ MAJEWSKI JEST KULTUROZNAWCĄ; WYKŁADA NA UNIWERSYTECIE JAGIELLOŃSKIM I W SZKOLE FILMOWEJ W ŁODZI

# Szkoła na wojennej ścieżce

Adam Woźniak

KAROLINA MISZTAL/REPORTER

Wojskowy Cmentarz Francuski w Gdańsku

**KOROWÓD BOHATERÓW WOJENNYCH I MĘCZENNIKÓW ATAKUJE BOGU DUCHA WINNYCH UCZNIÓW, ŻEBY PRZEKAZAĆ IM NASTĘPUJĄCY KOMUNIKAT: HISTORIA ŚWIATA SKŁADA SIĘ Z WOJEN, A NAJLEPSZE, CO MOŻESZ ZROBIĆ W ŻYCIU, TO POLEC ZA OJCZYZNĘ**

Z lektury podstawy programowej dla szkoły podstawowej dowiedzieć się można, że jednym z głównych celów nauczania historii jest rozbudzanie w młodych ludziach szacunku do tradycji oraz krzewienie patriotyzmu. Problem w tym, że patriotyzm i tradycja nie są gotowymi produktami – jak twierdzenie Pitagorasa czy zasady dynamiki. By ich nauczać, trzeba najpierw zdecydować, czym tak naprawdę są.

Decyzja ta należy do twórców programu nauczania. To oni dokonują wyboru, jak to sami określają, „postaci i wydarzeń o doniosłym znaczeniu dla kształtowania polskiej tożsamości".

Już pobieżna analiza pozwala stwierdzić, jakie osoby i postawy są promowane przez decydentów – w znaczącej większości są one związane z wojną, walką polityczną, a co za tym idzie – z wizją patrioty-

**MORD WOJENNY MUSIAŁ ZNALEŹĆ SENS WYŻSZY NIŻ WALKA O OCHŁAP PADLINY, DOSTĘP DO RZEKI ALBO KOBIECE CIAŁO. OD ZARANIA DZIEJÓW WOJNA OBRASTA WIĘC W IDEOLOGIĘ, STAJE SIĘ OBRZĘDEM I CHWAŁĄ ZWYCIĘZCÓW**

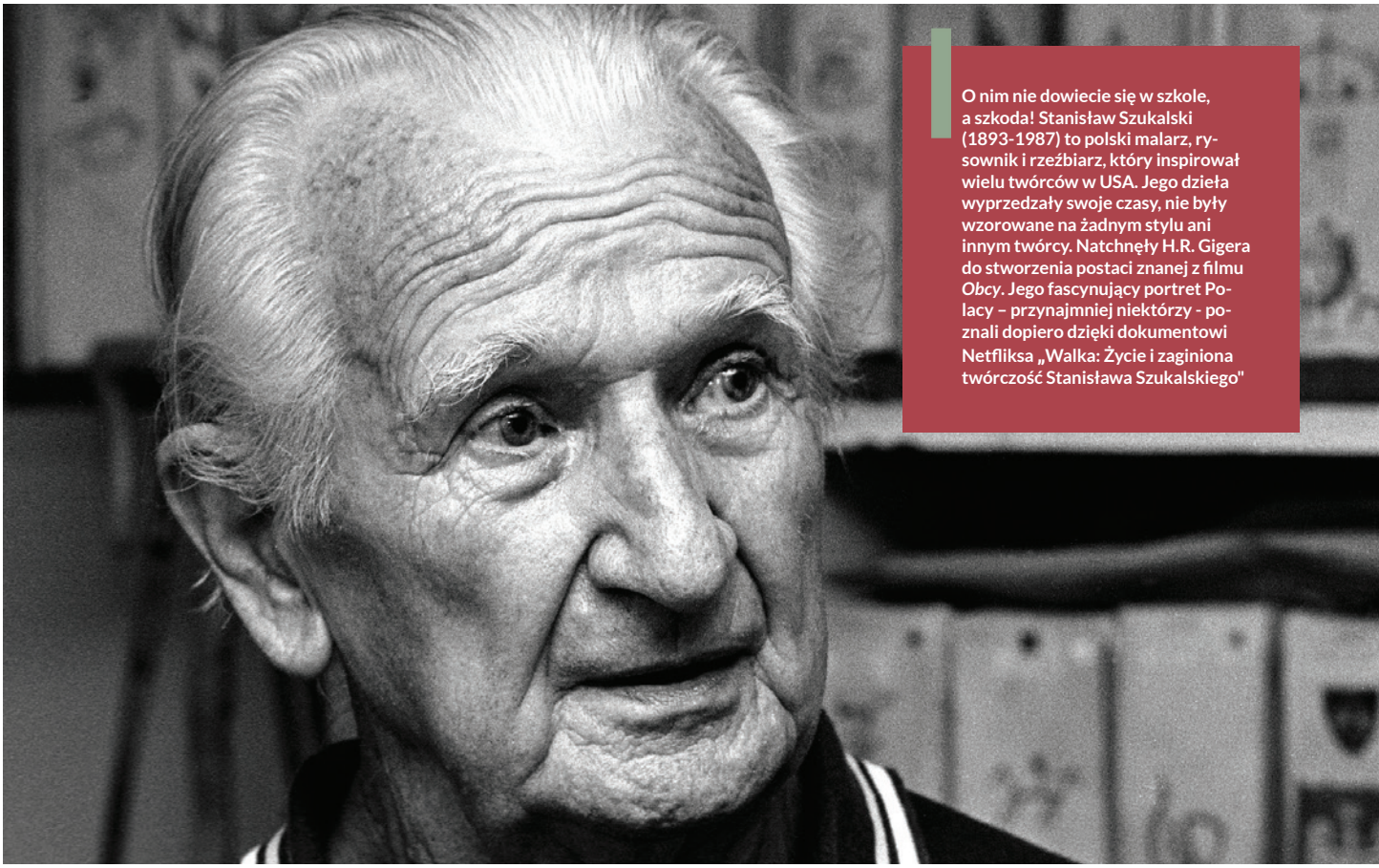

CZESŁAW CZAPLIŃSKI/FOTONOVA

**O nim nie dowiecie się w szkole, a szkoda! Stanisław Szukalski (1893-1987) to polski malarz, rysownik i rzeźbiarz, który inspirował wielu twórców w USA. Jego dzieła wyprzedzały swoje czasy, nie były wzorowane na żadnym stylu ani innym twórcy. Natchnęły H.R. Gigera do stworzenia postaci znanej z filmu *Obcy*. Jego fascynujący portret Polacy – przynajmniej niektórzy - poznali dopiero dzięki dokumentowi Netfliksa „Walka: Życie i zaginiona twórczość Stanisława Szukalskiego"**

zmu bohaterskiego. Wśród kilkudziesięciu wymienionych w rozporządzeniu „wydarzeń i postaci" jest tylko kilka niezwiązanych z wojną – w tym zaledwie trzy kobiety. Maria Curie-Skłodowska, Mikołaj Kopernik, Eugeniusz Kwiatkowski czy Jan Paweł II są zdecydowanie stłamszeni przez całe rzesze wodzów, bohaterów i męczenników. Nie sposób oprzeć się wrażeniu, że nasi przodkowie, jeśli już z rzadka chowali miecz do pochwy, to tylko po to, by dokonać przełomowego dla świata odkrycia.

Wybór, którego dokonują twórcy szkolnego programu, ma charakter głęboko ideologiczny, a jego konsekwencje mogą daleko wykraczać poza szkolną rzeczywistość. Decydując o tym, co było ważne kiedyś, formułujemy przecież także pewną wskazówkę dotyczącą tego, co ma być istotne dziś i jutro.

Skoro wizja patriotyzmu, którą proponuje się młodym ludziom, jest ściśle związana z działaniami zbrojnymi, a niewiele w niej miejsca dla społeczników, edukatorów itp., to być może nie mamy prawa dziwić się kryzysowi postaw obywatelskich, wspólnot i silnej polaryzacji społeczeństwa. Żyjemy wszak chwilowo w czasie pokoju, w którym trudno o męczeństwo. Wychowani na kulcie bohaterów wojennych młodzi ludzie mogą się czuć cokolwiek zagubieni, a przede wszystkim odczuwać deficyt przestrzeni do działalności patriotycznej. Dezorientacja ta prowadzić może do gorączkowego wtłaczania bieżących wydarzeń w heroiczne szablony, a więc także do polaryzacji – wojna wszak karmi się opozycją swój-wróg jak żadne inne wydarzenie.

Doskonałym miejscem dla symulacji działań wojennych, a także pielęgnowania kultu bohaterów, są stadiony piłkarskie. Co roku kibice dokonują selekcji wydarzeń podobnej do tej, którą proponują twórcy programu nauczania. Ich wybory są jeszcze bardziej uwikłane w kult wojny, niż ma to miejsce w przypadku polityków. W trakcie meczu o mistrzostwo polskiej drugiej ligi piłkarskiej kibice Stali Rzeszów wywiesili niedawno transparent, który mógłby posłużyć za podsuwanie całej historycznej działalności „ultrasów": „Nie chcecie, by historia umarła? Nie zapominajcie, jak walczyła polska husaria" – brzmi recepta szalikowców na dobrą politykę pamięci. Co roku stadiony upamiętniają powstanie warszawskie, wybuch II wojny światowej, życiorysy żołnierzy wyklętych itd. w czym – powiedzmy wyraźnie – nie ma zwykle nic złego.

Problemem jest brak alternatywy dla wojennej historii – całkiem zabawnie wypada próba wyobrażenia sobie opraw kibicowskich, których bohaterami byliby Maria Konopnicka, Bolesław Prus czy ktoś inny spoza romantycznego kręgu postaci.

Dlaczego jesteśmy tak bardzo przywiązani do postaci, wydarzeń i wartości związanych z wojną i – może przede wszystkim – dlaczego nas to w ogóle nie dziwi?

Być może dlatego, że działania wojenne są zwykle rzeczywiście

>>

PIOTR KAMIONKA/REPORTER

bardzo istotne dla wspólnoty – kwestia dotyczy życia i śmierci, a nie tylko usprawnienia działania czy wyższego poziomu wiedzy obywateli. Budujemy więc – mniej lub bardziej dosłownie – raczej pomniki wodzów niż naukowców i działaczy, bo ci pierwsi są składnikiem intensywnych, konsolidujących społeczność doświadczeń.

Ale może taka, cokolwiek atawistyczna, wspólnotowość jest jednak drogą na manowce? Przeszkodą w budowaniu prawdziwej wspólnoty celów o charakterze pozytywnym?

Wojna nie może się obyć bez opozycji swój-obcy (czyli wróg), która rzeczywiście jest bardzo sprawnym narzędziem w czasie dużych kryzysów.

Czy należy jednak opowiadać historię, w której dominuje takie postrzeganie rzeczywistości? Ktoś powie: tak, bo – czy chcemy, czy nie – w historii więcej było wojny niż pokoju.

Czy rzeczywiście? Po pierwsze, przynajmniej połowa społeczeństw (kobiety) nie uczestniczyła w dawnych wojnach i coś – zapewne mniej efektownego niż ćwiartowanie wrogów – w tym czasie jednak robiła. W czasie wojen działały uniwersytety i na nich również coś się działo – w trakcie zaborów święciła na przykład sukcesy szkoła lwowsko-warszawska, a Alfred Tarski zasłużył sobie na miano jednego z najwybitniejszych logików. Nie wystarczyło to jednak, aby stał się jedną z postaci godnych umieszczenia w ministerialnym panteonie.

Po drugie, należy zapytać, czy aby na pewno jest tak, że czcimy bohaterów wojennych dlatego, że bronią wspólnoty przed zagrożeniem, a nie zgoła odwrotnie – tzn. musimy bronić wspólnoty dlatego, że kult wojny pozwala wszczynać i uzasadniać kolejne konflikty. Krzysztof Wodiczko, artysta wizualny i wieloletni działacz na rzecz „od-wojniania" kultury, stwierdza:

„Motywacja do walki i śmierci na wojnie jest utrwalana przez kulturę wojny, która wyraża się poprzez mundur, gry wojenne, parady, odznaczenia wojskowe i pomniki poległych (takie jak posągi i kaplice, łuki triumfalne, cenotafy, kolumny zwycięstwa i inne formy czczenia zmarłych), sztukę inspirowaną wojną i wojskowością, wojskową muzykę, muzea wojenne, pełne przemocy filmy wideo i gry komputerowe, rekonstrukcje bitew, kolekcjonerstwo oraz historię wojskowości i literaturę poświęconą wojnie".

Kopia obrazu Jana Matejki „Bitwa pod Grunwaldem" wykonana haftem krzyżykowym w Muzeum Włókiennictwa w Łodzi. Autorzy zadedykowali ją ofiarom katastrofy smoleńskiej. Powstała na 600. rocznicę zwycięstwa rycerstwa polskiego nad Krzyżakami

„Mord wojenny musiał znaleźć sens wyższy niż walka o ochłap padliny czy dostęp do rzeki albo kobiece ciało. Od zarania dziejów wojna obrasta więc w deologię, staje się obrzędem i chwałą zwycięzców" – dodaje antropolog Ludwig Stomma.

To pozwala sformułować moralny nakaz, by w obrębie wojny „stawiać czoła śmierci chętnie, a nawet z entuzjazmem".

Nie sposób oczywiście rozstrzygnąć, czy odrzucenie kultu wojny równałoby się z końcem konfliktów zbrojnych. Być może nie. Zygmunt Freud, obserwując I wojnę światową – która według wszelkich danych świadczących o wysokim rozwoju społeczeństw europejskich nie miała prawa się wydarzyć – sytuuje jej źródła w sferze destrukcyjnych popędów, a więc w czymś irracjonalnym, co nie poddaje się łatwo rozumowej krytyce. Ten sam Freud – i to powinno nas bardziej interesować – stwierdza jednak w liście do Einsteina: „Wychodząc od naszej teorii popędów, łatwo znajdujemy niebezpośrednie sposoby zwalczania wojny. Skoro gotowość do wojny stanowi emanację popędu destrukcji, to blisko stąd do założenia, by wezwać przeciwko temu przeciwnika tego popędu – Erosa".

Przez Erosa rozumie psycholog „wszystko, co ustanawia międzyludzkie więzi uczuciowe", a więc także działalność prospołeczną, edukacyjną, obywatelską. Okrężną nieco drogą wracamy więc do kwestii wyboru postaci i wydarzeń, które należy upamiętniać. Grecy mieli przynajmniej dwa wielkie eposy, spośród których zdecydowanie większą karierę zrobiła w perspektywie dwu ostatnich tysiącleci *Iliada*. Proponowana przez autorów podstawy programowej lista także wpisuje się w przewagę heroiczno-militarnego stosunku do historii. Jest jednak alternatywa. Na rewersie eposu Homera – i jest to całkowicie zbieżne z intuicją Freuda – sytuują się *Prace i dni* Hezjoda, które są związane raczej z etosem pracy, niż kodeksem bohaterskim.

Być może powinniśmy przynajmniej wyrównać proporcje między dwoma wspomnianymi sposobami opowiadania historii. Jeśli nie przyczyni się to do zmniejszenia liczby konfliktów zbrojnych, to przynajmniej pozwoli na dostrzeżenie i dowartościowanie innych form patriotyzmu niż wojenno-bohaterskie.

# Dlaczego demokracja przestała działać?

JESTEŚMY W MOMENCIE PRZEŁOMOWYM: TECHNOLOGIA OTWIERA NOWE SZANSE, ALE POZOSTAWIA LUDZI W STANIE NIEPOKOJU I ZAGUBIENIA

Kaushik Basu, główny ekonomista Banku Światowego w latach 2012–2016

IKON IMAGES/EAST NEWS

**STARE RECEPTY JUŻ NIE POMOGĄ. MUSIMY NA NOWO WYMYŚLIĆ EKONOMIĘ, POLITYKĘ, SZKOLNICTWO. DOPÓKI NIE ZREFORMUJEMY EDUKACJI TAK, ŻEBY WSZYSTKIE DZIECI MIAŁY SZANSĘ ROZWOJU, DOPÓTY KRYZYS DEMOKRACJI BĘDZIE SIĘ POGŁĘBIAĆ**

Jair Bolsonaro, od zeszłego roku prezydent Brazylii, jest skrajnym prawicowcem, miłośnikiem broni palnej i medialnym prowokatorem. Fakt, że będzie świetnym kompanem dla wielu światowych przywódców – w tym liderów najważniejszych demokracji – jest niepokojący. Musimy odpowiedzieć sobie na pytanie: dlaczego demokracja przestaje działać?

Jesteśmy w momencie przełomowym. Szybki rozwój technologiczny, w szczególności chodzi tutaj o technologie cyfrowe i sztuczną inteligencję, zmienia reguły funkcjonowania gospodarek i społeczeństw. Oczywiście nowoczesna technologia przyniosła wiele pozytywów, ale także postawiła przed nami poważne wyzwania i pozostawiła duże grupy społeczne w stanie niepokoju, złości czy niepewności jutra.

Jedną z konsekwencji postępu technologicznego jest spadek udziału płac w dochodzie narodowym państw. Relatywnie niewielka liczba ludzi przejmuje profity z rosnącego tortu, w formie rent i odsetek od zainwestowanego kapitału, co pogłębia nierówności i napędza powszechną frustra-

cję skierowaną przeciwko systemowi gospodarczemu i politycznemu.

Skończyły się już czasy, kiedy stabilna praca w fabryce zapewniała utrzymanie na długie lata. Maszyny przejmują pracę w produkcji, korporacje poszukują wysoko wykwalifikowanych pracowników w różnych dziedzinach, od nauk ścisłych po humanistyczne. Niepewność jutra i zmieniające się potrzeby rynku napędzają frustrację.

Wyobraźmy sobie bowiem, że ktoś, kto całe życie spędził na uprawianiu kulturystyki, słyszy nagle, że reguły się zmieniły i od teraz złote medale będą przyznawane tylko w szachach. To musiałoby wywoływać wściekłość i poczucie bycia oszukanym.

Problem w tym, że nikt nie robi tego celowo ani złośliwie; te zmiany są rezultatem naturalnych procesów i rozwoju. Przyroda jest często niesprawiedliwa. Dlatego brzemię naprawienia niesprawiedliwości leży na nas.

W wyniku owych naturalnych procesów rosną nierówności w dostępie do edukacji i szans rozwoju. Kto pochodzi z bogatszej rodziny, ma większe szanse na lepszą edukację, lepiej płatną pracę i lepsze życie. Dopóki nie zreformujemy edukacji w taki sposób, żeby wszystkie dzieci miały równe szanse rozwoju, dopóty nierówności będą się pogłębiać.

Rosnące powszechne poczucie niesprawiedliwości podkopuje wiarę w demokrację i demokratyczną legitymację rządzących. Pisze o tym Paul Tucker w swojej książce *Unelected Power*.

W dzisiejszym świecie naczyń połączonych decyzje podejmowane przez jedno państwo – zmiana ceł, stóp procentowych itp. – ma efekty daleko poza jego granicami. Dla przykładu – Meksykanie nie muszą się martwić jedynie tym, kogo wybiorą na swojego prezydenta; dla nich niezwykle istotne jest, kto wygra wybory w Stanach Zjednoczonych. A na wyniki tych wyborów nie mają przecież żadnego wpływu.

W tym sensie globalizacja w naturalny sposób prowadzi do erozji demokracji. Już nie tylko twój głos decyduje o twojej przyszłości, ale również głosy ludzi w innym, czasami bardzo odległym kraju.

Kiedy patrzymy na to wszystko, nie powinno nas dziwić to, co dzieje się w polityce. Frustracja całych grup społecznych stworzyła podatny grunt do dla skrajnej polaryzacji i podział na plemiona, co politycy tacy jak Trump czy Bolsonaro ochoczo wykorzystują.

Klasyczna ekonomia opiera się na założeniu, że działania ludzi są motywowane przez arbitralnie ustalone preferencje – ekonomiści nazywają to funkcją użyteczności. Choć w każdym przypadku szczegółowe preferencje są różne, to wszyscy chcą lepszego jedzenia, ubrań, domu, wakacji itd.

To podejście nie uwzględnia „wykreowanych potrzeb", które pojawiają się, kiedy idziemy przez życie. Nie rodzimy się przecież z potrzebą kopania piłki do bramki. Ale wielu ludzi ma obsesję futbolu. Nie zajmują się nim - poza zawodowymi piłkarzami – żeby zapewnić sobie więcej jedzenia, ubrań czy domów. Granie w piłkę nożną staje się samym w sobie źródłem przyjemności. Jest „wykreowaną potrzebą".

Podobnie jest z kibicowaniem. Nikt nie rodzi się kibicem Realu Madryt czy New England Patriots (drużyna futbolu amerykańskiego). Ale przez rodzinę, geografię czy własne doświadczenia staje się związany z tym czy innym klubem sportowym, do tego stopnia, że kibicowanie temu klubowi staje się jego plemienną identyfikacją. Kibic nie kibicuje piłkarzowi dlatego, że gra on w szczególny sposób, tylko dlatego, że ten piłkarz jest częścią jego drużyny.

To jest dynamika, która dziś napędza plemienność w polityce. Wielu ludzi popiera Trumpa czy Bolsonaro nie z tego powodu, co robią Trump czy Bolsonaro, ale dlatego, że należą do „naszej drużyny". Bycie częścią drużyny Trumpa czy drużyny Bolsonaro jest wykreowaną potrzebą.

To psuje demokrację, bo daje politykom swobodę, której nie mieli wcześniej. Mogą robić praktycznie, co zechcą, i nie będą powstrzymani przez swoich zwolenników.
Na razie nie ma jasnej recepty, jak rozwiązać ten problem czy wszystkie powyżej wymienione problemy, czyli jak chronić najsłabszych i odnowić demokrację. Ale jedno jest pewne – stare, dotychczas znane recepty już nie pomogą.

Rewolucja przemysłowa – poprzedni kluczowy zwrot w historii ludzkości – przyniosła ogromne zmiany prawne i społeczne, np. wprowadzenie podatku dochodowego (od dochodów indywidualnych) w 1842 r. Przyniosła też narodziny współczesnej ekonomii, którą stworzyli ludzie tacy jak Adam Smith, Augustin Cournot czy John Stuart Mill.

**Wyobraźmy sobie, że ktoś całe życie spędził na uprawianiu kulturystyki i słyszy nagle, że odtąd złote medale będą przyznawane tylko w szachach. To musiałoby wywoływać wściekłość i poczucie bycia oszukanym. Ale taki właśnie jest rynek pracy w XXI w.**

I oto znowu znajdujemy się na skrzyżowaniu historii, gdzie nasza cała polityczna ekonomia wymaga przemyślenia na nowo.

Dinozaury nie miały zdolności analizy sytuacji i dlatego wyginęły 65 mln lat temu. My także stajemy wobec ryzyka regresu naszej cywilizacji. Ale na szczęście jesteśmy pierwszym gatunkiem zdolnym do krytycznej oceny naszych własnych poczynań.

Stąd nadzieja, że – pomimo całego chaosu i narastającego konfliktu wokół nas – nie podzielimy losu dinozaurów.

© Project Syndicate, 2019

# W kwestii likwidacji wszystkich partii politycznych

## ESEJ SIMONE WEIL NAPISANY KILKA TYGODNI PRZED JEJ ŚMIERCIĄ W 1943 R.

Simone Weil

**WADY PARTII SĄ AŻ NADTO OCZYWISTE, DLATEGO WARTO ZADAĆ SOBIE PYTANIE: CZY POZYTYWNE SKUTKI ICH ISTNIENIA KOMPENSUJĄ TE WADY? A MOŻE NALEŻAŁOBY RACZEJ SPYTAĆ: CZY PARTIE W OGÓLE ROBIĄ COKOLWIEK DOBREGO?**

Żeby odpowiedzieć na to pytanie, po pierwsze, ustalmy, co znaczy dobro. Otóż może to być tylko prawda, sprawiedliwość i interes publiczny.

Demokracja sama w sobie nie jest dobrem. Jest jedynie metodą osiągania powyżej zdefiniowanego dobra, ale czy skuteczną? To wcale nie jest jasne.

Nasze republikańskie ideały wywodzą się z pojęcia woli powszechnej Jeana-Jacques'a Rousseau. Mało jest książek tak pięknych, mocnych i klarownych jak jego „Umowa społeczna" [w której przedstawia wizję idealnej demokracji – red.].

Rousseau opiera swój wywód na dwóch założeniach. Po pierwsze, rozum wybiera zawsze to, co sprawiedliwe i pożyteczne, a przestępstwo czy zbrodnia jest zawsze wynikiem żądzy. Po drugie, wszyscy ludzie mają ten sam rozum, tymczasem ich żądze są zwykle bardzo różne.

Rousseau uważał, że wola powszechna [którą naród wyraża w demokratycznym głosowaniu – red.] będzie z reguły sprawiedliwa, a to z tej prostej przyczyny, że indywidualne żądze będą się neutralizować wzajemnie. Podobnie woda, choć składa się z ruchomych cząsteczek błądzących i zderzających się ze sobą nieustannie, osiąga stan idealnej równowagi. Wydaje się nieruchoma, idealnie płaska, można się w niej przeglądać jak w lustrze.

Niestety rozumowanie Rousseau przestaje być słuszne, kiedy w grę wchodzą zbiorowe żądze. Są one znacznie silniejszym motorem do występku i fałszu niż indywidualne żądze. Zamiast niwelować się, neutralizować i wzajemnie równoważyć, odwrotnie – wzmacniają się i napędzają się wzajemnie. Zderzają się z piekielnym hukiem i zagłuszają głosy rozsądku i sprawiedliwość.

Biorąc wszystko powyższe pod uwagę, musimy zatem ze szczególną uwagą rozważyć dwie kwestie:

1. Jak dać obywatelom szansę, żeby wrażali swoje opinie – wolę powszechną – na temat ważnych spraw publicznych?

2. Jak, zadając ludziom pytania o ważne sprawy, uniknąć zarażenia ich zbiorowymi żądzami?

Prostych rozwiązań nie ma. Ale wydaje się oczywiste, że każde sensowne rozwiązanie powinno zaczynać się od rozwiązania wszystkich partii politycznych.

Żeby ocenić partie polityczne według kryteriów prawdy, sprawiedliwości i interesu publicznego, najpierw ustalmy ich najważniejsze cechy. Są wśród nich trzy następujące:

1. Partia polityczna jest maszyną do generowania zbiorowych żądz i emocji.

SIMONE WEIL (1909-1943) FRANCUSKA FILOZOFKA LEWICOWA NAWRÓCONA NA CHRZEŚCIJAŃSTWO, MISTYCZKA, OCHOTNICZKA W WOJNIE DOMOWEJ W HISZPANII, DZIAŁACZKA FRANCUSKIEGO RUCHU OPORU PODCZAS II WOJNY

RUE DES ARCHIVES/FORUM

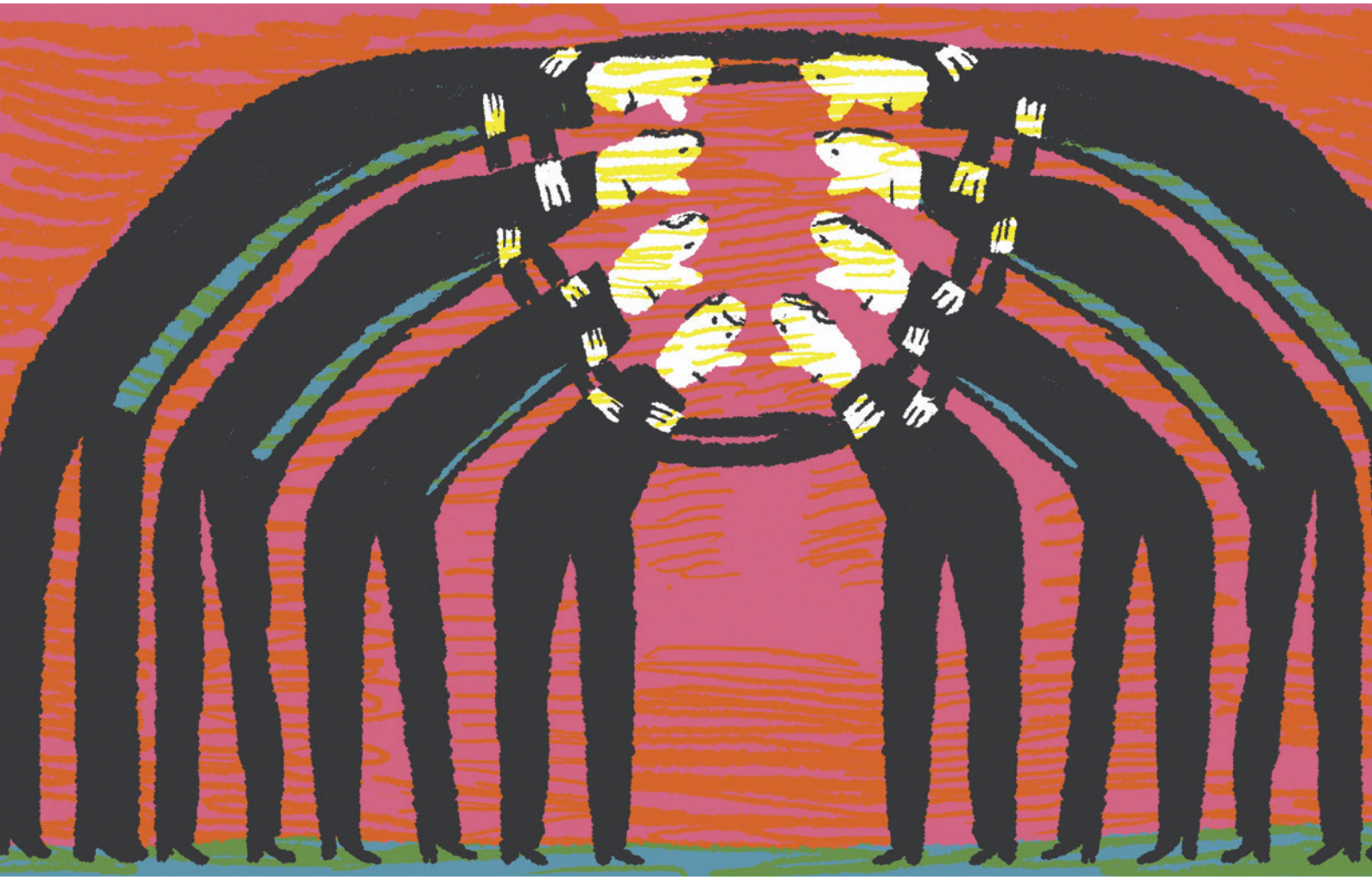

2. Partia polityczna jest organizacją stworzoną, żeby wywierać zbiorową presję na umysły jej wszystkich członków i sympatyków.

3. Pierwszym i najważniejszym celem partii politycznej jest powiększanie jej znaczenia i wpływu – bez żadnych ograniczeń.

Te trzy cechy są ewidentne dla każdego, kto miał kiedykolwiek do czynienia z codzienną działalnością partii politycznych. I te trzy cechy sprawiają, że każda partia jest potencjalnie, w zamyśle totalitarna. Jeśli partia nie jest de facto totalitarna, to tylko dlatego, że inne partie też mają totalitarne zapędy i ją blokują.

Co do punktu trzeciego – jest to przykład częstego fenomenu, który polega na tym, że cel i środek do celu zamieniają się miejscami. Przecież niemal wszystko, co uważane jest za cel, w rzeczywistości powinno być tylko środkiem do osiągnięcia celu. Przykłady można wymieniać w nieskończoność: pieniądze, władza, państwo, produkcja ekonomiczna, uniwersytety itd.

Prawdziwy cel jest tylko jeden – dobro. Wszystko powyższe powinno być środkiem do jego osiągania.

Partia polityczna jest instrumentem, który ma pomóc wcielić w życie pewną koncepcję interesu publicznego. Ale żeby być w tym skuteczną, musi zdobyć władzę. Jednak zdobywszy ją, nie będzie usatysfakcjonowana, będzie chciała jeszcze więcej.

Kiedy partia ma więcej członków niż rok wcześniej albo zbierze więcej pieniędzy, wtedy jej politycy są zadowoleni. Nigdy nie powiedzą, że ich partia ma za dużo członków, zdobyła zbyt wiele głosów lub zebrała zbyt wiele pieniędzy.

Interes publiczny schodzi na dalszy plan, partia staje się celem samym w sobie.

Partie nie dążą do sprawiedliwości ani do prawdy, tylko – jak zauważył Hitler – do zniewolenia umysłów. Wyobraźmy sobie, że deputowany jakiejś partii ogłasza publicznie: „Przyrzekam, że nie będzie dla mnie miało znaczenia, jaką partię reprezentuję, moim jednym celem będzie działanie na rzecz szeroko pojętego publicznego interesu i sprawiedliwości".

Taka obietnica nie byłaby przyjęta pozytywnie. Niektórzy partyjni towarzysze oskarżyliby delikwenta o zdradę. Inni zapytaliby go: „Skoro tak, to po co zapisywałeś się do naszej partii?".

ICON IMAGES/EAST

W ten sposób zresztą bezwiednie przyznawaliby, że zapisując się do partii, należy zapomnieć o interesie publicznym czy dobru powszechnym.

Delikwent byłby wyrzucony z partii albo przynajmniej usunięty z listy jej kandydatów.

Gdyby deputowany postanowił, że zawsze będzie kierował się tylko wewnętrznym przekonaniem i dobrem publicznym, nie może przyznać się do tego partyjnym kolegom. Czyli musi żyć w fałszu. Ale jeśli postanawia, że nie będzie wierny sobie [tylko partii], wtedy fałsz staje się centralną częścią jego duszy. A jeśli głosi w imieniu partii coś, o czym wie, że jest nieprawdziwe, wtedy oszukuje obywateli.

Z trzech rodzajów kłamstwa – oszukiwania własnej partii, obywateli lub samego siebie – pierwsze jest zdecydowanie najmniej szkodliwe. Ale jeśli przynależność do partii oznacza, że zawsze trzeba kogoś oszukiwać, to istnienie partii jest złem.

Kiedy człowiek wstępuje do partii, to zwykle dlatego, że jej postulaty i działania wydają mu się sprawiedliwe i dobre. Ale prawdopodobnie nie przestudiował stanowiska partii we wszystkich kwestiach życia publicznego. Zgłaszając akces, chcąc nie chcąc popiera również – hurtowo – całą partyjną ideologię. Czyli poddaje się dyktatowi partii. Później, kiedy stopniowo poznaje tę ideologię, zaczyna ją akceptować bez krytycznego myślenia.

Gdyby kandydat na członka partii powiedział: „Zgadzam się z partią w takich a takich sprawach, ale nie znam stanowiska partii w innych sprawach, dlatego zawieszam swoją opinię do czasu, kiedy je poznam", wtedy zapewne nie dostałby partyjnej legitymacji; powiedzieliby mu, żeby przyszedł kiedy indziej.

A zatem kiedy człowiek przyłącza się do partii, wtedy poddaje się jej dyktatowi. To takie wygodne – nie musieć myśleć. Nic nie jest bardziej wygodne niż bezmyślność!

Jeśli idzie o pierwszą [z trzech wymienionych powyżej] cechę partii politycznych – że są maszynami do generowania zbiorowej emocji czy histerii – to jest tak oczywiste, że chyba nie wymaga dowodu.

Zbiorowe namiętności są jedynym narzędziem, które partie wykorzystują, żeby uprawiać propagandę i wywierać presję na ludzkie dusze.

Każdy zatem musi zgodzić się, że duch partyjniactwa zaślepia i ogłusza na sprawiedliwe argumenty, nawet uczciwych ludzi popycha do prześladowania niewinnych. Każdy to rozumie, ale nikt jak dotąd nie zasugerował, żeby zlikwidować organizacje, które wywołują tyle zła.

Przechodząc do konkluzji: instytucja partii politycznych jest złem. Zakaz partii byłby pożyteczny dla wszystkich.

Podczas kampanii wyborczych kandydaci nie przylepialiby sobie łatek, tylko mówiliby: „Mam takie a takie poglądy w takich a takich ważnych kwestiach". Po wyborach deputowani w parlamencie tworzyliby naturalne, doraźne sojusze [zgodne z ich przekonaniami i obietnicami – red.]. Mogę się zgadzać z panem A w kwestii kolonializmu, ale nie zgadzać się z nim w kwestii własności ziemi. A moje relacje z panem B mogą być dokładnie odwrotne.

Wszelkie próby sformalizowania tych doraźnych [opartych na namyśle i przekonaniach] sojuszów powinny być zakazane prawem.

Taki zakaz miałby oczyszczający efekt w różnych aspektach życia społecznego, nie tylko w polityce. Bo szkodliwy duch partyjniactwa przenika wszystko. Nawet literaturę i sztukę. Kubizm i surrealizm były czymś w rodzaju dwóch partii. Albo jesteś za religią, albo przeciwko religii.

Nawet w szkole zmusza się dzieci do wzięcia którejś ze stron. Pokazuje im się jakiś tekst i pyta: „Jesteś za czy przeciw? Podaj swoje argumenty!". A przecież lepiej byłoby im powiedzieć: „Zastanówcie się nad tym tekstem i napiszcie, jakie myśli przychodzą wam do głowy po jego przeczytaniu".

**NIEMAL WSZYSTKO, CO UCHODZI ZA CEL - PIENIĄDZE, WŁADZA, PAŃSTWO, BIZNES - WINNO BYĆ TYLKO ŚRODKIEM DO OSIĄGANIA WYŻSZEGO CELU. ALE DLA CZŁONKÓW PARTII CELEM SAMYM W SOBIE SZYBKO STAJE SIĘ PARTIA**

Prawie wszędzie – nawet w sprawach technicznych – zamiast samodzielnie myśleć, stadnie przyjmujemy opcję za lub przeciw. To jest intelektualny trąd; jego źródłem jest świat polityki, który zakaża wszystko dookoła.

Ten trąd nas zabija; jest bardzo wątpliwe, czy może zostać uleczony bez likwidacji wszystkich partii politycznych.

PUBLIKUJEMY ESEJ W SKRÓCONEJ, SKONDENSOWANEJ WERSJI, NP. BEZ ODNIESIEŃ DO KWESTII BIEŻĄCYCH W CZASACH AUTORKI, A NIEKONIECZNIE ZROZUMIAŁYCH DLA WSPÓŁCZESNEGO CZYTELNIKA.

# Partie są beznadziejne, ale potrzebne

## POLEMIKA Z SIMONE WEIL

z prof. Janem Hartmanem rozmawia Mariusz Zawadzki

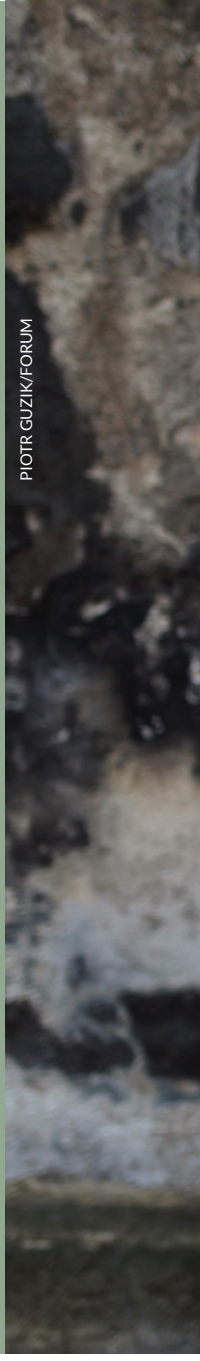

PIOTR GUZIK/FORUM

**NIE JEST DOBRZE KRAKAĆ NA PARTIE POLITYCZNE, BO TO ZNIECHĘCA OBYWATELI DO LIBERALNEJ DEMOKRACJI. A NA RAZIE NIC LEPSZEGO NIE WYMYŚLILIŚMY**

**Mariusz Zawadzki: W eseju, który przypominamy w magazynie „Holistic", Simone Weil przekonywała, że instytucja partii politycznej jest trująca dla życia społecznego, politycznego, dla demokracji w ogóle. Dlatego jej zdaniem należy wszystkie partie rozwiązać. Co pan na to?**

**Prof. Jan Hartman:** Myślę sobie, że jeszcze w pierwszej połowie XX w. można było mieć takie marzenia, że demokracja obejdzie się bez profesjonalnych instytucji pośredniczących pomiędzy opinią publiczną a rządem. Lecz dziś nie można sobie wyobrazić polityki uprawianej wyłącznie mocą indywidualnego entuzjazmu.

Simone Weil proponuje, żeby w wyborach do parlamentu kandydowały po prostu indywidualne osoby. Nawet gdyby partie polityczne zostały zakazane – co samo w sobie byłoby skrajnie niedemokratyczne – to przecież wygrywaliby ludzie, którzy są lepiej zorganizowani i mocniejsi finansowo. Tak czy inaczej, powstałoby mnóstwo malutkich, być może nielegalnych, niejasno powiązanych ze sobą organizacji. Tym sposobem partie by się naturalnie odrodziły. W podziemiu.

Nie jest dobrze krakać na partie polityczne, bo to zniechęca obywateli do wynalazku liberalnej demokracji. A na razie nie wynaleźliśmy niczego lepszego.

Partie, jak wszystkie instytucje, funkcjonują tak sobie – lepiej lub gorzej. Zwykle gorzej. Ale to z partii politycznych rekrutują się kadry państwowe w demokracji, więc lepiej je oswajać i ulepszać – dzięki czemu polityka i klasa polityczna będą doskonalsze – niż odwracać się od partii plecami, bo, jak mówi Simone Weil, są egoistyczne, totalistyczne, chciwe i tak dalej. To prawda, są, ale jedne bardziej, drugie mniej. Im większe zaangażowanie

Prof. Jan Hartman jest filozofem i bioetykiem; czynnie zajmuje się polityką, m.in. był współzałożycielem partii Twój Ruch

społeczeństwa, tym większa nad partiami kontrola i tym sprawniej można ich wady niwelować.

**Ale mamy poważny kryzys partyjnej demokracji. W Polsce, Ameryce – w innych krajach też – wyrosły wrogie plemiona, które nie potrafią ze sobą rozmawiać. Republikanie i Demokraci. PiS i anty-PiS. Brexit i antybrexit. Realna debata i kompromis są niemożliwe. Polityka zamienia się w teatr, grę pozorów. Dlatego ludzie odwracają się od elit. Może zatem system oparty na partiach się wyczerpuje? I powinniśmy wymyślić coś nowego?**

Powtarzam: na razie lepszego modelu nie ma. Każda partia – czy nazywa się na początku ruchem społecznym, czy rewolucją antysystemową – z czasem, jeśli chce osiągnąć sukces w pokojowej demokratycznej walce politycznej, musi się w jakimś stopniu sprofesjonalizować i zinstytucjonalizować.

Jeśli ktoś dłużej niż kilka miesięcy zajmuje się polityką czy jakąkolwiek inną działalnością, to ma przed sobą z grubsza dwie możliwości: albo jest nieudolny i wkrótce wypada z gry, albo działa skutecznie, nabiera doświadczenia i staje się zawodowcem. A więc naturalną koleją rzeczy nowe, świeże, nieprofesjonalne organizacje – jeśli odnoszą sukces – stają się z czasem profesjonalne.

**I gdzieś po drodze zabijają wolne myślenie.**

Oportunizm zawsze zwycięża, zwłaszcza w hierarchicznych strukturach. Dlatego w życiu partii ważne jest, żeby cały czas był jakiś ferment. Żeby oprócz karierowiczów byli w niej ludzie ideowi i niezależni intelektualnie.

**Ale partie mają immanentną tendencję, żeby niezależnych ludzi tłamsić lub pacyfikować, czego pan – wyrzucony ze swojej partii – jest chodzącym dowodem.** >>

Ze wszystkich narodów świata największe zaufanie do swojego rządu mają Chińczycy. Na zdjęciu – ekipa sprzątająca z parku rozrywki w prowincji Guangdong ćwiczy szeroki uśmiech

ZENG LINGHUA/VCG/FORUM

W każdej instytucji są złe tendencje, z którymi trzeba walczyć. Świat idealny – jaki wyobrażają sobie ludowi demokraci albo populiści – to świat bez znienawidzonych partii politycznych i bez establishmentu. Ale żeby taki świat stworzyć, trzeba zrobić coś strasznego, tzn. zniszczyć demokrację i zakazać wolnym ludziom zrzeszania się w organizacje polityczne.

**Czyli pan uważa, że demokracja jest wartością samą w sobie? W odróżnieniu od Weil, dla której demokracja jest tylko narzędziem do osiągania dobra i prawdy?**

Demokracja nie jest tylko narzędziem. Demokracja jest formą etycznego współistnienia wolnych i równych obywateli, których prawa chronione są przez konstytucję. A wśród tych praw jedno z najważniejszych to wolność zrzeszania się i prowadzenia działalności politycznej.

**Kilka miesięcy temu amerykański ośrodek badania opinii publicznej Pew Research Center zapytał ludzi w różnych krajach świata, czy mają zaufanie do władz i czy są zadowoleni z systemu w jakim żyją. Okazuje się, że najbardziej zadowoleni i ufający władzy są Chińczycy, którzy nie mają zagwarantowanych praw obywatelskich. I w ogóle nie mają demokracji w sensie, o którym pan mówi. Ponieważ sondaż robili Amerykanie, nie ma obaw, że został sfałszowany na potrzeby chińskiej propagandy. Może zatem demokracja – w tym wolność zrzeszania się – nie jest potrzebna obywatelom do szczęścia?**

Nie od dziś wiadomo, że najbardziej zadowolone społeczeństwa to takie, w których są miękko autorytarne rządy, a stopa życiowa wyraźnie rośnie. Demokracja nie jest najbardziej upragnionym przez ludzi ustrojem, jest natomiast jedynym ustrojem, który można obronić – i którego trzeba bronić! – z etycznego punktu widzenia. To jedyny ustrój, który można pogodzić z aksjomatem, że rodzimy się wolni i równi.

**Chińczycy mówią o harmonii społecznej, która jest ważniejsza niż indywidualna wolność i demokracja.**

Kto uważa wolność i równość za wartości drugorzędne, ten może traktować demokrację czysto instrumentalnie. Ale dla mnie to nie jest stanowisko negocjowalne – wolność i równość uważam za aksjomaty społeczne, nikt dobrowolnie z nich nie zrezygnuje, no chyba że na rzecz supremacji nad innymi…

**Czyli Chińczycy są z innej gliny?**

Nie. Po prostu: demokracja nie ma demokratycznego poparcia. To jeden z paradoksów demokracji. Jest ważna dla demokratów, a oni są zawsze mniejszością. To najczęściej ludzie korzystający z praw obywatelskich, jak wolność zrzeszania się czy wolność słowa. Powtarzam – oni są w mniejszości.

Demokratyczna większość niekoniecznie opowiada się za demokracją. Dlatego demokrację trudno czasem w ramach demokracji obronić. Większości nie jest ona potrzebna, lub mówiąc ściślej – większość nie odczuwa tej potrzeby. Co nie znaczy, że potrzeba nie występuje.

Nic dziwnego, że Chińczycy w swojej masie są zadowoleni, skoro ich zamożność gwałtownie rośnie. Również Polacy nie mają wielkiego przywiązania do demokracji, bo praktykuje ją relatywnie niewielu z nas i od niedawna. Większość Polaków nie używa wolności słowa i ani myśli wstępować do jakichkolwiek partii.

**A dlaczego w Ameryce jest inaczej? Dlaczego tam przywiązanie do demokracji, rozumianej jako prawo do wolności, jest powszechne nawet wśród ludzi bez wykształcenia?**

Ameryka jest w tym szczęśliwym położeniu, że ma silną kulturę demokratyczną, co wynika z genezy państwa. Powstała jako kraj ludzi wolnych i równych wobec prawa – taki był projekt polityczny z końca XVIII w. Wokół tego projektu i na jego mocy, wokół deklaracji niepodległości i konstytucji powstał naród. A nie – jak w Europie – w oparciu o wspólny język, religię czy lokalne tradycje.

Dlatego demokracja amerykańska przetrwa niejednego Donalda Trumpa, natomiast demokracja polska może nie przetrwać jednego Jarosława Kaczyńskiego.

**No ale nawet Amerykanie są niezadowoleni ze swojej demokracji. Wybór Trumpa, kompletnego outsidera i politycznego amatora, jest tego dowodem.**

Tak czasem w demokracji się zdarza – masy biorą sprawy w swoje ręce. Mobilizują się politycznie i zrywają kontrakt z elitami; zamiast wybrać na swoich reprezentantów ludzi jakoś tam lepszych od siebie, mądrzejszych czy bardziej kompetentnych, wybierają takich samych jak oni.

Tej pokusie antyelitaryzmu ulegają ludzie w wielu krajach. Kiedyś prowadziła do krwawych zamieszek czy rewolucji, a dziś prowadzi do tego, że w sposób demokratyczny dochodzą do władzy reprezentanci mas. Ludzie spoza elity. To oczywiście przynosi negatywne konsekwencje w postaci obniżenia jakości rządzenia, obniżenia jakości kadr państwowych – vide obecny prezydent USA. Ale ma to również charakter oczyszczający, ożywiający, bo ludzie mają poczucie, że na coś mieli wpływ. Potem się przekonają, że niekoniecznie dobrze wybrali, ale teraz czują swoją siłę. Czują, że demokracja jest czymś prawdziwym, że można ni z tego, ni z owego obalić establishment.

**Czyli Trump jest długofalowo dobry dla amerykańskiej demokracji? Czy jednak jest dowodem, że coś poszło nie tak?**

Być może jedno i drugie.

**A co poszło nie tak?**

No cóż, obywatele okazali się niewystarczająco wyedukowani, wybrali na prezydenta człowieka wysokiego ryzyka. Partia Republikańska okazała się słaba, podzielona, bez pomysłów, dlatego została zdominowana przez kuriozalnego kandydata. Po części bierze się to z jej gigantycznego rozmiaru. Jeśli spektrum poglądów staje się zbyt szerokie, to partia staje się bezideowa, oportunistyczna. Szczególnie kiedy jest partią władzy (a takimi są przecież obydwie amerykańskie partie, które się co kilka lat władzą wymieniają).

**No ale chyba zawsze tak jest – kiedy partia za długo jest przy władzy, staje się bezideowa…**

Dlatego demokracja zapewnia wymianę elit. Wprawdzie nie całkowicie, bo władza w każdym kraju – demokratycznym czy niedemokratycznym – pozostaje w ręku pewnej klasy politycznej. Albo tą klasą będą rodziny oligarchiczne – i wtedy wymiana władzy jest możliwa tylko przy użyciu siły – albo będą nią zawodowi politycy. I wtedy wymiana władzy następuje przy użyciu kartki do głosowania. Nie ma innych możliwości.

**Ale u nas polityką zajmują się amatorzy…**

No nie, po kilkunastu latach nasze partie mają charakter przynajmniej półprofesjonalny. Są politycy z kilkunastoletnim czy nawet dwudziestoparoletnim stażem…

**Ameryka przetrwa niejednego Trumpa, bo jej geneza jest unikalna - naród powstał wokół projektu politycznego z końca XVIII w. Idea wolności i demokracji nadal spaja naród amerykański. My w Europie mamy gorzej, bo nasze narody powstały w oparciu o wspólny język, religię czy lokalne tradycje**

**Oni też są amatorami. Pan, zdaje się, był w komitecie poparcia prezydenta Bronisława Komorowskiego, który był kompletnym amatorem. Kiedy przed wyborami musiał wyjść na ulicę i ludzie zadali mu jakieś pytania, to Komorowski ani be, ani me. Kompletnie nie umiał rozmawiać, był oderwany od rzeczywistości.**

Tak, to jest kompetencja którą polscy politycy nabywają późno, Komorowski przypłacił to utratą prezydentury.

**Nie tyle nabywają późno, ile tracą szybko – zaraz kiedy wygrają wybory. Wynika to z tego, że zwycięskie partie w Polsce dostają pieniądze z budżetu państwa. Dzięki temu do następnych wyborów politycy mają zapewniony byt i nie muszą w ogóle rozmawiać z normalnymi ludźmi ani się nimi przejmować. Dotacje z budżetu dla partii sprawiają, że są oderwani od rzeczywistości. W Ameryce odwrotnie – tam narzeka się, że politycy są uzależnieni od pieniędzy, ale oni nie dostają żadnych dotacji z budżetu. Żeby mieć pieniądze na kolejne kampanie, muszą je wyprosić sami. Przeciętny kongresmen codziennie kilka godzin rozmawia z darczyńcami! Dlatego przeciętny kon-** >>

**gresmen umie rozmawiać z ludźmi i nie jest oderwany od rzeczywistości...**

Tylko że w Polsce, choćby polityk umiał i chciał rozmawiać z ludźmi, to i tak mu pieniędzy nie dadzą. Choćby nie wiem jakim był retorem!

**Czyli musimy dotować polityków z budżetu?**

Mam nadzieję, że kiedyś Polacy zaczną aktywnie wspierać politykę i nie będą skąpić pieniędzy na partie, które popierają. Ale to raczej dopiero za kilkadziesiąt lat. Na razie musimy finansować naszą demokrację z budżetu, czyli z pieniędzy podatników. Nie mamy jeszcze takiej dojrzałości, odpowiedzialności, żeby to robić z dobrej woli. Ale to ma też swoją zaletę. U nas polityk może być niezależny (o ile nie jest skorumpowany). Tymczasem amerykańscy politycy są zbytnio zależni od darczyńców, zbyt często reprezentują ich interesy. Poglądy bogaczy znaczą o wiele więcej niż poglądy innych ludzi.

## Demokrację uratuje internet. Głosowania w aplikacji mobilnej nadadzą jej bezpośredni, angażujący młodych charakter

**I stąd biorą się rosnące nierówności? Bo system sterowany przez bogaczy staje się im coraz bardziej przyjazny?**

Nierówności wciąż są za duże, w niektórych krajach faktycznie rosną, ale patrząc historycznie, w perspektywie istnienia demokracji, czyli około półtora wieku, to jednak się zmniejszają. Wzrost zamożności Polaków w ostatnich trzech dekadach jest oczywisty i ogromny. Co nie zmienia faktu, że problem istnieje – wciąż bardzo wielu Polaków dostaje głodowe pensje. I tutaj trzeba przyznać, że ten paskudny rząd PiS zrobił dobry ruch, podnosząc pensje minimalne.

Bo to jest rodzaj współczesnego niewolnictwa, jeśli ktoś musi pracować na pełnym etacie za 2 tys. zł miesięcznie. To jest moralnie nieakceptowalne. Nawet jeżeli rynek tak wycenia ludzką pracę, to tym gorzej dla rynku. W takich przypadkach musi interweniować państwo. To jest nie do zniesienia, że w Warszawie milion ludzi ma się jak pączki w maśle i chodzi po kawiarniach, a drugi milion haruje i ledwo wiąże koniec z końcem.

**Jakie z tego wyjście?**

Na pewno nie amatorska polityka. Bo na każdym poziomie, nawet lokalnym, ludzie bogaci wygrają i zdobędą wpływy, bo będą mieli pieniądze, żeby opłacić skuteczną kampanię dla swoich ludzi. Społeczni, oddolni kandydaci albo są z czasem korumpowani, albo przegrywają bo nie mają środków. Dlatego potrzebne są profesjonalne partie finansowane z budżetu.

**Ale dotacje z budżetu betonują system, tzn. faworyzują istniejące, duże partie.**

To też prawda. Jak już wspomniałem – ideałem byłoby gdyby większość społeczeństwa była zatroskana o sprawy publiczne, zaangażowana i hojna. Ale tak po prostu nie jest. W Polsce polityką interesuje się tylko kilka milionów ludzi...

**Może zatem tylko oni powinni mieć prawo do głosowania, a nie niezorientowana, podatna na hasła populistów reszta?**

To już kiedyś było, nazywało się cenzusowa demokracja. W XIX w. całej Europie zachodniej żeby głosować, trzeba było umieć czytać i pisać, posiadać jakąś własność, być mężczyzną. Były różne ograniczenia. Ale przecież istotą demokracji jest to, że człowiek ma jeden głos, niezależnie od tego, kim jest. Równość głosu jest fundamentalną wartością. Pomysły na odebranie głosu „niezorientowanym" są sprzeczne z istotą tego ustroju, który od końca II wojny światowej zapanował na Zachodzie.

**Co w takim razie robić, żeby demokracja była bardziej sprawna, angażująca obywateli, produkująca lepszych polityków?**

Wierzę, że demokrację uratuje internet. Bo można dzięki niemu organizować mnóstwo głosowań w bardzo różnych sprawach.

Można np. – na razie w charakterze pilotażowym, doradczym – uruchamiać w różnych ministerstwach aplikacje mobilne. Sondażowe. „Co sądzicie o takiej czy innej decyzji?" – pyta minister społeczeństwa. Każdy może sobie przeczytać za i przeciw, na tej podstawie zagłosować w telefonie.

**Ale na pytanie: „Czy zabrać bogatym i rozdać biednym?" większość może odpowiedzieć: „Tak!".**

Dlatego chodzi o to, żeby ministrowie, urzędnicy, politycy zadawali obywatelom mądre pytania. Dajmy na to – rząd przymierza się do wprowadzenia mikropłatności za pierwszą wizytę u lekarza. Powiedzmy 5 zł. I pyta społeczeństwo przez aplikację. Są argumenty za – np. do lekarzy przestaną przychodzić ludzie zdrowi, lecz lubiący bywać w przychodni, kolejki się zmniejszą. Są argumenty przeciw – dla niektórych nawet 5 zł to wydatek. I ludzie mogą przez aplikację wyrazić swe zdanie. Na początku dziesiątki tysięcy ludzi, to oczywiście będzie tylko sondaż.

I załóżmy, że przez lata przyzwyczajamy się do używania takich aplikacji na swoich smartfonach. Albo niech to będzie jedna aplikacja o nazwie Demokracja, podłączona do różnych ministerstw czy urzędów miejskich. Powoli

JOE NEWMAN/EAST NEWS

Protest przeciwko brexitowi, czyli wyjściu Wielkiej Brytanii z UE, pod Pałacem Westminsterskim w Londynie

coraz więcej ludzi z niej korzysta, politycy coraz bardziej muszą się z nią liczyć, aż wreszcie – może po 10 latach? – przyjdzie moment, żeby się zastanowić, czy głosowania z aplikacji nie powinny być wiążące – tzn. ministrowie będą musieli w pewnych wypadkach robić to, co zdecydują obywatele. To na pewno zwiększyłoby udział młodych ludzi w procesie demokratycznym, gdyby zobaczyli, że głosowali za czymś i polityka rządu zmienia się, jest coraz bliższa przekonaniom obywateli.

**Czyli jednak demokracja bezpośrednia zamiast republiki, czyli rządów ludu za pomocą wyłonionych w wyborach reprezentantów?**

Oczywiście, że z demokracją bezpośrednią nie można przesadzać. Są sprawy, które wymagają bardzo fachowej wiedzy i nie będziemy ich poddawać pod głosowanie. Ale jest mnóstwo spraw, które nazywamy politycznymi, które się absolutnie nadają do rozstrzygnięcia w demokracji bezpośredniej.

Np. w Korei Południowej prowadzi się internetowe wybory na niektóre urzędy. Czemu np. szef transportu miejskiego w Warszawie nie miałby być wybierany za pomocą aplikacji? To byłoby bardzo fajne, bo ludzie mieliby poczucie uczestnictwa; poczuliby, ze ich głos coś znaczy; że demokracja nie jest fikcją.

Inna kwestia – marihuana. Są za i przeciw, trend na świecie, wiadomo, legalizować. Czemu społeczeństwo miałoby się w tej sprawie nie wypowiedzieć przy użyciu aplikacji Demokracja? Oczywiście politykom to nie na rękę. Wiedzą, że społeczeństwo chciałoby legalnej marihuany, ale ich to nie obchodzi, nie mają powodu pytać ludzi o zdanie, bo nie chcą np. otwierać konfliktu z Kościołem, z konserwatystami itp. A dostęp do marihuany w kręgach rządowych jest swobodny, więc politycy nie są takim plebiscytem zainteresowani. Osobiście nic nie zyskają, politycznie mogą stracić. Tak niestety jest, że perspektywa człowieka władzy zawsze jest inna. Rząd się wyżywi, tak mówiono w socjalizmie, a dzisiaj dotyczy to marihuany.

HOLISTIC

INFORMACJA PRASOWA

Chcesz pisać dla Holistic? Czekamy na Ciebie!

rekrutacja@holistic.news

# Zakaz używek gorszy niż używki

## PROHIBICJA TO NIE ROZWIĄZANIE PROBLEMU, TYLKO JEDNA Z JEGO PRZYCZYN

**Dominika Kardaś**

SCIENCE PHOTO LIBRARY/EAST NEWS

Pola konopi w kanadyjskiej prowincji Manitoba

**CORAZ WIĘCEJ KRAJÓW LEGALIZUJE BĄDŹ DEKRYMINALIZUJE POSIADANIE I UŻYWANIE MARIHUANY. MIMO TEGO W POLSCE POLITYCY NADAL WZBRANIAJĄ SIĘ PRZED TAKIM KROKIEM**

W sierpniu 2018 r. znowelizowano ustawę o przeciwdziałaniu narkomanii. Do rejestru zakazanych substancji dodano całe grupy środków psychoaktywnych i uproszczono procedurę wpisywania kolejnych. Powodem zmian były coraz częstsze przypadki zatrucia dopalaczami – tanimi narkotykami o wdzięcznych nazwach, np. Sztywny Misza czy Czeszący Grzebień, których skład pozostawał tajemnicą tak dla kupujących, jak i sprzedających. Co gorsza, nie znali go również lekarze na ostrym dyżurze, do których trafiały osoby z objawami zatrucia tymi środkami.

Jeszcze do niedawna dopalacze pozostawały w szarej strefie obrotu środkami psychoaktywnymi, bo produkowano je z substancji nieobjętych zakazem, np. pochodnych amfetaminy czy syntetycznych kannabinoidów. Gdy któryś ze składników trafiał na zakazaną listę, szybko znajdowano substytut.

## Odlot za pięć złotych

Dlaczego dopalacze stały się tak powszechne? „Radykalna polityka antynarkotykowa powoduje, że cały ten przemysł zszedł do podziemia" – odpowiada Adam Lenart, psychoterapeuta z Krakowskiego Centrum Terapii Uzależnień. „Z tym związana jest popularność nowych substancji psychoaktywnych: pewne środki są nielegalne i karze się nie tylko za handel nimi, ale też za samo posiadanie. Żeby z nich nie korzystać, ludzie sięgnęli po dopalacze, które wypełniały pewną lukę" – dodaje.

„To nie tylko kwestia polityki, ale też naszego sposobu życia" – dodaje Zuzanna Kasprzak, również psychoterapeutka. „Narracja, jaka towarzyszy pracy w korpo – że trzeba wyżej, mocniej, dalej – sprawiła, że pojawiło się zapotrzebowanie na substancje, które są finansowo dostępne i dają kopa. Nie bez powodu jest to nisza, w której świetnie odnaleźli się producenci dopalaczy" – tłumaczy. Czyste substancje są drogie, podczas gdy porcja dopalacza o niewiadomym składzie kosztuje zaledwie kilka albo kilkanaście złotych.

**Z danych ONZ i Światowej Organizacji Zdrowia wynika, że na 100 tys. zgonów 111 spowodowanych jest przez papierosy, 33 - przez alkohol, a jedynie siedem przez narkotyki**

Warto zaznaczyć, że w dopalaczach najbardziej szkodzi nie sam narkotyk, tylko wszystkie „dodatki". Dilerzy rozrzedzają nimi towar. Z zakupionego kilograma czystej substancji mogą wyprodukować i sprzedać jej nawet kilka razy więcej. Zanieczyszczony proszek zatyka żyły, starte szkło podrażnia śluzówkę, nieznane substancje powodują otwieranie się ropiejących ran na całym ciele. Makabryczne przykłady można mnożyć bez końca.

## Naćpany zombi?

W niektórych miastach, takich jak Genewa, Lizbona czy Vancouver, są kliniki dla narkomanów. Osoby uzależnione odwiedzają je, by wziąć narkotyk, po czym idą do pracy. A po pracy wracają do swoich domów, gdzie spędzają czas z rodziną.

Twórcy takich ośrodków zaobserwowali, że podawanie narkotyku w kontrolowanych warunkach znacznie ułatwia osobom uzależnionym wyjście z nałogu. Po pierwsze, pacjent może zaspokajać głód narkotykowy bez ryzyka dodatkowych powikłań – to znacznie poprawia stan jego zdrowia. Dzięki wsparciu personelu kliniki może brać udział w terapii i wrócić do pracy (w Portugalii pracodawcy zatrudniający takie osoby otrzymują przez rok częściowy zwrot kosztów pracownika). Kiedy sytuacja materialna uzależnionego zaczyna się stabilizować, jest w stanie odbudować relacje z rodziną i przyjaciółmi. Robi to wszystko, będąc jeszcze nałogowcem.

Jak to możliwe? Spróbujmy odpowiedzieć pytaniem na pytanie: a jak to możliwe, że osoby uzależnione od papierosów, kawy albo sprawdzania Facebooka są w stanie prowadzić życie rodzinne, rozwijać swoją karierę i odnosić kolejne sukcesy? Odpowiedź jest prosta. Rzeczy, które ich uzależniają, są całkowicie legalne. W najgorszym razie obowiązują ograniczenia wiekowe, jednak nawet papierosy każdy dorosły może kupić w prawie każdym sklepie. Wystarczy dowód osobisty. Nikt nie musi kraść ani łamać prawa, żeby napić się kawy, choć przecież wiele osób po prostu nie wyobraża sobie funkcjonowania bez porannej filiżanki espresso. Cena produktu jest w miarę stała, a jakość – kontrolowana.

Oczywiście, w porównaniu z heroiną czy kokainą uzależnienie od kawy wydaje się bardzo niewinne. Ale już w porównaniu z alkoholem czy papierosami kontrast przestaje być tak wyraźny.

>>

**A jeśli to nie narkotyki zabijają, tylko polityka antynarkotykowa? Ona wyrzuca narkomanów poza nawias społeczny i utrudnia wyjście z nałogu**

Według raportu Global Statistics on Alcohol, Tobacco and Illicit Drug Use, opartego o dane ONZ i Światowej Organizacji Zdrowia (WHO) na każde 100 tys. zgonów w 2017 r. 111 spowodowanych zostało przez papierosy, 33 – przez alkohol, a jedynie siedem przez narkotyki.

Na pierwszy rzut oka powyższa statystyka dowodzi, że restrykcje są słuszne: państwo zakazuje szkodliwych substancji, więc mało ludzi z nich korzysta i niewielu umiera z ich powodu. Ale kolejne dane pokazują, że wcale tak nie jest.

Sam Stanley w książce *Drug Policy and the Decline of American Cities* podaje, że na 100 tys. osób, które palą papierosy, 650 umiera z tego powodu.Na 100 tys. osób, które biorą kokainę, z tego powodu umierają cztery.

## Więzi zamiast więzów

Johann Hari, autor książki *Ścigając krzyk. Dzieje wojny narkotykowej*, stawia dość radykalną tezę, że to nie narkotyki zabijają narkomanów, ale ostra polityka antynarkotykowa, która wyrzuca osoby uzależnione poza nawias społeczny, utrudniając – czy wręcz uniemożliwiając – wyjście z nałogu.

„Tak naprawdę prawie wszędzie na świecie traktujemy uzależnionych w podobny sposób" – twierdzi Hari. „Karzemy ich, piętnujemy i wpisujemy do rejestru karnego. Stawiamy bariery między nimi i tworzeniem nowych więzi. Pewien Kanadyjczyk, niesamowity człowiek, dr Gabor Mate, powiedział mi: «Stworzyliśmy idealny system do utrudniania walki z uzależnieniem»".

W Stanach Zjednoczonych za narkotyki siedzą w więzieniach setki tysięcy ludzi. A kiedy wyjdą na wolność, mają pod górkę. Wpis do rejestru karnego za przestępstwo narkotykowe uniemożliwia znalezienie legalnej pracy, a młodym ludziom zamyka drogę do zdobycia wykształcenia. To sprawia, że osoby, które raz popełniły błąd, mają nikłe szanse na wyrwanie się ze środowiska, które popchnęło je ku używkom.

## Detoks nad Wisłą

W Polsce sytuacja nie jest tak dramatyczna. Za samo bycie narkomanem nie trafia się do więzienia. „Mamy trzy podstawowe formy leczenia" – mówi Zuzanna Kasprzak. „Pierwsza to poradnie, w których dana osoba pracuje indywidualnie ze swoim terapeutą, a do tego bierze udział w terapii grupowej. Zajęcia odbywają się raz lub dwa razy w tygodniu. Takie programy oparte są na zachowaniu abstynencji lub redukcji zażywania danej substancji. Drugą możliwością jest oddział dzienny – to intensywniejsza forma, którą stosuje się przy nasilonych objawach choroby. Chory codziennie kilka godzin spędza na zajęciach terapeutycznych. Najbardziej radykalnym rozwiązaniem jest pobyt w ośrodku stacjonarnym, przeznaczonym zwłaszcza dla osób, które potrzebują odizolować się zarówno od tego, co ich uzależnia, jak i od toksycznego środowiska, które doprowadziło je do nałogu".

Terapia w takich ośrodkach opiera się na przekonaniu, że uzależnienie to nie tylko fizjologiczna potrzeba przyjmowania narkotyku. Już sam powrót do miejsca, które kojarzy się z braniem narkotyków, może zniweczyć efekty leczenia. Aby taka osoba nie wróciła do nałogu, po zakończe-

GRZEGORZ KRZYŻEWSKI/REPORTER

Liroy na Marszu Wyzwolenia Konopi

niu terapii oferuje się jej tymczasowe zakwaterowanie w innym miejscu.

## Klatka, w której żyjesz

Johann Hari przywołuje eksperymenty, które przeprowadzono w latach 70. XX w. Szczurom podawano płyny w dwóch pojemnikach: jeden zawierał czystą wodę, drugi – wodę z dodatkiem morfiny. Po którą sięgały chętniej? Po tę, która zawierała narkotyk. Szybko się uzależniały i umierały z przedawkowania.

Bruce K. Alexander, naukowiec z Simon Fraser University, zauważył, że szczury, na których eksperymentowano, siedziały w klatkach same. Jedyną dostępną atrakcją była morfina. Nic dziwnego, że wolały się odurzać niż siedzieć samotnie w kącie. Alexander zbudował więc inną klatkę, którą nazwał Szczurzym Parkiem: gryzonie miały w niej towarzystwo, zabawki, smakołyki – i dwa poidełka do wyboru, tak jak w pierwotnej wersji. Okazało się, że woda z morfiną zostawała prawie nieruszona. Co więcej, uzależnione szczury przeniesione ze zwykłych klatek do Parku, choć na początku miały objawy odstawienia, szybko porzucały nałóg.

Obalało to tzw. farmakologiczną teorię uzależnienia mówiącą o tym, że główną przyczyną problemu z narkotykami jest ich chemiczny skład, który powoduje zmiany w organizmie i fizjologicznie uzależnia człowieka. „To nie narkotyk jest przyczyną szkodliwego zachowania, lecz środowisko" – podsumowuje Hari. „Bruce, jak sam to ujął, zaczął sobie uświadamiać, że uzależnienie nie jest chorobą. Uzależnienie jest formą przystosowania. To nie ty jesteś winny, lecz klatka, w której żyjesz" – zaznacza.

## Nie tylko środowisko

Obecnie wskazuje się na pewne niedociągnięcia metodologiczne Szczurzego Parku, bo wysnuta na jego podstawie teza, że uzależnienia powodowane są głównie przez czynniki środowiskowe to jednak uproszczenie. „W rzeczywistości – pisze dziennikarka Katie MacBride dla magazynu „The Outline" – jest wiele czynników, które prowadzą do uzależnienia, włączając w to środowisko, stres, geny, okoliczności życiowe i trudne doświadczenia z dzieciństwa. Osoby z uzależnieniami nierzadko doświadczyły mieszanki tych czynników, a nie jest to ich kompletna lista. Czynniki te mają też różny wpływ na poszczególne osoby".

Sukces, jaki odniosła teza Burce'a K. Alexandra, wynika przede wszystkim z tego, że przed jego badaniami rzadko zwracano uwagę na inne czynniki niż sama uzależniająca natura substancji. Jeśli ktoś sięgał po narkotyki – twierdzono – to sam prosił się o marny koniec. Niewiele zastanawiano się nad tym, dlaczego to robi.

„Dzisiaj przede wszystkim mówi się o tym, że uzależnienie ma podstawy bio-psycho-społeczne" – wyjaśnia Zuzanna Kasprzak. „Na poziomie biologicznym można mieć tendencje do nałogowego zażywania substancji, np. osoby z niskim poziomem

SCIENCE PHOTO LIBRARY/EAST NEWS

Pod koniec XIX w. kokaina była reklamowana i powszechnie sprzedawana w aptekach jako środek na ból zębów

>>

serotoniny będą chętniej brały środki, które poprawią im nastrój. Istotna jest też kwestia psychologiczna, czyli jaki kto ma temperament – jaki się rodzi i jak potem buduje swoją osobowość. Ktoś, kto łatwo się stresuje, szybko zauważy, że marihuana łagodzi ten stan, przynajmniej na początku. Ostatnim czynnikiem jest właśnie środowisko: presja rówieśników czy wzorce wyniesione z domu".

„Czy Johann Hari ze swoją teorią więzi nie zachowuje się jak Beata Pawlikowska, która twierdziła, że depresję można pokonać siłą woli?" – pytam. „Często zwracam uwagę pacjentom, że kiedy opowiadają o swoim nałogu, mówią: papierosek, wódeczka, marysia" – odpowiada psychoterapeutka. „Są emocjonalnie przywiązani do rzeczy, które ich uzależniły, a w trakcie terapii muszą się od nich odciąć. Z tego powodu praca z osobą wychodzącą z nałogu częściowo opiera się na radzeniu sobie z bólem po stracie – tak jak w przypadku śmierci kogoś bliskiego. Zastąpienie relacji z narkotykiem czy alkoholem poprzez zbudowanie więzi z innymi ludźmi nie jest bajką, jest istotnym krokiem".

## Dopalacze to porażka polityki antynarkotykowej

Obecnie w kolejnych krajach legalizowane lub dekryminalizowane jest posiadanie i zażywanie marihuany. W Polsce, jak na razie, sytuacja się nie zmienia. Nawet dostęp do konopi indyjskich na użytek leczniczy był do końca 2018 r. utrudniony, chociaż tzw. ustawa Liroya legalizująca medyczną marihuanę została wprowadzona kilkanaście miesięcy wcześniej. Powód? Leki są w Polsce legalne, ich produkcja – nie.

Czy prawo umożliwiające rekreacyjne zażywanie narkotyków nie rozwiązałoby części problemów? Np. problemu dopalaczy?

Johann Hari zwraca uwagę, że to prohibicja narkotykowa spowodowała upowszechnienie twardych narkotyków. Z prostej przyczyny: szmuglowanie łagodnych substancji psychoaktywnych jest mało ekonomiczne. Żeby zarobić, trzeba przetransportować większą ilość towaru – bardziej opłaca się więc przemycać to, co daje mocniejszego kopa, np. kokainę czy heroinę.

„Gdyby polityka antynarkotykowa była bardziej liberalna, osoby, które mają czasem potrzebę »odlotu«, sięgałyby po przebadane substancje" – mówi Adam Lenart. „Nie zlikwidujemy narkotyków. Zawsze będą ludzie chętni do eksperymentowania z substancjami psychoaktywnymi. W latach 90. w Polsce ludzie odurzali się gazem, klejem – tym, co było dostępne". Teraz dostępne są dopalacze. To, że ich branie jest niebezpieczne, przegrywa z argumentami takimi jak dostępność i cena.

MATEUSZ SZELIGA

Marsz Wyzwolenia Konopi w Warszawie

MATEUSZ SZELIGA

Prof. Jerzy Vetulani (1936-2017) był jednym z niewielu autorytetów, które domagały się depenalizacji narkotyków w Polsce

## Po pierwsze edukacja!

W tej chwili liczyć można jedynie na pozarządowe inicjatywy na rzecz świadomego zażywania substancji psychoaktywnych. W ramach projektu #afterpartyFES Fundacja Edukacji Społecznej zorganizowała mobilny punkt, w którym anonimowo można przebadać skład zakupionych narkotyków. Bus fundacji pojawia się na imprezach masowych w Warszawie, a obok darmowych testów oferuje też pomoc prawną i psychologiczną. Organizatorzy podkreślają, że działają w ten sposób, nie oceniając wyborów innych.

„Dotychczas profilaktyka w szkołach polegała głównie na straszeniu" – mówi Zuzanna Kasprzak.

Hari, który obserwował lekcję dotyczącą narkotyków w portugalskiej szkole, był zaskoczony, jak racjonalnie i rozważnie młodzi ludzie podeszli do problemu. Nauczycielka nie pokazywała drastycznych zdjęć ani nie opowiadała przerażających historii. Razem z uczniami rozważyła możliwe, w tym negatywne, konsekwencje zażycia narkotyku i pozwoliła podjąć im decyzję.

„Chodzi o to, żeby każdy mógł zdecydować, czy chce bawić się z narkotykami czy bez, a jeśli wybierze to pierwsze rozwiązanie – żeby wiedział, jak zrobić to bezpiecznie" – podsumowuje Adam Lenart.

W Polsce wciąż jest to decyzja między zabawą bez narkotyków a łamaniem prawa. Najwyraźniej do tego, żeby świadomie wybierać, trzeba dojrzeć – także jako społeczeństwo.

HOLISTIC

INFORMACJA PRASOWA

Chcesz pisać dla Holistic? Czekamy na Ciebie!

rekrutacja@holistic.news

# Odczarować słowo „polityka”

## ZOSTAŁO ONO – NIESTETY! – CAŁKOWICIE ZAWŁASZCZONE PRZEZ... POLITYKÓW

z prof. Jolantą Antas rozmawia Paweł Konar

**PIĘKNE SŁOWO „POLITYKA” ZOSTAŁO SKOMPROMITOWANE DO TEGO STOPNIA, ŻE LUDZIE BRONIĄCY SWOICH PRAW CZY WARTOŚCI OD NIEGO UCIEKAJĄ. WOLĄ OKREŚLAĆ SIĘ JAKO APOLITYCZNI**

Spotykamy się w pokoiku Katedry Teorii Komunikacji na Wydziale Polonistyki UJ w Krakowie. Pani profesor przynosi Fraszce miskę z wodą. Kiedy golden retriever kończy pić, kładzie się obok nas i chcąc nie chcąc, słucha, co ludzie mają sobie do powiedzenia. A mówią o polityce, czyli słowie, które oryginalnie znaczyło coś zupełnie innego niż teraz.

**Paweł Konar: Kiedyś słowo „polityka” oznaczało chyba „zachowanie odpowiednie do danej sytuacji”?**

**Prof. Jolanta Antas*:** Mówisz o XVIII-wiecznym znaczeniu „polityczny ś waćpan”, czyli: kulturalny, dyplomatyczny, negocjujący, no i grzeczny. Zachowanie polityczne, czyli stosowne, na miejscu.

**Kiepsko to przystaje do tego, co czasami oglądamy obecnie na mównicy sejmowej...**

No właśnie, odwróciliśmy kota ogonem. Myślę, że to było trochę przesycone, ta stosowność polityczna. Może polityczna poprawność została przerysowana.

**Obecność silnego zakazu prowokuje do jego złamania?**

Tak. Teraz istnieje pokusa, żeby tę polityczną poprawność gwałcić. Inna sprawa, jak dowodzi pragmatyka grzeczności, im struktura wyrażenia jest grzeczniejsza, tym jest dłuższa. Przykład: „odbierz telefon”, następnie „proszę, odbierz telefon”, dalej „czy mógłbyś odebrać telefon” i w końcu „byłabym ci bardzo zobowiązana,

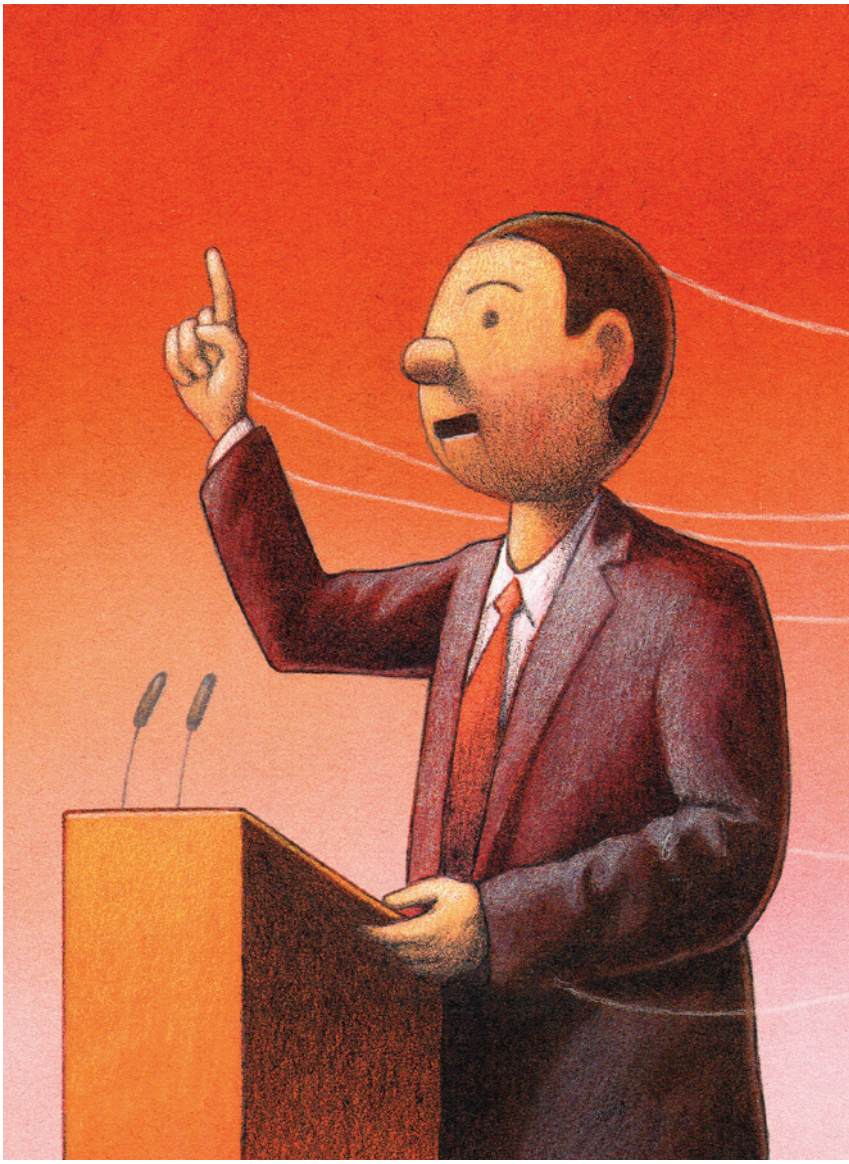

PAWEŁ KUCZYŃSKI „MARIONETKA”

gdybyś odebrał telefon"… tymczasem telefon już przestał dzwonić. Czyli przesadziliśmy z grzecznością i ona przesłoniła meritum sprawy. Hiperpoprawność polityczna sprawia, że nie można wyrazić swojego poglądu. To trochę paradoksalnie nawiązuje do starszego znaczenia słowa „polityczny", czyli „grzeczny".

(Fraszka wstaje, możliwe, że na znak aprobaty.)

**Polityka jest rozumiana na wiele sposobów, jako słowa często się jej nadużywa, co może prowadzić do wytarcia sensu, tego, że staje się ono semantycznie puste. Stąd z kolei prosta droga do ludzkiej bierności, wynikającej z niedostrzegania powodów do zaangażowania.**

Też nad tym się zastanawiałam. Na mnie przekonująco działa to, co powiedziała tutaj kiedyś nasza koleżanka, że ona nie chce się angażować politycznie, bo nie chce się kłócić z najbliższymi. Piękne słowo zostało sprowadzone do poziomu rodzinnej kłótni, tego, że jeśli przy wspólnym stole podejmiemy tematy polityczne, to awantura i nieprzyjemna atmosfera są gwarantowane. Myślę, że zrobiono to celowo.

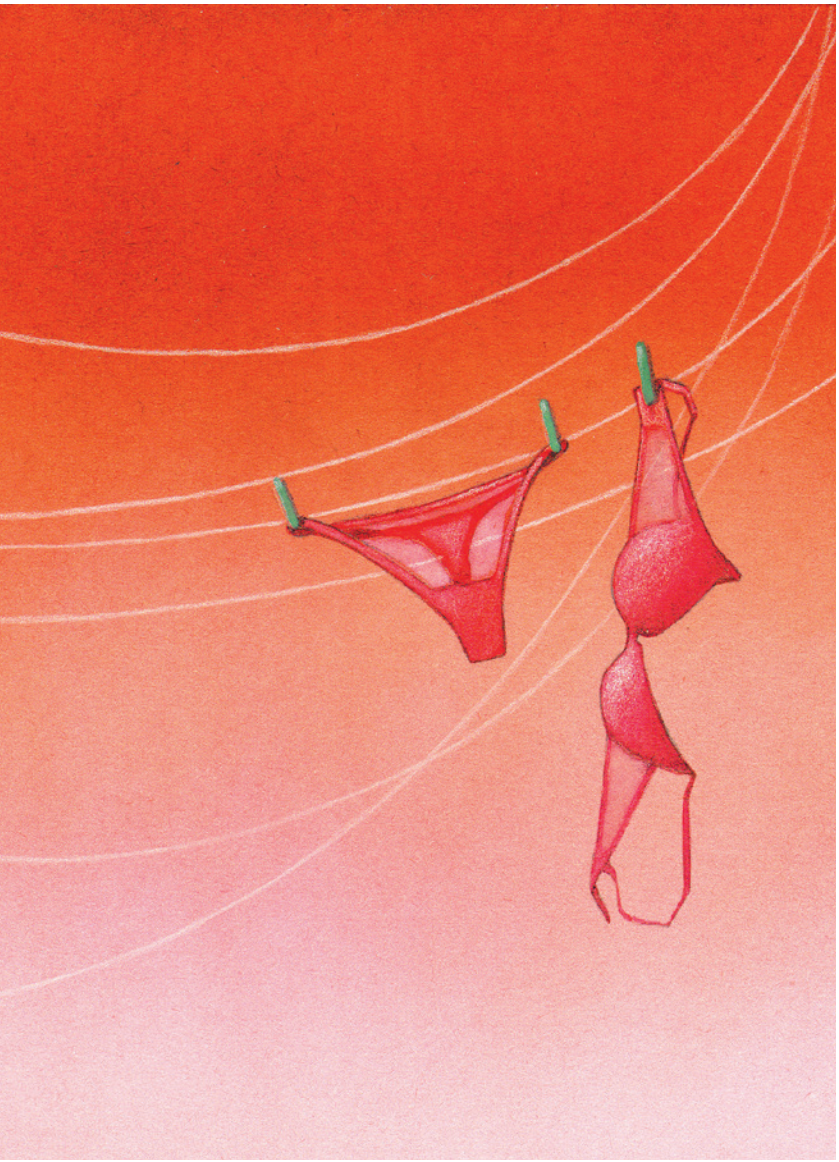

Jarosław Kaczyński wprowadził dyskurs typu „my – oni", „dzielić" i w związku z tym zaczęto kojarzyć słowo „polityczny" z koniecznym opowiedzeniem się po którejś ze stron. Nie z postawą światopoglądową czy obywatelską, tylko dyktatem zadeklarowania poparcia dla którejś z opcji na scenie politycznej, przyjęciem jakiegoś szyldu. A ja np. nie chcę być kojarzona ani z PO, ani z PiS. Dla mnie postawa polityczna to wyznawanie przez obywatela żyjącego w państwie jakiegoś systemu wartości i tego systemu obrona.

Myślę, że właśnie to populistyczne narzucanie szyldów jest przyczyną tego, że szlachetne słowo „polityka" zostało zniszczone. Opcje polityczne przecież są chwilowe, a sama polityka wieczna.

**Da się być niepolitycznym w sytuacji, gdy zabieramy głos publicznie?**

Myślę, że nie. Coś dziwnego się porobiło, bo słowo „polityka" zostało zarezerwowane dla działalności stricte politycznej. Każda aktywność publiczna wiąże się z opowiedzeniem się za jakąś wizją.

Tymczasem trzeba odróżnić postawę polityczną od zaangażowania politycznego. Jeżeli człowiek np. chce poprawić sytuację zwierząt na wsi, zdjąć psom łańcuchy, to też jest postawa polityczna, bo on opowiada się za jakąś humanistyczną wizją stosunku ludzi do zwierząt. Dopiero jeżeli postanawia działać w tym kierunku, staje się działaczem politycznym.

**Czyli światopogląd jest rodzajem politycznego potencjału, który zostaje w pełni uwolniony w działaniu?**

Zgodnie z myślą Arystotelesa ludzie są zdolni i zdatni do życia w państwie. Jeżeli mam wizję państwa, to już jest to jakaś postawa polityczna. Nawet jak zaczynam postępować zgodnie z regułami już istniejącymi w państwie, to według mnie jest to wyraz postawy politycznej.

**Czy pani profesor widzi jakiś sposób na przywrócenie dawnego etosu polityki– arystotelesowskiego, czyli działania w imię dobra wspólnego? Na wyzwolenie się od partyjnych szyldów?**

Trzeba spróbować przebić się z oddolną, obywatelską definicją. Sprzeciwić się odwracaniu znaczeń. Krzyczeć, że polityczny to jest człowiek, który ma świadomość społeczną (nawet gdy objawia się ona czymś tak prozaicznym, jak sprzątanie kup po towarzyszącym mu psie), jest refleksyjny światopoglądowo.

(Fraszka się ożywiła, jakby coś ją dotknęło)

>>

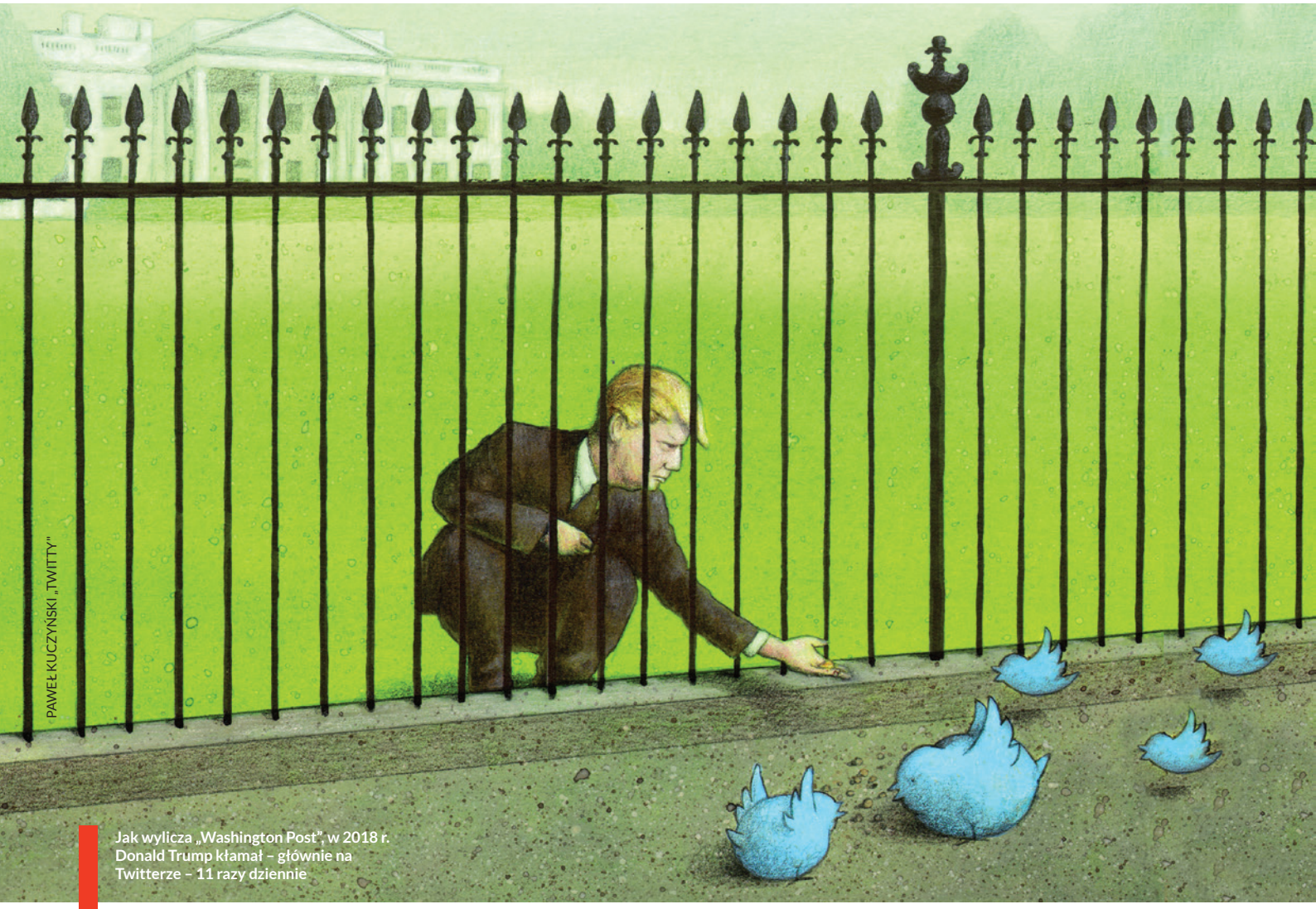


Jak wylicza „Washington Post", w 2018 r. Donald Trump kłamał – głównie na Twitterze – 11 razy dziennie

**Zauważyłem też inne, drobniejsze przesunięcia, np. mianem lewaka bywa określana każda osoba o poglądach lewicowych, niezależnie od stopnia radykalizmu.**

Nie tylko lewicowych, ale i liberalnych. To wielka redukcja. Przecież „lewak" to orientacja skrajnie lewicowa, można rzec bojówkarska. Gdzie mamy tego przykłady? Jeśli znajduję takie zachowania, to po prawej stronie, np. rzucanie racami i tego typu rzeczy. Mnie to osobiście bardzo boli. Niedawno wyrobiłam sobie legitymację człowieka represjonowanego w czasach komunistycznych. Kiedy wychodzę na różne marsze w obronie mojego systemu wartości, to jestem obrzucana hasłem „Raz sierpem, raz młotem czerwoną hołotę". To jest paradoks. Z paradoksów powinniśmy się śmiać, ale dla mnie one nie są śmieszne, tylko bolesne.

Pozwolisz, że wrócę jeszcze do słów „polityka" i „polityczny". Już Donald Tusk mówił, nie wiem, czy pamiętasz:

**Najbardziej niebezpieczni są ci politycy, którzy zaczynają wierzyć w swoje kłamstwa. Gubią wtedy podwójną świadomość, która cechuje zwykłych kłamców niewierzących w to, co mówią. W przypadku ludzi tak zakłamanych kłamstwo wykryć trudno, bo nie ma zewnętrznych sygnałów**

„Nie róbmy polityki, budujmy drogi". A przecież budowanie dróg to jest polityka! Można podać jeszcze przykład matek protestujących w Sejmie w sprawie swoich niepełnosprawnych dzieci, które to matki jawnie mówią, że to nie jest protest polityczny. Tymczasem to był protest polityczny!

I jeszcze jeden przykład: sędzia Tuleya, krytykujący zmiany w sądownictwie, który mówi: „My się nie bawimy w politykę, my bronimy wartości". Ale przecież obrona wartości to jest właśnie polityka!

**Co jest dokładną przyczyną tej asekuracji?**

Znaczenie słowa „polityczny" zostało nacechowane negatywnie, dlatego ludzie broniący wartości zaczynają od niego uciekać. Mam wrażenie, że obecna władza chce je zawęzić: jeżeli sprzeciwiam się jakimś ustawom PiS, to wtedy jestem polityczna (w bardzo negatywnym sensie), w żadnym innym przypadku – nie. W ten sposób ludzie są zmuszani do deklaracji: „Ja jestem apolityczny".

**A sami wykonują wolę suwerena?**

To też jest paradoks. Słowo „suweren" tradycyjnie oznacza tego, który podczas zagrożenia w państwie prawa buntuje się przeciwko niemu (jak np. podczas rewolucji francuskiej) z jakichś powodów, np. sprzeciwu wobec braku sprawiedliwości. Najświeższy przykład to „żółte kamizelki" we Francji, czyli niższa klasa średnia, która domaga się lepszej jakości życia.

PiS zrobił w dyskursie taki myk semantyczny: ja reprezentuję suwerena, suweren nie respektuje praw, wobec tego ja w imię suwerena łamię prawo. Dali sobie prawo do łamania prawa na mocy suwerena, któremu to suwerenowi przez słowo tak semantycznie przekręcone narzucili konkretne poglądy polityczne, z którymi po głębszym zastanowieniu niekoniecznie się zgodzi.

**Jak obecnie te znaczeniowe manewry ze słowem „polityka" wpływają na inne pojęcia, np. na naród?**

Miałam taką sytuację, że ludzie z KOD zwrócili się do mnie jako do specjalisty od języka, że chcą zrobić happening, w którym chcą pochować w trumnie Trybunał Konstytucyjny i w ten sposób pokazać, że on przestał istnieć. Ja im powiedziałam: „Nie róbcie tego, bo utrwalicie skrypt zdarzenia, że on rzeczywiście umarł i nie ma od tego odwrotu". Zaproponowałam im coś innego, mianowicie żeby napisali hasło „Od dziś Trybunał Konstytucyjny to My, Naród". Zrobili to i po Facebooku popłynęła fala przypuszczeń, że jest to prowokacja ze strony PiS. I to pokazuje, że słowo „naród" też zostało poddane semantycznemu zawłaszczeniu, zostało trwale splecione z konkretną partią polityczną. Ale przypomnijmy, że jeszcze Wałęsa mówił „My, Naród" w Kongresie USA [powtarzając pierwsze słowa preambuły amerykańskiej konstytucji – red.].

**Od zniekształcania znaczeń bardzo blisko do kłamstwa. Jak rozpoznać, że polityk kłamie?**

Nie ma wspaniałego sposobu (śmiech). Można jednak spróbować wyłapać nasilone oznaki kłamania i wtedy kłamca zostanie namierzony. U niesprawnego retora może się nagromadzić dużo takich oznak. Jednak najbardziej niebezpieczni są ci, którzy zaczynają wierzyć w swoje kłamstwa i stają się ludźmi (w tym przypadku politykami) zakłamanymi. Kłamca notoryczny może stać się człowiekiem zakłamanym. Zakłamując się, gubi „podwójną świadomość", która cechuje zwykłych kłamców, niewierzących w to, co mówią. W takiej sytuacji kłamstwo wykryć bardzo trudno, bo nie ma zewnętrznych sygnałów.

**Jakie sygnały występują u kłamców, którzy jeszcze zdają sobie sprawę z tego, że kłamią?**

Pojawiają się one głównie w sferze pozawerbalnej, gestycznej, ale w werbalnej też. Na poziomie mowy słowami kłamca dystansuje się od tego, o czym mówi, uogólnia, zamiast mówić podmiotowo. Na poziomie mowy ciała – kłamca nie gestykuluje albo zaburzona jest proporcja pomiędzy gestami narracyjnymi (obrazującymi myśli) a adaptacyjnymi (mającymi na celu oswojenie sytuacji, np. samogłaskanie, wieżyczki z palców, wspieranie się). Ze względu na to, że kłamanie stresuje, więcej jest tych drugich, które nie są związane ze znaczeniem wypowiedzi słownej, tylko z próbą poprawy komfortu psychicznego.

**Gdzie leży granica kłamstwa w sferze polityki?**

Absurd jest tą granicą. Pamiętam, że jak w czasach komunistycznych rosły ceny towarów, to rząd z otwartą przyłbicą głosił, że są one stabilne. Jawne przekroczenie granicy spowoduje opór, ale już bez baloników. Prosty człowiek, który do tej pory uważał się za „apolitycznego", musi zrozumieć, że jest oszukiwany, bo zabiera mu się znaczenia słów.

(Fraszka delikatnie, jak na możliwości swojej postury, sugeruje, że nadeszła pora na spacer). ◎

* PROF. JOLANTA ANTAS KIERUJE KATEDRĄ TEORII KOMUNIKACJI NA WYDZIALE POLONISTYKI UNIWERSYTETU JAGIELLOŃSKIEGO. ZAJMUJE SIĘ M.IN. TEORIĄ JĘZYKA, SEMANTYKĄ I PRAGMATYKĄ JĘZYKOWĄ I BADANIEM GESTÓW. W LATACH PRL DZIAŁAŁA W OPOZYCJI DEMOKRATYCZNEJ.

STR/EAST NEWS

Turniej szachowy w mieście Shenyang w północno-wschodnich Chinach, kwiecień 2017 r.

# Czy Azjaci umieją myśleć?

## PIĘĆ WIEKÓW DOMINACJI ZACHODU DOBIEGA KOŃCA. AZJA NAS DOGANIA I MOŻEMY SIĘ OD NIEJ WIELE NAUCZYĆ

**Andrew Sheng**

Ostatnie dekady przyniosły zwątpienie w zachodnie idee i wartości. Kryzys gospodarczy na własne życzenie, rosnące nierówności, Donald Trump. Może czas na refleksję i spojrzenie na Azję, która rozwija się w niesamowitym tempie? Może tam są jakieś ważne, uniwersalne idee?

W 1998 r., kiedy Chiny wkraczały na ścieżkę szybkiego wzrostu, singapurski filozof i dyplomata Kishore Mahbubani rozpętał burzę książką *Can Asians Think?* (*Czy Azjaci potrafią myśleć?*).

Dwadzieścia lat później, gdy Azja stała się filarem globalnej gospodarki, a Chiny konkurują ze Stanami Zjednoczonymi o hegemonię w rejonie Azji i Pacyfiku czy wręcz o światowe przywództwo, pytanie prowokacyjnie postawione przez Mahbubaniego rezonuje na nowo i nabiera głębszego sensu.

WOJCIECH STRÓŻYK/REPORTER

Francis Fukuyama – fałszywy prorok, który po upadku komunizmu zapowiadał „koniec historii"

Oczywiście Mahbubani nie zastanawiał się nad tym, czy Azjatom brakuje zdolności poznawczych typowych dla innych ludzi. Raczej stawiał pytanie, czy Azja – region obejmujący bardzo różne kraje, od Japonii do Singapuru – posiada własne, spójne idee i tradycje, odrębne od tych, które wypracowano na Zachodzie. Czy zatem istnieją jakieś oryginalne azjatyckie wartości? Czy ich zbadanie i zrozumienie wyjaśni nam, dlaczego ten region świata tak szybko się rozwija?

Niektórzy na pytanie Mahbubaniego odpowiadali, że główne azjatyckie wartości, czyli ciężka praca, pragmatyzm i rodzina, wcale nie są charakterystyczne wyłącznie dla Azji. Z kolei inni utrzymywali, że azjatyckie wartości są nie tylko wyjątkowe, ale wręcz lepsze od zachodnich.

Mahbubani zgodził się, że Azja posiada własne wartości i tradycje intelektualne, które – jego zdaniem – zasługują przynajmniej na taką samą uwagę, jaka okazywana jest tradycjom zachodnim. I to wcale nie tylko dlatego, że zachodnie idee i kultura przyniosły – mówiąc oględnie – bardzo mieszane rezultaty. Kiedy Mahbubani publikował swoją książkę, azjatycki kryzys finansowy 1997 r. zdziesiątkował wiele gospodarek regionu i to dlatego, że – jak twierdziło wielu Azjatów – pochopnie przyjęli zachodni model organizowania finansów i gospodarki.

Teraz, czyli 20 lat po głosie Mahbubaniego w „debacie o azjatyckich wartościach", kwestia intelektualnej odrębności i wagi Azji znowu jest dyskutowana – dzięki asertywnemu przywództwu chińskiego prezydenta Xi Jinpinga i premiera Indii Narendry Modiego.

Warto zadać sobie trzy pytania. Czego uczy debata o azjatyckich wartościach? Czego w niej brakuje? Czy może być produktywna?

### RZEKOMY TRIUMF ZACHODU

Książka Mahbubaniego była jaskrawym przeciwieństwem innej – *Końca historii* Francisa Fukuyamy – która pojawiła się pięć lat wcześniej i wywołała jeszcze większy rozgłos. Fukuyama twierdził, że po upadku komunizmu nic już nie zagraża liberalnej demokracji i kapitalistycznemu wolnemu rynkowi [czyli zdobyczom cywilizacji zachodniej – red.]. Nie ma takiego ustroju, argumentował, który mógłby stać się wyzwaniem dla demokratycznego kapitalizmu wraz z jego wolnością polityczną i dobrobytem gospodarczym.

Przez chwilę wydawało się, że przepowiednia Fukuyamy może się ziścić. Byłe kraje komunistyczne Europy Środkowej i Wschodniej budowały demokrację i wolny rynek. Nawet „reformy i otwarcie na świat" Deng Xiaopinga wydawały się przecierać drogę [Chinom] do otwarcia na demokrację. Bez względu na to, czy historia się „skończyła", czy nie, świat demokratyczny i kapitalistyczny wydawał się takim, do którego zapisać się chcieli wszyscy.

Wydawało się, przynajmniej na początku, że azjatycki kryzys finansowy umocni tę narrację. Dotknął on bowiem kraje uważane za przykład spektakularnego sukcesu, a zatem poniekąd dyskredytował „azjatycki sposób działania".

Ale kiedy niektóre kraje, jak Malezja, odrzuciły kurację zaproponowaną przez Międzynarodowy Fundusz Walutowy i wyszły z kryzysu znacznie szybciej niż gospodarki stosujące lekarstwa zaaplikowane przez Fundusz, w regionie coraz częściej zaczęto podawać w wątpliwość „zachodnią mądrość". Okazało się, że zachodnie idee wcale nie zawsze wygrywają.

>>

AFP/EAST NEWS

**Konfucjusz, chiński filozof sprzed 2500 lat, którego myśli do dzisiaj siedzą w głowach setek milionów ludzi**

EAST NEWS

Dziesięć lat po ukazaniu się książki Mahbubaniego nastąpiła nieoczekiwana zmiana miejsc. Stany Zjednoczone i Europa pogrążyły się w kryzysie, które same wywowały; tak poważnym, że uderzył w większą część światowej gospodarki. Ku rozgoryczeniu rządów krajów azjatyckich, które zdecydowały się na bolesną terapię głównie dlatego, aby się na takie epizody uodpornić.

Wydaje się, że u podstaw kryzysu 2008 r.leżało nic innego, jak ideowy mętlik. Parafrazując noblowski wykład Friedricha von Hayeka: „doskonałość" modeli ekonomicznych, na podstawie których przewidywaliśmy przyszłość, okazała się tylko „pozorem". Zachodnia myśl ekonomiczna okazała się być niczym król z baśni Andersena, który – chociaż może jeszcze nie do końca nagi – jest już w dużym stopniu rozebrany.

## PRAWDZIWA KOMPROMITACJA ZACHODU

Konsekwencje tej szarady były bardzo poważne: utracona dekada wzrostu i stagnacja, w czasie której zachodnie państwa zakumulowały potężne zadłużenie, a banki centralne nadwyrężały bilans, sięgając po eksperymenty takie jak poluzowanie polityki pieniężnej (ang. *quantitative easing*). Jednocześnie nasiliły się takie zjawiska, jak nierówności ekonomiczne, wrażliwość systemowa oraz polaryzacja polityczna. Efekt? Azja zwątpiła już nie tylko w zachodnie idee, ale także w zachodnie przywództwo.

Rosnące przekonanie, że klęskę poniósł model wolnorynkowy oraz politycy głównego nurtu, którzy byli jego orędownikami, podsycało nastroje antyliberalne i przetarło drogę autokratycznym rządom na Węgrzech, w Polsce, Turcji i innych krajach. Nawet Ameryka – wzorzec zachodniej demokracji i kapitalizmu – popłynęła z nurtem zmian, czego egzemplifikacją było zwycięstwo Donalda Trumpa, który głosił protekcjonizm (zamiast wolnego rynku) i zaatakował – przynajmniej retorycznie – system kontroli i równowagi leżący u podstaw amerykańskiej demokracji.

Nic zatem dziwnego, że w Azji rośnie sceptycyzm względem „zachodnich idei". W Chinach rząd pilnuje, aby w szkołach i na uniwersytetach więcej uwagi poświęcano myśli i filozofii chińskiej (to reforma, która wpisuje się w dążenia do umocnienia intelektualnego i politycznego mandatu rządzących). Inne kraje azjatyckie, jak Korea Południowa i Indie, również starają się promować własne tradycje intelektualne, które – nawet jeśli bezpośrednio nie rywalizują z ideami zachodnimi – to przynajmniej są równoprawnymi narzędziami analitycznymi pozwalającymi na zrozumienie świata.

## NIE MA POMYSŁÓW

Warto zauważyć, że ani Fukuyama, ani podobni mu teoretycy demokracji, nigdy nie byli ślepymi wyznawcami zachodnich wartości, za jakich wielu chciałoby ich uważać. Wręcz przeciwnie – Fukuyama przyznał, że w przypadku wielu krajów dominujący zachodni system liberalno-demokratyczny nie był ani nieunikniony, ani uniwersalny, tzn. sprawdzający się wszędzie i w każdych warunkach.

W swojej książce *Ład polityczny i polityczny regres* (ang. *Political Order and Political Decay: From the Industrial Revolution to the Globalization of Democracy*) Fukuyama poszedł jeszcze dalej, przyznając, iż ostatnie doświadczenia Chin pokazują, że „w niektórych przypadkach rządy autorytarne mogą skuteczniej zerwać z przeszłością niż rządy demokratyczne".

Jak podkreśla Robert Skidelsky z Warwick University, podstawowym problemem zachodniego myślenia o ekonomii jest jego intelektualna jałowość. Jest ona zjawiskiem nowym. Wielki Kryzys lat 30. ubiegłego wieku, zauważa Skidelsky, zrodził keynesizm. Stagflacja (stagnacja + inflacja) lat 70. przyniosła monetaryzm Miltona Friedmana, który zrewolucjonizował podejście rządów do planowania. Ale teraz, choć od początku Wielkiej Recesji minęło już dobrych parę lat, w głównym nurcie zachodniej myśli ekonomicznej wciąż nie widać żadnych nowych, przełomowych idei.

Podczas gdy Zachód się szamoce, Azja kontynuuje marsz do przodu – w ciągu ostatnich 15 lat Chiny, Indie i kraje Azji Południowo-Wschodniej wypracowały 63 proc. wzrostu światowego PKB oraz ponad połowę nowej konsumpcji.

Kraje, które Fareed Zakaria nazwał kiedyś „resztą", są teraz na dobrej drodze, aby przegonić Zachód w produkcji przemysłowej, konsumpcji i oszczędności.

Skoro tak, to wzrostu gospodarczego Azji nie da się wyjaśnić jako „efektu wschodzących gospodarek szybko odrabiających dystans dzielący je od krajów rozwiniętych".

**Podczas gdy Zachód się szamoce, Azja kontynuuje marsz do przodu - w ciągu ostatnich 15 lat Chiny, Indie i kraje Azji Południowo-Wschodniej wypracowały 63 proc. wzrostu globalnej gospodarki**

Hamid Dabashi stawia tezę znacznie mocniejszą: kraje azjatyckie – po stuleciach dominacji Zachodu – wreszcie zdają się funkcjonować zgodnie z własnymi ideami i wartościami. W książce *Can Non-Europeans Think?* (*Czy nie-Europejczycy umieją myśleć?*) – tytuł nieprzypadkowo nawiązuje do Mahbubaniego - Dabashi twierdzi, że problem nigdy nie polegał na tym, że „reszta" nie miała własnych idei i wartości, ale raczej na tym, że były one marginalizowane i ignorowane.

Dabashi przypomina *Orientalizm*, słynną książkę Edwarda Saida, nieżyjącego już profesora Columbia University, która pokazuje, jak Zachód protekcjonalnie traktował Wschód – jako region mniej rozwiniętych, mniej racjonalnych i, co za tym idzie, gorszych społeczeństw. A ponieważ ich myślenie i osiągnięcia postrzegane były jako mniej wartościowe – mające zastosowanie najwyżej lokalnie, ale nie uniwersalnie – intelektualiści spoza Zachodu daremnie walczyli o szansę na równoprawną debatę ze swoimi zachodnimi kolegami.

Dopiero teraz znika onieśmielenie,

LIUXIAO/EAST NEWS

**60-letnia Wang Qingxia produkuje papier tą samą techniką, którą wymyślili chińscy wynalazcy 1900 lat temu. Longting, prowincja Shaanxi**

jakie kiedyś mogli odczuwać myśliciele spoza Zachodu – wraz ze zdemaskowaniem wad zachodnich idei i modeli. Jeszcze bardziej autorytet Zachodu podkopują wojny z faktami, ze zdrowym rozsądkiem i z nauką podejmowane przez Trumpa i jemu podobnych. Pozostaje tylko pytanie, czy uczeni spoza Zachodu będą w stanie wykorzystać tę szansę i rozszerzyć wpływy własnych idei i wartości.

## ANTYCHIŃSKIE FOBIE

Dla azjatyckich myślicieli podstawowym wyzwaniem będzie pokonanie zachodnich uprzedzeń. Anglojęzyczni wydawcy wciąż promują analizę globalnych problemów z perspektywy eurocentrycznej. Przykład? Istnieje wiele wartościowych książek o Chinach, zwłaszcza autorstwa chińskich uczonych – jak Yasheng Huang i Minxin Pei, którzy mieszkają i pracują na Zachodzie. Ale w publikacjach dominują prace powtarzające antychińskie fobie i przepowiadające rzekomo nadciągający kryzys lub upadek Chin.

Myśliciele spoza Zachodu często nie są nawet tłumaczeni na języki europejskie, chociaż zapoznanie się z Konfucjuszem, Mencjuszem czy Han Feizi na pewno pomogłoby Europejczykom i Amerykanom lepiej zrozumieć chińskich partnerów biznesowych i politycznych. Zważywszy na deficyt prac z Dalekiego Wschodu w zachodnich planach wydawniczych, polemika z zachodnimi ideami dociera na Zachód dzięki anglojęzycznym publikacjom w Indiach.

Na przykład książka historyka Pankaja Mishry z 2012 roku *From the Ruins of Empire* (*Na ruinach imperium*) pokazuje, w jaki sposób dwudziestowieczni azjatyccy intelektualiści – jak Gandhi, Kang Youwei czy Mohamed Abduh – zostali zmuszeni do przeformułowania swoich tradycji – hinduskich, konfucjańskich i islamskich – pod presją zachodnich wartości.

Aby powiększyć zasięg azjatyckich idei i azjatyckiego punktu widzenia, myśliciele spoza Zachodu muszą – podając dobrze przemyślane i mocne argumenty – udowodnić ich znaczenie, oryginalność oraz uniwersalność. Mogą to zrobić w sposób opisany przez Mishrę, czyli sięgając po eurocentryczną perspektywę. Albo, przeciwnie, całkowicie ją odrzucić. Trzecia droga to próba połączenia recept zachodnich i wschodnich, żeby wypracować uniwersalną metodę analizy. Niezależnie od tego, co wybiorą, azjatyckie idee – dotąd definiowane i znane z lokalnej perspektywy – będą musiały zostać objaśnione na nowo, w sposób zrozumiały dla laików. Co – niestety – łatwiej powiedzieć, niż zrobić.

## ZROZUMIEĆ HARMONIĘ

Wyzwanie to doskonale pokazuje indyjski Rajiv Malhotra w wydanej w 2011 r. książce *Being Different: An Indian Challenge to Western Universalism* (*Bycie innym: indyjskie wyzwanie dla zachodniego uniwersalizmu*). Nikt nie ma wątpliwości, że Indie różnią się od Zachodu. Ale, jak zapewnia Malhotra, żeby w pełni zrozumieć tę różnicę potrzebne jest bezpośrednie wzajemne zaangażowanie (*purva paksha*), a także otwarcie na „harmonijne podejście do rozwoju społecznego i duchowego", co jest możliwe dopiero po zrozumieniu i zaakceptowaniu koncepcji Dharmy obecnej w naj-

ważniejszych religiach Indii. Dla chińskiego czytelnika nie będzie to trudne, ponieważ Dharma przypomina nieco koncepcję Tao znaną z tradycyjnej chińskiej filozofii. Ale zachodni naukowiec może mieć problem ze zrozumieniem tej koncepcji, która wymyka się prostym, jasnym definicjom. A nawet jeśli zrozumie, to trudno mu będzie zaakceptować Dharmę lub Tao jako punkt wyjścia czy fundament do dalszych rozważań. Choćby dlatego, że żadna z tych koncepcji nie może być ani naukowo zbadana, ani empirycznie zweryfikowana.

Kolejnym wyzwaniem dla myślicieli spoza Zachodu będzie synteza ich idei – zwłaszcza intelektualnych cegiełek składających się na chiński cud gospodarczy – w pakiet mogący rywalizować z Konsensusem Waszyngtońskim, czyli zbiorem reguł stworzonych i promowanych przez Bank Światowy, Międzynarodowy Fundusz Walutowy i amerykański Departament Skarbu.

Bo teraz, chociaż miliony Chińczyków mogą się pochwalić zachodnim wykształceniem, nie istnieje żadna spójna lub przekonująca chińska analiza, która wyjaśniałaby przyczyny sukcesu gospodarczego tego kraju. A przy braku „Konsensusu Pekińskiego" zachodnim analitykom łatwo bagatelizować chińskie doświadczenia, uznając je za idiosynkratyczne i tym samym niemożliwe do szerszego zastosowania.

## RÓŻNORODNOŚĆ KLUCZEM DO SUKCESU

Biorąc pod uwagę bariery koncepcyjne oraz naturalny opór przez nieznanym i niezrozumianym, przekonanie Zachodu, że „reszta" też ma coś do zaoferowania, nie będzie łatwe.

Jak na razie najbardziej skutecznym sposobem na przebicie się azjatyckich idei i wartości wydają się azjatyckie sukcesy gospodarcze i polityczne. Na przykład przyjęcie przez Indie jednolitego, cyfrowego numeru tożsamości (zwanego Aadhaar) może w dużo większym stopniu wspierać likwidację barier społecznych i otwarcie szans dla wszystkich obywateli niż jakakolwiek publikacja akademicka.

Jednak w dłuższej perspektywie myśliciele spoza Zachodu będą musieli przetłumaczyć swoje idee na testowalne modele i teorie. Biorąc pod uwagę złożoność i wzajemne powiązania między istniejącymi systemami, jest prawdopodobne, że takiej pracy nie uda się wykonać jednej osobie pokroju Johna Maynarda Keynesa czy Miltona Friedmana. Będzie to raczej praca zespołowa oparta na dzieleniu się wiedzą.

Pomocna może się tu okazać chińska tradycja tworzenia „encyklopedii" każdej dynastii.

W biznesie jest tak, że większa różnorodność prowadzi do większego sukcesu. Odmienne perspektywy, które wnoszą poszczególni gracze – a nawet pewien dyskomfort wywoływany przez te różnice – napędzają innowację. Kiedy świat stara się naprawić problemy zrodzone z zachodniego podejścia do wzrostu i rozwoju – czyli nierówności i społeczną frustrację – potrzebne są właśnie przełomowe rozwiązania czerpiące z różnorodności.

Zachód już powiedział to, co miał do powiedzenia. Teraz pora na resztę.

© Project Syndicate, 2019

EAST NEWS

**Pekin, czerwiec 2018 r. Delegaci na Krajowy Zjazd Młodzieży śpiewają hymn państwowy**

BRENDAN MCDERMID/REUTERS/FORUM

# Ład przestrzenny, głupcze!

## BRAKUJE WSPÓLNEGO DZIAŁANIA NA RZECZ PRZESTRZENI PUBLICZNEJ

z prof. Aleksandrem Böhmem rozmawia Katarzyna Domagała

The High Line, czyli długi na dwa kilometry deptak na Manhattanie stworzony na dawnej kolejowej estakadzie

**O ŁADZIE PRZESTRZENNYM POWINNO SIĘ MÓWIĆ W SZKOŁACH, DOMACH I KOŚCIOŁACH, BY LUDZIE POCZULI CHĘĆ DO DZIAŁANIA NA RZECZ WSPÓLNEJ PRZESTRZENI" – MÓWI PROF. ALEKSANDER BÖHM, SPECJALISTA OD ARCHITEKTURY KRAJOBRAZU**

**Katarzyna Domagała: Czy ład przestrzenny jest nam potrzebny do szczęścia?**

**Prof. Aleksander Böhm*:** Prawdopodobnie tak. Każdy ma w sobie naturalną cechę, która nazywa się kalotropizm. Ona silnie oddziałuje na nasze postrzeganie świata.

**Na czym ta siła polega?**

Kalotropizm to nic innego, jak skłonność do piękna: odczuwania, tworzenia, zachwytu nad pięknem. Każdy z nas tego potrzebuje. W przestrzeni, która jest dobrze zorganizowana, bogata w elementy piękne, które pielęgnują poczucie estetyki, czujemy się szczęśliwsi – co istotne – potwierdzają to badania naukowe. Mało tego, jesteśmy zdrowsi!

**Psychicznie?**

Nie tylko. Najnowsze badania niemieckich naukowców dowodzą, że osoby chore, które przebywają w salach z oknami wychodzącymi na las lub park, szybciej dochodzą do zdrowia. To jest kwestia obiektywna, którą w jakiś sposób można zbadać, zmierzyć i wykorzystać jako argument, na przykład podczas tworzenia planu zagospodarowania zieleni w mieście. W tym sensie ład przestrzenny sprzyja zdrowiu.

Poza tym on się po prostu opłaca. Nieruchomość w otoczeniu, które jest dobrze zaprojektowane, jest bardziej atrakcyjna z punktu widzenia potencjalnego kupca – lepiej się sprzedaje.

SUSE MULTHAUPT/LAIF/FORUM

**A co w przypadku, kiedy ktoś kupił mieszkanie z widokiem na las, który potem został wycięty?**

To niebezpieczeństwo, które doprowadziło w tzw. cywilizowanym świecie do powstania systemu planowania przestrzennego. A zaczęło się w USA, gdzie zoning (strefowanie) oraz prawo własności są rękojmią, by uznać, że do tego, co moje, nikt nie może się wtrącać. W Polsce nazywamy to prawem lokalnym.

**Co daje ono potencjalnym kupcom nieruchomości?**

Na jego zasadach konkretna społeczność podejmuje decyzje dotyczące planów miejscowego zagospodarowania terenu, jaki zamieszkuje. Znając taki plan, wiemy, że kupione mieszkanie w przyszłości pozostanie takie, jak w dniu zakupu. Albo przeciwnie. Ale mamy świadomość, nie kupujemy kota w worku.

**Plany powinny dawać pewność, ale nie dają?**

Teoretycznie dają, jednak w praktyce wygląda to trochę inaczej, bo w Polsce gminy nie mają obowiązku tworzenia planu miejscowego! Oznacza to, że gmina może go przygotować, ale nie musi, co w wielu krajach europejskich jest nie do pomyślenia.

**Czyli w Polsce panuje dzikie budownictwo?**

Niestety, około 65, może nawet 70 proc. powierzchni Polski jest zabudowywane bez planu miejscowego.

**A na podstawie czego?**

Na podstawie ułomnej procedury, nazywanej slangowo „wuzetka". Krótko mówiąc: wuzetka stosowana jest tam, gdzie nie ma jeszcze planów. Pocieszające jest jednak to, że ewidentnie maleje powierzchnia takich terenów. Zaczynamy się powoli uczyć, że ład jest lepszy niż bałagan.

**Ale kto odpowiada za to, żeby ład utrzymać?**

Każdy z nas ma obowiązek dbania o przestrzeń, w której żyjemy, ponieważ to nasze wspólne dobro. Tyle że to nie

Gmach opery w Oslo, który zdobył Nagrodę Unii Europejskiej w konkursie architektury współczesnej im. Miesa van der Rohe

jest proste zadanie, bo – jak większość rzeczy na świecie – uzależnione jest od pieniądza. Przecież ktoś to wszystko musi zaprojektować, wykonać i sfinansować. Dobry budżet, plan oraz wykonanie to klucze do stworzenia zorganizowanej przestrzeni publicznej. A potem powinniśmy ją pielęgnować.

**Dobrze się wywiązujemy z tego obywatelskiego obowiązku?**

Niestety, nie za bardzo. Myślę, że dzisiaj o naszą wspólną przestrzeń lepiej dbają deweloperzy niż władze. Mają tę przewagę, że doskonale wyczuwają potrzeby współczesnego człowieka. Starają się zatem zaspokoić oczekiwania klienta, oferując mu coraz bardziej efektowne projekty krajobrazu zewnętrznego, czyli tak zwanego outdooru. Zauważam jednak pewne zmiany w polskiej przestrzeni miejskiej, które napawają optymizmem.

**Jakie?**

Dawniej bardzo widoczny był ogromny kontrast między standardem estetyki piękna lansowanego w Wiedniu, na przykład na wystawach markowych sklepów, a tym, które na co dzień widzieliśmy w Polsce. W tej chwili nasze miejskie ulice mniej różnią się od wiedeńskich. Ale wciąż mamy spore zaległości. Mamy tendencję do zaniedbywania wspólnych dóbr, m.in. ładu przestrzennego. W wielu krajach zachodnich był czas, żeby społeczeństwo dojrzało. My mieliśmy pecha, bo wciąż byliśmy w niedoczasie.

**Dlaczego?**

Mamy do czynienia ze zjawiskiem, które jest de facto reakcją na pięćdziesięcioletni brak partycypacji społecznej w czasach PRL. Po 1989 r. nieustannie realizowano bardziej pilne potrzeby, które spychały na dalszy plan dbanie m.in. o ład przestrzenny.

**Może uratują nas artyści? W Krakowie i Poznaniu władze miejskie zleciły im stworzenie murali.**

Malarstwo wielkoformatowe jest dzisiaj na topie, więc i władze chętnie się nim zainteresowały. Powiem tak: lepiej, że włodarze interesują się sztuką na fali tego zjawiska

niż, żeby byli obojętni wobec głosu artystów, szczególnie że w pewnym stopniu reprezentują oni społeczeństwo.

**Są też oddolne inicjatywy rewitalizacji postindustrialnych obszarów miast.**

Wciąż są to pojedyncze przypadki.

**W takim razie jak zmotywować ludzi do działania?**

Myślę, że potrzebny jest odpowiedni kapitał, nawet nie tyle finansowy, co właśnie społeczny. I edukacja. Dopóki nie zaczniemy być świadomi skutków naszego postępowania w przestrzeni miejskiej (np. śmiecenia), dopóki nie będzie społecznej samokontroli, dopóty nie będziemy odczuwać mobilizacji, żeby o nią dbać. Tylko że takie działania trudno zadekretować, to proces stopniowego dojrzewania. Na przykład w Szwajcarii, jeśli ktoś zobaczy, że z chodnika wystaje kamień, to postara się go z powrotem wepchnąć, żeby nikt się o niego nie potknął. W Polsce nie jesteśmy nauczeni takiego zachowania.

**I jak mamy się nauczyć?**

O ładzie przestrzennym powinno mówić się w szkołach, domach, kościołach i innych miejscach, które mają wpływ na nasze zachowanie. Z tym że takie procesy powinny być delikatnie stymulowane, a nie odgórnie narzucone. Chodzi o to, by ludzie poczuli chęć działania na rzecz przestrzeni, w której żyją.

**Ma pan jakiś konkretny pomysł?**

Mnie szalenie podobają się obrazki dzieci zbierających śmieci i jednocześnie uczących rodziców, który rodzaj powinien wylądować w konkretnym kontenerze, bo tego dowiedziały się w szkole. Bardzo istotne jest, aby społeczną edukację – nie tylko w kwestii dbania o ład przestrzenny – zaczynać od najmłodszego pokolenia. Ale trzeba też, mówiąc z innej beczki, przywrócić zawód urbanisty.

**W Polsce gminy nie mają obowiązku tworzenia planów miejscowych. W efekcie aż dwie trzecie powierzchni kraju nie jest nimi objęte**

**Który, przypomnijmy, został zniesiony w 2014 r. przez ówczesny rząd…**

Niestety. Od pięciu lat trwa opracowywanie nowego kodeksu urbanistyczno-budowlanego, który ma na celu przywrócić zawód urbanistów oraz ich uprawnienia. To niezwykle ważne, bo organizacja przestrzeni publicznej powinna być w gestii fachowców! Jednak nadal nie ma dość woli politycznej, żeby ten nowy kodeks został przegłosowany w Sejmie. Dodatkowo zawiera on m.in. obowiązek tworzenia planów miejscowych, bez których nie możemy organizować przestrzeni publicznej na zasadach, które obowiązują większość krajów w Europie. ◎

* PROF. ALEKSANDER BÖHM TO JEDEN Z NAJWYBITNIEJSZYCH ARCHITEKTÓW PRZESTRZENI W POLSCE, WYKŁADA NA UNIWERSYTECIE EKONOMICZNYM W KRAKOWIE

Kompleks Equal Business Park w Krakowie nagrodzony tytułem Atut Krakowa w kategorii na najciekawszy obiekt biurowy

TERESA ŚWITKIEWICZ

TEKST SPONSOROWANY

# Ładniejsza strona budownictwa

## Rozmowa z Marcinem Trzcińskim z firmy Dohal

**Rozmach i śmiałe wizje architektoniczne projektantów są możliwe do osiągnięcia dzięki rozwojowi nowoczesnych materiałów budowlanych. Futurystyczne fasady oraz przeszklenia stanowią wyzwanie dla wykonawców pod względem konstrukcyjnym i logistycznym. Często właśnie od nich w dużym stopniu zależy uzyskanie efektu przewidzianego w projekcie.**

**Jakie technologie najchętniej wybierają inwestorzy?**

Aluminiowo-szklane zabudowy, są doskonałym rozwiązaniem nie tylko na elewacje, ale także do wewnątrz dużych obiektów handlowych czy biurowców. Do ślusarki aluminiowej coraz częściej przekonują się też klienci indywidualni, którym zależy na dużych ciepłych przeszkleniach, czy funkcjonalnych elementach przesuwnych. Osiągnięcie zamierzonych efektów wymaga oczywiście zastosowania odpowiednich materiałów. Niemały wpływ na ostateczny efekt ma dobór systemu profili aluminiowych oraz szkła.

**Co decyduje o tym, że budynek wygląda jak na wizualizacji?**

Pamiętajmy, że projekt architektoniczny i budowlany są dopiero początkiem całego procesu. Na ich podstawie inżynierowie z firmy realizującej fasadę lub wnętrze przygotowują projekt wykonawczy i warsztatowy. W oparciu o ten dokument, następuje obróbka materiałów coraz częściej w technologii CNC. Wymaga to zarówno odpowiedniego parku maszynowego, ale i również, a może i przede wszystkim doświadczonego personelu. O końcowym efekcie decyduje także spójność jakości wykonania – w przypadku biurowca dotyczy to zarówno wspomnianej fasady, przez wewnętrzne przeszklenia boksów biurowych, dedykowane rozwiązania sufitowe, a na detalu i małej architekturze kończąc.

**Jakie realizacje można uznać za szczególnie spektakularne?**

Spektakularne projekty powstają zwykle w wymagających warunkach. Osobiście stosuję zasadę, że tam gdzie jedni widzą problem, my dostrzegamy kolejne wyzwanie. Można wskazać wiele takich realizacji, ale z najświeższych przykładów warto wymienić krakowski Equal Business Park, wrocławski Diamentum Office, czy obenie na ukończeniu, chyba jeden z najładniejszych obiektów, które dotychczas realizowaliśmy – wrocławski Carbon Tower.

**www.dohal.pl**

**tel. : +48 12 654 80 18**
**email: info@dohal.pl**
**ul. Ciepłownicza 54**
**31-587 Kraków**

*na zdjęciu Equal Business Park w Krakowie

MURAPOL

# Kiedy Twoje mieszkanie staje się smart

**EFEKTYWNE ZARZĄDZANIE ENERGIĄ, STEROWANIE OŚWIETLENIEM, OGRZEWANIEM CZY OCHRONA PRZED ZALANIEM MIESZKANIA TO TYLKO NIEKTÓRE Z MOŻLIWOŚCI, JAKIE DAJE HOME MANAGEMENT SYSTEM – AUTORSKI SYSTEM INFRASTRUKTURY TECHNICZNEJ I INSTALACJI, STOSOWANY W NAJNOWSZYCH INWESTYCJACH GRUPY MURAPOL. DZIĘKI TEMU ROZWIĄZANIU KLIENCI GRUPY OTRZYMAJĄ MOŻLIWOŚĆ WYPOSAŻENIA NABYWANYCH LOKALI W INTELIGENTNE ROZWIĄZANIA AUTOMATYKI MIESZKANIOWEJ (SMART HOME) – MURAPOL APPARTME**

## Mocna pozycja rynkowa potwierdzająca zaufanie klientów

Murapol to jeden z czołowych polskich deweloperów mieszkaniowych, od 18 lat realizujący projekty nieruchomościowe na terenie całego kraju. W dotychczasowej działalności Grupa wybudowała ponad 100 inwestycji mieszkaniowych, w których powstało ok. 10 tys. lokali zamieszkałych przez 30 tys. osób. Obecnie w budowie znajduje się ponad 30 kolejnych projektów z ok. 7 tys. mieszkań, powstających zarówno w największych miastach Polski, jak i w mniejszych lokalizacjach tworzących atrakcyjny klimat inwestycyjny.

W 2018 roku Murapol po raz kolejny wypracował jeden z najlepszych na rynku wyników sprzedaży, kontraktując 3 560 mieszkań. Spółka dostarczyła swoim klientom rekordową liczbę 2 593 lokali, odnotowując wzrost o ponad 125 proc. r/r. Na koniec ub.r. Grupa posiadała jeden z największych na rynku aktywnych banków ziemi, który obejmował grunty pod budowę ok. 20,9 tys. lokali mieszkalnych. Taki zasób nieruchomości zapewnia deweloperowi ciągłość działalności eliminując presję nabywania terenów inwestycyjnych po znacznie wyższych obecnie cenach.

## Bogata ogólnopolska oferta mieszkaniowa

Oferta Grupy Murapol dostępna jest dla szerokiego grona klientów, z jednej strony ze względu na strukturę i wielkość mieszkań najchętniej wybieranych przez Polaków, a także z uwagi na dużą dywersyfikację geograficzną mapy inwestycji – 15 miast oraz 2 kolejne, w których spółka przygotowuje pierwsze projekty deweloperskie.

Z początkiem br. Murapol wprowadził do sprzedaży jednego dnia 2 000 mieszkań w powstających na terenie całej Polski 13 projektach inwestycyjnych. Największy wybór otrzymali mieszkańcy Krakowa i Wieliczki, do których zostało skierowanych ok. 560 nowych lokali, powstających w kolejnych etapach dwóch krakowskich inwestycji, a także w podkrakowskiej Wieliczce. O blisko 360 mieszkań Grupa zwiększyła swoją ofertę w Katowicach, a o 275 w Poznaniu, gdzie rozpoczęła komercjalizację nowego projektu realizowanego przy ul. Dymka. 245 nowych lokali trafiło na rynek gdyński, a po ok. 140 zostało skierowanych do wrocławian oraz mieszkańców Torunia. Po ok. 100 kolejnych mieszkań Murapol zaoferował klientom z Iwic i Mikołowa, a nieco mniej nabywcom z Tychów i Warszawy.

## Nowa jakość życia – Home Management System

Odpowiadając na zmieniające się potrzeby klientów, a także dążąc do doskonalenia swojej działalności, Murapol wdraża w swoich inwestycjach szereg nowatorskich rozwiązań. Jednym z nich jest autorski system infrastruktury technicznej i instalacji – Home Management System, implementowany w najnowszych inwestycjach wprowadzonych do sprzedaży od początku 2019 r. System umożliwia wyposażenie mieszkań z oferty Murapolu w inteligentne rozwiązania automatyki mieszkaniowej smart home – Murapol Appartme.

Narzędzie to posiada szereg funkcjonalności, które zapewniają użytkownikom komfort, bezpieczeństwo, a także oszczędności sięgające nawet 30 proc. w skali roku. System ten pozwala na pełną kontrolę oświetlenia, gniazd elektrycznych, ogrzewania i zaworów wody. Ponadto mierzy temperaturę w mieszkaniu, na bieżąco sprawdza poziom wykorzystania energii elektrycznej, a także pokazuje raporty jej zużycia za dany okres. Umożliwia również zdalne sterowanie roletami wewnętrznymi. Wszystko to można kontrolować zarówno w mieszkaniu przy pomocy panelu ściennego, jak i zdalnie za pomocą prostej aplikacji mobilnej w tablecie lub smartfonie.

W ramach oferty zostało przygotowane kilka pakietów z różnym zakresem funkcjonalności Murapol Appartme, tak aby klienci mogli dobrać najbardziej optymalny dla siebie. W zależności od preferencji użytkowników system może być rozbudowywany o dodatkowe moduły, a także zintegrowany z różnymi urządzeniami elektrycznymi.

Poza rozwiązaniami smart home dostępnymi w ramach Murapol Appartme, infrastruktura Home Management System wdrażana w inwestycjach Grupy, obejmuje również monitoring wizyjny części wspólnych klatek schodowych, garażu, placu zabaw, wejścia na teren osiedla oraz wideodomofon z systemem SOS. W przyszłości deweloper planuje rozbudowę systemu o kolejne funkcjonalności. Między innymi w najbliższym czasie wprowadzi pakiet antysmogowy.

TEKST SPONSOROWANY

MURAPOL NOWA PRZĘDZALNIA | ŁÓDŹ

MURAPOL DĘBOWE TARASY | KATOWICE

**murapol.pl**

Nikodem Iskra, prezes zarządu Murapol S.A.: Sytuacja na rynku mieszkaniowym nieustannie kreuje okazje do wzrostu dla doświadczonych firm deweloperskich, które doskonale wyczuwają potrzeby klientów oraz tendencje i sentymenty w konkretnych lokalizacjach i umieją wykorzystać te informacje w przygotowywaniu swoich ofert mieszkaniowych. Grupa Murapol jest obecna na rynku od 18 lat, w trakcie których zdobyła bogate doświadczenia oraz wypracowała know-how, które obecnie pozwala jej być jedną z wiodących firm deweloperskich w Polsce. Stale analizujemy tendencje rynkowe, a HMS to nasza odpowiedź na potrzeby klientów, którzy chcą żyć wygodnie i korzystać z rozwiązań technologicznych umożliwiających zdalne sterowanie urządzeniami znajdującymi się w mieszkaniach, czy szerzej w całej inwestycji. Już planujemy kolejne działania, które pozwolą wznieść Murapol na jeszcze wyższy poziom rozwoju, a przez to odpowiadać na potrzeby mieszkaniowe jeszcze szerszego grona klientów.

# Wino zamiast brewiarza

Piotr Chałubiński

**PIELGRZYMKA DO SANTIAGO DE COMPOSTELA JEST CORAZ BARDZIEJ ŚWIECKA I OBUDOWANA KOMERCJĄ. ALE CZY TO OZNACZA, ŻE PRZESTAJE BYĆ PRAWDZIWA?**

EAST NEWS

Muszle są znakiem rozpoznawczym pielgrzymów, którzy od IX w. zmierzają do Santiago

**W DRODZE DO SANTIAGO EUROPEJCZYCY – CORAZ BARDZIEJ NIEWIERZĄCY – SZUKAJĄ WIARY I SENSU, A MASOWA TURYSTYKA DZIWNIE PRZEPLATA SIĘ Z INTYMNĄ DUCHOWOŚCIĄ**

Bilbao, kraj Basków. Droga do *albergue*, czyli schroniska dla pielgrzymów, jest torturą. Wydaje mi się, że wiodą do niego setki stopni. Co chwilę przystaję zmęczony, udając, że podziwiam widoki. Mijają mnie nieliczni pielgrzymi. Idą samotnie albo w małych grupach. Uśmiechają się i mówią „*buen camino*", czyli „dobrej drogi".

Nie ma księdza, wspólnych modlitw ani śpiewów. Nic, co podkreślałoby religijny charakter wędrówki. Może poza muszlami przyczepionymi do niektórych plecaków – starym symbolem pielgrzymów.

Maszerowali oni w tym kierunku od IX w., kiedy odkryto rzekomy grób św. Jakuba Apostoła. Wieść szybko rozeszła się po Europie; w efekcie Santiago de Compostela stało się – obok Jerozolimy i Rzymu – najstarszym i najważniejszym kierunkiem chrześcijańskich pielgrzymek.

## NARODZINY EUROPY

W drogę ruszali mnisi, mieszczanie, arystokracja, a nawet królowie. Łączył ich pielgrzymi trud, czyhające zewsząd niebezpieczeństwa i pobożny cel. Zmierzali do Santiago, żeby wypełnić przyrzeczone śluby, zyskać odpust lub odbyć pokutę za popełnioną niegodziwość.

Po drodze razem pili wino, modlili się, śmiali, przy okazji wymieniając się poglądami na świat i zwyczajami. Tym sposobem wraz z pielgrzymami wędrowały nowe idee i zdobycze cywilizacyjne.

Tak wykuwała się tożsamość chrześcijańskiej Europy.

Wędrowców wspierało papiestwo. Wzdłuż szlaków rozwijała się infrastruktura: wznoszono wspaniałe kościoły, oberże i mosty.

Popularność pielgrzymek do Santiago de Compostela była tak wielka, że na potrzeby pątników w XII wieku powstał *Codex Calixtinus* [*Kodeks Kalikstyński* – red.] – rękopis poświęcony kultowi św. Jakuba i pielgrzymowaniu do jego grobu.

W manuskrypcie znajdują się m.in. praktyczne informacje dla pątników – średniowieczne *Lonely Planet*. Według niektórych źródeł w szczytowym okresie średniowiecza do Santiago zmierzało rocznie od 500 tys. do miliona pielgrzymów.

## ALBERGUE, CZYLI OBERŻA PIELGRZYMÓW

O 4.30 budzą mnie pierwsze głosy. Ktoś nakłada buty, ktoś inny upycha szeleszczące torebki po zakamarkach plecaka. Palą się światła latarek.

Za oknem jeszcze ciemno, ale dla wielu pielgrzymów zaczął się już kolejny dzień wędrówki. Zaraz będą wystukiwać kijkami trekkingowymi rytm marszu – melodię pielgrzymki. Ale większość 60-osobowej sali jeszcze śpi. Słychać ciężkie oddechy i chrapanie. Będą się wylegiwać do szóstej, aby wraz z brzaskiem ruszyć w dalszą drogę.

>>

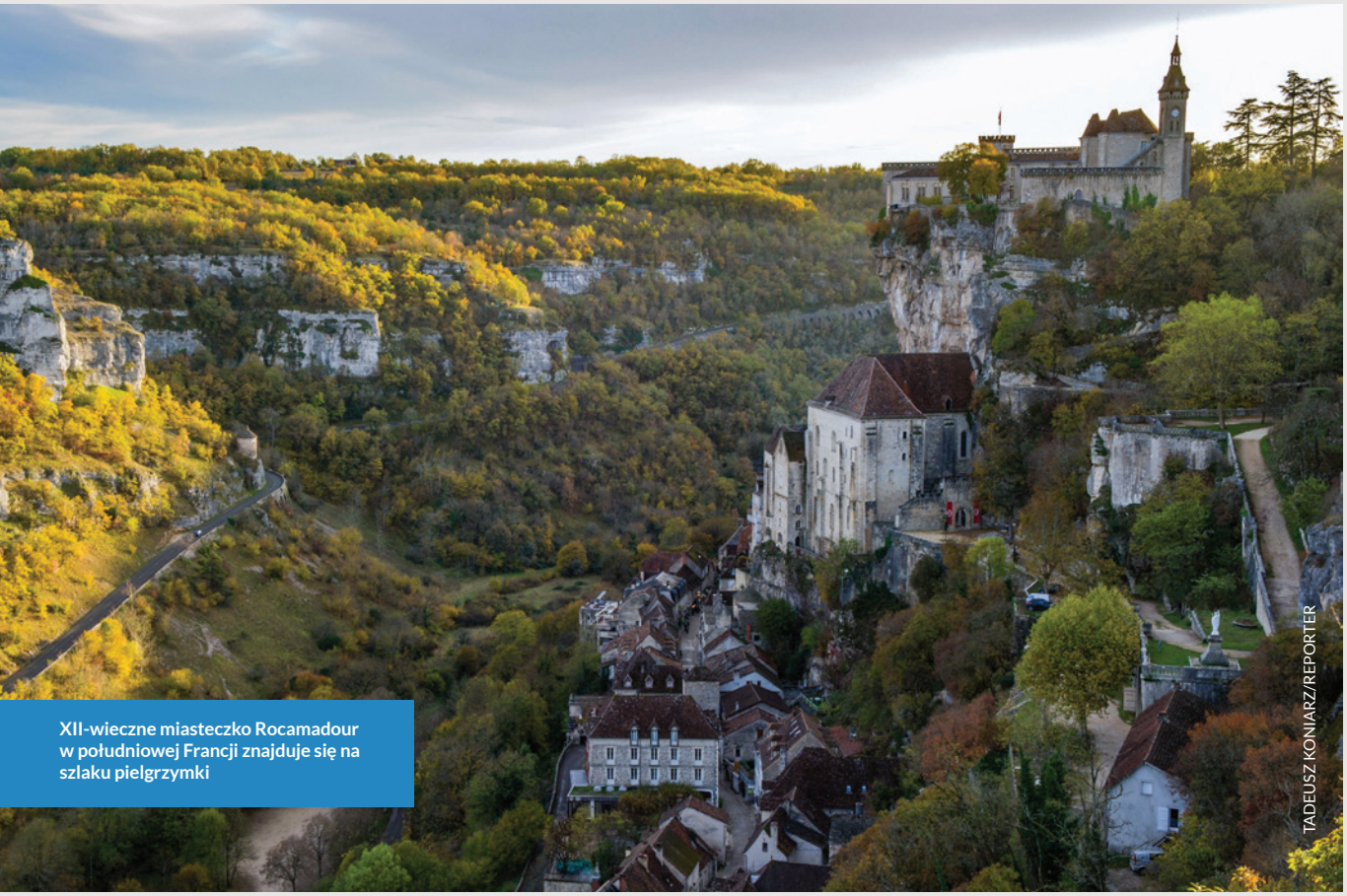

XII-wieczne miasteczko Rocamadour w południowej Francji znajduje się na szlaku pielgrzymki

TADEUSZ KONIARZ/REPORTER

Do Santiago de Compostela idzie się szlakiem muszli (lub częściej żółtej strzałki). Jej symbol można odnaleźć dosłownie wszędzie: na domach, drzewach, kamieniach czy przydrożnych słupach. Wyrzucane przez Atlantyk muszle przegrzebków były pamiątką oraz dowodem odbycia pielgrzymki do Santiago – rodzajem certyfikatu.

*Codex Calixtinus* nadał jej niemal religijną rangę. Pielgrzymia muszla, przypominająca kształtem rozłożoną dłoń, ma stanowić symbol otwarcia na Boga. Można było na nich sporo zarobić, a koncesję na sprzedaż miał arcybiskup Santiago de Compostela i bardzo pilnował tego przywileju.

Od reformacji (XVI w.) popularność pielgrzymek zaczęła spadać. Wojny religijne podzieliły Europę, a duchowni sprzeciwiali się kultowi relikwii i odpustom. W 1978 r. do bram katedry w Santiago de Compostela dotarło zaledwie 13 pątników. Ale w tym najgorszym dla pielgrzymki roku na Stolicę Piotrową wybrano człowieka, który odwrócił trend.

**W 1978 r. do katedry w Santiago dotarło 13 pątników. Cztery lata później papież Jan Paweł II wezwał do odnowy pielgrzymkowego szlaku. W zeszłym roku przeszło go ponad 300 tys. ludzi**

W 1982 r. do Santiago przyjechał po raz pierwszy Jan Paweł II i wezwał do odnowy historycznego szlaku.

Słowa trafiły na żyzny grunt. Odnowiono infrastrukturę i odmalowano kierunkowskazy. Niektóre niestety niezbyt wyraźnie. Zgubiłem się.

„Którędy do albergue?" – zagaduję spotkanych po drodze pielgrzymów. W odpowiedzi słyszę ciężkie westchnienia. To dwie emerytki z Finlandii, które są w drodze już od trzech tygodni i mają chyba ten sam problem. Każdego dnia robią po 25-30 km. To dystans, po którym przyjemność ze spaceru zamienia się w ból i cierpienie.

Trudno uwierzyć, że obydwie skończyły 70 lat. Zimny wychów nad Zatoką Botnicką zahartował ich charaktery, wyrobił upór i siłę woli. Na camino przyjechały odpocząć: od dzieci, mężów, wnuków i domowych obowiązków. Idziemy razem. Nasze drogi będą się jeszcze nieraz przeplatać.

Po drodze mijam też parę z Bawarii, która idzie już ósmy rok. Na raty. Każdego lata przeznaczają na pielgrzymkę dwa tygodnie. Zaczynają tam, gdzie skończyli rok wcześniej. Mają pod sześćdziesiątkę. „Pielgrzymka daje mi siłę" – mówi Niemka, która od dłuższego czasu walczy z ciężką chorobą.

Camino spopularyzował Paulo Coelho, który w 1987 r. wydał *Pielgrzyma* – pełną mistycyzmu powieść o wędrówce do grobu apostoła. Niemców wyciągnął na szlak celebryta i telewizyjny komik Hape Kerkeling. Jego książka *Na szlaku do Compostelli* –zapis przemyśleń z pielgrzymki okraszony subtelnym humorem – rozeszła się w 4 mln egzemplarzy.

Podziałała również magia kina. Dużą reklamę, zwłaszcza w USA, zrobił film *Droga życia* (*The Way*) z Martinem Sheenem w roli głównej.

W 2017 r. do grobu św. Jakuba pielgrzymowało ponad 300 tys. ludzi zcałego świata. Najwięcej Hiszpanów, Niemców, Włochów, Amerykanów i Francuzów. Ale na szlaku widać też coraz więcej Polaków. W 2017 r. do Santiago de Compostela dotarło prawie 4 tys. przybyszów znad Wisły.

## PIELGRZYMI 2.0

Obok wejścia do albergue stoją w szeregu bagaże. Obowiązuje kolejka plecakowa. Wielu caminowiczów odpoczywa na schodach prowadzących do wejścia. Wyszło słońce. Ktoś się opala. Inni porozwieszali swoje mokre od deszczu ubrania.

„Nic tak nie cieszy jak suszące się pranie" – tłumaczy, zaciągając się skrętem, jeden z poznanych Niemców. Inni kiwają głowami, jakby znalazł uniwersalną definicję szczęścia. Jego kolega skwapliwie notuje coś na komórce.

To tzw. *peregrinos 2.0* – skomputeryzowani, mobilni podróżnicy, którzy nawet podczas pielgrzymki są połączeni z siecią. Na blogach i fejsbukach publikują swoje przemyślenia, na instagramach zdjęcia. Gigabajty wspomnień zawieszone na cyfrowych chmurach.

*Hospitalero*, czyli gospodarz albergue, jeszcze nie przyszedł. To bardzo ważna persona. Przytuli, poradzi, opatrzy krwawiącą ranę. Nadaje schronisku duszę. Organizuje wspólne posiłki, często z prowiantu przyniesionego przez pielgrzymów, lub nawet sam je przyrządza za pieniądze, które dadzą wędrowcy.

Albergues to coś więcej niż schroniska. Kiedyś zakładały je kościoły, zakony lub feudałowie. Obecnie pieczę nad nimi mają zwykle osoby prywatne lub lokalny samorząd. Dlatego w domach pielgrzyma nie ma krzyży czy ikon lub są bardzo dyskretnie eksponowane. Czasem można dojrzeć obrazek Jezusa za szybą w recepcji, niekiedy informację o nabożeństwie w pobliskim kościele.

A to dla wielu wiadomość bezcenna, bo w północnej Hiszpanii wszędzie widać zamknięte kościoły.

„Msze w niedziele o dziwnych porach. Informacje trudno zdobyć. Nawet w Sobrado dos Monxes udało się mi uczestniczyć tylko w modlitwie, mimo że to klasztor!" – skarży się Anka z Polski na forum internetowym CaminoDeSantiago.pl.

## GALOPUJĄCA LAICYZACJA

Niektóre świątynie sprawiają wrażenie porzuconych, inne są otwarte tylko w godzinach nabożeństw – raz, dwa razy w tygodniu.

„Miejscowości, które mija się po drodze, są często malutkie (nawet sklepu nie ma) i nie zawsze udawało nam się uczestniczyć w mszy, bo ksiądz przyjeżdżał na parafię co dwa tygodnie i akurat w tę niedzielę był gdzie indziej. Kościoły są pozamykane na cztery spusty" – dodaje Anka.

W Hiszpanii brakuje wiernych, a duchowni zrzucają habity i sutanny. W ciągu ostatnich 15 lat liczba księży zmniejszyła się o ponad 25 tys., czyli o jedną trzecią. Młodzi Hiszpanie nie czują powołania, dlatego średni wiek duchownych wynosi ponad 70 lat. Katolicyzm wymiera wraz z nimi. Zamyka się domy zakonne, a kościelne włości idą pod młotek lub wynajem. To zresztą tendencja ogólnoeuropejska. Wszystkie sondaże pokazują, że Europa odchodzi od chrześcijaństwa. I to szybko. W czołówce najsilniej zlaicyzowanych narodów są Czesi, Estończycy, Szwedzi oraz Holendrzy. Nieliczne wyspy religijności znajdują się

ELISEO TRIGO/PAP/EPA

**Zimowy pielgrzym stawia kroki na oblodzonej ulicy w Santiago de Compostela, styczeń 2017 r.**

EAST NEWS

**Muszle pozostawione przez pielgrzymów maszerujących do Santiago**

na południu (Malta, Cypr, Rumunia) oraz w środkowej części kontynentu (Litwa, Polska).

„Ma ktoś plastry?!" – wrzeszczy z bólu Francuz, który przeszedł dziś 40 km. Nie wygląda najlepiej. Może jednak liczyć na szybką pomoc. W tym miejscu jest to naturalne i oczywiste. Wszędzie rozrzucone plecaki i ubrania. Na łóżkach suszy się bielizna. W powietrzu unosi się kojący zapach potu, jedzenia i maści przeciwbólowych. Camino to życie zredukowane do najprostszych potrzeb. Marsz, posiłek i sen. I tak każdego dnia. Kilka tygodni ucieczki od rzeczywistości.

W wielkich, nierzadko kilkudziesięcioosobowych salach szybko nawiązują się znajomości. Powstają więź i poczucie wspólnoty. Dwie młode dziewczyny z Malagi bez problemu dogadują się z Belgiem, weteranem maratonów i ekstremalnych triatlonów, który stracił w życiu cel. Jest też stary inżynier z Holandii, który pochował w tym roku żonę, oraz Niemki, które mają plecaki tak wielkie, jakby już nie zamierzały wrócić do ojczyzny. Wszyscy nawiązują porozumienie, niekoniecznie podparte miłością do Boga.

„Camino ma jakąś umiejętność budowania relacji pozbawionych miałkości i maski" – napisał użytkownik dobrylibero na forum Santiago.defi.pl.

Kryzys chrześcijaństwa w Europie nie oznacza, że ludzie przestali szukać na szlaku duchowości i odpowiedzi na egzystencjalne pytania. Wielu Europejczyków (26 proc.) deklaruje wiarę w bliżej nieokreśloną „siłę duchową lub życiową".

Nowe rodzaje duchowości są widoczne także wśród współczesnych pielgrzymów. Wielu z nich ma własnego prywatnego Boga idealnie pasującego do ich życia, doświadczeń czy wyborów. Trochę przypomina to salon samochodowy, gdzie zgodnie z upodobaniem dobieramy auto skrojone na miarę swoich potrzeb i aspiracji. To religijność skrajnie selektywna i silnie zindywidualizowana.

Kruszeje autorytet instytucjonalnego Kościoła, który przestaje być dla wiernych moralną busolą i duchowym przewodnikiem. To skutek nie tylko naukowego postępu (czy szeroko pojętej modernizacji), lecz także licznych skandali finansowych i seksualnych, które nadwyrężyły wiarygodność duchownych.

Według Biura Pielgrzyma w Santiago w 2004 roku trzy czwarte pielgrzymów deklarowało „wyłącznie religijny" charakter wyprawy. W 2017 r. – już tylko nieco ponad 43 proc. Spora część pątników (47 proc.) wskazywała na „religijno-kulturowy" wymiar pielgrzymki.

Mieści się w tym poszukiwanie duchowości i nieokreślonego sacrum, potrzeba samorozwoju, sprawdzenia charakteru i wytrwałości, egzystencjalne problemy lub poszukiwanie życiowej drogi.

Dla wielu ludzi pielgrzymka to po prostu pomysł na oryginalne, aktywne wakacje. Przeżycia duchowe są dodatkiem do czerwonego wina, smacznego jedzenia i pięknych krajobrazów.

## TURIGRINOS, CZYLI PODSZYWACZE

W Arzúa, 40 km przed Santiago de Compostela, szlak alternatywny Camino del Norte, którym od tygodni wędrowałem, wpada do głównego Camino Frances jak strumyk do rwącej rzek

Jestem nagle na autostradzie pielgrzymów. Ciszę zastąpił gwar, a skromna do tej pory baza hotelowa kusi teraz dziesiątkami ofert. Małe przytulne domy pielgrzyma zostały zastąpione przez wielkie turystyczne kombinaty. Kwitnie sakrobiznes. Na ulicach handlarze sprzedają koszulki, pielgrzymie kostury, bukłaki czy magnesy na lodówkę. Spaleni słońcem weterani pielgrzymkowych szlaków mieszają się w knajpach z tymi, którzy swoją przygodę zabukowali w biurze podróży.

Tłoczno zaczyna się robić zwykle 100 km przed Santiago. Taki dystans trzeba pokonać pieszo, by dostać ompostelę, czyli certyfikat potwierdzający odbycie pielgrzymki.

Droga św. Jakuba stała się produktem turystycznym. Biura podróży prześcigają się w ofertach, reklamując szlak jako „niezwykłe duchowe doświadczenie" w „przepięknym średniowiecznym otoczeniu". Proponują wszelkie wygody i wędrówkę bez trudu oraz wyrzeczeń. „Ciesz się komfortem każdego dnia. Dlaczego nie zarezerwować sobie prywatnego pokoju i łazienki? To odrobina luksusu, który docenisz po długim dniu marszu" – czytamy w jednej z ofert.

„Wino zamiast odcisków" wybiera coraz więcej pielgrzymów. Ich duchowy marsz odbywa się często we wnętrzu klimatyzowanego pojazdu. Aby ułatwić im życie i zdjąć ciężar z barków, firmy przewozowe za jedyne kilkanaście euro przetransportują ich bagaż do kolejnego albergue.

Coraz częściej zdarza się, że razem z bagażem jedzie jego właściciel.

LAVANDEIRA JR/PAP/EPA

Pielgrzymi leżakują na placu przed katedrą w Santiago

Taki pielgrzymkowy masowy turysta nazywa się po hiszpańsku *turigrino* (od połączenia słów *turista* i *peregrino*, czyli pielgrzym). Istnieją również bardziej pogardliwe określenia: *taxigrino* (jeśli bierze taksówkę) i *alsagrino* – jeśli korzysta z usług popularnej w Hiszpanii firmy przewozowej Alsa.

Dla wielu *turigrinos* szlak do Santiago to pomysł na tanie zwiedzanie. *Credencial*, czyli specjalny paszport pielgrzyma, umożliwia tanie – po kilka euro za dobę – noclegi w albergues oraz przyzwoite zniżki w niektórych restauracjach na szlaku.

**Są i tacy, którzy niektóre odcinki pokonują taksówką. Złośliwi nazywają ich taxigrinos (od słów taxi i peregrino, czyli pielgrzym)**

## WSZYSCY RAZEM U CELU

Od Monte do Gozo, słynnego wzgórza na przedmieściach Santiago, idę szybszym krokiem. Znika zmęczenie, a organizm mobilizuje się do ostatniego wysiłku.

Ze wzniesienia widać bryłę katedry – cel kilkutygodniowej pielgrzymki. Szlak pod koniec prowadzi wąskimi wybrukowanymi uliczkami. Po drodze mijam tłumy pielgrzymów, którzy zrelaksowani i uśmiechnięci wracają od grobu św. Jakuba. Gdy wreszcie staję na placu Obradoiro przylegającym do katedry, wzruszenie sięga zenitu. Łzy płyną po policzkach.

Wielu pielgrzymów, wierzących i niewierzących, kieruje się po odbiór composteli, czyli certyfikatu potwierdzającego dojście do Santiago. A potem jeszcze na mszę świętą.

Podczas nabożeństwa podziwiamy największą kadzielnicę świata, tzw. Botafumeiro. Trybularz wprawiony w ruch przez ośmiu duchownych huśta się najpierw powoli, stopniowo nabierając wysokości i pędu.

Wszyscy razem oglądają ten niezwykły spektakl; wszyscy wdychają zapach kadzidła, który unosi się w katedrze; wszyscy słuchają organów, które grają piękną muzykę sakralną.

Na tę jedną małą chwilę Europa znów staje się uniwersalna i chrześcijańska.

**NAUKA NIE ZASTĄPIŁA RELIGII. JEST ZBYT SKOMPLIKOWANA DLA WIĘKSZOŚCI Z NAS. JAWI SIĘ JAKO ZESPOŁOWE DZIAŁANIE ANONIMOWYCH SPECJALISTÓW. ZAMIAST ODPOWIEDZI, NA KTÓRE LICZYLIŚMY, PRZYNIOSŁA KONFUZJĘ. DLATEGO POJAWIŁA SIĘ POTRZEBA PONOWNEGO ZACZAROWANIA ŚWIATA – MÓWI PROF. ZBIGNIEW MIKOŁEJKO**

**Katarzyna Domagała: Czy w XXI w. wciąż potrzebujemy wiary w jakiś absolut?**

**Prof. Zbigniew Mikołejko*:** Ja bym to ujął bardziej wulgarnie niż pani: nieustannie potrzebujemy czegoś, co nas przerasta. Życie uruchamia w nas bowiem fundamentalną trwogę, a my pragniemy, żeby ktoś ją ukoił. Poza tym, żyjemy w „najlepszym z możliwych światów", dlatego pojawia się w nas obawa przed jego opuszczeniem, czyli śmiercią. Ponadto, wciąż odczuwamy potrzebę poznawania. Niezależnie od tego, czy żyjemy w małej wiosce,

Fot. Adam Tuchliński dla „Newsweek". Zdjęcie otrzymało III nagrodę na konkursie BZ WBK Press Photo 2017



# Potrzebujemy czegoś, co nas przerasta

## O DUCHOWOŚCI BEZ RELIGII

z prof. Zbigniewem Mikołejką rozmawia Katarzyna Domagała

czy metropolii, pragniemy doświadczać świata głębiej i szerzej. A do tego potrzebna jest właśnie duchowość.

**Co oznacza duchowość dzisiaj – w czasach negacji fundamentalnych wartości i dewaluacji systemów religijnych?**

To trudne pytanie, ponieważ nie wiadomo, kto ma udzielić na nie odpowiedzi. Można jednak przyjąć, że funkcjonują przynajmniej trzy tradycyjne sposoby rozumienia duchowości.

Desakralizacja naszego świata nigdy nie będzie ostateczna. Mity religijne są wypierane przez mity świeckie, np. zamiast zbawienia mamy samozbawienie. Jego dogmatem jest wieczna młodość; stąd nadmierna dbałość o wygląd, chodzenie na fitness; stąd świątynie urody, gdzie odsysa się tłuszcz i ujędrnia skórę; stąd wyjazdy do turystycznych rajów

Pierwszy z nich to teologiczny, który podkreśla nadprzyrodzony charakter duchowości i kieruje nas w stronę pewnego nadnaturalnego bytu: Bóg, święta natura czy święty wszechświat. Jednak obecnie takie podejście zdecydowanie traci na sile. Któż dzisiaj czyta teksty teologiczne poza specjalistami w tej dziedzinie?

Wciąż funkcjonuje też rozumienie duchowości we wzniosłym ujęciu filozoficznym, ukształtowane w XIX i na początku XX w. Nazwałbym je ujęciem romantycznym. >>

IKON IMAGES/EAST NEWS

Duchowość przejawiała się wówczas w próbie zbadania tego, co jest naturą ducha, często pisanego przez duże D, który miał stanowić źródło sfery metafizycznej człowieka.

I wreszcie trzecie podejście – najsilniej obecne w życiu współczesnego człowieka – psychologiczne.

**Czyli sferę duchową współcześnie utożsamiamy raczej z procesami psychologicznymi?**

Tak właśnie się dzieje, ponieważ nasza świadomość przeszła proces psychologizacji. W tym ujęciu najważniejszy jest charakter wewnętrznego, subiektywnego doświadczenia. Co więcej, niewątpliwie łączy się to – i zawsze łączyło – z pojęciem mistycyzmu. Tak duchowość rozumiał chociażby Karol Górski, który zawsze przedstawiał ten obszar w kontekście mistyki chrześcijańskiej, zazwyczaj katolickiej. Natomiast dzisiaj, to raczej nie mistyka, ale swoistego rodzaju nowoczesny mistycyzm.

**Czym jest ten nowoczesny mistycyzm?**

Chodzi o koncentrowanie się jednostki na różnych stronach swojej świadomości, bardzo mocno doświadczanej wewnętrznie. Oczywiście, możemy mówić też o potocznym rozumieniu słowa „duchowość". W tym kontekście to każdy stan, w którym przekraczamy swoją sferę fizyczną, materialną.

**Czyli także religijność, która zazwyczaj związana jest ze sferą duchową. Z kolei duchowość nie musi oznaczać religijności. Czym różnią się te pojęcia?**

Chociaż sam jestem człowiekiem dalekim od wiary, nigdy nie ośmieliłbym się powiedzieć, że religijność jest podstawą czy immanentną częścią duchowości. Jest to pewien segment sfery metafizycznej.

Duchowość przede wszystkim nie jest tak zinstytucjonalizowana, jak religia. Jest czymś bardzo wewnętrznym i najczęściej nie potrzebuje kultu. Może być również czymś bardzo subiektywnym.

Religia jest bardziej szeroka i stawia nacisk na relację człowieka z określoną – na ogół – mocą nadprzyrodzoną; Bogiem, co znajduje swoje uzewnętrznienie w kulcie, liturgii, organizacji, sformalizowanych kanonach wiary oraz moralności. Duchowość w prawie każdej formie religijnej jest jednak obecna.

**Powoli odchodzimy od postrzegania duchowości w ujęciu religijnym, czyli w naszym europejskim kontekście – chrześcijańskim. To dobrze, że próbujemy się od tego uwolnić?**

Zastanawiam się, czy można to wartościować i oceniać w kontekście pozytywnym lub negatywnym. Zwłaszcza dla mnie jest to szczególnie trudne, ponieważ jestem człowiekiem bezreligijnym. Powiem więc tylko, że dla mnie zawsze ważniejsze było to, co jest wewnątrz niż na zewnątrz. Nie kult, organizacja i hierarchia, ale głębokie doświadczenie tego świata lub – w przypadku ludzi wierzących – innych czy wyższych światów.

**Myśli pan, że przyjdzie taki moment, że Bóg umrze, jak zapowiadał Nietzsche? Że religie zostaną całkowicie wyparte z naszej świadomości?**

W sferze mentalnej, szczególnie w tym przypadku, nic nigdy nie zostaje całkowicie wyparte. Przynajmniej w dającej się przewidzieć przyszłości. Nawet zagorzały ateista nigdy nie znajdzie się absolutnie poza duchowością i poza religią, choćby przez to, że neguje zasadność systemów religijnych. Skoro bowiem już wkroczyliśmy do rzeki w ubraniach, nie da się ich tak łatwo wysuszyć. One ciągle będą wilgotne, a nawet, jeśli wyschną, to w jakiś sposób zmienią swoją postać. Oczywiście, „przeżytych kształtów żaden cud nie wróci do istnienia" – jak mówi poeta – ale te kształty, przynajmniej w kaleki sposób, będą nieustannie w nas i przy nas obecne.

**Czyli duchowość Europejczyka zawsze będzie miała rys chrześcijański?**

Tak, jak nie da się wyrzucić z europejskiej mentalności dziedzictwa żydowsko-biblijnego, myśli greckiej czy prawa rzymskiego, tak nie da się wyzbyć nauki i tradycji chrześcijańskiej. Ten sposób pojmowania duchowości nigdy do końca nie zaniknął i w najbliższym czasie nie zaniknie. Ale będzie przybierał – już przybiera – inne kształty. Wbrew temu, co zapowiadano jeszcze niedawno, nie dokonał się pełen proces sekularyzacji, a jedynie częściowe – choć silne – zeświecczenie. Desakralizacja naszego świata przebiega, ale nigdy nie będzie ostateczna Zresztą to, co zostało zdesakralizowane, dzisiaj sakralizuje się na nowo, tylko w inny sposób. Mity religijne zaczynają być wypierane przez mity świeckie.

**O jakich konkretnie mitach pan mówi?**

Pierwszy przychodzi mi na myśl bardzo oczywisty i namacalny przykład – wyparcie mitu wspólnoty wiary i uświęconego Kościoła przez mit narodu.

W Polsce, szczególnie w kilku ostatnich latach, da się wyczuć to wyparcie. Na swój sposób to jest powtórka z rozrywki, kolejny nawrót do romantycznej wspólnoty cierpienia i walki, odwołującej się do mesjanistycznego mitu zakładającego, że Polska jest Chrystusem narodów. Rzecz jasna, jest to lokalny przejaw bardziej ogólnego kryzysu mentalności Zachodu i dotychczasowych form jego egzystencji, a przede wszystkim załamania wiary w swoisty mesjanizm liberalny.

**To dlatego uciekamy w stare wzorce, być może wygodniejsze...**

Właśnie tak działa ten mechanizm. Uciekamy w koleiny mentalne, nacjonalistyczne i populistyczne. Jednak, wydaje mi się, że to minie naturalnie. Zachód – a Polska w jakiejś mierze jest jego częścią – stan kryzysu zawsze pojmował jako stan krytyczny, co oznacza, że nie tylko zapaść czy chorobę, lecz także jej przezwyciężanie.

**Czyli jest nadzieja na remisję.**

Jest, ale istotną i zarazem otwartą kwestią jest czas trwania tej zapaści oraz koszty, jakie poniesiemy w trakcie wychodzenia z łoża boleści. A mogą być one – a właściwie już są – ogromne. Pamiętajmy, że niektóre organizmy nie przetrwały ani tej choroby, ani kuracji. Mam nadzieję, że z Polską tak się nie stanie.

**Jakie mity jeszcze wypieramy?**

Na przykład mit zbawienia religijnego przez mity – lub wręcz technologie – samozbawienia, które niekoniecznie mają charakter religijny, ale bardzo często przenoszą się w sferę prostej praktyki egzystencjalnej.

Obserwujemy więc dzisiaj dość powszechne wytwarzanie się quasi-religii, których dogmatem jest życie w wiecznej młodości i szczęśliwości, dążenie do piękna oraz nadmierna dbałość o swój wygląd: chodzenie na fitness; siłownię; do świątyń urody, gdzie odsysa się tkankę tłuszczową i ujędrnia skórę, a także przez wyjazdy na wieczne wakacje do turystycznych rajów.

**Tylko pytanie: czy to jest jeszcze duchowość?**

Być może praktykom, o których wspomniałem, towarzyszy coś głębszego, ale mam wrażenie, że w dużej mierze wiążą się one z chęcią wyparcia lęku przed śmiercią. To jest ich główne źródło.

**Źródłem tradycyjnej religijności zazwyczaj też jest lęk przed śmiercią.**

Owszem, ale ja zupełnie nie zgadzam się z tezą, że gdyby nie było śmierci, nie byłoby religii. Są jeszcze przecież inne źródła religii niż tylko lęk przed śmiercią. Tak samo, jak są też inne źródła cierpienia.

**Tradycyjne religie nie potrafią oswajać cierpienia? Przynajmniej współczesnego człowieka...**

Prawda. Religie są dzisiaj w odwrocie, nawet islam – wbrew temu, co myślimy. Nie oznacza to jednak, że człowiek współczesny przestaje być człowiekiem religij- >>

IKON IMAGES/EAST NEWS

nym – homo religiosus. Człowiek współczesny tworzy – w miejscu tradycyjnych form religijnych – osobiste systemy duchowe zupełnie innego typu. Czyli patchworki duchowe.

**Co to takiego?**

Patchworki duchowe są składankami, w których pojawiają się rozmaite i nierzadko dalekie od siebie elementy: coś z religijności tradycyjnej, z wierzeń Wschodu, z mistyki nieokreślonego charakteru, a także pewien ułamek z praktyk związanych z ciałem. Dotyczy to zarówno duchowości, moralności, jak i etyki.

**Czyli człowiek współczesny tworzy swoją duchowość na własny użytek z elementów, które aktualnie pasują do jego życia?**

Istotnie. Na początku wybiera swego guru – przewodnika duchowego, który nadaje kierunek jego poszukiwaniom czy tęsknotom, a następnie doszywa kolejne elementy, tworząc duchowość złożoną z niejednorodnych, często sprzecznych z sobą pierwiastków. A kiedy mu się coś w tym patchworku nie podoba, po prostu wyjmuje to, wyrzuca i wprowadza coś innego. Nowoczesna duchowość jest mocno synkretyczna, co zresztą jest cechą praktycznie każdej religii. Ale kiedyś kreowanie sfery metafizycznej odbywało się głównie w porządku wspólnotowym, instytucjonalnym. Dzisiaj dokonuje się indywidualnie lub w niewielkich społecznościach, często za pośrednictwem internetu.

New Age głosił: nie szukaj guru, mistrzów, nauczycieli, bo sam możesz stać się kimś takim! W efekcie gospodyni domowa z Kentucky przechodziła metamorfozę i stawała się Zanthem, duchowym bojownikiem o tożsamości liczącej kilka tysięcy lat

**Myśli pan, że tworzenie własnych systemów duchowych, opartych na indywidualnych potrzebach, to pozytywne zjawisko?**

Odbieram to jako coś bardzo pozytywnego, ponieważ dbanie o duchowość sprzyja samopoznaniu i rozwojowi wewnętrznemu. Nie ma na to miejsca, kiedy ktoś przestrzega wyłącznie – nierzadko pod naciskiem społecznym i w obawie przed represjami – zewnętrznych form rytualnych, obrzędowych, np. chodzenia co niedzielę do kościoła.

**Dlaczego coraz trudniej nam dochować wierności jednej religii?**

Jeśli miałbym odpowiedzieć najprościej: dlatego, że jesteśmy w okresie przejściowym. Takie momenty charakteryzuje zazwyczaj gorączkowe poszukiwanie, które może – ale wcale nie musi – skończyć się czymś trwałym. Doskonałym przykładem jest okres hellenizmu na przecięciu dwóch er i przełom w świecie śródziemnomorskim, gdzie zachwiał się porządek starych religii pogańskich. Ludzie stracili wówczas – w obliczu wielkich tyranii państwowych i wobec różnorodności kultów i kultur – dotychczasowe poczucie stabilności i bezpieczeństwa. Zaczęło się gwałtowne masowe poszukiwanie czegoś spoza tego świata.

**Jaki był efekt tych poszukiwań?**

Narodziła się wiara w tzw. bogów zabijanych i zmartwychwstających, przybywających głównie ze Wschodu: Ozyrys, Tammuz, Attis, Adonis, Dionizos czy największy konkurent chrześcijaństwa – Mitra. I wreszcie Jezus Chrystus, którego nauka triumfowała całkowicie w basenie Morza Śródziemnego aż do nadejścia islamu. Ten proces trwał kilkaset lat.

Dzisiaj jest podobnie. W egzystencji ponowoczesnego człowieka tradycyjne religie mocno straciły na znaczeniu, rozchwiały się. W efekcie zaczęły powstawać takie twory, jak ruch New Age, który był swoistego rodzaju patchworkiem duchowym. Pojawiały się w nim elementy ezoteryki, mistycyzmu, buddyzmu, taoizmu i wielu innych religii, także tradycyjnych. Jednak New Age odegrał jedynie przejściową rolę.

**Ale zdążył odcisnąć swoje piętno i stał się motorem napędowym do zmiany myślenia na temat duchowości.**

Z pewnością. Liderzy New Age głosili ważne hasło, a mianowicie: nie musisz poszukiwać guru, mistrzów, nauczycieli, bo sam możesz stać się kimś takim. W efekcie gospodyni domowa z Kentucky przechodziła metamorfozę i zaczynała być Zanthem, duchowym bojownikiem o tożsamości liczącej kilka tysięcy lat.

**No właśnie: ludzie nie znaleźli pewności w nauce, tylko szukają jej gdzie indziej. Skąd się bierze ta niezdolność do pełnego przyjęcia jej metodologii i obrazu świata?**

Z nauką współczesną jest wielki problem. Człowiek względnie wykształcony, żyjący w XIX w. albo jeszcze w pierwszej połowie następnego stulecia, był jeszcze w stanie zrozumieć sens odkryć naukowych, a teraz jesteśmy zmuszeni wierzyć nauce na słowo. To dlatego, że dzisiaj operuje ona głównie szalonym, hermetycznym językiem matematyki. To są zbyt skomplikowane rzeczy dla większości z nas.

**Co konkretnie zmieniło się w postrzeganiu nauki przez współczesnego człowieka?**

Zamiast wielkich, heroicznych indywidualistów, jak Darwin, Skłodowska-Curie albo Einstein, zamiast wielkiej przygody, nauka jawi się dziś jako zespołowe działanie anonimowych specjalistów, niezrozumiałych dla ogółu.

Ponadto, współczesną naukę rozumie się nie jako zespół niewzruszonych aksjomatów; zbiór trwałych praw albo zasad, lecz jako pewien nieustający proces pojawiania się kolejnych przybliżeń; hipotez i zmiennych paradygmatów.

Tym sposobem nauka nie daje nam pewności, a jedynie wpędza w konfuzję. I w związku z tym pojawia się potrzeba ponownego „zaczarowania świata".

**Jak dzisiaj zaczarowujemy świat?**

Na wiele różnych sposobów… Na przykład przez czytanie Tolkiena, J. K. Rowling czy tworzenie i oglądanie takich filmów, jak „Matrix", „Gra o tron" albo „Avatar".

**Czyli fantasy i science fiction mogą okazać się ratunkiem przed całkowitym odczarowaniem świata?**

Poniekąd tak, ale to jest tylko powierzchowne wrażenie, choć czasami to bardzo fascynujące zjawisko, jak w przypadku „Avatara" czy „Gwiezdnych Wojen", przeradzające się w zjawisko zbliżone do kultu. Wystarczy popatrzyć na to, co się dzieje, kiedy ma wyjść nowa ekranizacja powieści o Harrym Potterze czy kolejna część „Gwiezdnych Wojen".

**Tylko pytanie: czy dobrze nam wychodzi to zaczarowywanie świata i czemu tak naprawdę ma służyć?**

Pamiętam, że kiedyś podczas jednej z moich rozmów radiowych zadzwonił informatyk, który powiedział, że idzie – po raz kolejny! – do kina na nową część „Matrixa", by zanurzyć się właśnie w inną rzeczywistość, żeby odejść od tego technologicznego doświadczania świata. Ludzie chyba tego dzisiaj potrzebują.

**Technologia miała być wybawieniem, tymczasem coraz częściej chcemy od niej uciekać. Dlaczego?**

Technologia jest dla nas miażdżąca nie tylko w tym sensie, że dławi naturę, lecz także dlatego, że odciąga nas od >>

IKON IMAGES/EAST NEWS

głębszego przeżywania rzeczywistości. Chociażby przez to, że młodzi żyją głównie w świecie wirtualnym.

Współczesne technologie to taki nowy Golem, który wymknął się spod kontroli swoich twórców i szaleje. W oryginale tej historii dopiero mała dziewczynka przywraca go do porządku. Dzisiaj nad tym Golemem panują wielkie korporacje, koncerny…

**Kto dzisiaj może być tą małą dziewczynką?**

Ha! Dobre pytanie! Tą dziewczynką możemy być… my. Potrzebujemy tylko nowego rozbudzenia. Jednym z rozwiązań może być efektywna edukacja w kwestii dbania o środowisko lub wprowadzenie przepisów podobnych do francuskich – zakazu używania telefonów komórkowych i smartfonów w szkołach.

Potrzebujemy też rozbudzenia wrażliwości na drugiego człowieka, ponieważ żyjemy w bardzo różnorodnym i nierównym świecie. Doskonałym przykładem są zestawienia majątków najbogatszych ludzi na świecie ze stanem posiadania biedniejszej połowy ludzkości. Albo masowe procesy migracyjne, które odbywają się w dramatycznych, drastycznych okolicznościach.

**Skoro mowa o imigrantach – skąd nasz brak akceptacji dla różnorodności, odmienności? Przecież zjednoczona Europa miała być otwarta i tolerancyjna.**

Najpierw nabroiliśmy, a teraz musimy się martwić. W tym względzie jesteśmy jak uczeń czarnoksiężnika. Sami sobie zgotowaliśmy ten los - mówię o problemie migracyjnym.

**Co konkretnie ma pan na myśli?**

Nie jesteśmy w stanie wchłonąć tak dużej liczby osób ani znaleźć dla nich odpowiedniego miejsca, zwłaszcza że oni często przybywają z archaicznych światów, gdzie panują zupełnie inne zasady. Nie da się ich pogodzić z kulturą europejską. Naiwnością jest twierdzić, że nasza kultura tych ludzi zassie. Otóż nie zassie!

**Dlaczego?**

Nie mamy możliwości ekonomicznych, kulturowych, nie mówiąc już o mentalnych, by zintegrować się z taką liczbą ludzi. To grupa radykalnie odmienna kulturowo, językowo i religijnie. Ich obyczaje są bardzo surowe, często wynikające ze skrajnych form islamu. Nie da się

tego połączyć z europejską duchowością, która w jakimś stopniu uległa już sekularyzacji i desakralizacji.

**W takim razie powinniśmy zamknąć granice?**

Rozwiązaniem tego problemu na pewno nie jest strategia Węgier czy Polski. Zamykanie granic przed przybyszami z Bliskiego Wschodu nie ma sensu. Jeśli oni mają przyjść, to przyjdą. Zresztą, powinni przyjść, chociażby z tego powodu, że musimy w jakiś sposób poradzić sobie ze starzejącym się społeczeństwem. Najzwyczajniej w świecie potrzebujemy kogoś do pracy.

**Skoro nie jesteśmy w stanie zasymilować imigrantów z Bliskiego Wschodu, ale jednocześnie nie powinniśmy zamykać granic, to jakie rozwiązanie pan proponuje?**

Nie widzę dobrych rozwiązań. Jest już chyba na nie za późno. Na pewno ani radykalne zamknięcie, ani radykalne otwarcie granic do nich nie należą. A jeśli już, szukałbym czegoś pośredniego. Należałoby spróbować pogodzić względne otwarcie ze względnym odrzuceniem. Słowem: tak, przyjmiemy was ze względów humanitarnych, jeśli przejdziecie efektywnie proces społecznej i kulturowej adaptacji, nie wyrzekając się oczywiście waszej wiary oraz kultury (nie dotyczy to jednak archaicznych, brutalnych i uderzających w godność oraz wolność człowieka obyczajów rodowych i plemiennych). Wtedy możecie tu zostać i żyć.

> Co z imigrantami i uchodźcami? Nie jesteśmy w stanie wchłonąć tych ludzi, którzy często przybywają z archaicznych światów. Naiwnością jest wiara, że nasza kultura ich zassie. Otóż nie zassie!

**A co z tymi, którzy nadszarpią te zasady?**

Wszystkich, którzy nie godzą się na takie rozwiązanie lub brutalnie naruszają nasze normy kulturowe, ideały oraz prawa, należy odesłać z powrotem do domu.

**Nawet jeśli w ich domu panują wojna, nędza i głód?**

Nawet. Także humanitaryzm musi mieć wyraźne granice, inaczej traci sens. Należałoby w tej materii działać – myślę o Europie – wspólnie i konsekwentnie, nie dbając ani o racje zapiekłych ksenofobów, ani nadmiernie szlachetnych humanistów. Tymczasem, Europa – zwłaszcza południowa – musi spijać ten blekot, który przygotowały inne mocarstwa – Rosja, USA, Chiny, Iran, Izrael, Turcja – albo rozmaite lokalne reżimy.

**Czyli wpuszczenie przybyszów reprezentujących kulturę arabską i islam stanowi zagrożenie dla europejskiego charakteru naszego kontynentu?**

Niewątpliwie tak, jeśli sprawy będą toczyły się w taki sposób, jak do tej pory: jeżeli będą dominować: zamęt, bezmyślność, niekonsekwencja i chaotyczna gra partykularnych interesów. Świat islamu, przede wszystkim świat arabski – trzeba to powiedzieć brutalnie – ma dzisiaj niewiele do zaoferowania, poza milionami rąk do pracy. Pewne nadzieje można wiązać wyłącznie ze zeuropeizowanymi odłamami społeczeństwa tureckiego albo irańskiego.

**Ale nie chodzi tylko o islam.**

Jeśli chodzi o pojęcie religii (religio), to myślę, że tak, jak pojawiło się ono w pewnym historycznym momencie, tak w pewnym momencie zniknie. Być może bardzo odległym. Być może nastąpi to, gdy pojawi się jakieś duchowe wiązanie nowego typu. A co będzie zamiast owego religio? Nie potrafię tego powiedzieć. Wciąż zmieniają się przecież formy przeżywania nie tylko duchowości, ale w ogóle życia; „przemija postać świata" – jak pisał Święty Paweł. Tyle że obecnie nie widzę w tym przemijaniu nic wyrazistego, co mogłoby zapowiadać jakąś konkretną zmianę.

**A jakiej zmiany by pan chciał?**

Nie jestem zwolennikiem jakiegoś ogólnego projektu kreowania duchowości. Dla mnie ważne są troska o innego i o wspólnotę, ale w głębszym znaczeniu. Ważne jest, byśmy ciągle uczyli się siebie wzajemnie, np. przez wymianę duchowych doświadczeń.

Chciałbym również, żebyśmy żyli w społeczeństwie demokratycznym, uznającym zasady moralne i żądnym doznań intelektualnych. Nie zapominajmy też o roli państwa prawa oraz kultury w tym procesie. Hodujmy się właśnie w takim duchu. To pewnie zabrzmiało nazbyt kaznodziejsko, ale trudno. Niech już tak pozostanie. ◎

* PROF. ZBIGNIEW MIKOŁEJKO – FILOZOF I HISTORYK RELIGII, PISARZ TŁUMACZONY NA DZIEWIĘĆ JĘZYKÓW, KIEROWNIK ZAKŁADU BADAŃ NAD RELIGIĄ W INSTYTUCIE FILOZOFII I SOCJOLOGII PAN

# Desperacka pogoń za szczęściem

z Tomaszem Stawiszyńskim, filozofem, rozmawia Anna Gromnicka

**NASZE WYOBRAŻENIA SZCZĘŚCIA CZY SUKCESU SĄ PRODUKOWANE PRZEZ KULTURĘ. A DOKŁADNIEJ – PRZEZ RYNEK, KTÓRY WYTWARZA W NAS CORAZ TO NOWE POTRZEBY I DOPINGUJE NAS DO ZDOBYWANIA ŚRODKÓW NA ICH ZASPOKAJANIE**

**Anna Gromnicka: Czym jest szczęście?**

**Tomasz Stawiszyński*:** Starożytni Grecy przestrzegali przed nazywaniem człowieka szczęśliwym, póki żyje. Po prostu istota ludzka, z wszelkimi swoimi przypadłościami i niedogodnościami wynikającymi z faktu narodzin, jak mawiał Emil Cioran, najzwyczajniej w świecie nie nadaje się do szczęścia. Jest ono nieosiągalne.

**Dlaczego?**

Często wyobrażamy sobie szczęście jako trwały stan, który można osiągnąć, jeśli spełni się określone warunki albo przejdzie określoną ścieżkę. Tymczasem wiele wskazuje na to, że nic podobnego nie zachodzi. Istotne jest coś innego: a mianowicie okoliczność, że te nasze rozmaite wyobrażenia własnego i cudzego szczęścia czy sukcesu – a także, a może przede wszystkim, środków potrzebnych do ich osiągnięcia – są w gruncie rzeczy produkowane przez kulturę. A dokładniej – przez rynek. I to jest realny problem.

**Czyli?**

Mówi się o naturze kapitalizmu, że jest to system, który najpierw wytwarza różne potrzeby i deficyty, a następnie dostarcza płatnych środków na ich zaspokojenie. Żyjemy dziś w świecie, w którym wytworzono w nas już niemal wszystkie możliwe potrzeby, a przecież nieustająco trzeba generować kolejne. To proste. Im bardziej czujemy się nieszczęśliwi, tym chętniej sięgamy po kolejne poradniki albo warsztaty – albo sesje z coachem – które obiecują, że nas do szczęścia doprowadzą. Ale pamiętajmy, że warunkiem funkcjonowania całego tego przemysłu jest to, by nie dostarczył nam przypadkiem tego, co obiecuje.

SCIENCE PHOTO LIBRARY/EAST NEWS

# TAK BARDZO CHCEMY BYĆ SZCZĘŚLIWI, ŻE Z TEGO POWODU CZĘSTO WPADAMY W GŁĘBOKĄ DEPRESJĘ

**Jak to?**

No przecież gdyby jakiś poradnik faktycznie odmienił nasze życie, nie sięgnęlibyśmy już po następny, nie wzięlibyśmy udziału w kolejnych warsztatach. Bo i po co? A to z kolei groziłoby krachem całego systemu.

**A czy nie jest po prostu tak, że szczęśliwymi bywamy, a nie jesteśmy nimi stale?**

Owszem, zdarzają się w ludzkim życiu takie chwile, gdy wydaje się, że wszystko jest na swoim miejscu. To chwile bardzo rzadkie, a do tego nasz umysł ma skłonność do popadania w iluzję trwałości tam, gdzie mamy do czynienia z odczuciami z konieczności ulotnymi. Przemysł szczęścia natomiast chętnie z tych naszych dyspozycji korzysta, podsuwając nam nieustannie miraże jakiegoś spełnienia i zadowolenia, które rzekomo możemy na trwałe osiągnąć i którego osiągnięcie powinniśmy sobie stawiać za cel. Tymczasem chwile, o których mówimy, są osiągalne wyłącznie jako skutki uboczne. Im bardziej będziemy do nich dążyć, tym bardziej nam będą umykać.

**To takie myślenie bardzo według Dostojewskiego, który też uważał, że szczęście nie polega na samym szczęściu, lecz na dążeniu do niego.**

Tradycja filozofii mądrościowej, która interesuje się różnymi sposobami na życie pomyślne – świadomie nie mówię „szczęśliwe" – zawsze doradzała, by wyznaczać sobie raczej skromne cele i w ogóle myśleć realistycznie. To znaczy zdawać sobie sprawę, że przemijamy, starzejemy się, że nie ma nic na zawsze i że każde życie kończy się śmiercią. Umrą nasi bliscy, my umrzemy, przyjdą po nas wszystkich, którzy dzisiaj jesteśmy żywi i przekonani, że świat należy do nas, jacyś inni ludzie, po nich jeszcze inni, za sto lat nikt o nas nie będzie pamiętał, podobnie jak my nie pamiętamy dziś ludziach, którzy żyli 100 albo 200 lat temu. Więc, owszem, życie bywa fajne – ale w gruncie rzeczy nie ma powodu, żeby się z niego jakoś szczególnie cieszyć.

**Co byś powiedział tym, którym – jak ujął to poeta – szczęście mignęło tylko na chwilę, by znów pogrążyć ich życie w jeszcze większym smutku i trwodze?**

>>

Nie chciałbym wchodzić w rolę kogoś, kto formułuje jakieś cudowne recepty, bo ich nie ma. Powiedziałbym tylko, że w ogromnym stopniu nasze wewnętrzne doświadczenia, choć myślimy o nich jako o bardzo indywidualnych, osobistych, wręcz intymnych, są formowane przez cały system kulturowych znaczeń i symboli, norm i nakazów. Nasze wyobrażenie o tym, czym jest szczęście, determinuje nasz sposób przeżywania nieszczęścia. Im bardziej wymagającą mamy wizję tego, jak nasze życie powinno wyglądać, tym dotkliwiej przeżywamy odstępstwa od tego wyśrubowanego ideału.

**I tym częściej zapadamy na depresję.**

Pisze o tym ciekawie współczesny amerykański psycholog ewolucyjny Jonathan Rottenberg. Twierdzi on, że za współczesną epidemią depresji częściowo stoi nierealistyczna wizja szczęścia. W reklamach, na portalach społecznościowych, na Instagramie oglądamy niemal wyłącznie ludzi młodych, pięknych, wysportowanych, bogatych i uśmiechniętych. Jeśli ci ludzie się starzeją, to stają się staruszkami radosnymi, którzy nie przeżywają żadnych dojmujących aspektów starości. A nawet jeśli je przeżywają, to szybko ktoś dostarcza im pigułkę, po zażyciu której wszystko mija, jak ręką odjął. Rottenberg mówi, że zasadniczy fałsz współczesnej kultury streszcza się w haśle „wszystko jest możliwe". Możesz być każdym, możesz mieć wszystko, nie ma przed tobą żadnych ograniczeń. Słyszymy to nieustannie, także od rozmaitych idoli, tzw. ludzi sukcesu. Bolesne zderzenie z tą utopią – które prędzej czy później zawsze następuje – owocuje właśnie depresją.

**Wygląda na to, że komercja szkodzi szczęściu.**

Dość szybko zaczynamy się orientować, że są to jedynie miraże. Ale gdy nie udaje nam się osiągnąć tych wszystkich symboli sukcesu i szczęścia, słyszymy zewsząd, że to wyłącznie nasza wina. Że nie dość mocno chcieliśmy, że się niewystarczająco staraliśmy, że jesteśmy zaburzeni albo leniwi. Wszystko, co złe, jest w nas. Nie ma mowy o niesprawiedliwym systemie ekonomicznym, o zablokowanych ścieżkach awansu społecznego, o reprodukcji biedy i bogactwa w zachodnich społeczeństwach. Słowem – nikt nie interesuje się urządzeniem świata, bo całe brzemię odpowiedzialności ulokowane jest w jednostce. Rzecz jasna, dla beneficjentów późnego kapitalizmu jest to narracja wręcz idealna. Zapewnia im trwałość systemu, z którego czerpią korzyści.

**Ludzie szczęśliwi to tacy, którzy nie są świadomi do końca lepszych i większych możliwości, żyją tu i teraz, nie zastanawiając się zbytnio nad swoim szczęściem?**

Ciekawy jest ten współczesny kult teraźniejszości, nastawienie na tu i teraz, podkreślanie, że nic innego się nie liczy. Jakąś formą tego kultu jest wielka popularność praktyki mindfulness, która ma swoje określone zastosowania terapeutyczne, ale obecnie stała się wszechogarniającą

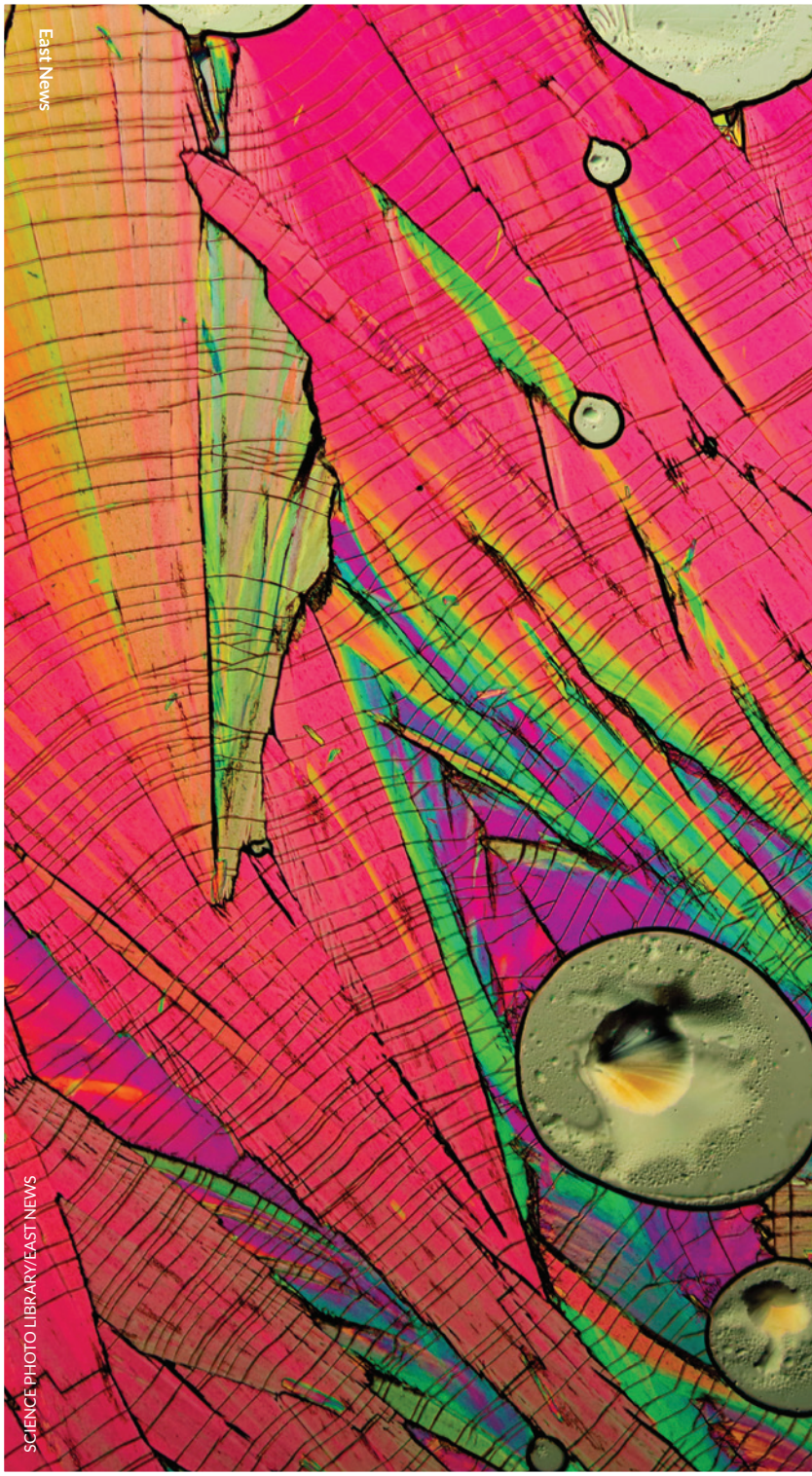


**Dopamina, nazywana hormonem szczęścia, w dużym powiększeniu**

Pytasz o szczęście, odpowiem przekornie: bardziej potrzebujemy smutku. W dzisiejszych czasach jest on uznawany za chorobę, którą trzeba natychmiast wyleczyć

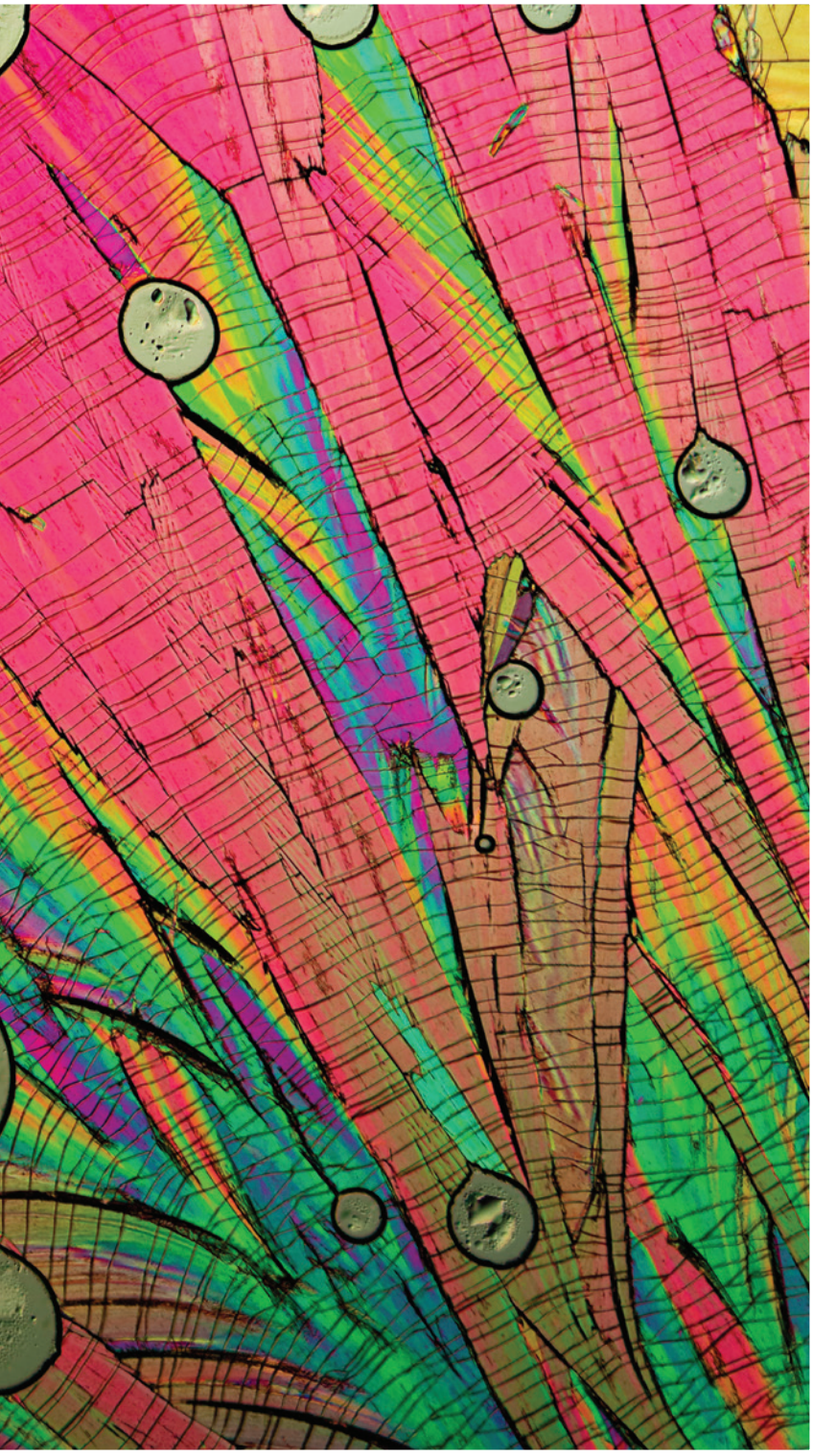

modą. Powiedziałbym, że jest to postawa trochę w duchu tego, o czym mówimy. Ktoś, kto żyje tylko tu i teraz – abstrahując od tego, że to po prostu niemożliwe – nie planuje, nie liczy się z ograniczeniami, nie czuje żadnego zakorzenienia, tylko wiedziony aktualnymi impulsami podejmuje decyzje bez względu na konsekwencje. Ktoś taki to oczywiście idealny klient. Przynajmniej do jakiegoś momentu.

**Co się dzieje z takim człowiekiem?**

Z pewnością ulega niebezpiecznej iluzji, bo wszyscy mamy jakąś historię, własne uwikłania, uwarunkowania, ograniczenia. Nie istnieje tożsamość bez pamięci, a pamięć to właśnie przeszłość, czyż nie?

**Co się dzieje, gdy dążąc do szczęścia, wpadamy właśnie w jego pozory, w hedonistyczny styl życia bądź rozpasanie?**

Francuski antropolog René Girard zasłynął tezą, że w toku dorastania i edukacji uczymy się naśladować nie tylko cudze zachowania, lecz także cudze pragnienia. Innymi słowy – pragniemy tego i tylko tego, czego pragną inni. Wyrastając w kulturze operującej bardzo restrykcyjnymi wzorcami sukcesu, skoncentrowanej na przyjemności i sprawności, dość szybko zaczynamy wpadać w spiralę przypominającą uzależnienie. Każde kolejne doznanie wydaje się niewystarczające, a na horyzoncie od razu majaczy obietnica czegoś jeszcze mocniejszego, jeszcze bardziej intensywnego. Problem polega na tym, że w pewnym momencie nic już nam nie wystarcza, a to, co mamy, wydaje się zawsze niezadowalające. Kolejne przedmioty, stany albo ludzie szybko nam się nudzą. Ekscytujemy się zawsze tym, czego nie posiadamy. Zaś gdy już udaje nam się to zdobyć – natychmiast tracimy tym zainteresowanie. Miraż wielkiego szczęścia i spełnienia jest zawsze gdzieś z przodu, ponieważ tak naprawdę nie sposób czegoś podobnego osiągnąć, jak już wcześniej mówiliśmy.

**Pieniądze szczęścia nie dają?**

Coś takiego łatwo mówić tym, którzy pieniądze mają. Bieda jest czymś skrajnie upokarzającym i upadlającym. Ktokolwiek ją romantyzuje, zapewne nigdy jej nie zaznał. Pewien zasadniczy poziom ekonomicznego i socjalnego bezpieczeństwa, który bez pieniędzy jest po prostu nieosiągalny, to warunek wprawdzie niewystarczający, ale konieczny do tego, by się czuć w tym świecie jako tako

>>

stabilnie. Natomiast oczywiście pieniądze nie są gwarancją szczęścia, bo nic nie jest gwarancją szczęścia.

**Paradoks naszych czasów?**

Tak. Te głośne przypadki samobójstw podróżnika i kucharza Anthony'ego Bourdaina (miał program w CNN), Kate Spade czy wcześniej Chrisa Cornella z Soundgarden wymownie to pokazują. Ci ludzie mieli wszystko, co w dzisiejszej kulturze najbardziej pożądane. Sukces, pieniądze, sławę. A zarazem gdzieś pod tą wierzchnią warstwą toczyła ich jakaś bezdenna rozpacz. Może do ich śmierci przyczyniła się także presja, o której rozmawiamy? Może już dłużej nie byli w stanie znieść tego ciążącego na nich, jak na nikim innym, obowiązku nieustannego zaświadczania o wielkości własnego sukcesu i życiowego powodzenia? Może odnosili wrażenie, że nie daje się im prawa do rozpaczy, poczucia bezsensu, smutku, przeżywania melancholii, straty, żałoby? W dzisiejszej kulturze kompletnie nie ma miejsca na te emocje. Wszystko jest podporządkowane produktywności. Człowiek smutny, przeżywający głęboką żałobę, konfrontujący się z egzystencjalnymi rozterkami, lękiem przed śmiercią czy poczuciem bezsensu nie jest przecież pożądanym pracownikiem. Lepiej, by pracownik był ogólnie zadowolony z życia, pełen energii, wysportowany i radosny. Wtedy jest najbardziej efektywny.

**A jeśli nie jest?**

Czy wyobrażasz sobie w dzisiejszym świecie pracodawcę, który tworzy pracownikom przestrzeń do przeżywania żałoby albo smutku? Smutek jesteśmy skłonni wyłącznie leczyć. Chodzi o to, by jak najszybciej minął. Trzeba więc takich środków, technik i substancji, które znowu pozwalają wejść na najwyższe obroty i być pracownikiem efektywnym. W jednostronnym medycznym ujęciu depresji – w którym powiada się, że jest ona po prostu chorobą układu nerwowego – często w ogóle nie bierze się pod uwagę uwarunkowań kulturowych. W książce „Loss of Sadness" Jerome Wakefield i Allan Horwitz stawiają tezę, że smutek istnieje dziś wyłącznie jako choroba. Utraciliśmy wszelkie instytucje i symbole, które pozwalałyby nam na przeżywanie smutku czy żałoby nie jako stanów patologicznych, ale jako naturalnych elementów naszego życia. Nie jest to nowa teza, stawiał ją już w latach 70. francuski historyk Philippe Ariès. W takim układzie – twierdził z kolei James Hillman, bardzo przenikliwy amerykański psycholog – wszystkie te emocje, których unikamy, powracają do nas w postaci ekstremalnej. Stąd właśnie wspomniana epidemia depresji i samobójstw. Jeśli zatem pytasz mnie o szczęście, odpowiem: nie potrzebujemy dziś wcale szczęścia, potrzebujemy więcej smutku.

Wzorce szczęścia i sukcesu są – z powodu globalizacji i internetu – wszędzie takie same. A zatem nastolatek z ubogiej rodziny w Wałbrzychu marzy dokładnie o tym samym, o czym marzy nastolatek z rodziny wziętych chirurgów plastycznych w Kalifornii. Niestety – tylko jeden z nich ma realną szansę to osiągnąć. Drugiemu świat nie ma wiele do zaoferowania poza coraz bardziej nierealistycznymi pragnieniami

**Portale informacyjne prześcigają się w zestawieniach rzeczy, które świadczą o tym, że szczęście zależy tylko od nas samych. Czy to prawda?**

To jest właśnie ta indywidualistyczna ideologia, o której wcześniej mówiłem. W jej myśl wszystko, co się w naszym życiu dzieje, zależy od nas i wszystko jest wyłącznie naszą odpowiedzialnością. To ideologia nie tylko skrajnie fałszywa i naiwna, ale też zwyczajnie okrutna. W formach skrajnych przyjmująca postać myślenia magicznego à la wielki międzynarodowy bestseller „Sekret" autorstwa niejakiej Rhondy Byrne. Głoszone w tej książce przekonanie – że, mówiąc w skrócie, wystarczy czegoś odpowiednio mocno chcieć, żeby to mieć – stanowi kwintesencję tego podejścia. Problem polega jednak na tym, że jeśli jesteś wyłączną autorką własnego sukcesu, to jesteś także wyłączną autorką własnej porażki. Dla ludzi korzystających z niesprawiedliwego systemu ekonomicznego, z nierówności i braku sensownej redystrybucji to podejście wprost wymarzone. Rzesze ludzi żyjących w skrajnym ubóstwie, umierające z głodu afrykańskie dzieci, ofiary wyniszczających wojen o dostęp do naturalnych bogactw – otóż wszyscy ci ludzie są sami sobie winni, bo nie dość pozytywnie wyobrażali sobie własną przyszłość?

**Postrzeganie szczęścia zmienia się z pokolenia na pokolenie. Czego chcieli milenialsi, a czego chcą ludzie z pokolenia Z, którzy dopiero wejdą na rynek pracy?**

Widziałem niedawno badania, z których wynikało, że przedstawiciele pokolenia milenialsów są przekonani, że w okolicach 50. roku życia będą już milionerami, którzy

**Słoneczna plaża, piękna dziewczyna, białe zęby i coca-cola. Reklama wgrywa ludziom do głowy wzorzec szczęścia – tak jak ten plakat z 1954 r.**

zrezygnują z pracy i będą oddawać się relaksowi na swoich prywatnych wyspach. Widać w tym dokładnie to, o czym wcześniej mówiliśmy – poczucie, że wszystko jest możliwe. Oczywiście, oni mają mnóstwo możliwości, o których wcześniejsze pokolenia mogły tylko pomarzyć, choćby ze względu na galopującą globalizację i postęp technologiczny. Ale tym bardziej dotkliwe może być dla nich to zderzenie z rzeczywistością – gdy już się okaże, że nie zostali milionerami i nie mają prywatnej wyspy. Bo ich życie jest dokładnie tak samo ograniczone jak życie innych ludzi.

**To znaczy?**

Świat pragnień i możliwości staje się coraz bardziej rozbuchany, podziały między ludźmi i pokoleniami stają się coraz bardziej krzykliwe i ostre. Ale tak jak wcześniej, tak i dzisiaj, kształt naszego życia w przeważającej mierze zależy od tego, w jakim rejonie świata się urodziliśmy, w jakiej klasie społecznej, w jakiej rodzinie. Podziały społeczne, bogactwo i bieda ulegają reprodukcji. Natomiast wzorce szczęścia i sukcesu dostajemy dziś – z powodu zglobalizowanego internetu – wszędzie takie same. A zatem nastolatek z ubogiej rodziny w Wałbrzychu marzy dokładnie o tym samym, o czym marzy nastolatek z rodziny wziętych chirurgów plastycznych w Kalifornii. Niestety – tylko jeden z nich ma realną szansę coś podobnego osiągnąć. Drugi popadnie zapewne prędzej czy później we frustrację, przystąpi do jakiejś populistycznej organizacji politycznej, skrajnej prawicy itp. Powiększa się grupa młodych ludzi, którym ten świat nie ma do zaoferowania nic poza coraz bardziej nierealistycznymi pragnieniami.

**Pozostają wykluczeni?**

Tak, bo nigdy nie osiągną tego, o czym marzą. A przynajmniej przytłaczająca większość z nich.

**Co powiesz tym, którzy nie wierzą w szczęście?**

Że mają rację. Szanuję ten wybór i brak wiary w szczęście i podzielam go. Myślę, że są to ludzie o racjonalnym nastawieniu, którzy obserwują świat i wyciągają adekwatne wnioski z tego, jak on funkcjonuje. I dlatego mają być może szansę na życie szczęśliwe, to znaczy pozbawione złudzeń i nadmiernie rozbuchanych oczekiwań.

* TOMASZ STAWISZYŃSKI JEST FILOZOFEM, PISARZEM, DZIENNIKARZEM; PROWADZI AUDYCJĘ W RADIU TOK FM

# Przyjaźń od pierwszego wejrzenia

## I DLACZEGO JEST WAŻNIEJSZA OD MIŁOŚCI

z prof. Zbigniewem Nęckim rozmawia Łukasz Dziatkiewicz

**WSZYSCY SOBIE PODKRĘCAMY PIÓRKA I POKAZUJEMY SIĘ JAK NAJBARDZIEJ ATRAKCYJNI. ALE POTRZEBUJEMY KOGOŚ, KTO NAS ZAAKCEPTUJE BEZ PIÓREK, KIEDY ODSŁONIMY SŁABOŚCI I WADY. TO JEST PRZYJACIEL – MÓWI PROF. ZBIGNIEW NĘCKI, PSYCHOLOG SPOŁECZNY**

**Łukasz Dziatkiewicz: Ilu ma pan profesor przyjaciół?**

**Prof. Zbigniew Nęcki*:** Lista moich przyjaciół się z czasem redukuje niestety z przyczyn naturalnych. Do tego z niektórymi urwał się kontakt z innych, niekoniecznie ostatecznych, powodów. Obecnie jest ich czterech, a lubiłem mieć wielu przyjaciół – jakieś trzy razy więcej ich posiadałem. Ale oczywiście nie o liczbę chodzi, tylko żeby w ogóle byli. Jeśli taka więź łączy nas z jednym człowiekiem, a jeszcze lepiej z kilkoma, to już jest nieźle.

**Co odróżnia przyjaciela od kolegi czy znajomego?**

To jest odmienny typ relacji, inny format uczucia i inna głębia. Różnice są istotne, niemniej trudno je ująć w słowa. Odnoszę to do magicznego mechanizmu – podstawowego poczucia więzi psychicznej między dwojgiem ludzi. Koleżeństwo opiera się na wzajemnych przysługach i wspólnocie biznesowej czy instrumentalnej. Przyjaźń zaś bazuje na owym zagadkowym poczuciu więzi, które odczuwamy, ale nie potrafimy go nazwać.

Nie spotykam się często z moimi przyjaciółmi, każdy ma swoje życie, są zresztą rozsypani po świecie, ale są, więc może nazwałbym to psychiczną obecnością w mojej duszy? Kolega pojawia się fizycznie, kiedy musimy coś załatwić, przyjaciel zaś pojawia się psychicznie, kiedy chcę podzielić się z kimś swoimi przeżyciami, doznaniami, gdy pragnę powspominać, pożalić się albo pochwalić.

**A czy w odróżnieniu kolegów od przyjaciół pomaga porzekadło, że przyjaciół poznaje się w biedzie?**

Oczywiście. To starożytna, wiecznie aktualna mądrość i świetny test. Niemniej teraz są instytucje, które mają nam pomóc, kiedy – dajmy na to – mamy problem finansowy albo zdrowotny. Istnieją możliwości pomocy w sytuacjach kryzysowych, nawet w psychicznych.

**To znaczy, że postęp cywilizacyjny grozi przyjaźni?**

Zagraża tej cudownej rzeczy, jaką jest możliwość polegania na przyjaciołach, bo tę funkcję przejmują państwo i inne instytucje – np. banki w kwestii pożyczki. Za to większy nacisk w przyjaźni kładziony jest na wspólnotę czasu wolnego: wyjazdy i wakacje, imprezy etc.

**Uczucia ewoluują, zmieniają intensywność, a przyjaźń?**

Przyjaźń ma generalnie trzy fazy: formowanie się (tu możliwa jest jeszcze asymetria), uzgodnienie wspólnie aprobowanego poziomu bliskości i otwartości, która wyznacza wyjątkowość i intymność więzi, wreszcie faza trzecia – stabilna niezmienność. Chyba że jakieś kryzysowe wydarzenia ją podważą, wtedy przyjaźń może przejść we wrogość i to nawet śmiertelną!

**Skoro już mówimy o wrogach. Podobno kiedyś wspólny wróg cementował przyjaźń, a nawet stał u jej podwalin.**

Teraz powiem coś z ważniejszych rzeczy, jakie nasza psychologia relacji międzyludzkich wykazała. Jeśli chcesz, żeby ludzie stanowili wspólnotę, to stwórz im wroga i wtedy będą się najsilniej popierali. To jeden z najmocniejszych czynników łączących ludzi zarówno w masie, jak i pojedynczo. W tym sensie przyjaźni sprzyja nienawiść z zewnątrz. Działa to na wszystkich poziomach: prywatnym, sąsiedzkim, społecznym i niestety politycznym.

**Są teorie, że przyjaciel to osoba bliższa niż partner czy rodzina, przynajmniej w pewnych aspektach. Amerykański pisarz Elbert Hubbard powiedział: „Przyjaciel to człowiek, który wie wszystko o tobie i wciąż cię lubi".**

IKON IMAGES/EAST NEWS

Koleżeństwo jest transakcyjne, przyjaźń to wspólnota przeżywania świata

To jest dobra myśl. Ludzie często lubią się, znając z daleka, czyli de facto nie znając. Wszyscy sobie podkręcamy piórka i pokazujemy się jak najbardziej atrakcyjni. Dowodem przyjaźni jest to, że jak pokażemy się bez owych piórek i ten ktoś – przyjaciel, mimo to nas dalej lubi i co najważniejsze, chce pozostać w przyjaźni. To świadectwo prawdziwej przyjaźni. Ukazanie się takimi, jakimi naprawdę jesteśmy, jest wyrazem wielkiej ufności.

**To taki współczesny test na przyjaźń? Zamiast „przyjaciół poznajemy w biedzie"?**

Jak najbardziej. Jeśli mogę się przed kimś naprawdę otworzyć i opowiedzieć o swoich nie najpiękniejszych zachowaniach, a on zamiast mnie potępić będzie mnie wspierał, to jest cudowny moment. Ta druga osoba okazuje się zasługiwać na zaufanie i wspólnotę, bo to, co nas naprawdę łączy, to wspólnota doświadczenia. Wiemy obaj o sobie na dość głębokim poziomie; równowaga, wzajemność są wskazane. Na początku, w formowaniu przyjaźni, często jedna strona inwestuje bardziej. Ale potem druga musi zrobić to samo. Ja inwestuję w ciebie swój czas, uwagę, emocje i – co niezwykle ważne – zaufanie. Jeśli ty nie zrobisz tego samego, to nie przejdziemy do wyższego poziomu. Musi zaistnieć wzajemność. W przyjaźni równość jest bardzo wskazana – wkład wzajemny się ocenia i porównuje.

**Wielu ludzi – zwłaszcza, zdaje się, mężczyzn – wątpi, że przyjaźń damsko-męska jest możliwa. Bywa, że jedno z przyjaciół zaczyna czuć coś więcej i wtedy jest kłopot.**

Przyjaźń damsko-męska jest dla mnie arcyciekawą zagadką. Oczywiście kwestia pożądania fizycznego, niemającego z przyjaźnią nic wspólnego, może się pojawić. Jest więc taka przyjaźń trudna, bo jedna strona, i to niekoniecznie mężczyzna, może – że tak powiem – wprowa- >>

IKON IMAGES/EAST NEWS

Życie bez przyjaciół może być sensowne, ale raczej trudno sobie wyobrazić, żeby było szczęśliwe

dzić wątki erotyczne. Tak się rodzi inne potężne uczucie cementujące związki – miłość. Ale w przypadku miłości już najlepiej to połączyć, czyli być przyjacielem swojej żony czy kochanki.

Miłość zaczyna się od kontaktu fizycznego, atrakcyjności, dotyku, czułości, pieszczot, potem pojawia się pożądanie, seks i miłość. Kontakt cielesny jest bardzo potrzebny, wręcz fundamentalny dla naszej psychiki. Życie erotyczne to głębokie źródło radości. Jednak możemy uprawiać seks, kompletnie się nie znając, może wystarczyć fascynacja ciałem, zachowaniem i jest nam dobrze przez jakiś czas.

Przyjaźń tak się nie pojawia, nie da się „zaprzyjaźnić od pierwszego wejrzenia", a zakochać – owszem. W przyjaźni musimy poznać człowieka i musi pojawić się więź psychiczna. Miłość to więź fizyczna. Jeśli oba typy więzi nałożą się, to kontakt jest pełny, a relacja między partnerami mocna, ale grozi wybuchem, gdyż źródła tych dwóch wartości są odmienne.

**Miłość na odległość przez dłuższy czas nie jest możliwa, a przyjaźń?**

Jak powiedziałem, miłość musi być oparta na kontakcie fizycznym przynajmniej od czasu do czasu. Przyjaźń go nie wymaga i może trwać na dystans latami, bo opiera się na więzi intelektualnej, emocjonalnej i ideologicznej.

Sam mam przyjaciela w USA, z którym spotykamy się raz na jakieś trzy lata. Technologia umożliwiła masę sposobów podtrzymania przyjaźni, pozwala odświeżyć wygląd, poczuć codzienność drugiej osoby, a to nas bardzo zbliża.

Ale równocześnie można mieć poczucie więzi, a nawet przyjaźni z ludźmi z Facebooka, którzy wcale nie są przyjaciółmi. Zaspokajają oni potrzebę przyjaźni niczym wspaniałe współczesne protezy. Jeśli jednak przejdziemy na poziom psychiki, to jestem zaniepokojony tymi ludźmi, którzy realizują swoją potrzebę więzi społecznych głównie przez internet. Te przyjaźnie są przyjaźniami w amerykańskim stylu, czyli jesteś mój „friend", bo się znamy już sześć minut.

Dla nas, Polaków przyjaciel to jest naprawdę ktoś, z kim przeszedłem niejedno, znamy się od lat, najlepiej od podstawówki, albo choć od studiów, czyli w oparciu o więź budowaną i pogłębianą latami. Trzeba pamiętać, że ten, z kim wymieniłem parę e-maili czy razem coś polajkowaliśmy, nie pomoże nam jak przyjdzie kryzys. Tak więc traktujmy facebooki jako interesujące doświadczenie, ale nie nazywajmy relacji stamtąd mianem prawdziwych przyjaźni. To koleżeństwo, znajomość, choć właściwie brakuje tu nazwy na owe paraprzyjacielskie relacje.

**Dlaczego paraprzyjacielskie relacje wypierają przyjaźń?**

Bardzo wzrosła dynamika życia, zmieniamy miejsca pracy i mieszkania, poznajemy przy tym masę ludzi. Przyjaźń ma tendencję do zamieniania w instrumentalną wymianę dóbr – „ty mnie, ja tobie", czyli w znajomość bądź koleżeństwo. Powtórzę, przyjaźń poza poczuciem wspólnego bytowania, musi być związana z głębokim poczuciem wspólnoty – najgłębszej rzeczy, jaka może być, czyli istnienia. Mówiąc brutalnie: wiem, że on – przyjaciel – będzie na moim pogrzebie płakał. Bo utrata przyjaciela jest bardzo bolesnym doświadczeniem. Jego brak, jego odejście zostawia niemal taką lukę w przestrzeni psychicznej jak utrata wartości i sensu życia, radości. A kolega? Jeśli w ogóle przyjdzie na mój pogrzeb, to najwyżej położy na grobie kwiatka.

**Do czego jeszcze, oprócz łez na pogrzebie i akceptacji naszego prawdziwego ja, potrzebny jest przyjaciel?**

Do wspólnego bycia razem, bez instrumentalnej transakcyjności. Cieszy mnie, że z kimś jestem, choć pozornie nic z tego nie wynika. Pięknie to widać w kontaktach z dziećmi, one nie chcą nic konkretnego od rodziców, chcą się tylko z nimi bawić, być razem. Podobnie jest w przyjaźni, i musi tak zostać, w innym przypadku staniemy się zdehumanizowani. Potrzebujemy kogoś, żeby odczuwać wspólnotę przeżywania świata i radość z życia! To jest właśnie przyjaciel.

**Osoba powszechnie lubiana, dusza towarzystwa, jest szczególnie predestynowana do posiadania wielu przyjaciół?**

Dobre pytanie – nazywamy takie osoby gwiazdami socjometrycznymi. To ludzie, których wszyscy lubią, a oni łaskawie rozdają uśmiechy. Są pomocni, dają wsparcie, rozumienie, bystrość, przewagę różnego rodzaju. Niestety, te gwiazdy mają często bardzo płytkie relacje. Bo brakuje tego, co jest podstawą przyjaźni, czyli podobieństwa psychicznego i równości. Wiem coś o tym, bo w młodości starałem się być taką gwiazdą i to skutecznie. Niby dużo przyjaciół, ale w sumie żadnego…

**Podobieństwo i równość są warunkiem koniecznym przyjaźni?**

Tak. Co innego miłość, która w formie przyciągania się przeciwieństw na krótko bywa możliwa. To ma uzasadnienie biologiczne: dobrze jest by były różne geny połączone. Jeśli on i ona pochodzą z różnych nacji, kultur, a nawet ras, to bardzo dobrze, dzieci z takich związków często są wspaniałe. Ale szukajmy w miłości jednak ludzi podobnych, bo tylko to zapewnia trwałość więzi.

Sankcje i społeczne konsekwencje obu tych uczuć – przyjaźni i miłości – są bardzo różne. Miłość, jako uczucie niemal instynktowne, biologiczne, zwierzęce, nawiązuje do popędów. Jest dzika i szalona. Przyjaźń zaś jest piękna, ułożona i daje głębokie poczucie sensu. Obyśmy mieli i przyjaciół, i ludzi, których kochamy.

**Skoro przyjaźń jest taka ważna, to czy powinniśmy się jej uczyć w szkole? Czy to w ogóle możliwe – nauczyć się przyjaźni?**

Szkoła jest instytucją masową, w której ludzie traktują się jako elementy układanki i role społeczne, a nie jako podmioty czujące, przeżywające, marzące, czyli indywidualności. Są grupy: uczniów, nauczycieli, rodziców, obsługi administracyjnej etc. Nie patrzą one na siebie jak na ludzi, tylko przez pryzmat pełnionych przez nich funkcji społecznych. Przyjaźń wyrasta z jednostkowości, docenienia wyjątkowości człowieka awansowanego do bycia przyjacielem.

Szkoła powinna humanizować układy, a nie traktować ludzi jak bez mała przedmioty. Wzory przyjaźni bywają w szkole pokazywane, zwłaszcza jak wspomniałem w literaturze, czyli w fikcji. Ja zachęcam środowisko oświatowe do poświęcenia większej uwagi prawdziwej przyjaźni między ludźmi.

**Można być szczęśliwym, nie mając przyjaciół?**

Raczej trudno. Bo naturalnym jest potrzeba dzielenia się z kimś i radościami, i przykrościami, komentowania, badania reakcji innego na to, co nas bawi, ale i co boli. Samotne przeżywanie życia może być formą poczucia spełnienia, ale nie wierzę, by bez przyjaźni życie kogokolwiek z nas było życiem pełnym radości i poczucia szczęścia. Ale pamiętajmy, że nie ma opozycji przyjaźń – brak przyjaźni, bo jest continuum: od pełnego związku przez różne odcienie i stopniowanie bliskości aż do granicy samotności, za którą jest gorycz i brak spełnienia. Bez przyjaźni życie może być sensowne, jednak nie sądzę, by było szczęśliwe. ◎

* PROF. ZBIGNIEW NĘCKI JEST DZIEKANEM WYDZIAŁU PSYCHOLOGII I NAUK HUMANISTYCZNYCH KRAKOWSKIEJ AKADEMII IM. FRYCZA MODRZEWSKIEGO W KRAKOWIE. WYKŁADAŁ M.IN. W USA, INDIACH I WIELKIEJ BRYTANII.

IKON IMAGES/EAST NEWS

**Miłość jest szalona, nawiązuje do popędów, przyjaźń daje poczucie sensu**

# Inżynier Aboud nie schodzi z posterunku

## KAŻDA WOJNA MA SWOICH CICHYCH BOHATERÓW

Paweł Pieniążek

YOUSSEF RABIE/PAP/EPA

Bojownicy kalifatu zostali przepędzeni z tamy przez kurdyjskie oddziały samoobrony (YPG)

**ODKĄD W SYRII WYBUCHŁA REWOLUCJA, WIELKA TAMA NA RZECE EUFRAT CZTERY RAZY PRZECHODZIŁA Z RĄK DO RĄK. INŻYNIEROWIE, KTÓRZY NIGDY JEJ NIE PORZUCILI, SĄ CICHYMI BOHATERAMI TEJ WOJNY**

W windzie mężczyzna pyta, które chcemy piętro. „Minus jedenaście" – odpowiada 43-letni inżynier Ahmed Hadż Aboud. Windziarz naciska przycisk i powoli zjeżdżamy w dół. W windzie nie ma drzwi, więc co chwilę ukazują się puste korytarze kolejnych poziomów. Piętro minus jedenaście to rozległa hala, gdzie znajdują się turbiny. To dzięki nim tama At-Tabka produkuje prąd elektryczny.

Tabka, małe miasto w północnej Syrii, leży 40 km na południowy zachód od Rakki. Tamtejsza tama ma 60 m wysokości, a utworzony przez nią sztuczny zbiornik wodny ciągnie się przez cztery i pół kilometra. Nazywana jest Tamą Eufratu lub Tamą Rewolucji. Budowano ją w latach 1968-1973 przy wsparciu Związku Radzieckiego. Powstała na rzece Eufrat, która rozpoczyna swój bieg w Turcji, a dalej, w Iraku, wpada do rzeki Tygrys. Przez lata tama zaopatrywała w energię elektryczną całą Syrię, teraz tylko północną część kraju.

Na poziomie minus jedenaście ciągle trwają prace remontowe, a mimo to widać wiele zniszczeń. Jak niemal cała Syria, tama przeżyła walki i ostrzały. Dlatego teraz produkuje zaledwie połowę prądu, który wytwarzała przed wojną. A może w ogóle stanąć – jeśli zabraknie wody.

Aboud przez całe swoje dorosłe życie pracuje przy tamie. Rozpoczął 19 lat temu. Wcześniej byli tutaj zatrudnieni jego ojciec i wujek. Teraz – również jego brat. Tama Eufratu dla Abouda jest niemal jak dziecko, z którym przeżył wiele trudnych chwil.

„Między nią a naszą rodziną istnieje szczególna relacja" – uśmiecha się. „Kontrolę nad Tabką miał najpierw syryjski rząd, potem Wolna Armia Syrii i Dżabhat an-Nusra, następnie Daesz, a teraz Syryjskie Siły Demokratyczne i Kurdowie z oddziałów YPG. My nieustannie robiliśmy i robimy wszystko, by tama miała się jak najlepiej...".

Gdy w marcu 2011 r. wybuchła rewolucja i zaraz przerodziła się w konflikt zbrojny, syryjski rząd – nie będąc w stanie utrzymać kontroli nad całym krajem – skoncentrował siły w jego centralnej i zachodniej części. Z miejsc takich jak Tabka wycofał się bez walk. Aboud sądzi, że po części z tego powodu, żeby chronić tamę, tzn. nie narażać jej na uszkodzenie.

W lutym 2013 r. na miejsce syryjskich żołnierzy przyszła opozycyjna Wolna Armia Syrii i powiązana z Al-Kaidą Dżabhat an-Nusra. Ale po roku zostały zbrojnie wyparte przez Państwo Islamskie, które Aboud pogardliwie określa mianem Daesz.

## WOJNA NIE WOJNA, ROBIĆ TRZEBA

Niezależnie od tego, kto akurat rządził miastem i tamą, Aboud w zasadzie cały czas chodził do pracy.

„Tego dnia, gdy zaczął się szturm bojowników Państwa Islamskiego, też poszedłem na tamę" – wspomina. >>

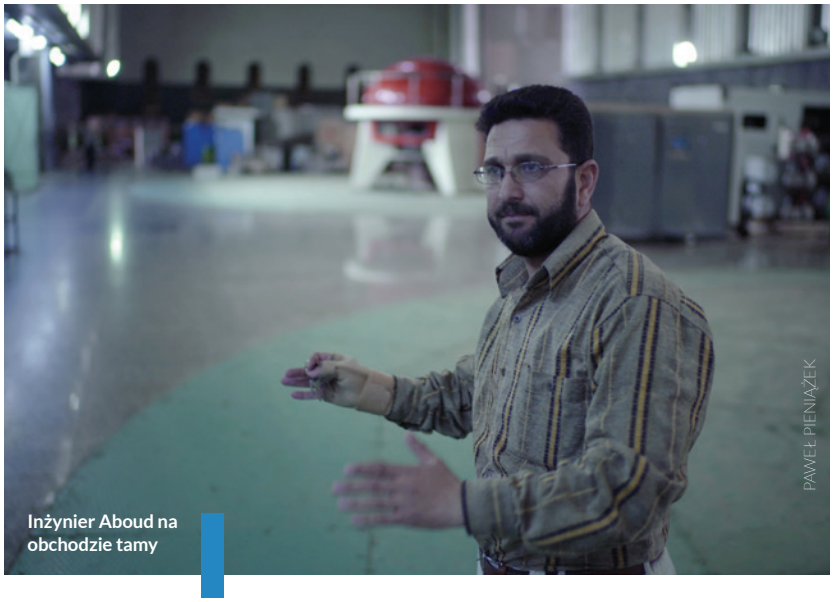

Inżynier Aboud na obchodzie tamy

Dla niego był to dzień jak co dzień; problemy zaczęły się, kiedy musiał wrócić z pracy do domu. W mieście już trwały starcia. Przemknął do domu przyjaciela, który mieszkał w spokojniejszej okolicy, kiedy obie strony zawarły zawieszenie broni na dwie godziny. Zrobiły to głównie po to, by wypuścić ludzi uwięzionych na bazarze w Tabce, którzy nagle znaleźli się w samym środku strzelaniny.

„Wszyscy mieliśmy szczęście, bo zaczęło się od lekkiej broni, dopiero potem zaczęli strzelać z moździerzy" – mówi.

## ZAPUŚĆCIE DŁUGIE BRODY

W przeciwieństwie do poprzedników Państwo Islamskie chciało mieć wpływ na funkcjonowanie tamy. Kazało nosić pracownikom długie brody, luźne ubrania, odpowiednio krótkie spodnie i pisać egzaminy z wiedzy o islamie. Zwolniło cały personel administracyjny – około 400 osób. Kazano im się spakować i więcej nie przychodzić.

Jednego z inżynierów, który poparł dżihadystów, awansowano na kierownika tamy. Przyszedł też nowy księgowy, który z ramienia Państwa Islamskiego odpowiadał za finanse. Przy tamie kręciło się też trochę bojowników.

Zmiany negatywnie odbiły się na płacach personelu technicznego, w tym inżynierów. Przed wojną zarabiali nie mniej niż 500 dolarów. Za kalifatu - najwyżej po 150 dolarów.

„Wystarczało tylko na jedzenie" – wspomina Aboud.

Cały personel techniczny jednak został. Dżihadyści zdawali sobie sprawę, że inżynierów, których przejęli razem z tamą, nie są w stanie nikim zastąpić. Trudno znaleźć osoby o odpowiednim wykształceniu, ale przede wszystkim z tak dużym doświadczeniem. Dlatego Państwo Islamskie musiało się męczyć z „niewiernymi", z kolei inżynierowie znosić trudy budowy „państwa bożego". Nie mogli pozwalać sobie na zbyt wiele, ale ze względu na to, że byli niezastąpieni, dostawali taryfę ulgową. Nie traktowano ich z takim okrucieństwem jak pozostałych mieszkańców Tabki. Przez cały ten czas Aboud w zasadzie nie wyjeżdżał z miasta. Mógł to zrobić bez problemu, ale uważał, że postąpiłby wówczas nieuczciwie. Nie chciał zostawić milionów ludzi bez prądu.

## BLEF DŻIHADYSTÓW

Kolejna zmiana władzy w mieście nie przebiegła już tak bezboleśnie. Bojownicy Państwa Islamskiego nie mieli zamiaru oddawać tamy bez walki. Mimo że Syryjskie Siły Demokratyczne (SDF) dysponowały liczniejszymi siłami, a wspierało je lotnictwo międzynarodowej koalicji ze Stanami Zjednoczonymi na czele. Bitwa o Tabkę, która trwała od 22 marca do 10 maja 2017 r., była jednym z kluczowych etapów antyterrorystycznej operacji „Gniew Eufratu". Jej ostatecznym celem było odbicie Rakki, stolicy samozwańczego kalifatu.

Powszechnie obawiano się, że w walkach tama zostanie zniszczona lub poważnie uszkodzona. ONZ ostrzegała, że doszłoby wówczas do gigantycznej powodzi. Tamę mogły zniszczyć obie strony konfliktu – była celem amerykańskich nalotów, a broniący jej dżihadyści grozili, że wysadzą ją w powietrze.

„Wówczas pod wodą całkowicie znalazłyby się prowincje Rakka, Dajr az-Zaur i częściowo Aleppo. W tej ostatniej upadłoby rolnictwo, bo ponad 300 tys. akrów byłoby niezdatnych do upraw" – wyjaśnia Aboud.

Ale dżihadyści tylko blefowali. Gdyby wysadzili tamę, sami znaleźliby się pod wodą. Przecież wtedy jeszcze kontrolowali Rakkę i prawie całą prowincję Dajr az-Zaur.

## ZAKASAĆ RĘKAWY I DO ROBOTY

Zanim islamscy bojownicy opuścili Tabkę, wyrządzili jednak sporo szkód. Transformatory zostały przestrzelone, a turbiny zniszczone. Uszkodzono cztery z ośmiu śluz. Znajdowały się w nich dziury o średnicy trzech metrów, które powstały po eksplozji materiałów wybuchowych. Tama przeciekała. Kilka najniższych poziomów znalazło się pod wodą. Aboud wyjaśnia, że gdyby woda doszła kilka metrów wyżej, tama po prostu przestałaby działać, bo zatonęłyby szafy sterownicze kontrolujące dostawę prądu do tamy.

Jedenaście dni po tym, jak zakończyła się bitwa o miasto, Aboud był już w pracy. Wrócili również inni – z wyjątkiem kilku inżynierów, którzy kolaborowali z Państwem Islamskim. Jednemu udało się uciec, a reszta zginęła.

Personel techniczny musiał zakasać rękawy. W dwa tygodnie odpompowano wodę z najniższych zatopionych pięter. Załatano śluzy. Do dzisiaj udało się naprawić trzy turbiny, ale

na razie tylko dwie są podłączone do sieci. Czwarta wkrótce ma zostać zreperowana. Poskładali je ze starych części, które przysłano z Iranu jeszcze przed wojną.

„Gdy wrócił prąd, był to dla nas dzień tryumfu" – mówi Aboud. „Wszystko zrobiliśmy własnymi siłami".

Wielokrotnie obiecywano im pomoc. Przyjeżdżali przedstawiciele różnych organizacji, ale ostatecznie nikt nic nie zrobił. A przecież tama wymaga ogromnych inwestycji. Niestety remont i odbudowę komplikuje to, że była budowana przy wsparciu Związku Radzieckiego, więc zachodnie części i urządzenia są mało przydatne.

## SUSZA W MEZOPOTAMII

Inżynier Aboud ma nadzieję, że więcej walk o tamę nie będzie.

„Nie pracujemy tu wyłącznie jako personel techniczny, ale również jako analitycy. Musimy nieustannie analizować sytuację polityczną i militarną, by móc zapewnić bezpieczeństwo tamie" – twierdzi.

Nawet jeśli nie będzie kolejnego szturmu na Tabkę, to cały czas trwają polityczne rozgrywki, których tama staje się zakładniczką lub ofiarą.

Zgodnie z międzynarodowymi umowami Turcja jest zobowiązana do przepuszczania na Eufracie 500 metrów sześc. wody na sekundę. Jednak w 2014 r. złamała porozumienie - już tylko 200 metrów sześc. wody na sekundę wpływa do Syrii. Z tego 58 proc. płynie dalej do Iraku. Poziom wody zatrzymanej przez tamę w sztucznym jeziorze Al-Asad obniżył się już o trzy i pół metra. I każdego dnia spada o kolejne dwa centymetry.

„Musimy korzystać z naszych zapasów, wystarczy ich na jakieś dwa, trzy miesiące" – mówi Aboud.

Taka sytuacja jest bardzo niebezpieczna. Na razie powoduje przede wszystkim ograniczenia w dostawach prądu, ale wkrótce może wywołać wielkie szkody w rolnictwie, które stanowi źródło utrzymania dla wielu ludzi w prowincjach Aleppo i Rakka.

Zniszczone na skutek walk systemy irygacyjne i wieże ciśnień – nawet jeśli zostaną wyremontowane – nie wystarczą, by zasilić pola przy obniżonym poziomie wody na tamie. Co gorsza, ze względu na nieduże opady i coraz bardziej upalne lata rolnicy potrzebują więcej wody niż dawniej i narzekają na słabe zbiory.

„Turcja wykorzystuje wodę jako broń przeciwko Syrii i Irakowi" – twierdzi Aboud.

A przecież w tym rejonie świata woda jest kluczowa od początków cywilizacji. To w dorzeczu Eufratu i Tygrysu znajdowała się starożytna Mezopotamia. Osiem tysięcy lat temu powstały tu pierwsze miasta – ze względu na wylewające rzeki i żyzne ziemie. Czy teraz, w XXI w., miałoby się to zmienić?

Na początku czerwca poziom wody w Tygrysie był tak niski, że w Bagdadzie przez rzekę można było po prostu przejść. Przyczyny są dwie: zatrzymywanie wody na tureckich tamach i susze. Temat niedoboru wody był poruszany przez iracki parlament. W czerwcu rząd w Bagdadzie zakazał rolnikom sadzenia ryżu, którego uprawy wymagają nawadniania.

Aboud ma jednak nadzieję, że Turcja nie będzie w stanie zatrzymać wody na swoich tamach w nieskończoność.

„W końcu albo ją wypuszczą, albo sama się przeleje" – mówi. „Dopiero wówczas na tamie będzie tak jak dawniej".

Wyzwoliciele tamy cieszą się ze zwycięstwa

YOUSSEF RABIE/PAP/EPA

# Wojna, która ma zapach barbowalu

tekst Magdalena Chodownik, zdjęcia Wojciech Grzędziński

Pogrzeb ofiar bombardowań we wsi Trojeckie, maj 2018 r.

# JAK WYGLĄDA KONFLIKT ZBROJNY, KTÓRY DZIEJE SIĘ TAK BLISKO, A O KTÓRYM ZAPOMINAMY

**PRAWIE WSZĘDZIE CZUĆ JEGO SŁODKAWY ZAPACH. BARBOWAL. LUDZIE, KTÓRZY MIESZKAJĄ PRZY LINII FRONTU, NOSZĄ GO PRZY SOBIE. PO BOMBARDOWANIU ODKRĘCAJĄ BUTELECZKĘ, WĄCHAJĄ, UPIJAJĄ KILKA KROPEL**

Miesiąc temu znowu walnęło. I znów prąd odcięło, który Halina i Iwan muszą na nowo podłączać. Tak jest po każdym większym ostrzale. W komórce obok domu, z kablami w ręku, naprawia go żołnierz z pobliskiego posterunku. Przyszedł pomóc.

W tej małej, wiejskiej społeczności muszą wspierać się nawzajem.

„Dwa razy pocisk trafił nam w dom. To trzeciego razu już chyba nie będzie?" – rzuca gorzkim, retorycznym żartem Halina.

Podwórko wygląda jak połatane – na wietrze powiewa kawałek folii, która robi za prowizoryczne zadaszenie. Sterczą połamane belki, w ścianach dziury po odłamkach. Ciężka, żelazna płyta bramy wjazdowej przestrzelona w wielu miejscach. Przez otwory widać przechodzących i przejeżdżających ulicą wojskowych, czasem mieszkańców wsi.

Zostało im też jeszcze trochę zwierząt: kilka świń w oborze, dwie krowy, kaczka, której odprysk pocisku oderwał kawałek nogi, koty, pies.

„Kiedyś miał budę, ale już nie ma. Tam też upadło" – tłumaczy Halina, pokazując wyrwę koło psiej zagrody. „Wyciągnęliśmy go, ale stracił węch. Nic nie czuje…".

Nawet taczek już nie ma, bo i te zniszczyły spadające pociski.

W domu, zamiast wiejskich zapachów, roznosi się specyficzna, słodkawa woń. Pachnie barbowalem – lekiem uspokajająco-hipnotyzującym z grupy barbituranów, rozszerzającym naczynia krwionośne i obniżającym ciśnienie. Lekarstwo działa na układ nerwowy, zmniejsza pobudzenie struktur mózgu. Halina też nim pachnie, bo nosi je przy sobie. Nie wiadomo, kiedy może się przydać. W chwilach stresu odkręca buteleczkę, wącha i upija z niej kilka kropel. Popularniejszą jednak alternatywą

>>

## „POMOCY!" – KRZYCZAŁA. NIE MOGŁA RUSZYĆ SIĘ Z MIEJSCA. DOCISKAŁA PODUSZKĘ DO BRZUCHA. MIAŁA TAM GŁĘBOKĄ RANĘ I W TEN SPOSÓB TRZYMAŁA SWOJE WNĘTRZNOŚCI NA MIEJSCU

wśród przyfrontowych społeczności jest alkohol – lek na tutejsze lęki. Wieś Trojeckie, w której mieszkają, sąsiaduje z separatystyczną Ługańską Republiką Ludową. Znajduje się w tzw. czerwonej zonie ukraińskich operacji wojskowych.

### OBY MAMA PRZEŻYŁA!

Tej nocy sen nie trwał długo, może pół godziny. Potem rozległ się charakterystyczny, przejmujący gwizd, a zaraz po nim bum, bum. Raz, drugi, trzeci... Szyby i podłoga zadygotały. Ostrzał. Spadło ich może z dziesięć. Z którymś dudnięciem przyszedł łomot tłuczonej dachówki i szyb. Przez nieszczelne drzwi i okna do domu wdarł się pył i zapach trotylu zmieszanego z tynkiem. Trafiło bardzo blisko.

Kilka minut później do domu Haliny wbiegł młody chłopak, Andriej. Bosy i przerażony. Zakrwawiony i pokryty kurzem. Biegał wkoło, krzyczał, prosił o pomoc. Miał na sobie jedynie bokserki i zarzuconą na pół pleców bluzę, którą w szoku starał się nieudolnie założyć.

„Szybko, szybko, uderzyło w nasz dom!" – powtarzał, wbiegając kolejno do każdego pokoju, po ciemku szukając ludzi. „Tam jest moja matka i ojciec, pomóżcie im! Chodźcie!".

Szukanie pomocy utrudniał mu ból. Utykał na jedną nogę. Głęboko w prawą łydkę wszedł odłamek, powodując silne krwawienie. „Siadaj i się nie ruszaj!" – dostał polecenie. „Potrzebny pasek, trzeba to zatamować". Andriej położył się na podłodze; mimo silnego stresu i szoku, starał się słuchać.

„Stracę nogę? Odetną? Mama przeżyje?" – pytał co i raz, trzęsąc się ze strachu.

„Boję się" – powtarzał i wpatrując się w oczy, szukał pocieszenia. „Oby mama przeżyła! Tak bym chciał, żeby mama przeżyła! Dajcie telefon, proszę, zadzwonię do dziewczyny. Ona chyba jest w ciąży".

Halina siedziała w kącie w przedsionku. Zasłaniając rękoma twarz, płakała, modliła się i krzyczała z przerażenia.

W trumnie 13-letni Jurij, zdobywca kilkunastu medali w szkolnych zawodach dżudo

Tak wyglądał dom Andrieja po bombardowaniu

## GRUZ 200

W domu Andrieja kurz i pył jeszcze unosiły się w powietrzu. Meble połamane, ściany i okna rozbite, a w miejscu sufitu i dachu – gwiaździste niebo, chwilowo spokojne. W jednym z pokoi, na podłodze, siedziała skulona kobieta – Swietłana, matka chłopaka. Wyciągając ręce i płacząc, prosiła o ratunek.

„Nie zostawiajcie mnie! Pomocy!" – krzyczała. Sama nie mogła ruszyć się
z miejsca. Nogi przysypane miała gruzem, a rękoma dociskała sobie poduszkę do brzucha. Miała tam głęboką ranę i w ten sposób trzymała swoje wnętrzności na miejscu.

Tuż obok leżało nieruchome, martwe ciało jej męża.

W drugim pokoju, nad którym najprawdopodobniej wybuchł pocisk, był jeszcze młodszy brat Andrieja. Trzynastoletni chłopiec. Też już nie żył.

„Gruz 200" – powiedział później jeden z żołnierzy stacjonujących w Trojeckich. Tak o ciałach mówi się w wojskowym żargonie.
Osiemnastoletni Andriej miał szczęście, spał w pokoju położonym najdalej od centrum wybuchu. Ściany osłoniły go przed poważniejszymi obrażeniami. Wydostał się i pobiegł szukać ratunku u Haliny.

„Dzwońcie na 103!" – krzyczał.

103 to numer pogotowia ratunkowego. Po kilku sygnałach odezwał się głos w słuchawce:

„Halo?"

„Był ostrzał, jest trzech rannych, potrzebna pomoc we wsi Trojeckie..."

„Adres? Imię? Nazwisko? Ile lat mają ranni? Mama jak ma na imię?"

Kobieta po drugiej stronie słuchawki pytała bez końca. Po każdej odpowiedzi padało następne pytanie
i następne. Dopiero, kiedy usłyszała, że na miejscu ostrzału są zagraniczni dziennikarze, zakończyła rozmowę, wysyłając karetkę. Zjawiła się po ponad godzinie.

Przyjechali też żołnierze z pobliskiego posterunku. Po ciemku, żeby nie stać się celem następnych pocisków. Wbiegli do domu, szybko zabrali Andrieja do samochodu i odwieźli. Potem zaczęli wydobywać spod gruzu Swietłanę. Zanieśli ją do karetki.

Dwóch cywilnych medyków stanęło na ulicy przed bramą, z oburzeniem pytając: „kto nas tu wezwał?", bo przecież nie są medykami wojskowymi. Nie weszli do środka.

Wojskowa pomoc medyczna ma swój własny system ratowania rannych żołnierzy. Cywile nie. Ci dzwonią na ogólnokrajowy numer 103.

## SYPNĘLI IM GARŚĆ PIACHU

Rano zadzwonił telefon: „Dzwonię poinformować, że matka nie przeżyła. Zmarła nad ranem w szpitalu. Bardzo mi przykro" – powiedział rzecznik prasowy OOS (Operacji Sił Połączonych operującej w strefie ukraińskich działań wojskowych).

Andrieja zabrano do szpitala 60 km od wsi. Leżał w łóżku z opatrzoną nogą. Lekarze powiedzieli, że odłamek nie dotarł do kości, więc niedługo wróci mu pełna sprawność w nodze. Ale miał się dobrze jedynie

>>

## W PIĘKNY, SŁONECZNY MAJOWY DZIEŃ WSZYSCY SYPALI NA TRUMNY PO GARŚCI PIACHU. I ZNÓW DAŁO SIĘ WYCZUĆ SŁODKAWY ZAPACH BARBOWALU

fizycznie, bo w takich sytuacjach trudno o radość czy ulgę. Poprosił tylko o telefon i kartę SIM, by mógł dzwonić do dziewczyny. Jego aparat został w zniszczonym domu. W szpitalu objęto go także pomocą psychologiczną.

Do wieczora po miasteczku Mironówka, oddalonym o osiem kilometrów od wsi Trojeckie, krążyły plotki. Mówiono, że Andriej nogę stracił, że chodzić nie będzie. Mówiono też, że matka wciąż żyje. Co zresztą okazało się prawdą!

Oficjalny komunikat wojskowy był błędny – Swietlana została przewieziona do szpitala, przeszła skomplikowaną czterogodzinną operację i pozostając w stanie krytycznym, z niewiadomymi szansami, wciąż walczyła o życie.

Błąd w oświadczeniu naprawiono kilka dni później, ale portale internetowe zdążyły już napisać o trzech ofiarach śmiertelnych, w tym o Swietłanie.

Przez kilka dni Halina wraz z sąsiadami, znajomymi i rodziną Andrieja sprzątali w jego domu. Starali się ocalić, co się dało – pamiątki i ubrania. W gruzach znaleźli kilkanaście medali, jakie trzynastoletni Jurij wygrał na zawodach w dżudo. Mimo młodego wieku miał ich wiele. Każdy z nich Halina starannie wyczyściła i zaczęła układać na poduszce, którą szykowała na pogrzeb. Znalazła też jego zdjęcia – uśmiechniętego chłopca, którego zaraz mieli przywieźć w trumnie.

Najpierw zjechała się rodzina zabitych, bliższa i dalsza. Zapłakane kuzynki i kuzyni. Później kolejno znajomi, sąsiedzi, koledzy i koleżanki ze szkoły i z podwórka, przedstawiciele lokalnych samorządów. Pobocze ziemistej, wiejskiej drogi zajął sznur samochodów.

„I z tamtej strony też dzwonili!" – ktoś rzucił, mając na myśli mieszkańców po stronie Ługańskiej Republiki Ludowej. „Dzwonili z kondolencjami, tam też mieszkają ludzie, my ich przecież znamy".

Pogrzeb odbywał się na podwórzu. Ze zniszczonego domu jak kolce wystawały belki. Z dachu pozostało niewiele. Szkielet. W tle ujadał pies. Wniesiono otwarte trumny, w których leżeli ojciec i jego 13-letni syn. Ludzie składali kwiaty.

Sędziwy batiuszka odprawiał mszę, modląc się o spokój dusz i łaskawość boską. Andriej, którego wolontariusze przywieźli ze szpitala na pogrzeb, siedział przed bramą, odpalając papierosa od papierosa. Po mszy kondukt żałobny powędrował na trojecki cmentarz. Tłum maszerował, żegnając ojca i syna, współpracownika i ucznia, kolegę i kumpla, modląc się za zmarłych oraz o zdrowie walczącej o życie matki.

W piękny, słoneczny majowy dzień wszyscy sypali na trumny po garści piachu. I znów dało się wyczuć słodkawy zapach barbowalu.

## BOZIA MA MNIE W OPIECE

Swietłana pod koniec maja wyszła ze szpitala. Wróciła do domu, gdzie wciąż dochodzi do siebie.

Wojna na Ukrainie zabrała już ponad 10 tys. istnień ludzkich. Na bombardowaniu domu Andrieja oczywiście się nie skończyła, od tego czasu zginęli już kolejni żołnierze i cywile. Po obu stronach. Wydawane są nowe oświadczenia, sprostowania, kondolencje.

Mieszkańcy frontowych wiosek starają się po prostu przeżyć kolejny rok. Chwile oddechu zdarzają się najczęściej za dnia, wtedy jest spokojniej. Halina i Iwan pasą swoje dwie krowy na łące po drugiej stronie ulicy albo zajmują się ogródkiem.
Na linii frontu najgorsze są noce. Wybuchy i strzały słychać regularnie. Nawet do nich przywykli, choć oczywiście obawiają się, że znów zostaną ostrzelani.

„Spać nie możemy, boimy się" – mówi Halina. Opowiada, że niekończąca się wojna to nie tylko zniszczone domy, zabici ludzie, ale też ogromny stres i trauma dla żyjących. „I tak mam się lepiej niż mój mąż. On psychicznie ucierpiał dużo bardziej. Traci już nawet pamięć, a ja wszystko pamiętam. Wszystko!".

Wystarczy głośniejszy wystrzał i wszystkie najgorsze wspomnienia powracają z ogromną siłą. Po tragedii rodziny Andrieja sąsiedzi w Trojeckich zaczęli spotykać się nocami, żeby wspólnie dodawać sobie otuchy. „No przeżyliśmy. Pomyślałam sobie: daj Bóg zdrowie. Bo co innego miałam powiedzieć?"

Wojna to nie wszystko, co muszą przeżyć i przetrzymać. Do wybuchów i ostrzałów dochodzą jeszcze: bezrobocie, głodowe emerytury, ograniczona mobilność, brak alternatyw, alkoholizm, uzależnienie od leków. Brakuje szkoleń z pierwszej pomocy oraz dobrze zaopatrzonych apteczek.

„Kiedy pytają mnie, jak ja to wszystko przeżyłam, odpowiadam, że tylko dzięki Bożence" – mówi Halina. „Czerwony Krzyż i chłopcy [ukraińscy żołnierze stacjonujący w Trojeckich – red.] też pomagają, ale Bożeńka ma mnie w swojej opiece. Codziennie modlę się do niej". ◎

REPORTAŻ NOMINOWANY DO NAGRODY NEWSWEEKA IM. TERESY TORAŃSKIEJ. WSZYSTKIE ZDJĘCIA POCHODZĄ Z MAJA UB.R. SĄ NA NICH BOHATEROWIE ARTYKUŁU

# ŚWIAT MODY KRADNIE LUDOWE WZORY

## I JEST BEZKARNY, BO PRAWO AUTORSKIE NIE CHRONI FOLKLORU

Ola Synowiec

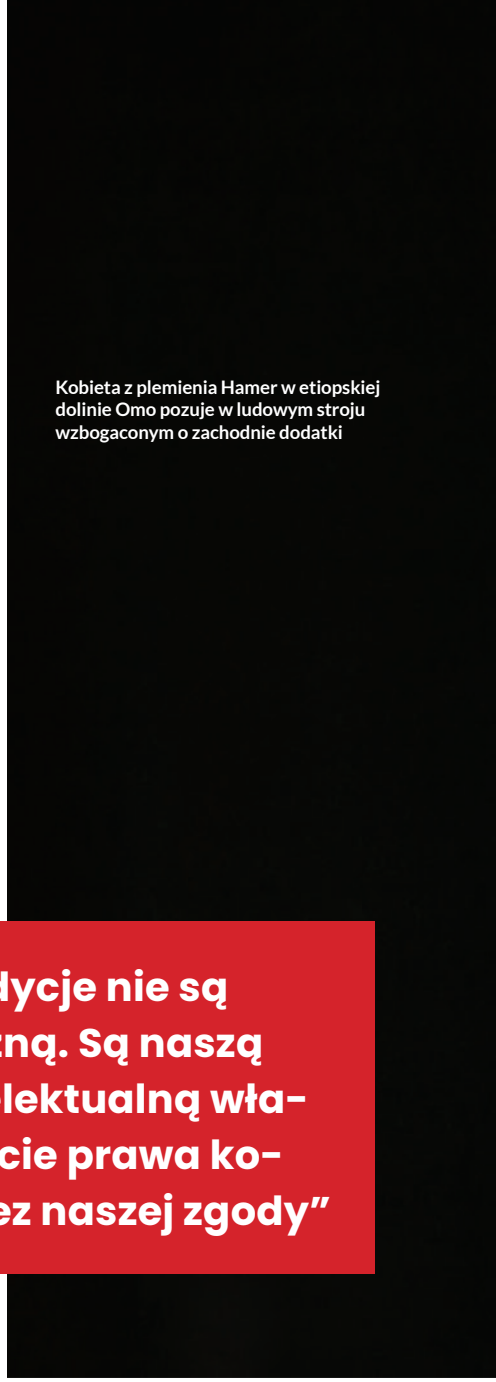

Kobieta z plemienia Hamer w etiopskiej dolinie Omo pozuje w ludowym stroju wzbogaconym o zachodnie dodatki

**„Plemienne tradycje nie są domeną publiczną. Są naszą kolektywną intelektualną własnością. Nie macie prawa korzystać z nich bez naszej zgody"**

**ZNANI PROJEKTANCI I MARKI ODZIEŻOWE CZĘSTO INSPIRUJĄ SIĘ TRADYCYJNYMI STROJAMI INDIAŃSKICH GRUP ETNICZNYCH. CZASAMI JEDNAK WZORY SĄ KOPIOWANE JEDEN DO JEDNEGO, A INDIANIE NIE DOSTAJĄ ANI GROSZA. CZY MAJĄ MORALNE PRAWO, ŻEBY DOMAGAĆ SIĘ UZNANIA ICH PRAW AUTORSKICH?**

W świecie mody królują od niedawna kolorowe ludowe hafty. W niektórych przypadkach dokładnie takie same jak te, które od lat na swoich tradycyjnych strojach umieszczają Indianie. W ciągu zaledwie ostatnich pięciu lat marki odzieżowe aż osiem razy przeniosły na swoje ubrania wzory typowe dla rękodzieła poszczególnych grup etnicznych Meksyku. Firma Mango skopiowała tradycyjny haft Indian Otomi z miejscowości Tenango de Doria, Intropia skorzystała z motywów z San Juan Bautista Tlacoatzintepec w stanie Oaxaca, a Zara wzorowała się na ubraniach z Aguacatenango w stanie Chiapas. Żadna z marek nie wspomniała nawet, kto jest autorem wzoru. Żadne z plemion nie dostało ani grosza. Wedle prawa meksykańskiego i międzynarodowego w takiej sytuacji Indianie nie mieli prawa ubiegać się o jakiekolwiek pieniądze.

„Prawo autorskie nie dotyczy dzieł należących do folkloru" – mówi Luis C. Schmidt z kancelarii prawniczej Olivares w mieście Meksyk. „Dla zachodnich cywilizacji ta sfera twórczości widziana jest jako domena publiczna. Dzieła należące do folkloru traktowane są jako niczyje, jako dobro wspólne. Międzynarodowe prawa chronią jedynie dzieła

ERIC LAFFOURGE/IMP FEATURES/EAST NEWS

indywidualne, stworzone przez konkretnych autorów. Folklor zaś nie jest indywidualny, jest kolektywny. Jego dzieła nie są oryginalne, cechuje je raczej powtarzalność wynikająca z tradycji".

Sprawa wygląda inaczej, gdy twórca ludowy jest znany, a jego dzieła – charakterystyczne i oryginalne. Wtedy jego prawa autorskie są uznawane. Tak było na przykład w Polsce, gdy łowicka artystka Helena Miazek dostrzegła elementy swoich wycinanek na opakowaniach czekoladek Wawel. Znany etnograf potwierdził, że można na nich rozpoznać jej twórczą rękę. Z kolei prace innej artystki z Łowicza, Henryki Lus, zostały pobrane z internetu i umieszczone przez Mennicę Polską na medalu z okazji objęcia przez Polskę prezydencji w Unii Europejskiej. Sprawę planowano skierować do sądu, ale w końcu Mennica potwierdziła, że doszło do naruszania praw autorskich i zawarto ugodę.

W przypadku twórców indiańskich jest trudniej. Nie mają oni zazwyczaj jak udokumentować swojej pracy. Często nie znają swoich praw i nie mają możliwości o nie walczyć.

„Nie wiem, jak działa prawo międzynarodowe, ale dla mnie to jest po prostu kradzieżą. Te firmy wykorzystują naszą wielowiekową tradycję, żeby robić na niej grube dolary. Nawet nie wspomną nazwy naszej społeczności, nawet nie podziękują" – mówi Juana, artystka ludowa z Zinacantán w meksykańskim stanie Chiapas. „Na bazie naszych strojów produkuje się podróbki kiepskiej jakości. No i co gorsza, bierze się wzory zupełnie bez zrozumienia. A przecież każdy element coś znaczy, ma głęboką, świętą symbolikę. Zdarza się, że wykorzystuje się ubrania rytualne, które są wkładane jedynie w czasie ceremonii. A oni noszą takie stroje na co dzień!"

>>

TIMOTHY A. CLARY/AFP/EAST NEWS

Modelka Karlie Kloss w Indiańskim pióropuszu na pokazie Victoria's Secret w 2012 r.

## Sacrum i profanum

Znani projektanci już nieraz byli krytykowani za profanowanie świętych symboli różnych kultur w swoich kolekcjach. Na markę Gucci spadły gromy, gdy użyła turbanów charakterystycznych dla religii Sikhów. „To święty element naszej wiary, a nie modny dodatek" – napisała na Twitterze Koalicja Sikhów. „Używanie naszych turbanów jest gorsze niż sprzedawanie podróbek Gucciego" – skomentował Sikh Harjinder Singh Kukreja. Do podobnej sytuacji doszło siedem lat temu na pokazie bielizny Victoria's Secret, kiedy modelka Karlie Kloss wystąpiła w indiańskim pióropuszu. Dla północnoamerykańskich grup etnicznych jest to święty symbol i oznaka statusu społecznego, której mogą używać jedynie wodzowie poszczególnych społeczności. Na głowie półnagiej modelki był wręcz obraźliwy.

Kiedy firma odzieżowa Urban Outfitters wypuściła kolekcję Navajo, protestowało plemię o tej nazwie. Po pierwsze – przeciwko bezprawnemu jej wykorzystaniu. Po drugie – bo tradycyjne wzory znalazły się między innymi na piersiówkach na alkohol i bieliźnie nazwanej „Navajo hipster panties".

Nie ma praktycznie miesiąca, żeby internetu nie obiegł kolejny skandal związany z tzw. kulturowym przywłaszczaniem (ang. *cultural appropriation*). Krytykuje się nie tylko przemysł modowy, lecz także wybory odzieżowe poszczególnych osób. Obrywa się celebrytom: Beyoncé za noszenie henny, Selenie Gomez za umieszczenie na czole hinduskiego *bindi*, a Katy Perry za przebieranie się za gejszę.

## Recykling kulturowy

Są jednak głosy, że taka krytyka to przesadna poprawność polityczna. Bo przecież dyfuzja kulturowa istniała na świecie od tak dawna, od kiedy dwie społeczności spotykały się i żyły obok siebie. Jest to naturalny proces i dzięki niemu kultura pozostaje żywa.

„Większość najciekawszych pomysłów powstaje na bazie pożyczania już istniejących konceptów. Dawne idee zostają zmienione i nabierają nowych znaczeń" – mówi Linda Hewson, dyrektor kreatywna brytyjskiego luksusowego sklepu Selfridges. „Recykling kulturowy nie jest niczym nowym".

Jak zatem wyznaczyć granicę między kradzieżą a inspiracją?

Susan Scafidi z Fashion Law Institute, prawniczka specjalizująca się we własności intelektualnej w świecie mody, odpowiada, że „do kulturowego przywłaszczenia dochodzi wtedy, gdy jedna kultura bierze element drugiej bez pozwolenia, bez zrozumienia oraz bez należytego szacunku".

Warto również, inspirując się innymi kulturami, stawiać sobie pytanie: czy pożyczamy od kultury/społeczności znajdującej się w gorszej pozycji i czy była ona wcześniej dyskryminowana za manifestowanie swojej tożsamości?

„Gdy dorastałam, ciągle mi dokuczano za noszenie tradycyjnych strojów. Gdy widzę Beyoncé, Gwen Stefani i inne przypadkowe białe kobiety, które noszą te same rzeczy i akcesoria jako modne nowinki,

LUNAE PARRACHO/REUTERS/FORUM

Projektant Oskar Metshavat inspirował się folklorem plemienia Asháninka, ale podzielił się zyskami ze sprzedaży kolekcji

czuję się, jakby ktoś dał mi w twarz" – pisze dziennikarka hinduskiego pochodzenia, Zoya Patel.

„One mogą zdjąć kostium i wrócić do zwykłego życia, kiedy tylko zechcą. Ja nie mogę wyjść ze swojej skóry, pozbyć się niezaprzeczalnie hinduskiego wyglądu. Ale żadna z tych artystek nie chce tej części mojej kultury, interesują je tylko piękne stroje" – wyjaśnia Patel. Dodaje, że „jej kultura to nie kostium".

## Jednostka versus kolektyw

Jak rdzenne grupy etniczne mogą bronić tradycji? W świetle obecnego prawa jest to bardzo trudne. Zderzają się tu bowiem dwie wizje społeczeństwa: europejska nastawiona na indywidualizm oraz tradycyjna nastawiona na kolektywizm.

„Zachodnie koncepty twórczości indywidualnej i indywidualnych praw autorskich niekoniecznie przystają do sposobu myślenia rdzennych grup etnicznych. Dla nich najważniejsze są właśnie estetyczne, socjalne i kulturalne walory sztuki. Kładą nacisk na duchową syntezę ze społecznością, a nie na materialistyczne prywatyzowanie praw" – mówi Dieter Dambiec z australijskiego University of Queensland. Uważa on, że prawo międzynarodowe powinno wziąć to pod uwagę.

„Nasza tradycyjna wiedza nie jest żadną domeną publiczną. Jest kolektywną, kulturalną i intelektualną własnością wedle naszego prawa zwyczajowego. Nieautoryzowane użycie i przywłaszczanie jej jest kradzieżą" – czytamy w oświadczeniu po spotkaniu ludów tubylczych w Kimberley w Australii w 2002 r.

Dopiero w czerwcu 2017 r. ONZ obiecała zastanowić się nad

**Dla rdzennych ludów Azji zachodni system własności intelektualnej jest konceptem nowym i obcym. Dla nich tradycja i kultura są własnością wspólną, której nie można posiąść, skomercjalizować i zmonopolizować**

>>

MAURICO DUENAS CASTANEDA/PAP/EPA

Torebka projektu Marty Arrendodo z kolumbijskiego plemienia Wayuu na pokazie w Bogocie, maj 2013 r.

możliwością uznania praw autorskich ludów tubylczych. Profesor prawa z Uniwersytetu w Kolorado, James Anaya, uważa, że ochrona tradycji i kultury Pierwszych Narodów wynika z praw człowieka, takich jak prawo do kultury i religii, prawo do własności i prawo do samostanowienia. Społeczności rdzenne starają się też o zmianę prawa w poszczególnych krajach. W Gwatemali zawiązano porozumienie tradycyjnych rękodzielniczek 30 różnych organizacji z 18 grup językowych, które przedstawiły kongresowi projekt ustawy uznającej prawa autorskie wspólnot, a nie tylko jednostek.

## Magia dzielenia się

Na chwilę obecną nie istnieje jednak prawo, które legalnie czegokolwiek zabraniałoby projektantom.

„Najważniejsze, żeby ludzie wiedzieli, że marka X, często znana na cały świat, kradnie spuściznę ludową. Do konsumenta powinna należeć już decyzja, czy mając tę wiedzę, chce taki produkt nabyć" – mówi Adriana Aguerrebere z organizacji Impacto, która stara się pomagać Indiankom w Meksyku w ochronie ich własności intelektualnej.

Z kolei Adrienne Keene, autorka bloga Native Appropriations, podkreśla, jak ważne w takiej sytuacji są przeprosiny danej marki modowej. Nie powinny być ogólne, tylko skierowane do okradanej społeczności. Powinno się z nimi wiązać się coś więcej: uznanie wkładu intelektualnego danej grupy etnicznej, a najlepiej włączenie jej w proces tworzenia oraz produkcji lub też wsparcie lokalnych projektów rozwojowych.

Susan Scafidi dodaje, że projektanci powinni wziąć pod uwagę współpracę z lokalnymi artystami i sprawić, by te kolaboracje przynosiły zyski obu stronom.

Tak zrobiła brazylijska marka Osklen w swojej wiosennej kolekcji w 2016 r. Jej założyciel Oskar Metsavaht odwiedził w dżungli amazońskiej plemię Asháninka, by zaoferować mu współpracę. Dzięki temu poznał lepiej ich kulturę oraz problemy. Kolekcja tylko w pewnym stopniu inspirowała się kolorystyką i motywami sztuki Indian, a jej wprowadzeniu na rynek towarzyszyło przedstawienie światu samych Asháninka i zwrócenie uwagi na nielegalną wycinkę ich lasów oraz na postępujące niszczenie otaczającej ich przyrody.

„Dzielenie się wartościami, dzielenie się wizjami, dzielenie wpływami finansowymi. Myślę, że to najłatwiejszy sposób wspólnej pracy" – mówi Metsavaht. „To właśnie jest magia stylu. I to jest magia projektowania". ◎

KELLERAN
PALARNIA KAWY

Wypalamy kawę tradycyjną metodą, w maszynie marki „Probat" z 1955 r. Sposób wypalania kawy dostosowujemy do odmian i cech jakościowych zielonego ziarna. Uzależniamy stopień wypalenia od specyficznych właściwości każdego rodzaju ziarna. Znajdujemy najlepszy poziom na skali pomiędzy jasnym a ciemnym wypaleniem. Gwarantuje to wydobycie z każdej odmiany ziarna, bogatego i wysublimowanego zestawu smaków i aromatów. Naszym głównym celem są delikatne i subtelne odmiany gatunku Arabika. Odpowiednio wypalona kawa pozwala koneserom wydobyć z niej pełnię doznań zmysłowych i przyjemności.

**ŚWIEŻOŚĆ**

Dokładamy wszelkich starań, żeby kawa docierała do konsumenta tuż po wypaleniu, tak aby jej świeżość pozwoliła na delektowanie się najlepszym smakiem. Wypalamy kawę na bieżąco, dając naszym odbiorcom możliwość delektowania się smakiem świeżo wypalonej kawy.

**NAJLEPSZE SUROWCE**

Kupujemy tylko najlepsze odmiany kawy ze znanych regionów Świata i plantacji. Regiony z których pochodzi nasza kawa, słyną z dobrej jakości produkowanego ziarna. Na plantacjach tych stosuje się naturalne sposoby obróbki i suszenia ziarna. Uważamy, że ręczny zbiór kawy, pozwalający na selektywne zrywanie wyłącznie dojrzałych owoców kawowca, jest jedynym sposobem na uzyskanie ziarna wysokiej jakości.

**EKOLOGICZNA UPRAWA**

Kupując kawę pochodzącą wyłącznie z ręcznego zbioru, chcemy mieć swój wkład w zapewnienie pracy milionom biednych rolników. Uprawiają i zbierają oni kawę z własnych, małych upraw, obrabianych rękami całej rodziny. Nie używają maszyn, nawozów sztucznych i chemii. Ci ludzie nie mają innych źródeł utrzymania i nie mają szans konkurować z wielkopowierzchniowymi plantacjami, na których stosuje się wszystkie najnowocześniejsze elementy intensywnej uprawy rolnej: nawozy sztuczne, herbicydy, pestycydy, maszynowy zbiór i zautomatyzowaną obróbkę ziarna.

**WIEDZA I OTWARTOŚĆ**

Wszelkimi dostępnymi nam sposobami propagujemy na rynku polskim wiedzę na temat dobrej kawy. Naszym celem jest rozpowszechnianie sposobów parzenia kawy przy użyciu różnych urządzeń i przyrządów aby osiągać maksimum walorów smakowych adekwatnych do gatunku kawy, sposobu wypalenia ziarna i rodzaju używanego do parzenia sprzętu. Ten sam rodzaj kawy, zaparzony przy użyciu różnych metod zaparzania da nam inne nuty smakowe. Pomoc i porady naszej ekipy, znajdziesz nie tylko na targach i eventach. Służymy gotowością do pomocy przez telefon w rozmowie z klientem i na miejscu w Palarni Kawy przy ul. Kamiennej 16 w Krakowie.

Zapraszamy na kawę i opowieść o niej!

**Kawa z krakowskiej palarni KELLERAN jest wypalana tradycyjnymi metodami, z ziarna najwyższej jakości, pochodzącego z najlepszych plantacji na świecie.**

**Zamów kawę do firmy lub jako ekskluzywny upominek dla klientów: www.kellerancoffee.pl**

ALVARO FUENTE/NURPHOTO/SIPA USA/EAST NEWS

# Socjalizm XXI w., czyli Wenezuela cofa się do neolitu

## MIEĆ NAJWIĘCEJ ROPY NA ŚWIECIE I KLEPAĆ BIEDĘ? W SOCJALIZMIE TO MOŻLIWE

Veronica Egui Brito

Caracas, stolica Wenezueli, listopad 2017 r.

**Tylko 65 proc. indiańskich dzieci w Wenezueli dożywa piątego roku życia. Takie statystyki umieralności byłyby normalne kilkaset lat temu, przed rewolucją przemysłową i naukową, ale w XXI w. muszą szokować**

**CHOCIAŻ PRZYWÓDCA REWOLUCJI HUGO CHÁVEZ DUMNIE OBIECYWAŁ „SOCJALIZM NA MIARĘ XXI W.", WENEZUELCZYKOM BLIŻEJ DO NEOLITU, KIEDY KRÓLOWAŁ HANDEL WYMIENNY**

Trudno uwierzyć, że to wszystko dzieje się właśnie tutaj. Jako Wenezuelczycy zawsze uważaliśmy, że mamy szczęście mieszkać w „najlepszym kraju świata". Kraju znakomitej pogody, pięknej przyrody oraz ludzkiej serdeczności, z której jesteśmy powszechnie znani za granicą. Kraju, który posiada niesłychane naturalne bogactwo: największe na świecie złoża ropy naftowej.

Trudno uwierzyć, ale po 20 latach budowy „socjalizmu XXI w." życie w tym właśnie kraju – tak szczodrze obdarzonym przez Boga – stało się gehenną.

Po wszystko stoimy w długich kolejkach. Po najbardziej podstawowe leki pielgrzymujemy do odległych aptek. Polowanie na jedzenie stało się centralnym punktem każdego dnia, najważniejszym zajęciem i sensem życia. W warunkach reglamentacji i ścisłej kontroli cen o sukcesie czy porażce decydują znajomości.

„Jeśli wziąć pod uwagę skalę niedożywienia i przypadki śmierci głodowej, to mamy stan alarmowy" – mówi Susana Rafalli, ekspert ds. bezpieczeństwa żywności.

## WIELKIE POLOWANIE NA JEDZENIE

35-letnia gospodyni domowa Victoria Pérez de Souza kiedyś robiła zakupy w supermarkecie co dwa tygodnie. Teraz znalezienie mleka, owoców i warzyw to ciężka harówka. Akurat dla niej pieniądze nie są problemem, mąż zarabia wystarczająco dużo. „Ale co z tego, skoro nie możemy kupić najważniejszych rzeczy?" – pyta. „Jak mam wytłumaczyć dzieciom, że nie mamy mleka, bo w sklepie nie było go przez ostatnie dwa tygodnie?"

79-letni Pedro Carrasquel kuśtyka codziennie o lasce do marketu opodal domu w Caracas. Cierpi na nadciśnienie i cukrzycę, żona ma astmę. Za pieniądze z emerytur mogą sobie pozwolić na zakup jedynie części przepisanych lekarstw – o ile będą mieli szczęście znaleźć je w aptece.

„Gdyby nie pomoc naszych dzieci, bylibyśmy martwi... Jak przeżyć, jeśli każde z nas otrzymuje tylko 248 510 boliwarów emerytury?" – pyta mężczyzna. Z powodu hiperinflacji ta ogromna nominalnie kwota warta jest jednego dolara amerykańskiego. „Poświęciłem 54 lata swojego życia na pracę dla tego kraju. I co z tego

>>

mam? Jednego dolara?" – narzeka Carrasquel. Zrezygnowanym tonem dodaje, że przeżył już wystarczająco długo, ale martwi się o dzieci i wnuki.

## CZTERY MILIONY UCIEKINIERÓW

Socjalistyczny domek z kart ostatecznie zawalił się sześć lat temu, kiedy ropa naftowa potaniała ze 100 do 50 dolarów za baryłkę. Zaraz rozpoczęła się wielka ucieczka z kraju. Pierwsi wyjechali ci posiadający najlepsze kwalifikacje i wykształcenie; zabrali ze sobą przedsiębiorczość, profesjonalizm oraz wkład w rozwój nauk ścisłych i technologii.

Obecnie granicę przekraczają dziennie tysiące ludzi udających się do Kolumbii, Brazylii oraz Gujany w poszukiwaniu jedzenia i leków.

Aby zobrazować skalę tego masowego exodusu, wystarczy powiedzieć, że siedmioletnia wojna domowa w Syrii wygnała z tego kraju 5 mln ludzi. Z Wenezueli – w której nie toczą się przecież żadne działania wojenne! – uciekły już ponad 4 mln.

Wśród nich wielu Indian, których w Wenezueli żyje ponad 700 tys. Przetrwali pięć wieków hiszpańskiej kolonizacji, ale czy przetrwają socjalizm? W obliczu upadku państwa zostali niemal całkowicie porzuceni, zostawieni własnemu losowi.

„Chociaż byli przez Cháveza symbolicznie hołubieni, nie przełożyło się to na praktyczne efekty" – mówi Aimé Tillett, antropolog z Centralnego Uniwersytetu Wenezueli (UCV).

**Pani Andrade udało się kupić pastę do zębów i ryż. Nie potrzebuje ich, ale wymieni z sąsiadkami na makaron, kawę i cukier**

Z rządowego raportu opisującego sytuację 97 indiańskich osiedli w Wenezueli, wynika, że w 59 proc. z nich nie ma szkoły podstawowej, a w 95 proc. – średniej. W 93 proc. osiedli nie było lekarza. Tylko 8 proc. posiada urządzenia do uzdatniania wody pitnej, żadne nie ma kanalizacji.

Tylko 65 proc. dzieci urodzonych w osiedlach dożyło piątego roku życia. Takie statystyki byłyby normalne kilkaset lat temu, przed rewolucją przemysłową i naukową, ale w XXI w. muszą szokować.

W bodaj najgorszej sytuacji jest plemię Warao, liczące prawie 50 tys. członków. Niedostępna dżungla w dorzeczu Orinoko zawsze zapewniała mu izolację i ochronę przed białymi. Słynny niemiecki podróżnik Alexander von Humboldt, który był tam w 1800 r., donosił, że Warao są jedynym plemieniem całkowicie niezależnym od hiszpańskich władz kolonialnych.

Dziś odosobnienie stało się przekleństwem. W 2007 r. wenezuelski Czerwony Krzyż zdiagnozował u nich pierwszy przypadek HIV. Plemię okazało się na niego zupełnie nieodporne, liczba zakażonych podwaja się co 10 miesięcy. Naukowcy, którzy badają epidemię, szacują, że w niektórych osiedlach Warao zakażonych jest 35 proc. mężczyzn.

Na niedostępnych terenach, na których żyje plemię, nie ma praktycznie żadnych dróg; chorzy muszą płynąć czółnami prawie 200 km do najbliższego szpitala w mieście Tucupita. Do niektórych osiedli leki antyretrowirusowe nie są dostarczane. Skutek jest taki, że wirus mutuje i staje się bardziej odporny.

## HANDEL WYMIENNY

Oczywiście w dużych miastach jest le-

ARIANA CUBILLOS/AP/EAST NEWS

ALVARO FUENTE/NURPHOTO/SIPA USA/EAST NEWS

**Puste żołądki – mówi nagłówek w gazecie. Na drugim planie mieszkańcy Caracas**

Chłopiec zbiera do poszewki ryż, który wysypał się z ciężarówki. Puerto Cabello, listopad 2017 r.

piej niż w indiańskich osadach w dżungli, są nawet sklepy, w których można kupić wszystko i bez kolejek. Ale tyko za dolary (podobne sklepy istniały w PRL, nazywano je peweksami). Dla większości Wenezuelczyków, którzy zarabiają po kilka dolarów miesięcznie, jest to opcja jedynie teoretyczna. Im pozostaje – oprócz codziennych polowań w zwykłych sklepach – barter, czyli handel wymienny.

W Petare – na północnych przedmieściach Caracas, które znane są jako największe i najbardziej niebezpieczne miejsce w Ameryce Łacińskiej, gorsze nawet od faweli Rio de Janeiro – gospodynie domowe regularnie wymieniają się produktami zdobytymi podczas żmudnych wypraw do supermarketów.

50-letniej Luisie Andrade udało się – po nominalnej cenie! – kupić pastę do zębów i ryż. Wydała 392 tys. boliwarów, czyli półtora dolara.

Ani pasta, ani ryż nie znajdowały się na liście potrzebnych jej produktów. Od miesiąca szuka kawy i cukru, które owszem są – w peweksach – ale po cenach dziesięć razy wyższych od oficjalnych.

Po co jej zatem ryż i pasta do zębów? Pani Andrade wie, że na czarnym rynku może je sprzedać dużo drożej. Albo wymienić na coś, czego potrzebuje.

Kobieta mieszka dokładnie naprzeciwko betonowych schodów, które pełnią funkcję lokalnego targowiska – to właśnie tam będzie mogła sprzedać lub wymienić trofea, po które stała dzisiaj pięć godzin w kolejce.

Wcześniej jednak zjawia się sąsiadka Jesenia Perez z zapytaniem, czy pani Andrade nie ma przypadkiem czegoś na wymianę. Perez nie ma czasu na bieganie po sklepach – musi zajmować się najmłodszym z pięciorga dzieci. Pięcioletni chłopiec cierpi na astmę i infekcję dróg oddechowych, której nie można wyleczyć –nigdzie nie ma leków przepisanych w miejscowej przychodni.
Pani Perez nie potrzebuje pasty do zębów, ale chętnie weźmie ryż. Przegląda zatem kredens w poszukiwaniu czegoś, co może zaproponować na wymianę: może kilogram makaronu schowany kilka dni temu na czarną godzinę?

Pani Andrade w dalszym ciągu potrzebuje kawy i cukru, ale kilo ryżu za kilo makaronu to bardzo dobry interes. Sąsiadki dokonują wymiany, nawet przez chwilę nie zastanawiając się nad tym, że barter, w innych krajach świata praktykowany setki czy tysiące lat temu, staje się nieodłączną częścią ich egzystencji.

I tak wygląda codzienność w Wenezueli – już nawet ludzie z klasy średniej uprawiają handel wymienny, a dla najbiedniejszych jest on często jedyną opcją.

Życie toczy się dalej; ludzie, aby przetrwać, muszą się dostosować do nowych, coraz bardziej surrealistycznych realiów.

# Meksyk traci kukurydzianą duszę

## KIEDYŚ PRZEŚLADOWALI GO KONKWISTADORZY, TERAZ GLOBALIZACJA I GMO

Ola Synowiec

CARLOS JASSO/REUTERS/FORUM

**OJCZYZNA KUKURYDZY SPROWADZA JEJ TAŃSZĄ, GENETYCZNIE ZMODYFIKOWANĄ WERSJĘ Z USA. DLATEGO MEKSYKAŃSCY ROLNICY MUSZĄ SZUKAĆ PRACY W AMERYCE. ALE W TYM BŁĘDNYM KOLE GUBI SIĘ ZNACZNIE WIĘCEJ**

Kukurydzę uprawia się w Meksyku od co najmniej 9 tys. lat. „Uprawiając ją, ukształtował się sam człowiek. Wielkie cywilizacje przeszłości i samo życie milionów dzisiejszych Meksykanów mają swoje korzenie i fundament właśnie w kukurydzy" – pisze Guillermo Bonfil, pisarz i antropolog.

Indianie zamieszkujący tereny dzisiejszego Meksyku wierzyli, że powstali z kukurydzy. Quetzalcóatl dał im kukurydzę, tak jak Prometeusz dał ludziom ogień. Starożytni Majowie deformowali swe czaszki, by stać się bardziej podobnymi do kukurydzy, a Aztekowie mieli aż trzy bóstwa odpowiedzialne za kukurydzę. Człowiek i kukurydza to jedno. W Meksyku rosną 32 jej odmiany.

„Czerwony [kolor kukurydzy – red.] symbolizuje zachód słońca, czarny – noc, ciemność, a także to, co czeka nas po śmierci, w grobie, pod ziemią; prawym ramieniem świata jest biały – to czystość ducha, czystość Boga; ramię lewe to kolor żółty – tam, gdzie rodzą się chmury i przynoszą deszcz" – wyjaśnia symbolikę poszczególnych kolorów Mauricio Golon Ixtabalan, jeden z bohaterów filmu dokumentalnego *Morir sembrando vida*.

Szacuje się, że meksykańska kuchnia zawiera ok. 600 dań na bazie kukurydzy. W tym te najbardziej kojarzone z Meksykiem i najczęściej tu spożywane: *tacos*, *quesadillas*, *tamales*. Kukurydzę również się pije, w postaci takich napojów jak *atole*, *pozol*, *tejuíno* czy majański bimber – *pox*. Przeciętny Meksykanin spożywa rocznie prawie 200 kg kukurydzy, z czego prawie połowę stanowią *tortillas*, kukurydziane placki, w które zawija się jedzenie.

„Meksykanin nie potrafi sobie wyobrazić posiłku bez *tortillas*, które towarzyszą śniadaniom, obiadom, kolacjom" – mówi Marco z Tenejapy.

„W naszej kulturze *tortilla* pełni taką funkcję – zarówno gastronomiczną, jak i kulturową – jak w Europie chleb. W naszym, indiańskim języku nie ma nawet słowa na „chleb" – nazywamy go *kaxlan waj* – tortillą białego człowieka".

Pszenica była w Meksyku symbolem Hiszpanii, Europy, kukurydza zaś symbolem indiańskiego zacofania. Faworyzowano potrawy z mąki, a jeszcze długo po uzyskaniu niepodległości rząd promował uprawę pszenicy, dając jej preferencję nad kukurydzą. Fundowano drogi i systemy irygacyjne, oferowano kredyty, gwarantowano ceny. Antropolog Arturo Warman mówi, że kukurydza jest metaforą meksykańskiego narodu jako bękarta kolonializmu. Do lat 40. XX w. spożywanie tortilli kojarzyło się z biedą, dopiero potem dania, które kiedyś były potrawami niższych klas i które kojarzono z zacofaniem, stały się autentycznie meksykańskie.

Ponad połowa konsumowanej dzisiaj w Meksyku kukurydzy pochodzi z USA, gdzie jest modyfikowana genetycznie i produkowana na skalę przemysłową na wielkich farmach. Dzięki temu jest nawet o połowę tańsza od meksykańskiej – uprawianej najczęściej przez małych producentów.

Meksyk jest obecnie największym importerem kukurydzy na świecie. NAFTA, czyli układ o wolnym handlu między USA, Meksykiem i Kanadą, tylko kukurydzianą katastrofę pogłębiła. Bezcłowa amerykańska kukurydza sprawiła, że od 1994 r. – czyli od wejścia NAFT-y w życie – straciło pracę

Na zdjęciu powyżej: farmerzy z Otzolotepec na przedmieściach Meksyku, luty 2017 r.

prawie 2 mln Meksykanów zatrudnionych w rolnictwie.

„Paradoksem integracji między USA i Meksykiem jest to, że zabarykadowana granica oraz wolny handel, odbywający się właśnie przez nią, to zjawiska, które powstały jednocześnie" – pisze Peter Andreas, autor książki *Sovereigns and Smugglers*. Granica między USA i Meksykiem jest najczęściej przekraczaną granicą świata. Każdej minuty przewozi się przez nią towar wart milion dolarów, tędy też przebiega trasa największej nielegalnej migracji w historii ludzkości.

**Kukurydza była symbolem indiańskiego zacofania; uchodziła za gorszą od pszenicy, którą przywieźli kolonizatorzy**

## PRZY GRANICY

„Niektórzy rolnicy nie zarabiają nawet tysiąca pesos [ok. 200 zł – red.] miesięcznie. A 30 proc. w ogóle nic nie zarabia. Uprawiają tylko tyle, żeby mieć co włożyć na talerz" – mówi dziennikarz Luis Cárdenas z programu publicystycznego *Punto Cero*. „Siedmiu na dziesięciu rolników jest biednych, cierpi na niedożywienie i brak witamin" – dodaje Francia Gutiérrez z organizacji Sin Maíz No Hay País (Nie ma kraju bez kukurydzy).

Rolnicy porzucają rodzinne wsie i ruszają za chlebem (choć raczej należałoby powiedzieć – za kukurydzą). Niektórzy pracują na ogromnych plantacjach pozostających często w rękach międzynarodowych korporacji. Inni znajdują zatrudnienie w *maquiladoras*, czyli amerykańskich fabrykach zatrudniających tanią meksykańską siłę roboczą, które po wej- >>

Matka i córka sprzedają mąkę na tortillę, początek XX w.

LIBRARY OF CONGRESS/

ściu w życie NAFT-y powstały wzdłuż granicy z Ameryką. Wytwarzane tam produkty stanowią około połowy całego meksykańsko-amerykańskiego handlu. Ekonomista Carlos Tello tak podsumował koncept *maquiladoras*: „Meksyk tak właściwie eksportuje swoją siłę roboczą bez konieczności wyjeżdżania z kraju".

W książce *Ameksyka. Wojna wzdłuż granicy* Ed Vulliamy opisuje warunki pracy w *maquiladoras*: nadgodziny, brak urlopów macierzyńskich czy chorobowych, molestowanie seksualne, zakaz zakładania związków pracowniczych i wyrzucanie z pracy ich liderów. W słynącym z *maquiladoras* przygranicznym mieście Ciudad Juárez plagą stały się morderstwa kobiet, najczęściej pracownic fabryk, które przyjechały tutaj samotnie z różnych regionów kraju (wiele *maquiladoras* preferuje właśnie kobiecą siłę roboczą, kobiety postrzega się jako bardziej uległe i rzadziej wyrażające sprzeciw wobec złych warunków pracy).

## PRZEZ GRANICĘ

Alternatywą jest ucieczka do Ameryki. Tam też nie ma urlopów macierzyńskich ani zdrowotnych, ale zarobki są znacznie wyższe. Nawet dla nielegalnych imigrantów. Pieniądze wysyłane przez rodziny z USA stały się w ostatnich latach największym źródłem dochodu Meksyku, przed dochodami z ropy naftowej czy turystyki.

Ale ryzyko jest ogromne. Migranci są oszukiwani i okradani przez przewoźników zwanych *coyotes* albo *polleros*, dochodzi także do gwałtów i innych form przemocy. Co roku przy przekraczaniu granicy ginie ok. 400 osób (przy czym to są jedynie oficjalne, czyli niepełne, statystyki).

Migranci mają nawet specjalnego świętego – patrona nielegalnego przekraczania granicy z USA, Juana Soldado, meksykańskiego żołnierza rozstrzelanego w 1938 r. za zgwałcenie i zamordowanie ośmioletniej dziewczynki (według ludowej legendy był niewinny).

**Bezcłowa, modyfikowana genetycznie kukurydza z USA sprawiła, że od 1994 r. straciły pracę prawie 2 mln Meksykanów**

Jeden z meksykańskich parków rozrywki zaproponował nietypową atrakcję – można tam zapłacić, by w specjalnie przygotowanej scenerii i ze specjalnie zatrudnionymi do tego celu aktorami grającymi *coyotes* czy gangi łupice przejezdnych poczuć się jak migrant próbujący przedostać się przez granicę.

Wbrew pozorom, atrakcja ta nie ma być perwersyjną rozrywką, a służyć uświadamianiu i edukacji, została bowiem stworzona przez mieszkańców El Alberto w stanie Hidalgo, z których wielu opuściło tę miejscowość (populacja spadła o ponad połowę w zaledwie pięć lat) i próbowało dostać się do USA. Park rozrywki dał zaś pracę ok. 90 mieszkańcom, tym samym powstrzymując ich od wyjazdu zarobkowego.

Krajobraz meksykańskich wsi i miasteczek wygląda coraz częściej jak ten w El Alberto. W społecznościach zostają już praktycznie tylko kobiety, dzieci i starsi, mężczyźni wyjeżdżają i wysyłają pieniądze do domów.

„Mam pięciu braci, tylko jeden został w wiosce, reszta była zmuszona wyjechać za pracą. Podobnie jest w rodzinach moich kuzynów i sąsiadów" – opowiada Manuela ze wsi San Gregorio w stanie Chiapas.

Rozbijane są więzi rodzinne i zmienia się struktura społeczna. Skoro mężczyzn nie ma, ich rolę przejmują kobiety. Ofiarą migracji jest też miejscowa tradycja i kultura.

„Kiedy migranci po latach wracają, budują domy, jakich naoglądali się w Ameryce" – mówi Marco z pobliskiej miejscowości Tenejapa. „Przywożą tamtejszy tryb życia i ideały. Lokalne zwyczaje wydają się im zacofane i śmieszne" – ubolewa Marco, który tęskni za dawnym życiem w społeczności.

Antropolog Armando Bartra mówi, że w dzisiejszym świecie powinno mówić się głośno nie tylko o prawie do migracji, ale i o prawie do niemigracji. Czyli do pozostania w domu.

„W naszej wiosce jesteśmy o wiele bardziej wolni niż gdziekolwiek indziej. Jeśli chcemy jajka, wychodzimy na zewnątrz i je sobie bierzemy. Jeśli chcemy owoce, to je sobie zrywamy. W mieście wszystko musisz kupić. Wszystko zależy od pieniędzy. Nigdy

nie czułam się tu zamknięta, a w mieście się czuję" – opowiada Guadalpe ze wsi pod Tehuacán w stanie Puebla.

## BOJOWNICY O KUKURYDZĘ

„Kukurydza jest fundamentalną podstawą naszego oporu i będziemy jej bronić z siłą naszych kobiet, mężczyzn, starszych oraz dzieci, ponieważ my jesteśmy z kukurydzy" – napisali w postanowieniach końcowych członkowie zawiązującego się ruchu w obronie kukurydzy. „Meksykański rząd pokazał, że chce jedynie bronić interesów międzynarodowych firm produkujących nasiona, ale dla nas kukurydza nie jest biznesem, tylko naszym życiem".

W 2002 r. organizacja o nazwie El campo no aguanta más (Wieś nie wytrzyma więcej) zorganizowała w mieście Meksyk serię protestów. Demonstranci domagali się wstrzymania importu kukurydzy z USA.

W 2007 r. powstała organizacja Sin Maíz No Hay País, w której skład weszło ok. 300 grup oraz stowarzyszeń.

„Uprawiamy kukurydzę od tysięcy lat, ale bez wątpienia ostatnie 30 lat było najbardziej okrutne" – mówi Francia Gutiérrez z Sin Maíz No Hay País. „Nasza ziemia nie zaspokaja nawet połowy zapotrzebowania. A kiedy grabią wieś, grabią nas wszystkich".

Obrońcy meksykańskiej kukurydzy powtarzają słowa José Martí, kubańskiego bohatera z końca XIX w.: „Ludzie, którzy nie mogą produkować własnego jedzenia, stają się niewolnikami".

„NAFTA to zagrożenie dla systemu rolnictwa zwanego *milpą*" – mówi Gutiérrez. To tradycyjny sposób uprawy kukurydzy wraz z fasolą i dynią, gdzie każda z roślin ma pozytywny wpływ na wzrost pozostałych. To symbol życia w harmonii i meksykańskiej różnorodności. Ale na dużych plantacjach, które powstają na wzór amerykańskich, wprowadza się monokulturę, tzn. sieje się tylko importowane nasiona kukurydzy.

W meksykańskiej debacie już dawno przestało chodzić tylko o kukurydzę. Idzie o model rozwoju kraju i jego przyszłość. Ścierają się rozwój z tradycją, prawa rynku z dobrem lokalnych społeczności, jedzenie lokalne z jedzeniem nie wiadomo skąd.

„Celem mojego rządu jest usunięcie połowy populacji z wiejskiego Meksyku" – ogłosił na początku lat 90. ówczesny minister rolnictwa Luis Téllez. W wywiadzie dla gazety „La Jornada" przekonywał, że rolnictwo oparte na kukurydzy blokuje rozwój. Rolnicy muszą się zmieniać, dostosowywać do świata, w którym żyją. Nie mogą już uprawiać ziemi tak, jak robili to kiedyś.

Odmienny punkt widzenia przedstawia meksykański antropolog Armando Bartra: „Chłopi nie tylko uprawiają kukurydzę, fasolę, chili czy kawę, zawdzięczamy im także czyste powietrze, czystą wodę i żyzne gleby, biologiczną oraz kulturalną różnorodność, urozmaicenie krajobrazu, zapachy, tekstury i smaki, różnorodność potraw, fryzur oraz strojów, wielość modlitw, dźwięków, piosenek i tańców; chłopom towarzyszy niewyczerpana ilość znaczeń oraz zwyczajów, które czynią Meksykanów tym, kim są". ◎

**Protest przeciwko Monsanto, amerykańskiemu producentowi kukurydzy GMO, w mieście Meksyk w maju 2015 r. Na tortilli, którą wymachuje demonstrantka, napisane jest: „Chrońmy naszą kukurydzę"**

STRINGER/REUTERS/FORUM

# Czy Zachód zapłaci za krzywdy Afryki?

## JEST SZANSA, ŻE TAK. PRZYNAJMNIEJ PLEMIONOM HERERO I NAMA, KTÓRE POZYWAJĄ NIEMCÓW ZA LUDOBÓJSTWO

z prof. Klausem Bachmannem rozmawia Jakub Janiszewski

AKG IMAGES/EAST NEWS

Niemieccy żołnierze z jeńcami z plemienia Herero, 1896 r.

# 777 BILIONÓW

**OD DWÓCH LAT TOCZY SIĘ PRZED SĄDEM W NOWYM JORKU PROCES, W KTÓRYM SPADKOBIERCY NAMIBIJSKICH PLEMION NAMA I HERERO DOMAGAJĄ SIĘ OD NIEMIEC ODSZKODOWANIA W WYSOKOŚCI 30 MILIARDÓW DOLARÓW ZA NIEWOLNICZĄ PRACĘ I LUDOBÓJSTWO Z PRZEŁOMU XIX I XX W.**

Pod koniec lipca 2018 r. obie strony przedstawiły swoje racje, ale amerykański sąd wciąż ma wątpliwości, czy sprawa leży w jego jurysdykcji. Tym bardziej że dotyczy wydarzeń sprzed ponad stu lat. Potomkowie Nama i Herero oskarżyli Niemcy o kradzież ziemi, pracę przymusową i masową eksterminację ludności.

Niemiecka Afryka Południowo-Zachodnia – państwo kolonialne utworzone na terytoriach dzisiejszej Namibii jeszcze w czasach Bismarcka – w latach 1904-1908 – krwawo stłumiło powstanie ich przodków zbuntowanych przeciwko bezpodstawnemu zadłużeniu, jakim obciążyli ich handlujący z nimi niemieccy osadnicy. Napady Herero na farmy sprowokowały brutalną odpowiedź: w walkach, pozasądowych egzekucjach i obozach koncentracyjnych zginęło wówczas około 100 tys. pasterzy Herero, choć dokładnych liczb nikt nie zna.

Do tamtych zbrodni przylgnęło miano „pierwszego ludobójstwa XX w." lub „zapowiedzi Holocaustu". Czy taka klasyfikacja jest zasadna?

Od lat 60. lansował ją niemiecki historyk z NRD Horst Drechsler, zaś w 2010 r. przypomniał ją i rozwinął brytyjski historyk David Olusoga. Jego książka, wydana pod chwytliwym tytułem *Holocaust Kaisera. Zapomniane niemieckie ludobójstwo i kolonialne korzenie nazizmu*, napisana wspólnie z duńskim badaczem mieszkającym w Namibii Casperem Erichsenem, lekka w stylu i odważna w treści, uderzała w ton oskarżeń i wzywała do rozliczenia okrucieństw. Przede wszystkim jednak mocno wyostrzała tezę o „korzeniach nazizmu", a konkretnie – o niemieckich zbrodniach w Namibii jako przygrywce do nadciągającego „ostatecznego rozwiązania". To, czego Niemcy rzekomo nauczyli się w Namibii, powtórzyli podczas II wojny światowej. Schemat był ten sam, jedynie skala dużo większa – twierdzili autorzy.

Prof. Klaus Bachmann, historyk urodzony w Niemczech, ale od lat mieszkający w Polsce przeszukał niemieckie i namibijskie archiwa, żeby zweryfikować teorię Erichsena i Olusogi. W swojej wydanej po angielsku książce *Ludobójcze imperia – niemiecki kolonializm w Afryce i Trzecia Rzesza* udowadnia, że łączenie afrykańskich zbrodni popełnionych na Herero z wymordowaniem europejskich Żydów nie tylko nie ma większego sensu, lecz także pokrycia w faktach.

Pytanie o reparacje dla Afryki stawiane jest rzadko, i raczej na marginesie niż w centrum debaty publicznej. Dla przykładu, w 1999 r. organizacja pozarządowa o poważnie brzmiącej nazwie – Afrykańska Światowa Komisja na rzecz Reparacji i Repatriacji – ale o minimalnym zasięgu, wyliczyła, że Zachód winien jest krajom afrykańskim odszkodowanie w wysokości 777 bilionów dolarów. To dziesięć razy tyle, ile wynosi roczny produkt brutto całego świata.

Trudno oczywiście miarodajnie ocenić, jaka kwota byłaby właściwa, ale niewątpliwie byłoby za co płacić. Skradzione z Egiptu i innych krajów artefakty, które znajdziemy w muzeach w Berlinie, Londynie, Paryżu i Watykanie. Prawie 500 lat handlu niewolnikami – obecnie szacuje się, że przemocą zostało porwanych, zakutych w kajdany i sprzedanych na planacje w Ameryce przynajmniej 10 mln ludzi. Koszmar Wolnego Konga, które w 1885 r. społeczność międzynarodowa przekazała belgijskiemu królowi Leopoldowi w zarządzanie, żeby wśród zacofanych tubylców krzewił cywilizację i kulturę. Skończyło się to jednym z największych koszmarów w historii świata – w wyniku działań Leopolda przedwczesną śmierć ponieść mogło nawet 10 mln mieszkańców dżungli w dorzeczu rzeki Kongo. Tubylcy, zmuszani do uprawy kauczuku, jeśli nie wyrabiali normy, byli masowo mordowani. Czasami żołnierze w geście łaskawości odcinali im dłonie – były one dla przełożonych dowodem wykonania egzekucji. Tamte wydarzenia były kanwą słynnej powieści Josepha Conrada *Jądro ciemności*, która z kolei potem stała się inspiracją dla filmu *Czas Apokalisy* Francisa Forda Coppoli, opowiadającego o koszmarze Wietnamu.

Lista tych tragedii nie ma końca, ale szansa, że odszkodowania zostaną wypłacone, jest niewielka. Musiałyby być dobrowolne, wynikające z poczucia winy, na które trudno liczyć, bo większość Europejczyków nawet nie zdaje sobie sprawy, jaki horror nasi przedsiębiorczy przodkowie zgotowali Afryce. Handel niewolnikami nie był prawnie zakazany, więc de facto był legalny przez kilkaset lat. Pierwszym krajem, który go zakazał, była Wielka Brytania – dopiero w 1807 r. Żaden sąd nie przyzna odszkodowania za legalny proceder. Również Belgowie umywają ręce, wyjaśniając, że w latach 1885-1908 Kongo nie było administrowane przez belgijski rząd, tylko osobiście przez króla Leopolda – było czymś w jego prywatnej plantacji.

Przypadek namibijskich plemion to jeden z niewielu, kiedy sprawa o odszkodowania – za masowy mord na Afrykanach – została formalnie wniesiona do sądu.

East News

AKG IMAGES/EAST NEWS

Pogrzeb niemieckiego żołnierza poległego w czasie wojny z plemieniem Herero

**Jakub Janiszewski: Niemieccy żołnierze tłumiący powstanie Herero na terenach dzisiejszej Namibii część pokonanych zamknęli w obozach, część wygnali na pustynię, część zabili w walce lub pozasądowych egzekucjach. Pruski generał Lothar von Trotha wzywał do zabicia wszystkich, bez wyjątku. Dlaczego pana zdaniem porównywanie tego wszystkiego z Holocaustem nie ma sensu?**

**Prof. Klaus Bachmann:** Bo brakuje tam istotnego elementu, który wszystko zmienia. Otóż w przypadku zbrodni w Namibii nie ma ani ideologii totalitarnej, ani totalitarnego państwa. Sam fakt, że tu i tam były obozy, nie wystarczy. Obozy nazistowskie, podobnie jak łagry w Związku Radzieckim, miały pewien cel: zmienić ludzi, ich myślenie, albo, jak w przypadku obozów śmierci, zabijać jak najwięcej ludzi tanim kosztem. W obozach w Namibii nie było cienia takiej próby, bo i też sytuacja była inna. To było tłumienie powstania. Nie chcę zabrzmieć zbyt brutalnie, ale Żydzi w Trzeciej Rzeszy powstań nie organizowali i nie z tego powodu trafiali do obozów. W Namibii wszystko zaczęło się od powstania, a w Europie najpierw był plan „ostatecznego rozwiązania kwestii żydowskiej", a dopiero potem powstania, skierowane przeciwko temu planowi.

**Dlaczego w ogóle doszło do wojny z Herero?**

Musimy zrozumieć jedną rzecz: plemię Herero było zorganizowane w podobny sposób co państwo. Jedyną różnicą był brak czytelnych granic terytorialnych, bo jako lud pasterski musieli zmieniać miejsce pobytu, pędzić bydło z jednych pastwisk na inne. Posiadanie ziemi nie miało dla nich najmniejszego znaczenia, natomiast struktura klanowa bardzo przypominała to, co nazywamy państwem. Herero handlowali z farmerami niemieckimi i to właśnie relacje handlowe doprowadziły do wojny, bo osadnicy zaczęli im naliczać dług. W dużej mierze – przesadnie albo nawet bezpodstawnie. Herero zaczęli więc napadać na niemieckich farmerów, by ten dług wraz z wierzycielem zlikwidować. I wtedy doszło do wojny, a z Berlina został przysłany Lothar Von Trotha, który wcześniej służył w Chinach i Afryce Wschodniej, a który nie znał w ogóle lokalnego kontekstu.

**Za to przyjechał z rozkazem całkowitego zniszczenia Herero.**

Nic podobnego. Miał po prostu stłumić powstanie. Chciał to zrobić, otaczając Herero, którzy zebrali się na płaskowyżu Waterberg. Jak wynika z akt, miał zamiar ich wszystkich zabić. To mu się nie udało, bo część Herero uciekła na pustynię, aby stamtąd dostać się do kolonii brytyjskich. Von Trotha nakazał wojsku pościg, zapominając, że wrogowie pustynię znali lepiej. Po kilku

tygodniach jego oddział był w rozsypce. Padły konie, żołnierze chorowali, brakowało prowiantu i wody.

A z rozkazem zabicia wszystkich Herero sprawa jest paradoksalna, jeśli nie zwyczajnie groteskowa. Rzeczywiście ten tak zwany rozkaz eksterminacyjny padł, ale został wydany w sytuacji, kiedy wojsko było już u kresu sił. Von Trotha wygłosił do swoich żołnierzy przemówienie, w którym kazał zabić każdego napotkanego pasterza, strzelać do kobiet i dzieci, gdyby próbowali napić się wody z jakiegokolwiek źródła. A potem wysłał do Berlina list, w którym napisał: wydałem rozkaz zabicia wszystkich.

Liczył, że wzbudzi podziw swoją stanowczością i dostanie pochwałę. To był popis przed kierownictwem, nic więcej, powstanie było już wówczas stłumione, większość Herero zginęła lub uciekła.

**A co na to stolica?**

Kazano skończyć z tą bzdurą, rozkaz odwołano po zaledwie dwóch miesiącach. Żołnierze byli wycieńczeni, dostępne i znane im źródła wody były niezdatne do picia, bo leżały w nich ciała zabitych i martwe bydło. Niewiele brakowało, by w szeregach wojska wybuchł bunt.

**Z lęku przed śmiercią?**

Także z kalkulacji. Część z nich była farmerami i zostali wcieleni do Schutztruppe – niemieckiego wojska kolonialnego – ale chcieli wrócić do swoich posiadłości. Pozostali, zawodowi żołnierze, liczyli na to, że dzięki służbie uda im się uzyskać specjalny, preferencyjny kredyt i kupią sobie ziemię. Zawód żołnierza nie był wówczas intratny, szybkie zakończenie konfliktu było w ich interesie, dawało szanse na lepsze życie w kolonii.

Poza tym ówczesna Namibia była krajem rolniczym, kopalnie diamentów odkryto dopiero w 1908 r., już po powstaniu. Najwięcej zysków dawała hodowla bydła, którą trudnili się właśnie Herero. Ich całkowite wymordowanie oznaczałoby problemy także dla farmerów. Zabijając i wypędzając Herero z kraju, von Trotha pozbawił farmerów i kupców partnerów biznesowych.

W końcu zrozumieli to też w Berlinie i cesarz, za namową kanclerza, nakazał odwołanie „rozkazu eksterminacyjnego" i branie Herero jako jeńców. Wtedy właśnie powstały obozy. Nie jako narzędzie do zabijania lub reedukacji, lecz jako sposób przetrzymywania jeńców.

Chodziło więc o utrzymywanie bezpieczeństwa, jakiejś kontroli nad sytuacją, paradoksalnie także podtrzymanie przy życiu niedobitków Herero. Bo musimy sobie to wyobrazić: w sytuacji zabicia może nawet 80 proc. plemienia, nikt już nie zajmował się wypasem bydła. Ci, którzy pozostali – kobiety, dzieci, starcy – nie mieli prawie żadnych szans na przeżycie. Oni też trafili do niemieckich

**Rozkaz brzmiał: zabić każdego napotkanego pasterza, strzelać do kobiet i dzieci, gdyby próbowały się napić wody**

obozów, które w zaistniałych okolicznościach dawały jakiś cień nadziei na przetrwanie. Zresztą oficerowie prowadzący te obozy pisali listy do kierownictwa, domagając się większych racji żywnościowych, argumentując, że w przeciwnym wypadku ludziom grozi śmierć.

**Skoro byli tacy dobrzy, dlaczego ich nie wypuścili?**

Bo nawet pod koniec wojny, gdy było jasne, że plemię zostało zniszczone, wśród farmerów panowała panika. Mieli obsesję, że Herero wrócą i zaczną znowu zabijać. Ich lęki nie miały żadnych podstaw. Ci, którzy przetrwali, nie mieli się jak zorganizować, poza tym byli w większości wyniszczeni i chorzy. Nie chcę przez to powiedzieć, że obozy były jakimś aktem niemieckiego humanitaryzmu – raczej chodzi mi o to, by pokazać, że nie miały wiele wspólnego z obozami koncentracyjnymi z czasów Trzeciej Rzeszy, nawet jeśli też określano je mianem Konzentrationslager. Trzeba też pamiętać, że warunki w tych obozach były bardzo zróżnicowane. W obozie o najgorszej sławie, w Lüderitzbucht na Wyspie Rekinów

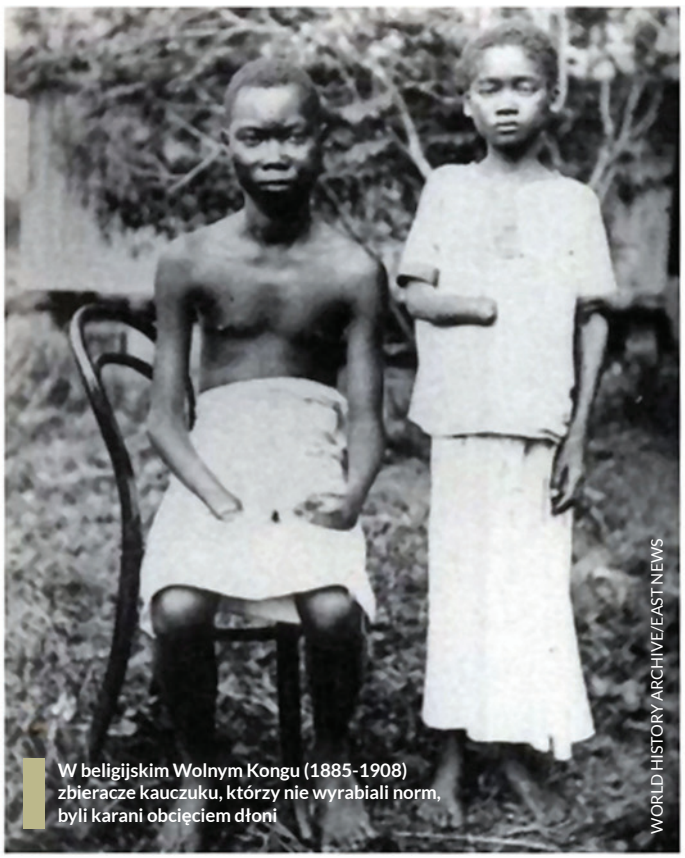

W beligijskim Wolnym Kongu (1885-1908) zbieracze kauczuku, którzy nie wyrabiali norm, byli karani obcięciem dłoni

WORLD HISTORY ARCHIVE/EAST NEWS

Grafika nieznanego artysty przedstawia szturm Herero na niemiecki garnizon Windhoek, 1904 r.

zginęło ponad 40 proc. osadzonych, w innych obozach ok. 5 proc.

**A czy były jakieś podobieństwa między antysemityzmem a ówczesną wersją rasizmu?**

Jedyne podobieństwo to hierarchizowanie ludzi, dzielenie na lepszych i gorszych. Ale ideologia, która stała za antysemityzmem była dalece bardziej rozbudowana, złożona, a zarazem wewnętrznie sprzeczna.

Żydów obwiniano i o kapitalizm, i o komunizm, i o choroby. Tymczasem stereotyp mieszkańca Afryki był zdecydowanie prostszy. Przed powstaniem Herero pisano o nich jak o dzieciach, które trzeba wychować, nauczyć cywilizacji i wyedukować.

Po 1904 r., gdy wybuchło powstanie, raptownie zmienił się sposób ich przedstawiania. Prasa niemiecka zaczęła pisać o gwałconych kobietach i zabijanych dzieciach, choć brak jakichkolwiek potwierdzeń tego rodzaju pogłosek, nawet w statystykach wojskowych. Niewątpliwie Herero okazywali się okrutni wobec kupców, u których byli zadłużeni i mściwi wobec źle traktujących ich farmerów, ale nie gwałcili kobiet, nie zabijali dzieci. Ten rodzaj opowieści to już element nowego stereotypu: czarnoskóry jako niebezpieczne zwierzę. Tchórzliwe, nieobliczalne, a w dodatku seksualnie rozbudzone, nadaktywne i rozmnażające się w nieokiełznany sposób.

**I ten stereotyp nie pozwala budować analogii z państwem totalitarnym?**

To nie wystarczy. W państwie totalitarnym nie ma czegoś takiego jak otwarta debata publiczna. Tymczasem w przypadku powstania Herero debata była. Co prawda opinia publiczna w samej kolonii nie bardzo chciała cokolwiek wiedzieć, wiedział za to Berlin i to wyjątkowo dużo. W parlamencie wybuchały awantury, to się skończyło przyspieszonymi wyborami do Reichstagu w styczniu 1907 r. Wygranymi skądinąd przez zwolenników kolonializmu, który był wówczas postrzegany jako strategia handlowa. Ale to nie znaczy, że mord na Herero odbył się przy milczącej akceptacji Berlina. Presja ze strony opozycji sprawiła, że zarówno wojskowi, jak i cywilni administratorzy kolonii czuli ciągłą kontrolę ze strony centrali, ich margines swobody został po 1904 r. mocno ograniczony.

**A co się działo później z tym tematem w latach 30., gdy powstała Trzecia Rzesza? Czy możemy z całą pewnością powiedzieć, że tamta rozprawa z plemieniem Herero nie była pewnego rodzaju inspiracją do rozprawy z ludnością żydowską?**

Możemy tak powiedzieć, głównie dlatego, że w latach 30. już nikt się tymi wydarzeniami nie interesował. Po pierwsze – Niemcy straciły kolonie po I wojnie światowej. Wraz z nimi zniknęło Ministerstwo ds. Kolonialnych. Zerwano więc pamięć instytucjonalną, a wszystkie dokumenty trafiły do archiwum, pies z kulawą nogą do nich nie zaglądał.

Po drugie, kolonizatorzy niemieccy byli przez NSDAP postrzegani jako elita dawnej władzy, pieszczochy systemu. Gardzili nimi tak potwornie, że ich kariery w szeregach nowej partii były właściwie niemożliwe.

Przy okazji dochodziło do głębokich paradoksów. Otóż w Niemczech, z różnych przyczyn, mieszkała niewielka grupa ludności czarnoskórej przybyłej z dawnych afrykańskich kolonii. Było ich może kilkuset. Pokazywano ich w cyrkach albo w tzw. ludzkich zoo, niektórzy zostali artystami. Ich los, wraz z upowszechnieniem się nazizmu, był coraz trudniejszy, często padali ofiarą rozmaitych napaści. Kto ich wówczas bronił? Kolonizatorzy!

**Dlaczego? Traktowali ich jako niezwykłej wartości pamiątkę z dawnych włości?**

Nie, chodziło raczej o wizerunek. Dawni kolonizatorzy nigdy nie pogodzili się z utratą tych ziem, wierzyli, że jakoś jednak tam wrócą. Przeżywali też bardzo ustalenia tzw. Białej Księgi opracowanej przez Brytyjczyków po I wojnie światowej, której ton był taki, że Niemcy

zupełnie nie umieli tymi swoimi koloniami zarządzać bez uciekania się do przemocy i w związku z tym należy im je zabrać.

Broniąc tych nielicznych Afrykańczyków mieszkających w Niemczech przedstawiciele elit kolonialnych starali się zmyć plamę na honorze. Ale tak naprawdę ich głos już się wówczas nie liczył. Byli zresztą bardzo wiekowymi ludźmi, bez większego wpływu na młodsze pokolenia.

**Zwolennicy „teorii ciągłości" okrucieństw kolonialnych i nazistowskich nie zgodziliby się z panem. Weźmy takiego Heinricha Ernsta Göringa, ojca Hermanna Göringa, który był pierwszym przedstawicielem cesarstwa na terytorium dzisiejszej Namibii i własnoręcznie podpisał porozumienie między cesarstwem a ludem Herero, które pozwoliło na utworzenie kolonialnej Afryki Zachodniej.**

No tak, ale wyjechał z Afryki na kilkanaście lat przed powstaniem Herero, a ze swoim synem kontakt miał sporadyczny. Kiedy Hermann się urodził, ojciec był już ambasadorem Niemiec na Haiti. Skądinąd jego żona, Franziska, wkrótce do niego dołączyła oddając niemowlę na wychowanie niemieckim krewnym. Wrócili kiedy Hermann miał już trzy lata, a potem żyli w dość ciekawym układzie – matka była przez kilkanaście lat kochanką Hermanna Epensteina, chirurga o żydowskich korzeniach, bardzo majętnego właściciela kilku zamków, który zresztą był też ojcem chrzestnym wszystkich dzieci Göringów. To w zasadzie była, mówiąc współczesnym językiem, rodzina patchworkowa i nic nie wskazuje na to, by Heinrich przekazywał Hermannowi jakiekolwiek mądrości o świecie kolonialnym. Cała ta koncepcja jest sztucznie rozdęta w książce Davida Olusogi i Caspara Erichsena. Rozpisują się o tym przez kilkadziesiąt stron, ale to kompletna bzdura.

**Dlaczego tak łatwo jej dali wiarę?**

Należałoby ich o to zapytać. Moja robocza teza jest taka, że oni chyba w ogóle nie znają niemieckiego. W bibliografii cytują głównie to, co przetłumaczono na angielski. Tymczasem bardzo dużo tych publikacji pochodzi jeszcze z okresu NRD, myślę tutaj o opracowaniach Horsta Drechslera, historyka z Uniwersytetu w Jenie, który w latach 60. jako pierwszy sugerował związki między nazizmem a zbrodniami kolonialnymi. Jego prace były tłumaczone, on sam miał dostęp do źródeł, bo archiwa niemieckie z tamtego okresu znalazły się głównie po stronie wschodniej.

Nie możemy jednak zapominać o tym, że badania historyczne z tamtych lat miały specyficzną, ideologiczną optykę. Powstawały w tych rzekomo nowych, lepszych, komunistycznych Niemczech, wolnych zarówno od grzechów Trzeciej Rzeszy, jak samego Cesarstwa. Autorzy książki „Zbrodnia Kaisera" nie mogli tego wszystkiego

IPON-BONESS/SIPA/EAST NEWS

Pomnik upamiętniający Herero zabitych przez Niemców w latach 1904-1908. Swakopmund, Namibia

AKG IMAGES/EAST NEWS

Samuel Maharero, wódz plemienia Herero w powstaniu w 1904 r.

posprawdzać, bo – tak przypuszczam – nie pozwalała im na to bariera językowa. Stąd powielenie wcześniejszych tez, bez prób ich weryfikacji.

**To aż takie proste?**

Może nawet jeszcze prostsze. Książka Olusogi i Erichsena ma bardzo czytelną, jasną, prostą publicystyczną tezę i jest pisana z pozycji oskarżycielsko-moralizatorskich. To jeden z najlepszych scenariuszy na sukces książki historycznej. Drugi: dorzucić na okładkę swastykę. Są badania niemieckie – publikacja swastyki na okładce winduje sprzedaż. To symbol ostatecznego, krańcowego zła – nic dziwnego, że ludzi fascynuje.

**Ale dlaczego nikt tego nie sprawdził?**

A po co? To politycznie poprawne, poza tym bardzo wygodne. W dzisiejszych czasach nie ma żadnego lobby, w którego interesie byłaby weryfikacja tych tez. Moja książka też nie wzbudza i pewnie nie wzbudzi większego rozgłosu. Gdybym był zwolennikiem „teorii ciągłości", raczej bym jej nie recenzował, żeby nie zwracać na nią uwagi. Po co? Lepiej przemilczeć własne błędy.

**A pan w jaki sposób trafił na ten temat?**

Zwyczajnie. Moja żona zażyczyła sobie, żebyśmy w podróż poślubną pojechali do Namibii. Na lotnisku wszedłem do księgarni i znalazłem książkę Olusogi i Erichsena. Idealna lektura dla historyka!

Przeczytałem, potem zacząłem sprawdzać i zobaczyłem, że wszystko tu stoi na głowie. Trochę też odwróciłem proces badawczy, bo najpierw przeglądałem archiwa, a dopiero potem czytałem fachową literaturę historyczną. To pozwoliło mi wyrobić sobie własne zdanie, nie sugerować się ustaleniami innych.

Przy okazji wyszło na jaw, że nie jestem sam – jest paru historyków, którzy też odkłamują porównania z Holocaustem. Natomiast nikt poza mną, do tej pory nie zebrał tego w jednej książce.

**A jaki wpływ mają pańskie ustalenia na toczący się proces odnośnie odszkodowań dla potomków Herero i Nama?**

Niewielki. Współczesne Niemcy nie negują ciągłości państwowej i przyznają, że są spadkobiercami zarówno Trzeciej Rzeszy, jak i cesarstwa, wraz z jego zbrodniami kolonialnymi. Kwestia nieuprawnionych porównań do Holocaustu nie ma tutaj większego znaczenia. Nikt też w Niemczech nie broni kolonizatorów. Ton debacie nadaje krytyka postkolonialna i presja na to, by Niemcy płaciły – i to możliwie dużo – jest bardzo silna.

Podstawowy problem polega na tym, że po stronie wysuwającej roszczenia nie ma kontynuacji państwowej. Nie

IPON-BONESS/SIPA/EAST NEWS

Pomnik upamiętniający niemieckich żołnierzy poległych podczas wojny z Herero. Swakopmund, Namibia

da się powiedzieć, że odszkodowania należą się współczesnej Namibii, bo Namibia wówczas nie istniała. Nie da się też utożsamić współczesnej Namibii z dawnymi plemionami Nama i Herero, bo zostały tak zdziesiątkowane, że w dzisiejszym podziale władzy prawie w ogóle nie uczestniczą. Dominuje za to plemię Owambo, które akurat z niemieckimi kolonizatorami żyło raczej zgodnie. Więc komu te odszkodowania wypłacać?

**Może spadkobiercom ofiar?**

A jak to się będzie miało do rekompensat, jakie wypłacano w latach 90. byłym niemieckim robotnikom przymusowym? Wówczas płacono tylko tym, którzy jeszcze żyli, nie ich potomkom, chyba że ktoś zmarł w trakcie negocjacji. Przypadek Namibii otworzyłby puszkę Pandory, nie mówiąc o tym, że byłby precedensem w podobnych sprawach wytaczanych przeciwko innym krajom kolonialnym. Niemcy nie chcą więc mówić o reparacjach, szukają innej formuły w ramach negocjacji międzyrządowych.

**Dlatego rząd niemiecki chce rozmawiać o moralności i pomocy?**

Tak samo, jak rozwiązano ten problem w latach 90. Rekompensaty traktowano jako pomoc humanitarną, do której prawo mają określone grupy osób. Teraz próbuje się to powtórzyć, tyle że też nie przez wypłacanie środków finansowych spadkobiercom, co przez wsparcie określonych organizacji. Pieniądze miałyby pójść nie do osób fizycznych, ale do osób prawnych. Tylko roszczenia potomków Herero i Nama wchodzą tu w paradę. I to podwójnie – bo gdy rządy negocjują kwoty rzędu kilkuset milionów dolarów – potomkowie domagają się 30 mld dolarów. To szalenie komplikuje rozmowy.

**A czy skutki tamtych wydarzeń dalej są przez tych spadkobierców odczuwane?**

Tak, bo plemię Herero nigdy się nie odbudowało w porównywalnej postaci. Niemcy kompletnie wówczas zniszczyli równowagę etniczną tego regionu. To było widać już w parę lat po powstaniu, gdy odkryto diamenty i zaczęto je wydobywać. W jednym z okręgów administracyjnych ktoś zadał sobie trud, by sprawdzić, z jakich plemion pochodzą pracujący w kopalniach robotnicy. Otóż w 98 proc. byli to robotnicy z północy, z plemienia Owambo. Herero prawie już nie istnieli.

Więc te dzisiejsze odszkodowania – jakkolwiek by je zwać – być może posłużyłyby jako rekompensata dla tych, którzy pozostali, bo bez wątpienia dzisiaj są mniejszością pozbawioną większego znaczenia i wpływów we własnym kraju. Ale to z kolei tworzy problem dla obecnego rządu, zdominowanego przez Owambo. Jeśli Herero i Nama dostaną te pieniądze, to ich wpływy w Namibii wzrosną, a wpływy Owambo spadną...

# Jak jeździć rowerem i przeżyć w Szanghaju

## W KWESTII WYKORZYSTANIA ROWERÓW W MIEŚCIE JESTEŚMY STO LAT ZA CHIŃCZYKAMI

Terry Friel

Parking skonfiskowanych rowerów w Szanghaju – trafiły tu, bo porzucono je w takich miejscach, że blokowały ruch

SHEN CHUNCHEN/VCG/EAST NEWS

**CZASY NIEPODZIELNEGO PANOWANIA DWÓCH KÓŁEK W CHINACH POWRACAJĄ – NA DOBRE I NA ZŁE. LUDZIE, ZACHĘCANI PRZEZ TANIE WYPOŻYCZALNIE, MASOWO PRZESIADAJĄ SIĘ NA ROWERY**

Znajomi mówią, że jestem szalony. Po całym Szanghaju, najludniejszym mieście w Chinach, a może i na świecie, jeżdżę na rowerze. Doprawdy niezwykła i pełna przygód to jazda: w ponad 40-stopniowym upale latem; w trzaskającym mrozie w zimie; przez zaskakująco rozległe połacie zieleni; w chaotycznym, nieokiełznanym przez żadne przepisy ruchu ulicznym; ale miejscami przez oazy spokoju i ciszy tak błogiej, że można – pedałując – oddawać się medytacji.

Rowery królowały w Szanghaju, podobnie jak zresztą w całych Chinach, jedno pokolenie wstecz. Teraz ich królestwo powraca; tabuny cyklistów wylegają na zatłoczone ulice, bo ludzie entuzjastycznie podchwycili pomysł dzielenia się publicznym rowerem, tzn. codziennym wypożyczaniem go za przysłowiowe grosze.

Szanghaj – handlowa stolica i najbardziej kosmopolityczne miasto Chin – ma niemal 25 mln mieszkańców, mniej więcej tyle samo, co cała Australia. Na coraz bardziej zakorkowane ulice tej gigantycznej metropolii wyjeżdża codziennie pół miliona wypożyczonych rowerów.

## ZA GARŚĆ JUANÓW

Te rowery do wynajęcia – wygodne w użyciu i niedrogie – zmieniają chińskie miasta. Pomalowane na jaskrawe kolory podbiły już chodniki, a teraz stopniowo, ale metodycznie, wypierają z wąskich uliczek samochody.

Zwykle wygląda to tak, że auta cierpliwie stoją w kolejce za tabunem chwiejnych i niefrasobliwych cyklistów, którzy jedną ręką trzymają rower, a w drugiej dzierżą telefon – rozmawiają, śledzą mapę czy próbują zrozumieć instrukcje nawigacji GPS.

Rowery na wynajem, zwykle bez przerzutek, są niezgrabne i źle konserwowane. Ich skrzypienie i rzężenie słychać na długo przed ostrzegawczym dzwonkiem, który uruchamia

>>

ALY SONG/REUTERS/FORUM

Dzień jak co dzień na szanghajskim skrzyżowaniu

się, jeśli przekręcić prawy uchwyt kierownicy – a wielu cyklistów uwielbia to robić, dlatego poruszają się z niemal nieprzerwanym, irytującym brzęczeniem i dzwonieniem.

Przy wypożyczeniu takiego klekota trzeba zwykle wpłacić depozyt w wysokości od 200 do 300 juanów (30-40 dolarów), czyli mniej więcej tyle samo, ile kosztowałby nowy, własny rower. Ale większość ludzi woli wypożyczać.

„Uwielbiam to" – mówi 28-letnia Wu Jing, księgowa, która przeprowadziła się do Szanghaju z prowincji Syczuan w środkowych Chinach. „Rower na wynajem jest tańszy i łatwiejszy w użyciu niż transport publiczny. No i mogę go zostawić tuż przed wejściem do biura."

Księgowa narzeka jednak, że często trudno znaleźć rower w dobrym stanie technicznym. Podobnie jak większość szanghajskich cyklistów pani Wu, aby mieć większy wybór, korzysta z usług dwóch wypożyczalni. Wynajem roweru kosztuje zwykle jednego juana (60 groszy), podczas gdy najtańszy bilet metra – trzy razy tyle.

**Mimo tłoku rowerowe kolizje zdarzają się rzadko i kwitowane są śmiechem. Poturbowani, ale nietracący pogody ducha cykliści rozjeżdżają się każdy w swoją stronę**

Firma będąca właścicielem roweru wie, jak go namierzyć – klienci też zresztą mogą go znaleźć, korzystając z systemu GPS i mobilnej aplikacji na smartfony. Wynajem polega zwykle na zeskanowaniu telefonem umieszczonego na ramie kodu QR, czyli kolażu czarnych i białych kwadracików rozmaitej wielkości, w których szyfrowane są w dzisiejszych czasach najróżniejsze rzeczy: opisy w muzeach, lotnicze bilety czy ceny produktów w sklepach spożywczych.

„No i rower jest bardziej przyjazny dla środowiska" – dodaje pani Wu, dosiadając jaskrawożółtego roweru należącego do wypożyczalni Ofo. Właśnie ta kompania, wraz z Mobike (która przyjęła pomarańczowo-srebrne barwy), dominuje na rynku. Razem obie firmy zainwestowały w biznes rowerowy ponad 2 mld dolarów.

Renesansu rowerów nie da się ocenić jednoznacznie. Z poziomu ulicy łatwo dostrzec jego różne, skrajne oblicza: te dobre, ale także te złe i szpetne. Korzyści ekologiczne i zdrowotne

są bezdyskusyjne – chociaż wielu rowerzystów, ale i pieszych, nosi na twarzach maseczki chroniące ich przed miejskim smogiem. Ale inwazja rowerów to również urbanistyczny koszmar, którego konsekwencje wreszcie docierają do lokalnych władz.

## UWAGA NA ELEKTRYCZNE SKUTERY

Wiele ulic jest po prostu zbyt wąskich, żeby mogły je dzielić auta, rowery i piesi. Ścieżki rowerowe albo są źle oznaczone, albo w ogóle nie istnieją.

Niektóre przypominają wąskie, ogrodzone przejścia do przepędzania bydła – zbyt wielu rowerzystów musi się kłębić na zbyt małej przestrzeni. Policja często przegania ich z jezdni na chodniki, gdzie lawirują w tłumie pieszych. A poza tym brakuje parkingów. Pokonanie trzech kilometrów, które dzielą moje mieszkanie od biura, jest praktycznie niemożliwe bez złamania przepisów.

Ale to są Chiny – tutaj naruszanie zasad ruchu drogowego jest sportem narodowym. Mandat wynosi zaledwie 20 juanów (czyli ok. 12 zł) i rzadko kiedy jest egzekwowany.

Dodatkowe zagrożenie stanowią elektryczne skutery, tak lubiane przez dostawców jedzenia.

Również niektóre rowery na wynajem wyposażone są w napęd elektryczny. Używający ich wiecznie spieszący się gdzieś kurierzy chaotycznie włączają się do ruchu, wyprzedzają z obu stron, przecinają drogę na ukos. Są tym bardziej niebezpieczni, że pojazdy elektryczne są niemal bezgłośne, a nocą także niewidoczne, ponieważ zelektryfikowani cykliści, oszczędzając baterie, często gaszą światła.

Na szczęście tam, gdzie zawodzą przepisy, zawsze można liczyć na życzliwość tubylców. Dochodzi do zadziwiająco niewielu kolizji – osobiście tylko raz trafiłem do szpitala! – a zderzenia i stłuczki zwykle kwitowane są śmiechem i puszczane w niepamięć.

Poturbowani, ale nietracący pogody ducha rowerzyści po prostu rozjeżdżają się każdy w swoją stronę. Jedna z moich chińskich znajomych właśnie w wyniku takiej stłuczki poznała swojego chłopaka: stała na przejściu dla pieszych i – podobnie jak wielu młodych mieszkańców Szanghaju – wpatrywała się w ekran smartfona. Jej przyszły ukochany wyprysnął zza zakrętu i wjechał prosto na nią.

„Oboje upadliśmy na ziemię" – opowiada ze śmiechem. „Pomogliśmy sobie wstać, chichocząc z zażenowania. I tak to się zaczęło. Jak będziemy mieć dzieci, to na pewno nauczymy je ostrożnej jazdy!"

## PAGÓRKI METALOWEGO SPAGHETTI

Rynek wypożyczalni rowerów, tak jak i wszystkie sektory gospodarki, ma swoje wzloty i upadki. Wiele firm zbankrutowało.

Co noc straż miejska pracowicie zbiera rowery na wynajem – nielegalnie zaparkowane i porzucone w bardzo niebezpiecznych miejscach. Kiedyś, wracając z nocnej zmiany, cudem wyminąłem jeden pozostawiony na samym środku jezdni.

Te same rowery, które za młodu dodają kolorytu miejskim ulicom, na starość piętrzą się jako pagórki metalowego spaghetti na komunalnych wysypiskach śmieci lub złomowiskach.

Są tam zresztą nie tylko egzemplarze stare i zdezelowane, ale również takie, które zakończyły żywot przedwcześnie, w wyniku niefortunnego zbiegu okoliczności, bo ktoś porzucił je w niedozwolonym miejscu.

Dla mnie, podobnie jak dla wielu mieszkańców Szanghaju, rower to dużo więcej niż dwa koła i rama.

Rower to sposób na poznawanie i doświadczanie miasta w niepowtarzalny sposób; to widoki, zapachy i okruchy życia, które trudno zauważyć, jadąc samochodem lub autobusem.

Na trasie do biura, którą pokonuję codziennie, za drugimi światłami jest warzywniak. Kiedy zatrzymuję się na czerwonym świetle, przez minutę lub dwie mogę cieszyć się upojnym zapachem egzotycznych owoców unoszącym się znad koszów na resztki i obierki.

Dalej trasa prowadzi obok szpitala rejonowego Jing'an, którego pensjonariusze, odziani w pasiaste piżamy, spacerują po chodniku lub przechodzą na drugą stronę ulicy, żeby w całodobowym sklepie Family Mart kupić jakieś niezbędne drobiazgi.

To niezwykłe zbiorowisko indywiduów, które jako żywo przypominają bohaterów *Lotu nad kukułczym gniazdem*: głowy obwiązane bandażami, wózki inwalidzkie, temblaki i kule, a czasem lekko oszołomione spojrzenie.

**Wynajem roweru w Szanghaju kosztuje juana, czyli w przeliczeniu około 60 groszy. To trzy razy taniej niż bilet na metro**

Podobnie jak moi sąsiedzi do swojego czerwono-czarnego roweru battle model 27 mogę przytroczyć lub przypiąć najróżniejsze rzeczy: składane fotele ogrodowe, piekarnik, regał na książki czy tygodniowe zapasy spożywcze.

Nawet rudy, adopotowany przeze mnie kot Hobbes regularnie jeździ rowerem do weterynarza. A czasami po prostu wybieramy się razem na przejażdżkę. Zapakowany w transporter nieodmiennie wywołuje uśmiechy i zaciekawione spojrzenia.

W takich chwilach Hobbes patrzy mi prosto w oczy przez drucianą siatkę, jakby chciał powiedzieć: „Oj, ludzie, ludzie, wy naprawdę jesteście szaleni!" ◎

HISTORIA PEWNEJ PROWOKACJI, KTÓRA OŚMIESZYŁA PSEUDONAUKĘ

# Czas na feministyczne badania lodowców

Jakub Janiszewski

KAVRAM/EASYFOTOSTOCK/EAST NEWS

**CZY NASZA WIEDZA O LODOWCACH BYŁABY INNA, GDYBY BADAŁY JE FEMINISTKI, A NIE BIALI MĘŻCZYŹNI, KTÓRZY PRZEZ WIEKI DOMINOWALI W ŚWIATOWEJ NAUCE? TO BRZMI JAK ŻART, ALE NIEKTÓRZY ZADAJĄ TAKIE PYTANIA ZUPEŁNIE POWAŻNIE**

Zaczęło się od artykułu, który James Lindsay, fizyk po doktoracie, znalazł w 2016 r. w naukowym magazynie „Postęp w Geografii Humanistycznej". Tytuł robił wrażenie: *Lodowce, gender i nauka: ramy glacjologii feministycznej w kontekście badań nad globalnymi zmianami środowiskowymi*. W abstrakcie zaś można było przeczytać:

„Lodowce są ikonami zmian klimatu i zmian środowiskowych na świecie. Mimo to relacja między płcią kulturową, nauką i lodowcami – szczególnie w kontekście epistemologicznych pytań o tworzenie współczesnej wiedzy glacjologicznej – pozostaje niezbadana. (...) Łącząc feministyczne studia postkolonialne oraz feministyczną ekologię polityczną, fundamenty glacjologii feministycznej stają się zarazem wiarygodną analizą płci kulturowej, władzy i epistemologii w dynamicznych układach społeczno-ekologicznych, przyczyniając się tym samym do bardziej sprawiedliwej i równościowej nauki oraz ludzko-lodowcowych interakcji".

Dalej było o tym, że badania glacjologiczne, których dokonywali mężczyźni ich męskimi metodami (takimi jak odwierty w czapie lodowej), finansowane z imperialistycznych, kolonialnych źródeł, zawsze lekceważyły kobiecą perspektywę. Należy więc współczesną glacjologię zdemaskulinizować i otworzyć na „alternatywne źródła wiedzy". Jakie? A choćby reprezentacje lodowców w sztuce i ludowych podaniach.

Autorów było czworo, w tym dwie doktorantki. Najwięcej zdumienia budziło nazwisko Marka Careya, historyka epistemologii z Uniwersytetu w Oregonie, obsypanego nagrodami i cenionego w świecie nauki. Zapytany przez magazyn „Science" jak też poradził sobie z ogólnym rozbawieniem, które jego tekst wywołał w szeregach akademickich, i z gigantyczną popularnością w internecie, gdzie obśmiali go nie tylko konserwatywni blogerzy, Carey próbował ratować się stwierdzeniem: „Oto nareszcie rozmawiamy o lodowcach".

Sęk w tym, że nikt w kontekście jego publikacji nie mówił o lodowcach, nikt też nie szydził z glacjologii. Śmieszył jedynie język, podejście do źródeł i szerzej – do filozofii nauki. Oraz fakt, że to w ogóle zostało opublikowane.

James Lindsay też najpierw serdecznie się pośmiał, ale chwilę później rozbawienie go opuściło. Jeśli bowiem podstawy filozoficzne szeroko rozumianego Zachodu to „tylko jedno ze źródeł poznania", a „jedyna obiektywnie istniejąca rzeczywistość to opresja" rozmaitych grup mniejszościowych – to gdzie właściwie jesteśmy? I czy rzeczywiście pomieszanie paru faktów z zakresu historii wypraw geograficznych, etnografii, szeroko rozumianego feminizmu i krytyki postkolonialnej tworzy jakąkolwiek nową jakość? A może jest po prostu pozorem badań naukowych, zawracaniem głowy, wyciąganiem kasy z budżetów uniwersyteckich i jedną wielką hucpą? A jeśli to drugie – to dlaczego nikt nie protestuje?

I tak zrodził się pomysł „studiów nad krzywdami" – prowokacji, którą Lindsay przeprowadził wspólnie z redaktorką naczelną internetowego magazynu „Areo" Helen Pluckrose oraz filozofem Peterem Boghossianem. Przez ponad rok, wspólnymi siłami, tworzyli lewe artykuły naukowe, które następnie wysyłali do czołowych pism z dziedziny szeroko pojętych badań nad kulturą. Zwłaszcza tych skupionych na kontekstach płci, seksualności, pochodzenia etnicznego i cielesności.

Podpisywali się fikcyjnymi nazwiskami albo pożyczali cudze (oczywiście za wiedzą i zgodą zainteresowanych). Pisali śmiało, po bandzie, śledząc przejawy dyskryminacji, rasizmu, seksizmu i pogardy wobec mniejszości w nawet najbardziej egzotycznych >>

kontekstach i z zastosowaniem możliwie najdziwniejszych metod badawczych.

I tak, przykładowo, fikcyjna profesor Helen Wilson obserwowała zachowania seksualne psów w parkach Portland, żeby przeanalizować nastawienie ich właścicieli wobec problematyki gwałtu.

Prowadząc szczegółowe notatki, rozmowy z właścicielami, a przede wszystkim wnikliwe obserwacje ich czworonożnych przyjaciół, prof. Wilson obliczyła, że co 60 minut na miejskim trawniku w Portland dochodzi do psiej próby gwałtu, co ciekawe, podejmowanej zawsze przez osobniki płci męskiej.

W 86 proc. ofiarami były samice, w 12 proc. – samce. W 2 proc. nie udało się ustalić płci, choć prof. Wilson podkreślała, że każdorazowo starała się dyskretnie i z należytym szacunkiem zbadać stan krocza ofiary (w sumie dokonała oględzin ponad 10 tys. psich organów płciowych).

Co jednak ważniejsze: opiekunowie psów reagowali znacznie szybciej i bardziej stanowczo na przejawy międzypsiej przemocy (prof. Wilson wyliczyła, że dochodzi do nich średnio co 70 minut) niż na próby gwałtu. Więcej – interweniowali zdecydowanie częściej, gdy ofiarą padał inny pies, a rzadziej – gdy suka. Częściej reagowały kobiety, mężczyźni – zdecydowanie mniej chętnie. Odnotowano nawet przypadek zachęcania do przemocy okrzykami „Bierz ją, mały!".

Tekst przeszedł pomyślnie zarówno przez sito redaktorskie, jak i ocenę zewnętrzną (polegającą na rozesłaniu proponowanego materiału do kilku związanych z daną dziedziną naukowców z prośbą o ich pisemne opinie). Nie dość tego – wzbudził entuzjazm i ukazał się w prestiżowym, jubileuszowym wydaniu periodyku „Gender, Miejsce i Kultura", chwalony za innowacyjne podejście i szerokie spektrum przywoływanych źródeł.

Zastrzeżenia wzbudziła tylko kwestia prywatności psów w kontekście oględzin ich genitaliów.

Pozostałe publikacje były podobne.

Kwartalnik „Seksualność i Kultura" opublikował tekst postulujący, że dobrym sposobem na zrozumienie społecznej pozycji kobiet oraz osłabienie homofobicznych zachowań i przeświadczeń byłoby zachęcanie heteroseksualnych mężczyzn do „samopenetracji analnych z użyciem erotycznych gadżetów". „Studia nad Otyłością" znalazły na swoich łamach miejsce dla artykułu zrównującego kulturystykę z – jak to ujęto – tłuszczowym bodybuildingiem, którego niższa pozycja wynika jedynie z uprzedzeń wspartych dominującymi antropometrycznymi przesłankami.

W innym tekście, firmowanym przez Marię Gonzales i Lisę A. Jones (obie zmyślone), dokonano przeróbki rozdziału 12. *Mein Kampf* Adolfa Hitlera, co kompletnie umknęło uwadze recenzentek feministycznej „Affilii".

Z kolei magazyn „Hypatia" wsparł pogląd głoszący, że wszelkie żarty z np. ekonomicznych badań naukowych są moralnie słuszne i potrzebne, te zaś dotyczące gender studies – dowodzą jedynie etycznych niedostatków autorów oraz wspierają uprzywilejowanych.

Ten ostatni tekst należał do szczególnie perfidnych: był rodzajem pułapki zastawionej na potencjalnych krytyków, gdy cały eksperyment ostatecznie ujrzy światło dzienne.

Finał przyszedł jednak wcześniej, niż planowali sami prowokatorzy. Artykuł o psach gwałconych na trawniku w Portland narobił takiego szumu, że zaczęli się nim interesować dziennikarze, na czele z redaktorką „Wall Street Journal", która zapragnęła poznać bliżej tajemniczą prof. Wilson.

W tej sytuacji Lindsay, Boghossian i Pluckrose z początkiem października zdecydowali się przerwać przedsięwzięcie i ujawnić prawdę, publikując obszerny raport badawczy na łamach internetowego magazynu „Areo". Statystyki mieli imponujące: na 20 napisanych tekstów opublikowano siedem, drugie siedem odesłano do autorów z prośbą o poprawki, sześć odrzucono. Dość powiedzieć, że na wielu studiach doktoranckich siedem publikacji to liczba wystarczająca do uzyskania tytułu.

Nietrudno się domyśleć, co nastąpiło potem. Jako pierwszy zareagował Twitter. „Wstrząsające samozaoranie, ci ludzie nawet nie uczestniczą w procesie naukowym" – napisał profesor zarządzania z Harvardu Matt Blackwell. „Gdzie grupa kontrolna?" – pytał i podkreślał zarazem, że niektóre z publikacji wcale nie trafiły do

THE LEGO GROUP/SPLASH/EAST NEWS

**Czemu dziewczyny z klocków lego tylko siedzą w domu, na plaży albo są na zakupach? Tymczasem chłopcy przeżywają przygody, ratują innych, pracują – skarżyła się w liście do Lego siedmioletnia Amerykanka Charlotte. Koncern, jak widać powyżej, postanowił naprawić błąd**

„prestiżowych magazynów", jak sugerowali prowokatorzy, lecz trzeciorzędnych pisemek, o niskiej cytowalności i miernym czytelnictwie.

W sukurs wnet przyszła wykładowczyni *gender studies*, prof. Alison Phipps z Uniwersytetu w Sussex, która w swoim komentarzu umieszczonym na stronach „Times of Higher Education" stwierdziła, że cała prowokacja mówi więcej o prowokatorach niż o dyscyplinach, których dotyczyła, i wynika z politycznych uprzedzeń. Oraz że tak naprawdę należałoby się zająć zarobkami badaczy w działkach takich jak *gender studies* zamiast publikować raporty, które koniec końców przyniosą efekt mrożący i zahamują rozwój dziedziny.

Z kolei prof. William Eggington, literaturoznawca, na łamach „New York Timesa" argumentował, że całe przedsięwzięcie mówi więcej o marginalizacji wymienionych działek badawczych niż o sugerowanej przez eksperymentatorów korozji.

„Atakowanie naukowców zajmujących się marginalizowanymi społecznościami nie jest rozwiązaniem" – pisał. „Należy raczej sprawić, by studia nad zmarginalizowanymi same nie zostały zmarginalizowane albo same siebie nie marginalizowały".

Sęk w tym, że to właśnie było celem eksperymentu Lindsaya, Pluckrose i Boghossiana, którzy z całą mocą podkreślali, że nauka społeczna poświęcona mniejszościom musi być lepsza, właśnie przez to, jak kluczowe ma znaczenie dla otaczającej nas rzeczywistości.

„Tego rodzaju badania – piszą w swoim raporcie – nie wspierają i nie kontynuują już ze wszech miar szlachetnego, wolnościowego dzieła ruchów społecznych, one go niszczą, żerując na pozorach i wciskając opinii publicznej coraz gorsze lekarstwo na coraz głębszą chorobę".

Cała trójka mocno podkreśla swoje przywiązanie do wartości lewicowo-liberalnych, odżegnując się od wszelkich związków z religijną prawicą amerykańską, dla której nie do przyjęcia jest nawet sam zwrot „płeć kulturowa".

Zresztą – czy eksperyment naprawdę wymagał „grupy kontrolnej"? Oto trójka oszustów, przebranych za nieistniejącą, więc także nikomu nieznaną, Helen Wilson, bez większego wysiłku przepchnęła w czołowym piśmie z zakresu *gender studies* quasi-naukowe pierdoły o gwałtach wśród psów, przenosząc wnioski na ludzkie uprzedzenia i mniemania.

Trochę na tym zarobili (choć faktycznie niewiele, naukowe żurnale nie płacą kokosów), zyskali nieco poklasku (a właściwie to zyskała Helen Wilson), a następnie zaproszono ich do recenzowania kolejnych prac nadsyłanych do pisma. Nawet jeśli uznać, że zadziałał tu automat i wciągnięto ich po prostu na listę potencjalnych speców, bo już coś opublikowali – to przecież wciąż niewiele zmienia. To po prostu wstyd.

W tym właśnie duchu wypowiadali się obrońcy – np. prof. Yasha Mounk, politolog z Harvardu, kolega z katedry

**Profesor Wilson obliczyła, że co 60 minut na miejskim trawniku w Portland dochodzi do psiej próby gwałtu, co ciekawe, podejmowanej zawsze przez osobniki płci męskiej**

Matta Blackwella, zarzucającego prowokatorom na Twitterze głupotę i brak rozeznania w procesie tworzenia nauki.

„Jedno jest dla mnie pewne – napisał w „Chronicle of Higher Education" prof. Mounk – każdy akademik, którego ani trochę nie niepokoi łatwość, z jaką fałszerze przepchnęli teksty satyryczne pod pozorem naukowej wiedzy, przyczynia się do szerzenia jednostronności i klanowości, które zżerają dzisiaj cały kraj".

Najostrzej jednak zareagowała Heather E. Heying, biolożka, była wykładowczyni Evergreen State College. „Te dziedziny nauk – określone przez prowokatorów jako »studia nad krzywdami« – premiują bycie ofiarą, odchodzą od nauki i logiki, wynoszą aktywizm nad dociekanie – pisała Heying. – Niektórzy z nas, wliczając w to mnie, odeszli z akademii w konsekwencji tego szaleństwa".

Doświadczenia Heying rzeczywiście nie są – łagodnie mówiąc – dobre.

Evergreen College, w którym wykładała wspólnie z mężem Brettem Weinsteinem, należy do najbardziej lewicowych uczelni w Stanach Zjednoczonych. Dorocznie, od lat 70., urządzano tam Dzień Nieobecności, podczas którego w imię walki z rasizmem kolorowi studenci mogli nie przychodzić do szkoły, biorąc zamiast tego udział w wydarzeniach organizowanych poza kampusem.

Ale w 2017 r. władze wpadły na lepszy pomysł. Niech zamiast nieobecności kolorowych ze szkoły wyjdą biali. Weinstein napisał do władz e-maila, w którym wykazał niebezpieczeństwo takiego myślenia.

„Zachęcanie do nieobecności jednej grupy, to nie to samo, co dobrowolna nieobecność innej" – argumentował.

E-mail wyciekł, Weinsteina napadli wściekli studenci, nie dopuszczali do niego policji, którą wezwał, nie pozwalali wyjść z budynku, lżyli i ostatecznie doprowadzili do jego odejścia z uczelni. Wraz z nim Evergreen opuściła Heying. Oboje otrzymali od szkoły pół miliona odszkodowania.

Tak dochodzimy do spraw kluczowych. Prowokacja Pluckrose, Lindsaya i Boghossiana ukazała się

**Czy istnieje obiektywna rzeczywistość, do której wszyscy mamy dostęp, niezależnie od tego, kim jesteśmy? Niektórzy odpowiadają: nie. Ich zdaniem np. każdy biały, który twierdzi, że rozumie czarnych, de facto narzuca im swoją wizję świata, deprecjonuje i poucza**

w szczególnym czasie. Różnice między amerykańskimi konserwatystami a lewicą zdają się tylko pogłębiać, a polityka Donalda Trumpa to dolewanie oliwy do ognia. Amerykańskie uniwersytety nie są odpolitycznionymi sanktuariami, przeciwnie, właśnie tu napięcia ideologiczne uzyskują bodaj najgłębsze nasilenie, co widać w coraz liczniejszych przypadkach studenckich protestów i blokad.

Co zdumiewające – uczniowie najbardziej lewicowych, wręcz lewackich, szkół, opiewających społeczeństwa multikulturowe i stawiających na tolerancję, tropią wokół siebie nawet najdrobniejsze przejawy odrębnego sposobu myślenia, tłumią dialog, postrzegają słowa i idee jako agresję w najczystszej postaci.

Śledzą przejawy rasizmu i seksizmu nawet tam, gdzie ich nie ma, domagają się usunięcia z programów nauczania Platona i Arystotelesa.

W imię bezpieczeństwa emocjonalnego potencjalnych ofiar domagają się, by przed zajęciami omawiającymi np. twórczość Virginii Woolf publikować specjalne ostrzeżenia. Zupełnie jakby wszyscy wrócili z wojny i cierpieli na syndrom stresu pourazowego.

Ten fenomen został przez socjologów moralności nazwany „kulturą ofiar".

Zdaniem prof. Jonathana Haidta, psychologa społecznego z New York University, kultura ofiar czerpie siłę z różnych źródeł, a jednym z nich jest także specyficzna gałąź nauk społecznych, popularyzowana pod ogólnym hasłem „studiów intersekcjonalnych". Ich początek to badania Kimberle Williams Crenshaw, amerykańskiej prawniczki i profesorki prawa w UCLA, która jako pierwsza, jeszcze w latach 80., wprowadziła do nauk społecznych pojęcie dyskryminacji wielokrotnej, wskazując m.in., że bycie czarnoskórą kobietą to coś więcej niż bycie czarnym i więcej niż bycie kobietą. To właściwie obrywanie z obu kierunków: upodrzędnienie wynikające z rasy i skojarzenia związane z kobiecością. Trzydzieści lat temu były to rewolucyjne obserwacje.

Od tamtej pory jednak intersekcjonalność przeszła cały szereg przemian, stopniowo stając się czymś w rodzaju religii. Przede wszystkim pozwala ustanawiać hierarchie wykluczenia – przez krzyżowanie między sobą rozmaitych pól.

Bezpłodny Hindus w białym społeczeństwie ma się kiepsko, ale jeszcze gorzej radzi sobie niepełnosprawna czarnoskóra lesbijka. Gorzej, ale zarazem słuszniej, bardziej moralnie. Intersekcjonalność w połączeniu ze studiami postkolonialnymi, feministycznymi i gejowskimi tworzy specyficzne podglebie do nobilitowania pozycji ofiary. Pozycji, której nie można doświadczyć, ani nawet w pełni zrozumieć, gdy jest się spoza dyskryminowanej grupy – można o niej co najwyżej posłuchać, biernie i pokornie. Bycie czarnym to nie to samo, co bycie białym. To inny rodzaj bycia, inny rodzaj widzenia, inny rodzaj myślenia. Każdy biały, który zakłada, że rozumie czarnego, z łatwością narzuca mu swoją wizję świata, deprecjonuje, poucza. Stąd z ust aktywistów coraz częściej padające hasło „Sit down and listen" (Siadaj i słuchaj!), zamykające rozmowę i kończące dialog.

W zwulgaryzowanej wersji studiów intersekcjonalnych poprawność polityczna staje się mitem założycielskim, zaś przywilej – grzechem pierworodnym.

W efekcie cała dotychczasowa filozofia nauki może zostać podważona i pominięta. Powstawała bowiem przez wieki wykluczenia i niedoli całych rzesz mieszkańców globu. Napisali ją uprzywilejowani: biali mężczyźni. Jako taka skażona jest ich wąskim postrzeganiem, podejrzana. Kto twierdzi inaczej, staje się obrońcą białej rasy, niemalże naziolem.

I tak wracamy do samego początku, do genezy eksperymentu. „Glacjologia feministyczna" nie powstała w próżni, wynikła z konkretnych koncepcji naukowych, polityk społecznych i praktyk uniwersyteckich. Współautorki tamtego tekstu – podówczas doktorantki – M. Jackson i Jaclyn Rushing naprawdę badały lodowce i jeździły na zagraniczne wyprawy. Ale z jakichś przyczyn uznawały, że te przedsięwzięcia, choć finansowane z amerykańskich pieniędzy, z całą pewnością nie zasługują na miano „imperialnych", a one same, jako

IDOUGLAS BORGES/MEDIADRUMWORLD.COM/EAST NEWS

**24-letni Douglas Borges z Rio de Janeiro uważa, że mit syreny nie może być zawłaszczany przez płeć żeńską**

kobiety, mogą zobaczyć lodowce inaczej niż ich poprzednicy.

Skoro nauka jest zdominowana przez mężczyzn, męskocentryczna, a przez to – ślepa na inne perspektywy i sposoby widzenia, traktująca je jako niewiarygodne i nieistotne – to dlaczego nie?

Same przecież tego nie wymyśliły – to koncepcje szeroko prezentowane np. przez czarnoskórą feministyczną epistemolożkę z Yale Kristie Dotson. Według niej to, co dziś uznajemy za słuszne, wiarygodne, naukowe – to sposób widzenia jednej, tylko jednej grupy: uprzywilejowanych, białych mężczyzn.

„To, co umyka w tym sposobie myślenia, to założenie, że istnieje coś takiego jak obiektywna rzeczywistość, do której wszyscy mamy lepszy lub gorszy dostęp, niezależnie od tego, kim jesteśmy" – tłumaczy w jednym ze swoich wystąpień Helen Pluckrose.

Co by się stało, gdyby jednak rzeczywistość istniała niezależnie od naszej pozycji społecznej i punktów widzenia? Cóż, mogłoby się okazać, że autorki feministycznej glacjologii odkryłyby to samo co ich poprzednicy, gdyby dotarły na lodowce odpowiednio wcześniej. Mogłoby się okazać, że nie ma niczego takiego jak glacjologia kobiet, choć z pewnością istnieją kobiety glacjolożki.

Ale, idąc dalej tym tokiem rozumowania, mogłoby się też okazać, że naturę dyskryminacji czarnoskórych kobiet w latach 80. mógłby odkryć i opisać nawet biały mężczyzna: gdyby tylko zechciał się tym choć zagadnieniem trochę zainteresować. I to też śmiały pogląd.

Toteż dyskusja o prowokacji trojga odszczepieńców (Helen Pluckrose samą siebie przedstawia jako „wygnańca z obszaru humanistyki") nie jest tak naprawdę ani dyskusją o pozycji *gender studies*, ani rozmową o perspektywie wykluczonych. To pytanie o wspólny fundament współczesnych nauk humanistycznych. O to, czy jeszcze mamy sobie coś nawzajem do powiedzenia, czy raczej stawiamy na glacjologię wygranych i glacjologię ofiar. Bo jeśli tak, to po co się organiczać? Zróbmy od razu glacjologię gejowską, żydowską, arabską, słowiańską oraz skośnooką.

Tylko ciekawe, co się wówczas stanie z pojęciem wykluczenia? ◎

# Córki na sprzedaż

## CZASAMI SĄ PRZYWOŻONE PRZEZ RODZICÓW. BYWA, ŻE TO ONI INKASUJĄ ZAPŁATĘ OD KLIENTÓW

Jowita Kiwnik-Pargana

**WEDŁUG MIEJSCOWEJ LEGENDY DELFIN, ŻYJĄCY W WODACH AMAZONKI, PRZEMIENIA SIĘ W NOCY W MĘŻCZYZNĘ I UWODZI MŁODE DZIEWCZĘTA**

Statek powinien już wypłynąć z portu, ale ładowanie towarów się przeciąga, co nikogo nie dziwi. Niektórzy pasażerowie już leżą na hamakach rozwieszonych ciasno na dolnym i górnym pokładzie, a ci bardziej majętni rozpakowują się w kilkunastu kabinach – ciasnych i bez okna, ale z własną łazienką i drzwiami zamykanymi na klucz.

Hamak i linki do jego umocowania pasażer musi sobie zapewnić sam. Kto pierwszy wejdzie na pokład, ten ma szansę zająć najlepsze miejsce do rozwieszenia posłania, dlatego też część pasażerów koczuje w porcie już od kilku godzin.

Tym razem tłoku nie będzie. Statek Anna Karolina III wypływa z Belém, stolicy brazylijskiego stanu Para, z trzygodzinnym opóźnieniem, ze 150 pasażerami – mógłby spokojnie

MARIANA BAZO/REUTERS/FORUM

Dla ribeirinhos, czyli rzecznych ludzi, handel to często jedyne źródło zarobku

zmieścić jeszcze setkę – i z towarami, które zostaną wyładowane w kolejnych portach na rzece. Wśród nich plastikowe wentylatory, materace łóżkowe, olej napędowy, wielkie paczki z jedzeniem i z cukierkami. I dwie karetki pogotowia, które płyną do Monte Alegre, gdzie ciężko będzie je wydostać z ładowni na brzeg po prowizorycznym trapie z drewnianych palet.

Podróż w górę Amazonki, do oddalonego o 1300 km Manaus, potrwa pięć dni.

## Ludzie rzeki

Czas odmierzają posiłki serwowane codziennie w mesie na dolnym pokładzie. W menu głównie kurczak, ryż, makaron i fasola. Śniadanie kosztuje 5 zł, obiad i kolacja – dwa razy tyle. Ale jedzą głównie nieliczni na pokładzie turyści, bo miejscowych nie stać na taki wydatek. Mają wikt na całą podróż ze sobą.

Kilkanaście godzin za Belem koryto rzeki się zwęża. Wyraźnie widać, jak na brzegu wyrastają drewniane domy, zwykle o ścianach w kolorze czerwieni, różu czy pistacji, przykryte dachami z blachy falistej. Przed niektórymi na sznurkach suszy się pranie, przed kilkoma widać anteny satelitarne, przed wszystkimi – drewniane pomosty do cumowania łodzi. To na Amazonce główny środek transportu. Do wielu domów można dotrzeć tylko od strony wody, bo na tutejszych bagnach nie da się poprowadzić dróg, więc płynie się do szkoły i do kościoła.

Za każdym razem, kiedy rzeką przepływa barka, statek lub prom, z okolicznych domostw podążają za nimi tutejsze łódki i czółna. Niektóre mają małe silniki, pasażerowie innych wiosłują z całych sił.

Dla tubylców, zwanych *ribeirinhos*, co przetłumaczyć można jako „rzeczni ludzie", handel na rzece to często jedyny sposób zarobku. Metoda jest jedna: trzeba dogonić przepływający statek, przycumować do niego swoją łódkę lub czółno i wdrapać się na pokład.

*Ribeirinhos* najczęściej sprzedają na pokładzie krewetki, orzeszki ziemne i jagody açaí, rzadziej rękodzieło, koraliki. Ale kwitnie także inny rodzaj handlu. Tutejsze kobiety i dziewczynki sprzedają na łodziach swoje ciała.

Potocznie mówi się o nich *balseiras* (od *balsa*, co w Brazylii oznacza barkę). Prostytuują się za ciastko, za porcję kurczaka, za ubranie i perfumy, >>

FEDERICO TOVOLI/EAST NEWS

Do niektórych osad nie doprowadzono elektryczności, dlatego pożądanym dobrem jest ropa do generatorów prądu

za ropę do silników łódek, bez których życie na rzece jest niemożliwe, za paliwo do agregatów prądotwórczych, bo do niektórych osad nie doprowadzono jeszcze elektryczności.

## Walka o przetrwanie

„Tu wszystko zatopione jest w wodzie. Nie ma prądu, sklepów, szpitali ani leków, nie ma jedzenia" – mówi Mario Valmont, prawnik płynący na Annie Karolinie III.

Dzięki ropie można na kilka godzin włączyć telewizor, obejrzeć telenowele i pomarzyć o lepszym życiu. Ale agregat pożera do czterech litrów dziennie.

Wyspa Marajó w delcie Amazonki ma powierzchnię wielkości Szwajcarii i uznawana jest za najbiedniejszy i najbardziej zacofany cywilizacyjnie region Brazylii. Kiedyś, jeszcze za Portugalczyków, w regionie istniały całkiem nieźle prosperujące porty przeładunkowe czy manufaktury, jak obróbki drewna w wiosce São Francisco Jararaca. Kiedy zbankrutowały, wielu mieszkańców wyjechało, a ci którzy zostali, walczą o przetrwanie.

„Uczennice, zamiast przyjść na lekcje, uciekają na łodzie. Marzą, że na rzece spotkają księcia z bajki: kierowcę ciężarówki, który je stąd zabierze" – mówi Alice Dias, nauczycielka ze szkoły w miejscowości Melgaça.

Najwięcej pracy jest na statkach towarowych, które przepływają tędy codziennie. Przewożą z jednego krańca Amazonki na drugi drewno, samochody i tiry, ponieważ tutejsze drogi są kiepskie.

Dziewczyny podpływają do burty, mężczyźni pomagają im wdrapać się na pokład, czasem rzucą linę. Czasami przywożą je tu rodzice; bywa, że to oni inkasują zapłatę.

Niektóre dziewczyny po prostu wypływają na środek rzeki i czekają na nadpływające barki. Przypływają z siostrami, kuzynkami, przyjaciółkami. Ubrane są skąpo, w krótkie szorty, sznurowane gorsety, nakładają makijaż, żeby przyciągnąć uwagę mężczyzn.

Kilkuletnie dzieci, które jeszcze boją się wejść na górę i są za małe, żeby się prostytuować, płyną wzdłuż burty. Liczą na to, że ktoś zrzuci im ciastka, popcorn albo jakąś zabawkę.

„Rynek usług seksualnych napędzają ogromne inwestycje budowlane, takie jak np. zapora Belo Monte na rzece Xingu" – mówi prawnik. „Przyciągają one robotników z całego kraju. Ci mężczyźni często przez długi czas muszą się obejść bez seksu, bardzo chętnie wykorzystują więc sytuację i stają się klientami *balseiras*".

Niektóre *balseiras* wchodzą w nieformalne związki z przepływającymi regularnie na trasie robotnikami i marynarzami. Są o nich zazdrosne jak żony. Jeśli dowiedzą się, że z marynarzem sypia jakaś inna balseira, są w stanie zrobić karczemną awanturę.

W południe na górnym pokładzie Anny Karoliny dwaj chłopcy, ośmio- i dziesięciolatek, sprzedają pasaże-

Tatuaż 16-letniej dziewczyny, którą policja zatrzymała podczas nalotu na seksskluby w Rio de Janeiro, listopad 2013 r.

RICARDO MORALES/REUTERS/FORUM

rom gotowane krewetki i jagody açaí. Nie powinno ich tu być – zgodnie z brazylijskim prawem dzieci nie mogą same wspinać się na pokład przepływających statków i łodzi, ale wszyscy tutaj przymykają na to oko.

## Mama pracuje w kabinie na dole

Krewetki z rzeki są małe i słone, tutejsze açaí też różni się od tego, które sprzedawane jest na Zachodzie albo nawet w oddalonym o 3 tys. km Rio de Janeiro. Tam açaí kupuje się w proszku, często już zmieszane ze stewią albo owocami guarany. Tutaj jest nieprzetworzone, rozgniecione na pulpę i przypomina zupę. Kupuje się je w plastikowym woreczku zawiązanym na supeł. Po wymieszaniu np. z mąką z manioku z powodzeniem służy za kolację.

Łódka, którą przypłynęli chłopcy, przywiązana jest sznurkiem do burty statku. Są braćmi, nawet jeśli tego nie widać – jeden jest brunetem, a włosy drugiego wpadają w blond. Ale mają takie same migdałowe oczy – po mamie, która pracuje w kabinie na dole.

Mama, która nazywa się Marina, ma 31 lat. Ubrana jest w czarne obcisłe spodnie i czarną bluzkę, chociaż temperatura grubo przekracza 30 st. C. Czarne włosy zaczesane ciasno do tyłu, na ustach mocna różowa szminka.

„Zaczęłam sypiać z mężczyznami na statkach, kiedy miałam 15 lat, w zamian za kurczaka, mięso, ogólnie jedzenie" – opowiada Marina. „Wcześniej sprzedawałam krewetki i owoce, ale seks okazał się bardziej opłacalny. Kiedy miałam 15 lat, urodził się też mój pierwszy syn. Dzisiaj mam pięcioro dzieci, wszystkich ich ojców spotkałam na łodzi".

W Marajó rodzą już 13-latki i często nie mają pojęcia, kto jest ojcem dziecka. Żeby wytłumaczyć pojawianie się nieślubnych dzieci, miejscowi stworzyli legendę. Według niej rzeczny delfin żyjący w wodach Amazonki (po portugalsku boto, po polsku „inia amazońska") przemienia się w nocy w mężczyznę, wychodzi na brzeg, odwiedza tutejsze chaty i zapładnia miejscowe kobiety.

**Na pokładzie dwaj bracia przywiązują łódkę, którą przypłynęli. Obaj mają migdałowe oczy - po mamie, która właśnie pracuje w kabinie na dole**

>>

ELMAR R. GRUBER/TOPFOTO/FORUM

Po Amazonce pływają zarówno wielkie statki pasażerskie, jak i mniejsze, często wysłużone, barki

„Balseiras łatwo rozpoznać po ubiorze i makijażu" – mówi 80-letni Francisco, który płynie na Annie Karolinie wspólnie z żoną do Manaus. Są małżeństwem od 40 lat. Śpią na hamakach na dolnym pokładzie. Na kolację kupili jedną porcję kurczaka z ryżem i fasolą na dwoje, tak jest oszczędniej.

## Wszyscy o tym wiedzą

„Gdzie to robią?" – Francisco dziwi się mojemu pytaniu. „W kabinie. Często na pokładzie jest sutener, który im pomaga znaleźć klientów. Zresztą od razu widać, kto z pasażerów podróżuje, a kto szuka zabawy… "

Isabelle jest jedną z pasażerek, ma 17 lat i czerwieni się słysząc rozmowy o amazońskich prostytutkach. Zapewnia, że nigdy żadnej nie spotkała. Ale zaraz dodaje, że słyszała, że tutejsze dziewczyny, podobnie jak ona, lubią telenowelę *Jezus*, która leci codziennie o godz. 19:30 na kanale Record TV.

„Wszyscy tutaj wiedzą, że kobiety i dziewczynki wchodzą na łodzie, i wszyscy wiedzą, po co to robią. Nikt o tym nie chce mówić głośno, ale nie ma ani jednej osoby, która by nie wiedziała" – przyznaje w wywiadzie dla gazety „Folha de São Paulo", lokalny policjant Rodrigo Amorim.

W ub.r., podczas kontroli na jednym ze statków towarowych, policja znalazła 9-latkę w ładowni. Funkcjonariusze zatrzymali czterech mężczyzn podejrzanych o seksualne wykorzystanie nieletniej, jednak sąd ich wypuścił.

Tydzień później jednostka Rodrigo Amorima natknęła się na tę samą dziewczynkę w czółnie przy innym statku. Miała przy sobie paczkę ciastek. W drugiej łódce siedział jej ojciec, który akurat odbierał od załogi kanistry z benzyną.

„Podejrzewaliśmy, że dziecko zostało po raz kolejny przehandlowane za olej napędowy, ale nie mieliśmy dowodów" – mówi Amorim.

Dziennikarze ze stacji Record TV nagrali ukrytą kamerą cztery 12- i 13-letnie dziewczynki skaczące z pokładu statku wprost w brązowe wody Amazonki. Na dole w drewnianych łódkach czekali rodzice.

„Mężczyźni na barkach wolą jak najmłodsze dziewczynki, bo one dopiero zaczynają życie seksualne, więc jest większe prawdopodobieństwo, że nie mają chorób wenerycznych" – mówi prawnik Mario Valmont.

„One nawet nie mają świadomości, że zostały wykorzystane" – dodaje nauczycielka Alice Dias.

„Te dzieci chowane są w domach, gdzie nie ma prądu, jedzenia, internetu. Nie mają modnych ubrań ani telefonów komórkowych. Ale szybko zaczynają rozumieć, że za swoje ciało mogą zdobyć wymierne korzyści. Tym bardziej, że ich matki czy starsze siostry często też się prostytuują. Tu nie ma myślenia czy to jest dobre czy złe, taka jest po prostu kolej rzeczy" – mówi Valmont.

W 2014 r. władze stanu Para stworzyły tzw. Kod Postępowania, który definiuje przestępstwo prostytucji na statkach oraz ustala wymiar kar finansowych nakładanych na armatorów. Kiedy np. ostatniego lata na promie przewożącym wagony kolejowe policja znalazła ukrytą w ładowni 11-latkę, armator musiał zapłacić grzywnę rzędu pół miliona złotych.

Od 2003 r. w Amazonii prowadzony jest też rządowy program *Luz para todos* (Światło dla wszystkich), który ma na celu elektryfikację odciętych od prądu miejscowości. Rząd dopłaca 85 proc. do każdego rachunku za energię, dzięki czemu na prąd powinno być stać nawet najbiedniejszych. Urzędnicy mają nadzieję, że jednym z rezultatów programu będzie ukrócenie prostytucji, bo balseiras nie będą już musiały się oddawać za benzynę.

Prowadzone są programy edukacyjne w szkołach i spotkania dla rodzin – z przedstawicielami organizacji pozarządowych. To wszystko jednak wciąż za mało, bo egzekucja prawa kuleje.

„Statystyki pokazują, że na 100 zgłoszeń przestępstw seksualnych tylko 10 sprawców trafia do aresztu. Spędzają w nim średnio… dziewięć dni" – mówi Almiro Leão, radca prawny przy urzędzie miasta Cametá, w wywiadzie dla „Folha de São Paulo".

## Bóg na pierwszym miejscu

Marina kończy lunch, który zafundował jej jeden z klientów. Dał jej też używaną skórzaną kurtkę, którą mimo upału powiesiła na ramionach. Osobną porcję jedzenia zapakowała dla dwóch synów, którzy wciąż kręcą się między pasażerami na górnym pokładzie, przy nadbudówce statku, na której namalowano niebieską farbą napis: „Bóg na pierwszym miejscu".

„Kiedyś z tym skończę, ale jeszcze nie wiem kiedy" – mówi.

Marina dostaje zasiłek społeczny, tzw. Bolsa Família. Żeby go nie stracić, musi regularnie posyłać dzieci do szkoły i szczepić je.

„Dostaję tylko 400 reali miesięcznie. Czasem płaczę, bo nie mogę dać moim dzieciom tego, o co proszą" – mówi. „Pytasz, czy boję się, że córki zostaną wykorzystane? Czasem tak, ale na szczęście są jeszcze za małe, żeby wdrapać się na pokład". ◎

HOLISTIC

INFORMACJA PRASOWA

Chcesz pisać dla Holistic? Czekamy na Ciebie!

rekrutacja@holistic.news

# Nie trać kasy na pomoc biednym

## W DZIAŁALNOŚCI HUMANITARNEJ DOLAR DOLAROWI NIERÓWNY

Bjørn Lomborg*

**AŻ 146 MLD DOLARÓW – TYLE W 2017 R. WYDALIŚMY NA POMOC I ROZWÓJ NA CAŁYM ŚWIECIE. TA OLBRZYMIA KWOTA TO JEDNAK ZALEDWIE UŁAMEK ŚRODKÓW POTRZEBNYCH, ŻEBY OSIĄGNĄĆ CELE ZRÓWNOWAŻONEGO ROZWOJU WYZNACZONE PRZEZ ONZ**

Skoro pieniędzy brakuje, to wydawałoby się, że powinniśmy ustalić priorytety – na co w pierwszej kolejności je wydawać. O dziwo, taka dyskusja prawie w ogóle się nie toczy.

Kraje rozwijające się bardzo jasno i dobitnie mówią – ich obywatele w sondażach, ich rządy w dokumentach – co jest dla nich ważne i czego im najbardziej potrzeba. Lepszej opieki zdrowotnej i edukacji. Więcej porządnych miejsc pracy. Rozwiązania problemów żywieniowych. Ograniczenia korupcji.

Niestety kraje bogate, które dają pieniądze na pomoc, niekoniecznie chcą inwestować właśnie w te obszary.

Jeśli nic się nie zmieni, nie osiągniemy celów wyznaczonych na 2030 r. w wielu kluczowych działkach. Setki tysięcy kobiet będą nadal co roku umierały przy porodzie, nie wyeliminujemy gruźlicy ani nie powstrzymamy epidemii HIV. Nie zagwarantujemy ludziom dostępu do przedszkoli i szkół. Nie upowszechnimy metod planowania rodziny. Nie rozprawimy się z zacofaniem, marnotrawstwem i niedożywieniem, nie skończymy z przemocą wobec kobiet. Nie damy wszystkim dostępu do pitnej wody ani nie zlikwidujemy dyskryminacji kobiet w polityce. Nie poprawimy warunków sanitarnych, w jakich żyją ludzie, i nie oczyścimy im brudnego powietrza.

Czemu? Bo duża część pieniędzy przeznaczonych na rozwój, zamiast przyspieszać postępy właśnie w tych obszarach, ląduje zupełnie gdzieś indziej. Najbardziej rażący przykład? OECD szacuje, że ponad 20 proc. pomocy rozwojowej wydaje się na powstrzymanie zmian klimatu. Tymczasem mieszkańcy biednych krajów – jeśli zapytać ich o najbardziej palące problemy – zmiany klimatyczne wymieniają na szarym końcu.

Jest oczywiste, że udałoby się osiągnąć więcej w służbie zdrowia czy edukacji, gdyby jedna piąta kasy, jaką dysponujemy, nie szła np. na nieskuteczne panele słoneczne w małych hinduskich wioskach. Inwestorzy, którzy finansują takie projekty, mogą sobie odfajkować modny temat „globalne ocieplenie", ale w gruncie

rzeczy robią niewiele, żeby zmieniać ludzkie życie.

A zatem, jak lepiej wydawać fundusze rozwojowe? Na pewno pomocna jest metodyczna analiza kosztów i korzyści według prostej zasady: jak wycisnąć najwięcej z każdego wydanego na pomoc dolara.

Instytut Copenhagen Consensus Center – think tank, któremu szefuję – przyjrzał się 169 celom zrównoważonego rozwoju. Przeanalizowaliśmy różne opcje rozwojowe, ich koszty i korzyści, jakie mogą przynieść. Wszystko w przeliczeniu na dolary.

Okazało się, że najbardziej opłacalnych jest 19 z nich.

Weźmy choćby powszechny dostęp do planowania rodziny – często traktowany po macoszemu, bo politycznie kontrowersyjny. Policzyliśmy, że jego zapewnienie kosztowałoby 3,6 mld dol. rocznie (tzn. taką kwotę należałoby wydawać co roku do 2030 r.). Efekt? Gdybyśmy pozwolili kobietom świadomie decydować, kiedy zachodzić w ciążę, rocznie umierałoby ich 150 tys. mniej, a 600 tys. dzieci nie zostawałoby sierotami. To przełożyłoby się na zwiększenie wzrostu gospodarczego.

W sumie wyszło nam, że każdy dolar wydany na planowanie rodziny w najbiedniejszych krajach przyniósłby ok. 120 dol. zysku!

Podobnie opłacalne jest inwestowanie w żywienie dzieci, bo oznacza korzyści trwające całe ich życie. Zdrowa dieta pomaga rozwijać mózg i mięśnie. Dobrze odżywione dzieci mogą dłużej uczyć się w szkole, więcej wiedzą i w efekcie stają się znacznie bardziej produktywnymi członkami społeczeństwa. Z naszych szacunków wynika, że każdy dolar wydany na wykarmienie niedożywionych dzieci przynosi 40 dol. zysku.

Albo weźmy gruźlicę, najbardziej śmiertelną (i najczęściej ignorowaną) chorobę zakaźną świata. Uderza w najbiedniejszych, a jej ofiarami są zwykle ludzie młodzi, którzy właśnie założyli rodziny i są aktywni zawodowo. Kiedy umierają, ich rodziny tracą źródło dochodów, a dzieci – rodziców.

## Mieszkańcy biednych krajów – jeśli zapytać ich o najbardziej palące problemy – zmiany klimatu wymieniają na końcu

Nasza analiza pokazuje, że każdy dolar zainwestowany w diagnozowanie i leczenie gruźlicy w najbiedniejszych krajach przynosi zysk rzędu 43 dolarów!

Powyżej wymieniłem trzy wyjątkowo efektywne formy pomocy, ale jak wspomniałem na wstępie, najbardziej skutecznych jest 19. Policzył to zespół naukowców i ekspertów, których zaangażowaliśmy – w tym dwóch noblistów. Każdy dolar wydany na każdy z tych 19 celów rozwojowych przyniesie od 20 do 40 dol. zysku.

Tymczasem wydawanie pieniędzy po równo, czyli na wszystkie 169 celów rozwojowych ONZ, przyniesie zysk znacznie mniejszy – rzędu 10 dolarów z jednego. Innymi słowy, gdybyśmy skupili się na 19 najbardziej efektywnych działaniach pomocowych – takich jak planowanie rodziny, wyżywienie dzieci i pokonanie gruźlicy – to bylibyśmy w pomaganiu kilka razy bardziej efektywni.

Nasza analiza kosztów i korzyści sprawdza się w praktyce. Pomagamy ustalać priorytety w Bangladeszu i na Haiti, gdzie tworzymy programy żywieniowe, a także w indyjskich stanach Radżastan i Andhra Pradeś.

Takie podejście, czyli nie tylko pomaganie, ale pomaganie w oparciu o precyzyjną analizę kosztów i zysków, powinno być szerzej stosowane. Zapewne nie zawsze, ale jak najczęściej. Bez tego ryzykujemy, że nie uda nam się odpowiedzieć na największe wyzwania stojące przed ludzkością. ◎

© Project Syndicate, 2019

* BJØRN LOMBORG JEST SZEFEM THINK TANKU COPENHAGEN CONSENSUS CENTER

IKON IMAGES/EAST NEWS

# Inwazja wakacyjnych wolontariuszy

## I JAK SIĘ PRZED NIMI RATOWAĆ

Dominika Kardaś

Fotograf Tihomir Trichkov przez miesiąc był wolontariuszem w Mombasie. Robił zdjęcia dzieciom, którymi się opiekował

**WOLONTARIAT ZAGRANICZNY TO CORAZ BARDZIEJ POPULARNY SPOSÓB NA WAKACJE. NA RYNKU DZIAŁAJĄ FIRMY, KTÓRE ORGANIZUJĄ WYJAZDY DO BIEDNYCH KRAJÓW. ALE CZY KRÓTKI POBYT STUDENTA Z EUROPY W SIEROCIŃCU W AFRYCE PRZYNOSI WIĘCEJ POŻYTKU CZY SZKODY?**

Magda Kuza studiuje w Krakowie. Po licencjacie postanowiła zrobić sobie rok przerwy w nauce. Nie zamierzała jednak marnować czasu, tym bardziej, że wcześniej angażowała się w różne projekty pomocowe. Tym razem pojawił się pomysł udziału w wolontariacie zagranicznym.

Magda trafiła na stronę Fundacji Asbiro, która współpracuje z Mujo's Sky Limit School w Lindzie, jednej z najbiedniejszych dzielnic Lusaki, stolicy Zambii. Wysłała zgłoszenie, przeszła proces rekrutacyjny, po czym zapadła decyzja o dwumiesięcznym wyjeździe, w trakcie którego miała uczyć informatyki w szkole podstawowej.

Sama pokryła koszty związane z wyjazdem: loty, wizy, nocleg. „Gdyby fundacja miała zapłacić za wszystkie te rzeczy, to więcej sensu miałoby wyszkolenie i zatrudnienie miejscowego pracownika, niż płacenie komuś za wycieczkę" – tłumaczy Magda.

Asbiro to nieduża organizacja z Polski, która zajmuje się wspieraniem edukacji w Zambii. Raczej nie przypomina

wielkich firm pośredniczących w przygotowaniu wyjazdów na wolontariat zagraniczny, gdzie można przebierać w projektach z całego świata. Tutaj projekt jest jeden i bierze w nim udział maksymalnie kilku ochotników naraz.

## Przyjemne z pożytecznym

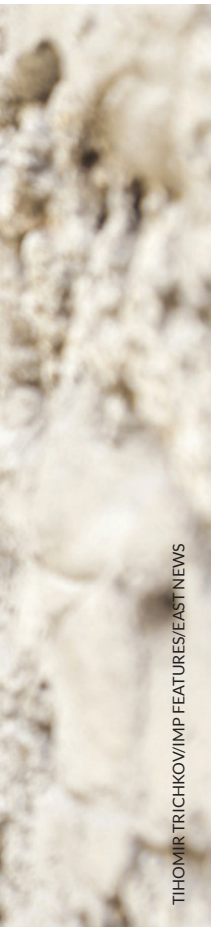

TIHOMIR TRICHKOV/IMP FEATURES/EAST NEWS

Szacuje się, że rocznie na wolontariat zagraniczny wyjeżdża 10 mln osób. Większość z nich to uczniowie starszych klas liceum albo studenci. Mogłoby się wydawać, że taka forma spędzenia wolnego czasu to idealne połączenie przyjemnego z pożytecznym. Coraz częściej słyszy się jednak, że masowe wyjazdy na wolontariat zagraniczny bardziej szkodzą, niż pomagają.

Na taki wyjazd organizowany przez firmę pośredniczącą może pojechać każdy – wystarczy, że zapłaci. „Czasem długa rekrutacja ma tylko stworzyć pozory starannej selekcji wolontariuszy, ale tak naprawdę wniesienie opłaty jest równoznaczne z przyjęciem zgłoszenia. Jak w biurze podróży" – mówi Alicja Kosińska, koordynatorka projektu „Zanim pomożesz" prowadzonego przez Fundację Go'n'Act.

„Tutaj klientem jest wolontariusz, który płaci, więc to on przede wszystkim ma być zadowolony z wyjazdu. To, czy udzielona przez niego pomoc ma jakikolwiek sens, schodzi na dalszy plan" – dodaje Kosińska.

International Volunteer HQ, lider na tym wątpliwym etycznie rynku, wysyła w świat 8 tys. wolontariuszy rocznie. Średni koszt wyjazdu to 10 tys. zł.

Ochotnicy pomagają również naturze – afrykańskie parki narodowe proponują płatny (zazwyczaj drogi) wolontariat, ale zebrane w ten sposób pieniądze stanowią dla nich źródło dofinansowania.

Niestety, nawet wybierając małe organizacje, nie mamy gwarancji, że oferowane przez nie programy są prowadzone odpowiedzialnie i z szacunkiem dla lokalnej społeczności. Jak więc ocenić, które są faktycznie pożyteczne? Podstawową kwestią są kompetencje. „Warto się zastanowić, jakie nasze umiejętności mogłyby przydać się w miejscu, do którego jedziemy" – radzi Alicja Kosińska. „Zwłaszcza jeśli osoba, która chce wyjechać, jest bardzo młoda, najlepiej znaleźć taki projekt, w którym nie zastępuje się lokalnego wykwalifikowanego pracownika, tylko się go wspiera i można się czegoś od niego nauczyć" – zaznacza.

Niestety zdarza się, że nastolatki na wolontariacie zagranicznym prowadzą zajęcia w szkołach, nie mając żadnego przygotowania dydaktycznego ani wiedzy na temat lokalnej kultury. Czasami wykonują prace budowlane, ale te potem i tak muszą być często poprawiane przez fachowców. Takie działania marnują czas zarówno wolontariuszy, jak i tych, którzy mieli na wolontariacie skorzystać.

„Czułam, że mam predyspozycje do tego, żeby uczyć, chociaż nie pracowałam nigdy w szkole. Ale po doświadczeniach w Zambii nie jestem pewna, czy kolejny raz zdecydowałabym się na wyjazd w charakterze nauczycielki" – mówi Magda. „Tego trochę nie przemyślałam. Najtrudniejsze było dla mnie to, że dzieci pracują w różnym tempie. Przygotowywałam sobie plan lekcji, a potem okazywało się, że czas się kończy, a ja jestem w połowie. Dałam sobie radę tylko dlatego, że na bieżąco reagowałam na to, co działo się w klasie" – przyznaje. Praca w szkole wymagała umiejętności pracy z grupą, które Magda musiała dopiero w sobie wykształcić.

## Bardziej szkodzą, niż pomagają

Organizacje humanitarne biją na alarm: popularność wyjazdów na wolontariat sprawiła, że idee pomocy i zrównoważonego rozwoju uległy wypaczeniu. W ubiegłych latach wolontariusze chętnie wyjeżdżali do Kambodży, Nepalu czy na Sri Lankę, by opiekować się dziećmi w sierocińcach. To jeden z przykładów pomocy, który niesie spore kontrowersje. Duży popyt na wyjazdy w takie miejsca sprawił, że sierocińców zaczęło przybywać, mimo zmniejszającej się liczby sierot. Rodziców zachęcano do oddawania dzieci, obiecując lepszy poziom wykształcenia i warunki zakwaterowania. Autorzy raportu *Families, Not Orphanages* podają, że na Sri Lance 92 proc. podopiecznych domów dziecka miało przynajmniej jednego żyjącego rodzica, a tylko 40 proc. zostało oddanych do przytułku z powodu ubóstwa.

Niewielu wolontariuszy zdaje sobie sprawę, że ich przyjazd przyczynia się do rozwoju tzw. *orphanage business* w krajach globalnego Południa.

Chętnie bawią się z tamtejszymi dziećmi, robią sobie zdjęcia, ale nie myślą o tym, że wyjazd dla ich podopiecznych będzie oznaczał utratę kogoś bliskiego. „Powtarzające się doświadczenia zerwania znaczących emocjonalnie więzi mogą uczyć dzieci, że nie warto zbyt mocno angażować się emocjonalnie w relacje z ludźmi, gdyż za chwilę stracą z nimi bliski, codzienny kontakt" – mówi w wywiadzie dla Fundacji Go'n'Act psycholog dziecięcy Szymon Hejmanowski.

## Takie słodkie lwiątko

Inna problematyczna forma wolontariatu to opieka nad dzikimi zwierzętami. „Obraz wolontariusza karmiącego butelką małe lwiątka albo opiekującego się chorym słoniem jest dla wielu bardzo zachęcający" – przyznaje Alicja Kosińska. „Często jednak za uroczymi obrazkami kryje się wyzysk tych zwierząt w turystyce albo ich sprzedaż na polowania. Wolontariusz myśli, że pomaga w ochronie zagrożonego gatunku, a tak naprawdę pracuje dla płatnej hodowli, która czerpie zyski ze sprzedaży lwów na polowania zagrodowe".

Zdarzają się też oferty wyjazdów do Tajlandii, gdzie wolontariusze karmią słonie i sprzątają im zagrody. Często nie mają jednak pojęcia, że zwierzęta muszą pracować na swoje utrzymanie. Słonie przechodzą brutalny trening, by dzień w dzień wozić w siodłach turystów. Wiele z nich umiera z wycieńczenia, bo przejażdżki cieszą się ogromną popularnością. Zaobserwowano nawet, że słonie pracujące w takich ciężkich warunkach cierpią na zespół stresu pourazowego.

## Nastolatki robią zastrzyki

Na zdobywające coraz większą popularność wolontariaty medyczne często wysyłane są osoby bez żadnego przeszkolenia. Nastolatki z liceum jadą na dwutygodniowy turnus do Argentyny lub Tanzanii, gdzie robią zastrzyki, wydają leki, a nawet asystują przy poważnych zabiegach medycznych.

„Takie projekty mogą być bardzo niebezpieczne zarówno dla pacjentów, jak i samych wolontariuszy. Osoba bez

Lwica Sirga i Niemiec Val Gruener, który znalazł ją na pustyni Kalahari i wychował. Na YouTubie stali się inspiracją dla milionów

TAUANA/LOOKING GLASS/SPLASH/EAST NEWS

żadnego doświadczenia medycznego nie wie nawet, jak uniknąć zarażenia groźnymi chorobami, kiedy ma np. kontakt z krwią pacjenta" – zauważa Alicja Kosińska.

Na stronie jednej z dużych firm organizujących wolontariat zagraniczny można przeczytać relacje kilkunastoletnich wolontariuszy: „Brałam udział w operacjach (wycinania raka wątroby czy przeszczepu poparzonej skóry), a także kastracji psa" – pisze 17-latka po wizycie w Argentynie. Inna chwali się: „W Nepalu spędziłam w sumie dwa tygodnie. Najbardziej podobało mi się to, że miałam okazję być w tym czasie przy wielu operacjach oraz przy cesarskim cięciu".

Mało prawdopodobne, by ktoś taki mógł nieść realną pomoc. Koordynatorka projektu „Zanim pomożesz" nie ma złudzeń: „Zadajmy sobie pytanie, czy chcielibyśmy być leczeni przez osobę, która w ogóle nie mówi w naszym języku, nie rozróżnia leków i nie ma podstawowej wiedzy. Jeżeli nikt nie pozwoliłby nam robić zastrzyków w polskiej przychodni, to dlaczego uważamy, że powinniśmy je robić w Argentynie? Dlaczego ludzie w krajach globalnego Południa mieliby narażać swoje życie i zdrowie po to, żeby młodzież z Europy mogła przeżyć przygodę?"

## Trudna sztuka autorefleksji

Mujo's Sky Limit School to szkoła prywatna z własnym personelem. Dyrektor John Musonda przyznaje jednak, że obecność białych wolontariuszy zachęca rodziców, by zapisywali dzieci właśnie do niej. Dzięki temu pieniądze z czesnego może przeznaczyć na rozwój placówki.

Ale czy zatrudnianie studentów z Polski w charakterze nauczycieli informatyki to dobry pomysł?

„Pracując tam, uświadomiłam sobie, że nie da się w dwa miesiące nauczyć kogoś obsługi komputera, chociażby w podstawowym stopniu. Żeby to, co tam robię, miało sens, musi być kontynuowane. Ktoś musi ciągnąć materiał, robić powtórki. Będąc w Lusace, zadawałam sobie pytanie, czy to się w ogóle stanie. Zaczęłam sobie weryfikować, czy to, co robimy tam jako fundacja, jest dobre. Po powrocie stwierdziłam, że trzeba działać dalej" – mówi Magda Kuza.

Nadal współpracuje z Fundacją Asbiro. We wrześniu 2018 r. po raz kolejny pojechała do Zambii. Odkąd pieczę nad pracą wolontariuszy przejęła nowa

**Czy chcielibyśmy być leczeni przez kogoś, kto nie mówi w naszym języku, nie rozróżnia leków i nie umie zrobić zastrzyku?**

koordynatorka Monika Wojtoń, działania fundacji są bardziej nastawione na to, żeby nieść efektywną i odpowiedzialną pomoc. Kolejnym celem jest zaopatrzenie uczniów w podręczniki. To bardzo ułatwiłoby pracę wolontariuszy, którzy dzięki temu mogliby bardziej systematycznie realizować program nauczania.

„Czy wolontariusze często zastanawiają się nad etycznością projektu, w którym biorą udział?" – pytamy koordynatorkę projektu „Zanim pomożesz".

„Wiem, że bardzo trudno jest spojrzeć krytycznie na swoje działania i przyznać, że wzięło się udział w czymś, co bardziej szkodzi, niż pomaga" - odpowiada Alicja Kosińska.

„Sama kiedyś byłam na wolontariacie zagranicznym w Kambodży i musiałam zmierzyć się ze świadomością, że moja pomoc nie była etyczna. Łatwo jest wyprzeć tę myśl standardowymi tekstami typu »chciałam dobrze«, »ważne są moje intencje«, »robiłam, co mogłam«".

## Pomagać po partnersku

Wybierając wolontariat zagraniczny, często kierujemy się opinią byłych wolontariuszy. Te, niestety, bywają niezbyt konkretne. „Jeżeli pojadę do szpitala w Nepalu, przeżyję przygodę życia, spędzę fantastycznie czas, to będę czuła się najbardziej spełnioną osobą na świecie. Będę ten wolontariat opisywać jako fantastyczne przeżycie, które wiele mi dało, i będę przekonana, że także wiele dało moim podopiecznym" – przestrzega Alicja Kosińska.

Większość wolontariuszy skupia się nie na tym, jak funkcjonuje placówka, tylko na swoich własnych odczuciach. Jeśli przez dany ośrodek co roku przewija się setka osób z całego świata, żadna z nich nie jest w stanie rzetelnie ocenić, czy realizowany program odnosi jakiekolwiek skutki i jakie są realne problemy osób, które tam przebywają.

Magda wróciła do Zambii po półtora roku. W tym czasie powstały dwie nowe sale lekcyjne, w tym jedna przeznaczona specjalnie na lekcje informatyki. Podczas swojego pierwszego pobytu musiała prowadzić zajęcia w pomieszczeniu, w którym dzieci wcześniej jadły lunch. Za każdym razem na początku lekcji trzeba było przynieść i rozstawić komputery, a po zajęciach – odnieść je z powrotem.

Szkoła Mujo's zmienia się, ale w tempie, który pozostaje w zgodzie z rytmem życia całej społeczności. „To bardzo ważne, by nie próbować zrobić za dużo" – mówi Magda. „Można by zorganizować wielką zbiórkę i wyremontować całą szkołę, ale nie o to chodzi, żeby dawać wszystko naraz. Trzeba pomagać, ale w taki sposób, żeby ci, którym pomagamy, nauczyli się sami rozwijać swoje środowisko" – dodaje.

Kiedy postanowiono zakupić nowe ławki, dyrektor szkoły zdecydował, że zostaną one wykonane przez miejscowych stolarzy – dzięki temu pieniądze przekazane przez fundację zasiliły lokalny przemysł.

## „Biały wybawca" daje rybę

Pomoc etyczna nie może być tylko chwilowym zaspokojeniem potrzeb. W czasie swojego pobytu w Lusace Magda zauważyła, że mieszkańcom zdarza się traktować białych wolontariuszy jako źródło łatwych pieniędzy.

„Kiedy dzieciom podobały się moje kolczyki albo spódnica, od razu chciały je dostać. W przypadku dzieci to może zrozumiałe, bo dzieci często coś chcą. Ale dorośli zachowywali się podobnie" – stwierdza Magda z zakłopotaniem. „Raz jeden z nauczycieli napisał mi, że chciałby iść na studia, które są w Zambii bardzo drogie (kosztują tyle, co na prywatnych uczelniach w Polsce). Niemal wprost dał mi do zrozumienia, żebym opłaciła jego czesne".

Mieszkańcy krajów, do których przyjeżdża dużo wolontariuszy, przyzwyczajeni są, że dla bogatych Europejczyków rozdawanie pieniędzy jest najwygodniejszą formą wsparcia, bo daje szybkie poczucie zrobienia czegoś dobrego, a jednocześnie nie wymaga dużego zaangażowania. Taka doraźna pomoc wykształciła w beneficjentach kompletny brak przedsiębiorczości.

„To nasza wina, białych" – stwierdza wolontariuszka ze smutkiem.

Działacze z Fundacji Asbiro starają się walczyć z takim stanem rzeczy i zamiast ryby dawać wędkę. W sklepie internetowym fundacji można nabyć torby wyprodukowane w Zambii.

„To akcja, która wspiera kilka rzeczy naraz" – mówi Magda. „Materiały kupujemy od lokalnych wytwórców, a szyje je krawiec mieszkający w Lusace, tak więc miejscowa społeczność zarabia na tym projekcie. My sprzedajemy je w Polsce i pieniądze przeznaczamy na działalność fundacji. Na przykład dokupujemy dodatkowy bagaż wolontariuszom, żeby mogli przewieźć książki, które trafiają do biblioteki w szkole Mujo's".

Alicja Kosińska podaje inny przykład etycznej pomocy. „Są organizowane wyjazdy dla informatyków, którzy nawet na krótkim, kilkutygodniowym wyjeździe mogą w sensowny sposób wesprzeć miejscową społeczność. Jak? Prowadzą na przykład kursy tworzenia stron w Wordpressie" – tłumaczy. Polska Misja Medyczna organizuje z kolei wolontariat zagraniczny dla lekarzy, którzy szkolą miejscowy personel medyczny.

„Nie ma nic złego w chęci przeżycia przygody, bo każdy z nas chce żyć życiem, które jest spełnione, które uważa za ciekawe, warte opowiedzenia. Nie możemy jednak przeżywać przygody kosztem kogoś" – podsumowuje Kosińska.

# Zróbmy dom, z którego będziemy dumni

KAROL BRONOWSKI

Mieszkańcy domu Betlejem wyrabiają ikony; sprzedają ich po kilkadziesiąt dziennie

**CZASAMI W CHRZEŚCIJAŃSTWIE OGRANICZAMY SIĘ DO SFERY PRAKTYK RELIGIJNYCH, DO OBRZĘDOWOŚCI. TYMCZASEM CHRYSTUS ZDECYDOWANIE WIĘCEJ CZASU SPĘDZAŁ NA ULICY NIŻ W ŚWIĄTYNI – MÓWI KS. MIROSŁAW TOSZA, KTÓRY STWORZYŁ W JAWORZNIE NIEZWYKŁY DOM. BEZDOMNI ZNAJDUJĄ TAM ŁÓŻKO, PRACĘ I SENS ŻYCIA**

**Maciej Kochanowski: Podobno mamy kryzys duchowości we współczesnym świecie. Czy to prawda? I co jest naszym największym problemem?**

**Ks. Mirosław Tosza:** Malarz i architekt Friedensreich Hundertwasser powtarzał, żebyśmy pamiętali, że jesteśmy gośćmi na tym świecie, a nie jego właścicielami. W tym tkwi ten wielki problem: brak pokory wobec świata. Druga rzecz to wdzięczność. Wiele rzeczy się psuje w życiu wtedy, kiedy człowiek przestaje być wdzięczny, czyli nie widzi swojego życia i tego, co wokół, z perspektywy obdarowanego, ale z perspektywy posiadacza, uzurpatora. Trzeci problem to egoizm, który każe nam widzieć siebie jako głównych, jedynych liczących się bohaterów.

**Czy w tym egoizmie, w pogoni za pieniędzmi i statusem, nie tracimy paradoksalnie swojego życia?**

To jest największym dramatem: rozminięcie się z samym sobą. Egoizm nas generalnie unieszczęśliwia. Jeśli się skupisz tylko na własnym życiu, własnych sprawach i problemach, to będziesz skazany tylko na swoje towarzystwo. Prędzej czy później się znudzisz. Alternatywą jest wyjście ku drugiemu. I nie chodzi bynajmniej o jakieś heroiczne akty czy spektakularne działania. Ważna jest prosta dobroć w zwyczajnym, normalnym życiu. To jest warunek zachowania tego, co w człowieczeństwie najlepsze.

Przełamywanie własnego egoizmu zawsze wychodzi na dobre. Wielu ludzi zafiksowało się na samorozwoju, bardzo dzisiaj popularnym. Mamy 100 tys. możliwości autoekspresji, autowyrazu, autokreacji… Półki w księgarniach uginają się od tego rodzaju literatury.

Tak samo można się, niestety, zafiksować w sferze duchowości. Człowiek w swojej pobożności, religijności

potrafi tak skupić się na sobie, że będzie arcypobożnym arcyegoistą, nie będzie się dało z nim żyć.

**Czyli nadmierna religijność też może prowadzić do egoizmu i samotności?**

Tak, jeśli jest ucieczką od rzeczywistości. Problem z religijnością jest taki, ze często ją zamykamy do sfery praktyk religijnych, do pewnej obrzędowości. Natomiast – przynajmniej w chrześcijaństwie – ogromny nacisk jest położony na relacje międzyludzkie. „Nie mogę kochać Boga, którego nie widzę, jeśli nie kocham człowieka, którego widzę" – pisze św. Jan Apostoł. Jak ktoś czytał Ewangelię uważnie, to wie, że Chrystus zdecydowanie więcej czasu spędzał na ulicy niż w świątyni.

Wyznacznikiem religijności nie jest to, czy trzymam z religijnymi, ale jak traktuję tych, którzy myślą inaczej. Popatrzmy na Chrystusa – on cały czas prowokuje, łamie konwenanse. Nie przekreśla prostytutek, tylko z nimi rozmawia, za wzór wiary stawia pogańskiego żołnierza, chwali schizmatyckiego Samarytanina…

**Wychodzenie na zewnątrz wspólnoty chrześcijańskiej jest ważniejsze niż jej budowanie?**

Potrzebne jest jedno i drugie. Chrześcijaństwo jest wydarzeniem wspólnotowym; wiarę powinno się przeżywać we wspólnocie wierzących. Ale równocześnie chrześcijaństwo z natury jest ukierunkowane na zewnątrz, czyli do wszystkich ludzi. I nie na takiej zasadzie, że my pójdziemy i będziemy nachalnie nawracać, ale pójdziemy, żeby promieniować.

Jezus mówił: jeśli miłujecie tylko tych, którzy was miłują, to nic nadzwyczajnego nie robicie. Patologiczne w przeżywaniu religijności jest ograniczanie się do „swoich", budowanie muru przed „innymi". Jeśli Kościół trzyma z partiami politycznymi, dba tylko o bogatych i wpływowych, to zdradza ubogich, do których jest posłany.

**Ksiądz powiedział: „nie nawracajmy, tylko promieniujmy". Czy dlatego razem z bezdomnymi z Domu Betlejem jeździcie rowerami do Rzymu?**

Nie szukamy ekstrawagancji na siłę. Nie wymyślamy, jak „zaszokować świat". Pierwsza rowerowa wyprawa do Rzymu wzięła się stąd, że w dniu pogrzebu Jana Pawła II byliśmy na krakowskich Błoniach i jeden z bezdomnych powiedział: „Zawsze się chciałem się z nim spotkać. Ale jak przyjeżdżał do Polski, to ja chlałem. A jak przestałem chlać, to musiał umrzeć. Choć raz chciałbym pojechać na jego grób". Odpowiedziałem: „Pojedziemy!". Potem była burza mózgów: Jak? Autokarem, pociągiem? To trochę słabe. Coś musimy z siebie dać, jak pielgrzymka, to pielgrzymka. Na nogach za daleko, no to na rowerach.

To miało być jednorazowe wydarzenie, ale okazało się, że odmieniło jego uczestników. Facet, który jest życiowym

Ksiądz Mirosław Tosza 23 lata temu dostał od gminy Jaworzno budynek starej szkoły

KAROL BRONOWSKI

bankrutem – bo stracił dom, rodzinę, pracę, kasę, nadzieję nawet – po tej wyprawie zmienia się w podróżnika. Nie jest już menelem, tylko zdobywcą, dotarł do Rzymu na rowerze, ponad 1700 km. To wyczyn. Jak ktoś przyjdzie do Domu Betlejem w odwiedziny, to pan Marek nie będzie eksponował swojej biedy i nieszczęścia, tylko powie: „No jechaliśmy na rowerach, było ciężko, myślałem, że nie dam rady, ale daliśmy". Opowie historię swojego sukcesu, co dla faceta jest bardzo ważne.

Uznaliśmy, że to świetny pomysł, żeby raz na jakiś czas ruszyć w drogę. Potem było Betlejem, Ziemia Święta przez Turcję i Syrię, Grecja. Wpisaliśmy pielgrzymowanie w nasz rytm życia. Bo droga człowieka zmienia.

**Skąd wzięła się idea Wspólnoty Betlejem?**

Kiedy byłem w IV klasie technikum, pojechałem ze wspólnotą Wiara i Światło na obóz z niepełnosprawnymi. Tam odkryłem świat serca. I tam nawróciłem się na świadome chrześcijaństwo. A kiedy kilka lat później zostałem księdzem, zamarzyło mi się, żeby przeżyć kapłaństwo wśród ludzi ubogich. Ale nie na takiej zasadzie heroicznej, że „ja teraz wszystko zostawiam, mieszkam z biednymi". Tylko normalnie, naturalnie, bez napinania się.

>>

Dlatego tłukło mi się po głowie marzenie o domu. I oto 14 lutego 1996 r. – byłem dwa lata po święceniach – wpadłem na kawę do proboszcza mojej rodzinnej parafii. Powiedział o starej szkole w Jaworznie, którą miasto chce przekazać na działalność charytatywną i szuka kogoś chętnego. I tak to się zaczęło.

**Mijają 23 lata, bardzo długa droga.**

Od początku wyczuwaliśmy intuicyjnie, że to wszystko powinno być tworzone razem z ubogimi. Że nie należy traktować ich jako przedmiotu dobroczynności, ale właśnie jako ludzi, z którymi się żyje razem, i z tego bycia razem wyniknie coś ważnego. Dla mnie jakimś cudem jest to, że po tych dwudziestu paru latach odkrywam, że ten dom jest w jakimś sensie spójny, konsekwentny, nawet w sensie architektonicznym.

Hundertwasser, którego projekty były naszą inspiracją przy odnawianiu domu, pomógł znaleźć przewodnią ideę, której wcześniej szukaliśmy. Wszystko powstawało bardzo powoli. Nigdy nie mieliśmy jakiejś wielkiej kasy, do dzisiaj nie mamy. Z sypiącej się szkoły zrobiliśmy piękny dom, dużo rzeczy się dzieje wokół, odwiedza nas wielu gości. Z tego powodu wiele osób jest przekonanych, że mamy gdzieś ukryte nie wiadomo jakie źródła pieniędzy. Nie mamy żadnych. Utrzymujemy się z pracy własnych rąk i z opatrzności, Żyjemy z miesiąca na miesiąc. Takie życie jest wielkim wyzwaniem, ale i piękną przygodą.

**Tworzycie rękodzieło, ikony, ceramikę, oprawiacie obrazy – potem to sprzedajecie. Na czym jeszcze polega praca w Domu Betlejem?**

Oprócz rękodzieła jest jeszcze praca związana z utrzymaniem domu, renowacjami, remontami, gotowaniem, sprzątaniem. Jest kuchnia, którą mieszkańcy prowadzą. No i opieka nad zwierzętami. Mamy alpaki, owce, osły, kuce, kangury. Trzymamy je przez sezon zimowy i wczesną wiosnę w przydomowej zagrodzie, a wiosną przewozimy na łąki, gdzie są rzadkie gatunki traw, i nasze zwierzęta pracują tam jako żywe kosiarki. To wspólny projekt z gminą Jaworzno, która nam płaci za wypas. Na pastwisku jest bacówka, latem odprawiamy tam niedzielne msze, organizujemy koncerty, spotkania, ogniska.

KAROL BRONOWSKI

W Domu Betlejem pracują nie tylko mieszkańcy, ale również osoby z zewnątrz

**Ile osób mieszka w Domu Betlejem?**

Maksymalnie 20 osób. Tyle mamy miejsc w pokojach i tyle można ogarnąć, zachowując bliskie, personalne relacje. Plus pracownicy i wolontariusze. Ale przez dom przewija się wielu ludzi. Bywa, że kilkuset tygodniowo…

**Kupiliście nowy, drugi budynek. Po co?**

Nazywamy go roboczo „Domem przy Długiej 12". Coraz więcej osób nas odwiedza przy różnych okazjach. A nie chcemy, żeby mieszkańcy Betlejem mieli poczucie, że mieszkają w kościele, kawiarni albo domu kultury. Na parterze przy Długiej zaprojektowaliśmy stylową kawiarnię, do której też będą mogli przychodzić wszyscy. Będzie miała charakter społeczny, integracyjny.

Natomiast 1. i 2. piętro przy Długiej to będą pokoje gościnne. Dla wolontariuszy, którzy będą chcieli z nami w wakacje zamieszkać, dla chętnych na rekolekcje, dla uczestników kursu w pracowni ceramiki, dla rodzin naszych stałych mieszkańców.

To ważne, żeby oni mieli możliwość nawiązania kontaktu z rodziną, żeby np. dzieci mogły przyjechać, zobaczyć, że tata nie mieszka w jakimś przytułku biedy, tylko w ciekawym, fajnym miejscu. I żeby mogli z tym tatą spędzić trochę czasu.

**Jednocześnie będzie to też swoiste dzieło sztuki, bo fasada ma być utrzymana w stylu Hundertwassera.**

Tak, to prawda. To prawdopodobnie pierwszy dom w Polsce inspirowany w całości jego twórczością. Nasza przygoda z Hundertwasserem zaczęła się siedem lat temu. Betlejem, w którym mieszkamy, ma wiele pomieszczeń wykonanych w jego stylu. W sprawie nowego domu nawiązaliśmy kontakt z Peterem Pelikanem, który był głównym architektem Hundertwassera, mieszka w Wiedniu, ma 77 lat. On nas przekierował do biura Asymetria 44 w Krakowie. Właściciel Andrzej Lipski i jego żona Małgorzata Kubica z wielkim zaangażowaniem włączyli się w projektowanie. To, co zaprojektowali, wygląda imponująco.

**Czy mieszkańcy Domu Betlejem są jakoś formalnie zatrudnieni?**

Dopiero w ubiegłym roku założyliśmy spółkę z o.o., by móc formalnie zatrudniać osoby, które są dłużej w Betlejem, przeszły terapię, zachowują abstynencję, są zaangażowane. Dostaliśmy dofinansowanie na doposażenie czterech stanowisk pracy. Zakupiliśmy całą linię do oprawiania obrazów, drugi piec do wypału ceramiki, laser do wycinania, piły motorowe i narzędzia ogrodnicze. Cały czas się rozwijamy.

**Czy są jeszcze we wspólnocie ludzie, którzy byli w niej na samym początku, 23 lata temu?**

Generalnie jest rotacja. Ale mamy tzw. rezydentów, czyli osoby, które podjęły decyzję, że chcą mieszkać we wspólnocie. Dwóch takich naszych weteranów to Kaziu i Andrzej. To jest ich dom. Na to kładziemy nacisk: żeby to nie był ośrodek, tylko dom, i staramy się w miarę możliwości budować takie relacje, które dom przypominają. Oczywiście prawdziwego rodzinnego domu to nigdy nie zastąpi, ale staramy się, żeby było w nim jak najmniej instytucji.

**Czy są ludzie, którym odmawiacie pomocy?**

Staramy się pomagać wszystkim, którzy przychodzą, nie odsyłać z kwitkiem, nawet jeśli kogoś nie jesteśmy w stanie przyjąć, bo brak miejsca. Ale jeśli ktoś już tu mieszkał i znowu się rozpił, to warunkiem powrotu do wspólnoty jest przejście terapii. Natomiast to wcale nie znaczy, że my tracimy z nim kontakt. Może do nas przychodzić, włączyć się w pracę, którą wykonujemy, może przychodzić na posiłki, jeśli tę pracę u nas wykonuje. Codziennie rano wydajemy pieczywo i warzywa ludziom, którzy u nas nie mieszkają, ale potrzebują pomocy.

Warunkiem przyjęcia do Domu Betlejem na stałe – jeśli

KAROL BRONOWSKI

Wśród zwierząt w zagrodzie w Domu Betlejem są dwa kangury

mamy miejsce – jest zachowanie abstynencji i podjęcie u nas pracy. W pierwszym roku ma ona charakter terapeutyczny, nie jest zarobkowa. Ale dajemy wyraźny komunikat: „Słuchaj, stary, przyjmiemy cię, ale ty jesteś facetem i musisz coś z siebie dać".

**Czyli pomagać należy tylko tym ludziom, którzy oddają coś z siebie?**

Myślę, że pomaganie bez wymagania to ślepa uliczka.

**Mówi się: nie dawaj biednym ryby, tylko daj im wędkę i naucz łowić.**

>>

Miałem taką pogadankę, podczas której powiedziałem chłopakom: „Nie będziemy wam dawać ryby, tylko bierzcie wędkę do ręki, zacznijcie łowić”. Jeden z nich powiedział: „Ale dla kogo mam łowić?”. I to było dla mnie jedno z ważnych odkryć, olśnień. Często próbujemy rozwiązywać problemy ludzi, zapewniając im socjal i pracę. Oczywiście to bardzo ważne. Ale pytanie o sens – „Dla kogo mam łowić?” – również jest kluczowe.

**Czy to jest właśnie definicja sensu? To, że ludzie czują się komuś potrzebni?**

Dla mnie sens jest prosty. Jeżeli sensem jest miłość, to taka miłość, którą przeżywamy w relacji, czyli jestem kochany i kocham. Biorę i daję. Często człowiek tak się zachowuje, jakby nic nie potrzebował: „Ja tu tylko będę rozdawał”. To jest ideał nieprawdziwy. Podobnie w drugą stronę: biedni powinni też dawać, nie tylko brać. Im więcej im damy za nic, tym większe będzie się w nich budziło poczucie pogardy, a nie wdzięczności. Wdzięczność się budzi wtedy, kiedy człowiek odkrywa dar – że może coś wartościowego komuś sam ofiarować.

**Czyli dobro źle czynione może wyrządzić więcej szkody niż pożytku.**

Absolutnie tak. Pomaganie jest rzeczą niebezpieczną, zwłaszcza jeśli się to robi w sposób niemądry. Dorośli ludzie, którzy są zdrowi, mają ręce, nogi i coś potrafią, powinni pracować. Przyjmowanie pomocy za friko jest niehonorowe.

Mieliśmy tu gościa, który nie miał nóg. Czyścił ikony. Mieszkał na 1. piętrze. Zrobił sobie drewniane podstawki z rzemykami na ręce, dzięki którym schodził po schodach. To był ogromny wysiłek, miał ponad 60 lat. Kiedy proponowaliśmy, że go zniesiemy, rzucał na nas gromy. Jak ktoś do mnie przychodził i mówił, że nie jest w stanie pracować, mówiłem: „Powiedz to temu gościowi”.

Mamy takie hasło: zróbmy taki dom, żebyśmy byli z niego dumni. Żeby ludzie, którzy nie znają naszej historii, przyjeżdżając tutaj, nawet nie domyślali się, że to dom dla bezdomnych.

Chcieliśmy stworzyć środowisko, a nie getto dla bezdomnych o podwyższonym standardzie. Problem z bezdomnością to nie jest problem przede wszystkim ekonomiczny czy socjalny, ale problem więzi, relacji.

**Jak toczą się losy mieszkańców domu po wyjściu?**

Różnie. Niektórzy układają sobie życie, inni wracają na ulicę. Część wyjeżdża za granicę. Mało kto wraca do rodzinnego domu. I to jest zasadniczy problem w ich usamodzielnianiu się. Bo z bezdomności nie wychodzi się gdzieś, ale zawsze do kogoś.

Sprawdza się taki model, że dawni mieszkańcy usamodzielniają się, ale zostają w Jaworznie albo okolicy, bo mają tu znajomych, których poznali w Betlejem. Mają bazę, do której mogą wrócić.

Kaplica dla mieszkańców domu, którą sami sobie odnowili

KAROL BRONOWSKI

**Czyli wychodzą z bezdomności do kogoś.**

Tak, mają znajomych, których poznali w tym środowisku. Często gna się ludzi biednych do psychologów, psychoterapeutów i psychiatrów, robi im się kolejne sesje, a oni o wiele bardziej od psychoterapii potrzebują przyjaciół. Oczywiście potrzebują też pomocy specjalistów, ale kontakt z nimi nie rozwiąże wszystkich problemów.

**Nie kończymy studiów z przyjacielstwa.**

W „Małym Księciu" jest ten temat: ludzie są samotni, bo nie mają przyjaciół. Mają pieniądze, ale niestety nie ma sklepów z przyjaciółmi.

Tworzymy w Domu Betlejem środowisko, które sprzyja tworzeniu przyjaźni i kontaktom. Dlatego dom powinien być ładny, estetyczny, pociągający, żeby tu chętnie ludzie wracali. Mamy msze w niedzielę, przychodzi po sto osób. A w każdy piątek dzieci przychodzą na spotkanie biblijne zakończone zajęciami plastycznymi.

**Czyli angażujecie też lokalną społeczność?**

Tak, nasze betlejemskie środowisko liczy ok. 200 ludzi. Przychodzą na koncerty czy inne wydarzenia okolicznościowe. Po tych imprezach zapraszamy na kawę, herbatę. Nasi mieszkańcy ją przygotowują, podają i przy tym poznają się z ludźmi. Jedni i drudzy nie są już dla siebie anonimowi. Dzieci, które tu przychodzą na zajęcia z ceramiki czy zajęcia szkolne, widzą, że panowie bezdomni to nie są potwory. Że oni potrafią robić różne rzeczy. Poznają ich historie; słuchają, jak się robi ikony, czyści deskę, froteruje. Mieszkańcy pokazują, jak to robić, prowadzą warsztaty. Więc to miejsce jest też miejscem edukacyjnym i integracyjnym, ale integracja dokonuje się w naturalnych okolicznościach.

**Czyli pełnicie coraz ważniejszą rolę społeczną w Jaworznie. Jaki jest stosunek władz do was? I czy uważa ksiądz, że państwo się wywiązuje ze swojej roli w opiece nad bezdomnymi?**

Pojęcie państwa jest szerokie. Jestem zwolennikiem działania lokalnego, dla mnie państwo się wyraża w konkretnych strukturach i mogę powiedzieć o współpracy z państwem w wymiarze lokalnym. Mamy dobre doświadczenia w mieście. Trzeba pamiętać, że dom dostaliśmy od lokalnych władz. To była szkoła publiczna, została przekazana za symboliczną złotówkę, jako ruina, ale to też był jakiś majątek.

Tak zwane pieniądze państwowe, z budżetu gminy, to 5 proc. naszego rocznego budżetu. Szału nie ma. W zasadzie można powiedzieć, że bylibyśmy w stanie sobie bez tych pieniędzy jakoś poradzić. Jednak państwo ma obowiązek wspierać stowarzyszenia, które realizują społeczne cele. To są relacje oparte na obopólnej korzyści, a nie jednostronnym finansowaniu. Współpracujemy z miastem w różnych wspólnych działaniach (bacówka, koncerty, działalność artystyczna). Jest nieźle. A czy państwo wywiązuje się ze swojej roli w opiece nad bezdomnymi? Mam w tym temacie sporo zastrzeżeń. Z drugiej strony, niektóre stowarzyszenia cierpią na chorobę, która się nazywa „grantoza" – uzależnienie od grantów i darowizn.

**Podobno planujecie upamiętnienie jednego z mieszkańców Betlejem pomnikiem?**

25 maja odsłaniamy pomnik Włodka odlany z brązu w skali jeden do jednego według świetnego projektu Konrada Kocha, rzeźbiarza po krakowskiej ASP. Włodek mieszkał u nas siedem lat, zmarł dwa lata temu. Zanim do nas przyszedł, prowadził pijacką melinę, która spłonęła, bo ktoś zaprószył ogień. Miał też wypadek, w którym stracił nogę. W Betlejem przeszedł przemianę. Znali go wszyscy w okolicy. Codziennie rano, niezależnie od pogody, wychodził na Długą i starannie ją zamiatał. Był bardzo pogodnym człowiekiem, serdecznie witał się z każdym, kto przechodził ulicą. Ilekroć przejeżdżał samochód Google z kamerami, żeby zaktualizować Google Maps, tyle razy Włodek załapywał się w kadrze. Dlatego nazywaliśmy go „człowiekiem z Google Maps".

Chcemy też ustanowić nagrodę, która się będzie nazywać „włodki" – miniatury tego pomnika. Będziemy wręczać je osobom z drugiego planu, nieznanym, zwyczajnym. Chcemy, żeby pomnik i nagroda stały się inspiracją dla wszystkich przegranych, skazywanych na porażkę. Żeby stały się nadzieją, że zawsze można się podnieść.

KAROL BRONOWSKI

Kazimierz mieszka w Betlejem od 14 lat pracuje przy opalaniu drewna pod ikony i zajmuje się zwierzętami.

# ILE WART JEST PORTRET NAMALOWANY PRZEZ ALGORYTMY

## OKAZUJE SIĘ, ŻE ZDUMIEWAJĄCO DUŻO. NA AUKCJI W NOWYM JORKU POSZEDŁ ZA PRAWIE PÓŁ MILIONA DOLARÓW

Paulina Żebrowska

TIMOTHY A. CLARY/AFP/EAST NEWS

Portret Edmonda de Belamy w galerii domu aukcyjnego Christie's, Nowy Jork, październik 2018 r.

**PORTRET EDMONDA DE BELAMY SPRZEDANY ZOSTAŁ W DOMU AUKCYJNYM CHRISTIE'S ZA 432 TYS. DOLARÓW, CHOCIAŻ NIGDY NIE ISTNIAŁ ŻADEN EDMOND DE BELAMY. ANI ŻADEN CZŁOWIEK, KTÓRY GO NAMALOWAŁ**

Tego dnia w nowojorskim domu aukcyjnym Christie's sprzedawano również tradycyjne dzieła sztuki stworzone przez prawdziwych ludzi, w dodatku bardzo znanych. Dla przykładu – Andy Warhol poszedł za 75 tys., zaś Roy Lichtenstein – za 87 tys. dolarów.

Znacznie więcej zapału wśród uczestników licytacji wzbudził portret namalowany przez maszynę opartą na koncepcji GAN, czyli Generative Adversarial Network (potem wyjaśnimy, o co chodzi). Ale zaraz – kiedy tylko sensacyjna wiadomość obiegła świat – pojawiły się wątpliwości i kontrowersje. „Czy na pewno można mówić w tym przypadku o sztuce?" – pytali sceptycy. Niektórzy historycy sztuki wyjaśniali, że mamy do czynienia raczej z wydarzeniem konceptualnym (czytaj: nienowym i marginalnym); inni – że z niesmaczną prowokacją nastawioną na wywołanie sensacji.

Tak czy inaczej, obraz wygenerowany bez bezpośredniego udziału człowieka, tylko przez maszynę – a maszynom, jak wiadomo, rzekomo brak wyobraźni – przebojem przedostał się

AIPORTRAITS.COM/FERRARI PRESS/EAST MEWS

**Na stronie AIportraits.com każdy może wrzucić swoje zdjęcie, żeby po chwili zobaczyć własny portret namalowany przez algorytmy GAN**

na rynek sztuki w charakterze prekursorskiego klona. Jak to wszystko było możliwe? I jakie ma znaczenie?

## Krótka historia pewnego algorytmu

W roku 2014 niejaki Ian Goodfellow, podówczas naukowiec z Université de Montréal zajmujący się sztuczną inteligencją, wymyśla sieć GAN. Składa się ona z dwóch algorytmów, które podejmują ze sobą pewien rodzaj gry.

Jeśli chcemy sieć GAN wykorzystać w malarstwie, można to zrobić następująco. Pierwszy algorytm – na podstawie bazy danych prawdziwych ludzkich obrazów – generuje nowy, własny obraz i przekazuje go drugiemu do oceny; drugi – na podstawie tej samej bazy danych prawdziwych obrazów – wydaje werdykt: czy przekazane mu dzieło narysował człowiek czy maszyna.

Jeśli drugi algorytm prawidłowo wykryje maszynowość przedłożonego dzieła, wracamy do punktu wyjścia. Pierwszy algorytm znowu maluje obraz, przekazuje go do oceny drugiemu algorytmowi itd. Proces twórczy kończy się, gdy drugi algorytm się pomyli, czyli stworzonemu przez pierwszy algorytm dziełu przypisze autorstwo człowieka.

Opisaną powyżej metodę twórczą wymyślił już nie sam Goodfellow, autor

**URZEKAJĄCE JEST, ŻE PORTRET EDMONDA DE BELAMY TAK DALEKO ODBIEGA OD IDEI PORTRETU Z XVIII W. JEST W NIM COŚ NIESAMOWICIE WSPÓŁCZESNEGO**

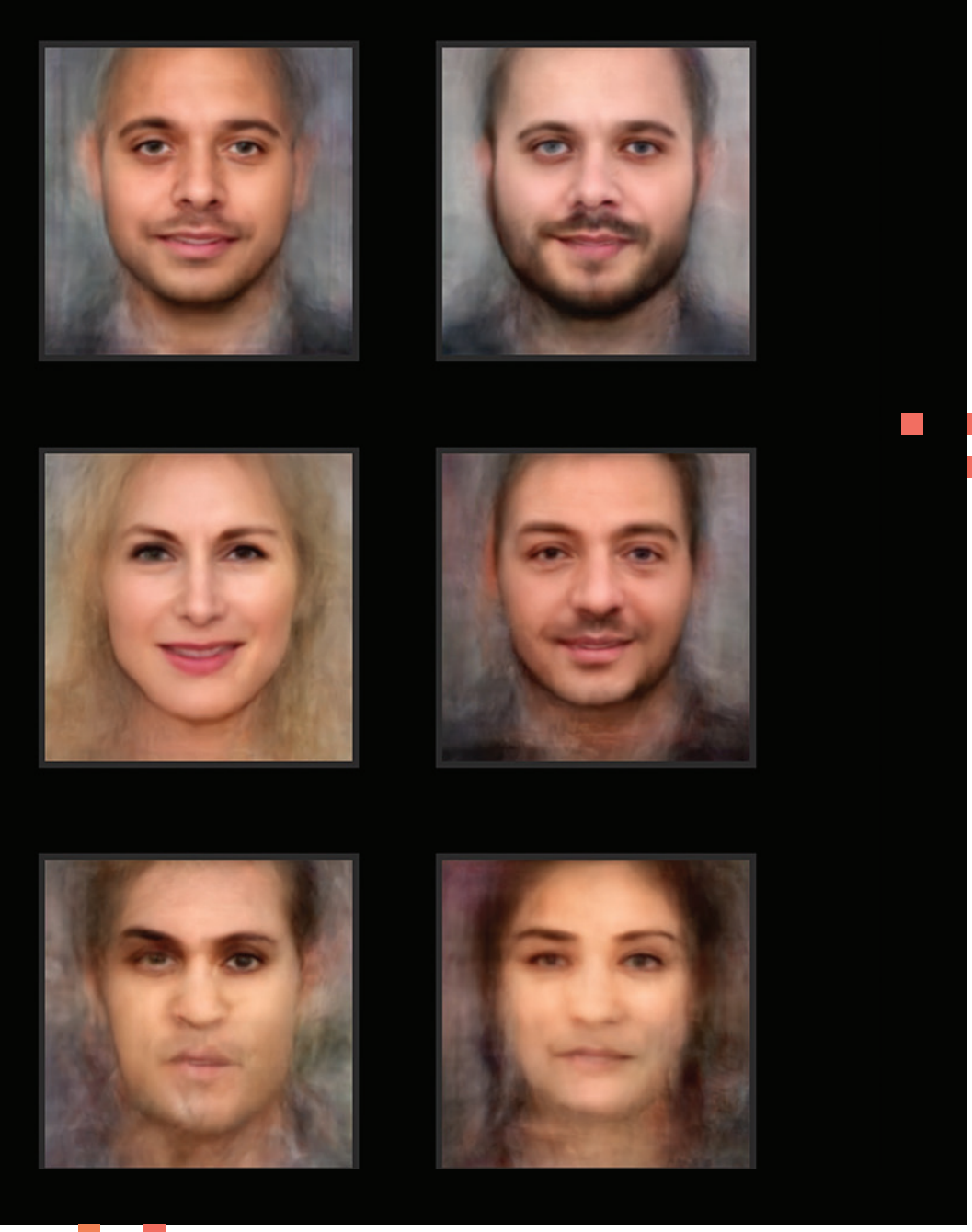

generalnej koncepcji sieci GAN, tylko Robbie Barrat, 19-letni programista, który zajmował się m.in. komputerową analizą portretów historycznych zaczerpniętych z bazy WikiArt.

W 2017 r. trzech młodych programistów: Hugo Caselles-Dupré, Gauthier Vernier i Pierre Fautrel, wykorzystuje pomysł Barrata, część napisanego przez chłopaka kodu (wrzuconego do domeny publicznej) i tę samą bazę 15 tys. portretów (namalowanych między XIV a XX w.). Resztę algorytmu dopisują sami, w ten sposób stwarzając już w pełni sprawną maszynę malarską.

Wspólnie ze znajomymi artystami tworzą grupę Obvious, która – według opisanej powyżej metody – generuje serię portretów nieistniejącego rodu de Belamy. Projektem udaje się zainteresować dom aukcyjny Christie's, czego finałem była aukcja Portretu Edmonda de Belamy w październiku 2018 r.

## Coś niesamowicie współczesnego

„Bardzo ciekawe jest to rozmycie" – mówi mi Martyna Borowiecka, malarka z krakowskiej ASP, asystentka Pauliny Ołowskiej, przyglądając się portretowi za 432 tys. dolarów. „Interesujące, że algorytm przypisał człowiekowi autorstwo właśnie tego obrazu. Myślę, że zagrało połączenie malarstwa figuratywnego z impresjonistycznym rozmyciem. Ten portret można rozumieć jako średnią wyciągniętą przez maszynę z tego, co obecnie lubimy".

Znaczyłoby to, że wybory, jakich dokonują algorytmy, kierując się bazą kilkunastu tysięcy obrazów, świadczą w jakimś sensie o nas samych.

„Urzekające jest, że portret daleko odbiega od ludzkiej idei portretu z XVIII w. Jest w nim coś niesamowicie współczesnego. Zastanawiałabym się jednak, czy w przypadku tego portretu w ogóle mówimy o sztuce" – powątpiewa Martyna.

Z podobnymi wątpliwościami nie krył się Richard Lloyd, rzeczoznawca z departamentu druków domu aukcyjnego Christie's. „To nie jest po prostu mash-up" – zauważa, ale jednak wzbrania się przed nazwaniem portretu dziełem sztuki, tłumacząc, że to określenie jest w tym wypadku zbyt antropocentryczne.

## Artyści czy programiści

Po niespodziewanym sukcesie aukcji Barrat oskarża Obvious o plagiat. W domach Casellesa-Dupré, Verniera i Fautrela rozdzwaniają się nagle telefony. Jedyne, co mają do powiedzenia dziennikarzom: że nigdy nie kryli inspiracji pracą Barrata, a cały szum wywołały media. Im, czyli członkom Obvious, nie zależało rzekomo na rozgłosie, lecz na nauce. Bo choć produktem końcowym działalności artystów programistów jest sztuka, to jednak swoją działalność nazywają badaniami (ang. *research*).

Na swojej stronie piszą: „Decydujemy

BEN STANSALL/AFP/EAST NEWS

Podczas aukcji w Londynie w listopadzie 2018 r. Banksy – zdalnie uruchamiając niszczarkę ukrytą w ramie – pociął pracę *Dziewczynka z balonem* sprzedaną chwilę wcześniej za ponad milion funtów

**CZY PORTRET EDMONDA DE BELAMY JEST SZTUKĄ? I KTO JEST JEGO AUTOREM? MASZYNA CZY LUDZIE, KTÓRZY JĄ ZAPROGRAMOWALI?**

się wystawić naszą pracę na aukcji, by z dochodu móc sfinansować dalsze badania. Pieniądze zostaną przeznaczone na dalszą produkcję tego rodzaju prac. Nowa sztuka, nowe zasady, pełne prawa do grafik dla wszystkich – to korzyści, jakie z tego wynikną dla wszystkich".

Na zakup następnego portretu rodziny de Belamy zdecydował się kolekcjoner Nicolas Laugero-Lasserre. Tym razem cena nie została ujawniona. Obecnie obraz wisi pomiędzy pracami Banksy'ego, JR, Sheparda Faireya, Speedy'ego Graphito, Space Invadera, Jonone'a Jerome'a, a także Futury 2000, czyli w dobrym i starannie wyselekcjonowanym towarzystwie streetartowej śmietanki.

Na stronie jednej z londyńskich galerii o kolekcjonerze i zbiorze można przeczytać m.in., że „jego zainteresowanie twórczością wyrastającą z wyraźnej świadomości politycznej i społecznej zostało pogłębione o artystyczne działanie aktywistów *street artu*". O samej kolekcji Lagerro-Lasseur czytamy zaś, że „należy ją postrzegać jako zwierciadło duchowej i geopolitycznej kondycji świata, a także jako odzwierciedlenie własnych poglądów kolekcjonera".

*Street art* wyrósł w latach 60. na fali kontrkultury; miał być niekomercyjnym komunikatem – np. w formie graffiti – wywołującym zmiany w świadomości zbiorowej. A jednocześnie aspirował, żeby stać się przeciwwagą dla sztuki zinstytucjonalizowanej – czyli działalnością wolną, anonimową i nieodpłatną. Czyli kontrkulturą właśnie.

Czy zatem zakup portretu Hrabiego de Belamy jest manifestem przeciwko sztuce zinstytucjonalizowanej? O możliwe motywy kolekcjonera pytam Agatę Jabłońską, historyczkę sztuki z krakowskiego Muzeum Narodowego.

Początkowo zbywa mnie śmiechem: „Nie wyobrażam sobie, by to dzieło pasowało do sztuki renesansowej czy baroku. Nie pasuje też do sztuki XIX-wiecznej ani manierystycznej. Do symbolicznej też nie. Więc – na drodze eliminacji – chyba już musi wisieć pośród street artu…".

Dalej mówi już poważnie: „Algorytm tworzący kompilacje znanych motywów, by uzyskać uniwersalny przekaz? Było tylko kwestią czasu, że ktoś tego spróbuje. W historii sztuki można trafić na tropy jawnie mechanicznego przetwarzania kulturowych klisz (Warhol); posługiwania się obiektami nie-ręką-artysty-stworzonymi (Duchamp); znudzenie własnymi umiejętnościami technicznego odtwarzania stylu dawnych mistrzów – to przecież stoi u zarania XX-wiecznej awangardy, której prekursorem był piekielnie zdolny dzieciak nazwiskiem Picasso. Nawet mechanika sieci neuronowych znajduje analogię w podejściu Abrahama Warburga, który – tworząc Atlas Mnemosyne – wcielał w życie myślenie kompilacyjne, zestawiając motywy łączące się w całość podobne do tego, co udało się osiągnąć chłopakom z Obvious. Do tej pory mieszanie musiało zajść w głowie, ale mechanika pracy była podobna".

## Sztuka bez człowieka?

Jasne jest zatem, że cały proces powstawania Edmonda de Belamy ufundowany został na serii zapośredniczeń. Pytanie, czy kategoria oryginalności nie jest dziś zbyt zwietrzała, by przy jej pomocy decydować o tym, co sztuką nazywamy, a czego nie.

„Sztuce przeciwstawia się nieraz kulturę pojmowaną jako coś, co się dziedziczy, kumuluje i przekazuje, a nie coś, co się przekracza" – mówi Laurence Bertrand Dorléac, francuska historyczka sztuki. „A jeśli zdefiniujemy artystę właśnie jako kogoś, kto przejmuje i przetwarza wszystko, co się dotychczas wydarzyło, okaże się, że dokładnie to samo robią sztuczne inteligencje".

Zanim zdecydujemy, czy portret Edmonda de Belamy jest sztuką, warto najpierw ustalić, kto jest jego autorem. Maszyna czy ludzie z kolektywu Obvious? To również jest niejasne.

Odpowiada Caselles-Dupré, jeden z nich: „Jeśli artysta jest tym, który tworzy obraz, to będzie nim maszyna. A jeśli artysta to ten, który odpowiada za wizję i dzieli się przesłaniem, to bylibyśmy to my z kolektywu Obvious".

Poniekąd zgadza się z nim Agata Jabłońska: „Rozumiem, że całe przedsięwzięcie jest performatywne i bardzo konceptualne. Wic i artyzm polegają nie na samodzielnym, wyabstrahowanym działaniu maszyny, lecz na jej kooperacji z człowiekiem".

# SORRY, ALE LOTU NA MARSA NIE BĘDZIE

## JEST TAKA PLANETA, NA KTÓREJ POWINNIŚMY SIĘ SZCZEGÓLNIE SKUPIĆ – ZIEMIA

Michał Rolecki

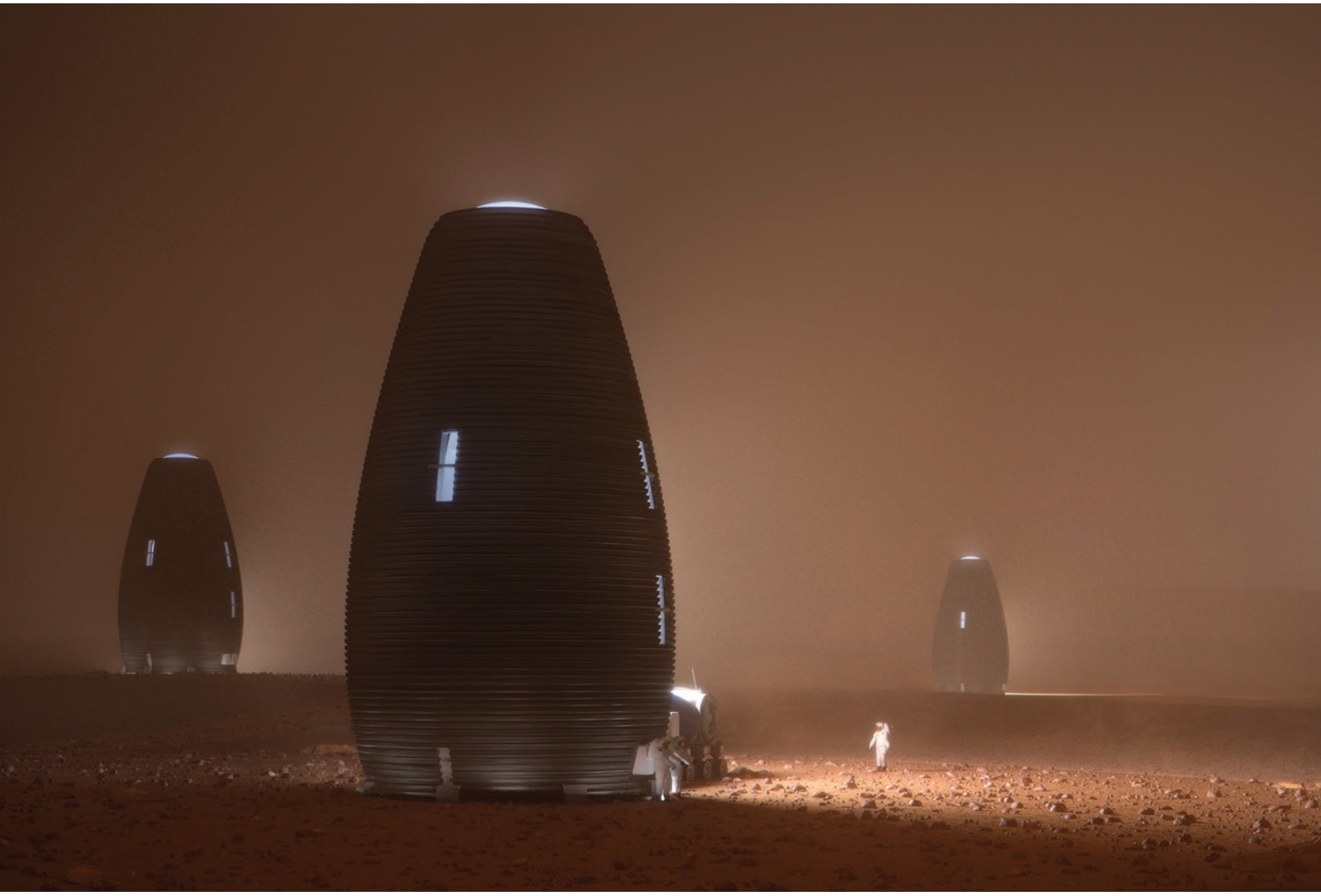

**WYPRAWA NA MARSA BYŁABY HORRENDALNIE DROGA, NIEBEZPIECZNA DLA ASTRONAUTÓW I POZBAWIONA WIĘKSZEGO SENSU. NIE WIERZCIE FANTASTOM, KTÓRZY OPOWIADAJĄ, ŻE LUDZKOŚĆ KIEDYKOLWIEK SKOLONIZUJE INNE PLANETY ALBO POLECI DO GWIAZD**

AI SPACEFACTORY/FERRARI PRESS/EAST NEWS

**Wizja bazy na Marsie stworzona przez nowojorską firmę AI SpaceFactory, nagrodzona przez NASA**

W lipcu 2019 r. minie pół wieku, odkąd Amerykanin Neil Armstrong zrobił mały krok dla człowieka, ale wielki dla ludzkości, czyli postawił stopę na Księżycu. Śmiałe plany podboju kosmosu nie schodziły wtedy z łam prasy. Ale ekscytacja wyparowała bardzo szybko. Od 46 lat nikt nie oddalił się od Ziemi na więcej niż 400 km – to odległość, na której orbituje Międzynarodowa Stacja Kosmiczna. Dlatego szumne zapowiedzi Elona Muska i jemu podobnych entuzjastów, że niebawem dotrzemy na Marsa, od którego dzieli nas 56 mln km – a nawet wybudujemy tam bazę – wydają się całkowicie nierealne.

Co takiego się stało, że pozaziemska eksploracja pozostaje domeną science fiction?

Otóż rozwój technologiczny bardzo lubi wojny i zbrojenia. Państwa przeznaczają wtedy na badania, które można wykorzystać do celów militarnych, olbrzymie pieniądze, których w czasach pokoju nie opłaca się wydawać. Rozwój technologii rakietowej i kosmicznej jest pokłosiem drugiej wojny światowej. Gdyby nie globalny konflikt zbrojny, prawdopodobnie nie rozwinęłaby się też fizyka jądrowa, której obok bomby atomowej zawdzięczamy jądrowe elektrownie. Temu, jak wojna i astrofizyka idą ramię w ramię, poświęcili niedawno wydaną książkę *Accessory to War* Neil deGrasse Tyson i Avis Lang.

Po wojnie nastał czas pokoju, ale był to pokój wiszący na włosku. Na technologie rakietowe, które miały przenosić jądrowe ładunki coraz dalej, przeznaczano spore fundusze. Sprzyjał temu zresztą również klimat ekonomiczny – zniszczenia trzeba było odbudowywać, więc podatki były wysokie. Dzięki temu w budżecie Stanów Zjednoczonych nie brakowało kasy na opracowywanie nowych silników, rakiet czy skafandrów kosmicznych.

Ten, kto pierwszy nauczyłby się latać w kosmos, zyskałby niezwykłą przewagę nad przeciwnikiem. Nic dziwnego zatem, że w astronautykę inwestowały i Stany Zjednoczone, i Związek Radziecki. Nikita Chruszczow ogłosił zwycięstwo, gdy jego kraj jako pierwszy wysłał najpierw sztucznego satelitę (w 1957 r.), a potem człowieka na orbitę (w 1961 r.).

Stany Zjednoczone odpowiedziały programem Apollo i wyprawą na Księżyc w 1969 r. Koszt trwającego półtorej dekady programu Apollo wyniósł 20,4 mld ówczesnych dolarów, czyli po uwzględnieniu inflacji – 120 mld dzisiejszych dolarów. Agencja kosmiczna NASA, która w latach 60. pochłaniała 2-4,5 proc. wszystkich wydatków rządu USA, obecnie dostaje zaledwie 0,5 proc. amerykańskiego budżetu.

## PRYWATYZACJA KOSMONAUTYKI

Nie należy się spodziewać, że rządy szybko wrócą do wielkich programów >>

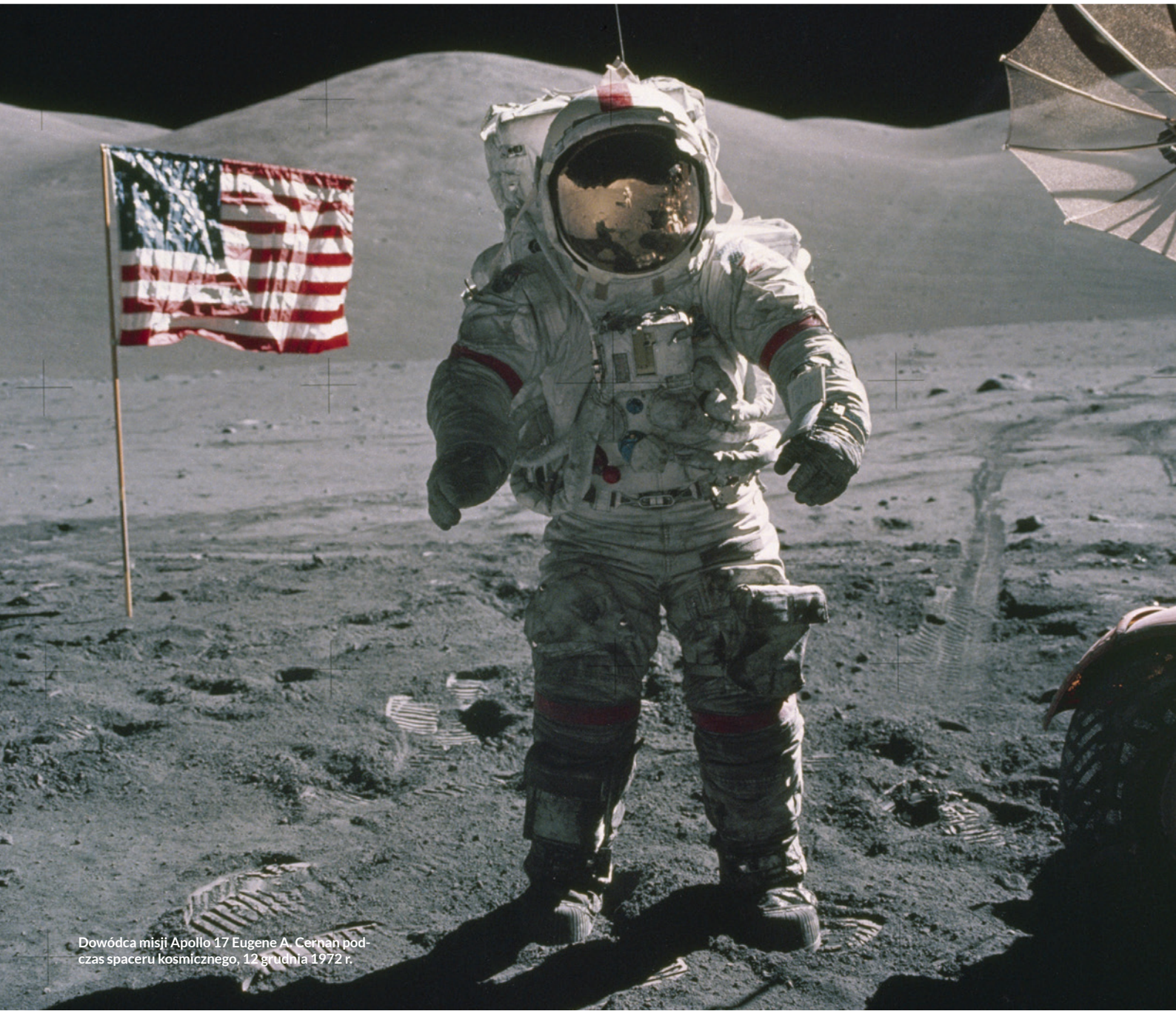

Dowódca misji Apollo 17 Eugene A. Cernan podczas spaceru kosmicznego, 12 grudnia 1972 r.

inwestycyjnych – niezależnie od tego, czy infrastrukturalnych, czy kosmicznych. Od lat 80. w ekonomii triumfy święci neoliberalizm, a od czasów Ronalda Reagana podatki w USA (i na całym świecie) systematycznie spadały.

W miarę jak budżet NASA się kurczył, coraz większą rolę zaczęli odgrywać prywatni inwestorzy. SpaceX Elona Muska ma połowę rynku komercyjnych lotów kosmicznych. Jednak jego przychody wynoszą ok. 2 mld dolarów rocznie. Żeby uzbierać kwotę porównywalną z budżetem programu Apollo, SpaceX musiałby oszczędzać przez kilkadziesiąt lat.

Do tego Mars – w najbardziej sprzyjających w naszym układzie okolicznościach, czyli gdy znajduje się po tej samej stronie Słońca co Ziemia – jest ok. 350 razy dalej niż Księżyc. Koszt wysłania załogowej misji będzie więc też wielokrotnie wyższy.

Mars Institute, organizacja częściowo finansowana przez NASA, szacuje, że koszt wysłania czterech osób na Czerwoną Planetę wyniesie mniej więcej bilion (tysiąc miliardów albo jak kto woli – milion milionów) dolarów, a przedsięwzięcie zajmie przynajmniej ćwierć wieku.

Jeśli sądzimy, że coś takiego będzie chciała i mogła zrobić prywatna spółka, jesteśmy prawdopodobnie naiwni. Nie chodzi nawet o to, że nie ma na świecie przedsiębiorstw dysponujących takim kapitałem. Przede wszystkim trzeba zapytać, jaki zysk miałaby osiągnąć prywatna spółka z tego, że wyśle ludzi na inną planetę?

EAST NEWS

Czy plany podboju Marsa nie są przypadkiem tylko marketingowym zabiegiem wokół kosmicznego biznesu, wynoszącego na orbitę komercyjne satelity?

## BIOLOGIA NAM NIE SPRZYJA

Przypuśćmy jednak, że ludzkość postanawia udać się na Marsa na serio i znajduje na to – jakimś cudem – pieniądze. Na drodze do realizacji tego niezwykle ambitnego celu stoi wiele prozaicznych przeszkód. Weźmy takie skafandry kosmiczne. Obecne ważą ok. 135 kg. Nie było to przeszkodą, zaprojektowano je bowiem do użytku w stanie nieważkości (w którym nie ważą nic) i na powierzchni Księżyca, gdzie siła ciążenia jest sześciokrotnie słabsza, więc ich odczuwalna dla astronauty waga wynosi 23 kg. Na Marsie siła ciążenia to jedna trzecia ziemskiej, więc astronauci nosiliby na sobie prawie 57 kg. To zdecydowanie za dużo. Potrzebujemy lżejszych skafandrów. To oznacza długi proces projektowania, wykonywania prototypów i prób. Co oczywiście kosztuje.

Podróże na Księżyc nie były długie – trwały kilka dni. Ale na Marsa jest przecież 350 razy dalej. Przy obecnej technologii rakietowej podróż potrwa od roku do półtora.

Tak długi pobyt w kosmosie stanowi zagrożenie, na które nie przygotowała nas biologia. Szczęśliwie Ziemia ma dostatecznie silne pole magnetyczne, ale poza jego zasięgiem wiatr słoneczny i promieniowanie kosmiczne są na tyle mocne, że – jak wskazują badania – uszkodziłyby ciała i mózgi astronautów. Cząstki o wysokich energiach po prostu niszczą żywe komórki.

Aby astronauci dotarli na Marsa zdrowi, trzeba będzie ich przed promieniowaniem osłonić. Sęk w tym, że gruba warstwa czegokolwiek oznacza dodatkowe obciążenie, czyli dodatkowy koszt konstrukcji kosmicznego pojazdu i wyniesienia go poza orbitę ziemską. Innym rozwiązaniem jest odpowiednio silne pole magnetyczne wokół statku, odpowiednik tego, które chroni nas na Ziemi. Ale do jego wytworzenia potrzeba energii, czyli zabrania odpowiednio wielkiej ilości paliwa, co znów oznacza dużo większe obciążenie przy starcie.

Z tego m.in. powodu pojawił się nawet pomysł, żeby warstwę ochronną statku stanowiły… odchody astronautów.

## ŻYWOT ROBINSONÓW

Załóżmy jednak, że statek – opakowany odpowiednio grubymi zapasami wody i żywności (która po drodze zamienia się w odchody) – jest odpowiednio zabezpieczony. Dociera na Marsa, który jest pozbawioną powietrza mroźną pustynią. Ma też niezwykle słabe pole magnetyczne, więc problem z promieniowaniem na jego powierzchni nie jest wcale dużo mniejszy niż podczas podróży.

Obrazki marsjańskich kolonii na wizualizacjach bywają naprawdę zjawiskowe. Skąd jednak na Marsie mają się pojawić jakieś konstrukcje, które zapewnią schronienie? Są dwa wyjścia – albo można je tam przetransportować, albo trzeba by przetransportować tam piec hutniczy, niewielką walcownię, maszyny do cięcia i spawania, żeby je wznosić i przeszkolić astronautów do roli górników, hutników, spawaczy i budowniczych. Wszystkie te precyzyjne czynności (nie można pozwolić nawet na najmniejszą nieszczelność), trzeba będzie wykonywać w utrudniających ruchy skafandrach.

Prościej będzie wykopać siedzibę pod powierzchnią, ale przecież do tego także potrzebny jest odpowiedni sprzęt – czwórka astronautów nie będzie kopała sobie ziemianki (marsjanki?) łopatą. Zatem koparka. Jeśli koparka, to i paliwo do niej, i zapasowe części… Lista tego, co muszą zabrać ze sobą kolonizatorzy, jest doprawdy niezwykle długa.

Jeśli coś się zepsuje na Marsie, trzeba będzie dosłać część z Ziemi – ale dostawa potrwa rok, a transport będzie kosztował miliardy dolarów.

Doprawdy, plany kolonizacji Marsa są – w naszych realiach – czystą fantazją. Nie jest wykluczone, że kiedyś powstanie tam stała ludzka baza. Jednak jedyne, co na razie możemy zrobić, to wysłać astronautów w ciasnej kapsule w podróż trwającą rok – tylko po to, by na Marsie wylądowali i po niedługim czasie wrócili na Ziemię.

Ale czy to w ogóle ma sens?

## MOŻNA, ALE PO CO

Lądowanie na Księżycu miało walor propagandowy, ale też przyniosło wiele korzyści dzięki inwestycjom w nowe technologie. Lot na Marsa takich inwestycji nie przyniesie, bo nie wymaga radykalnie nowych technologii. Rakiet drugi raz nie wymyślimy.

Powstaje zatem pytanie, czy jest sens wydawać niewiarygodnie duże pieniądze – przypomnijmy, bilion dolarów – na wysłanie czwórki ludzi w trwającą dwa lata podróż w tę i z powrotem. Za taką kwotę można zrobić wiele innych, znacznie bardziej pożytecznych dla ludzkości rzeczy. >>

**PRIORYTETY MOCARSTW SIĘ ZMIENIŁY. AGENCJA KOSMICZNA NASA W LATACH 60. – KIEDY TRWAŁ PROGRAM APOLLO – POCHŁANIAŁA W PORYWACH NAWET DO 4,5 PROC. AMERYKAŃSKIEGO BUDŻETU. DZIŚ DOSTAJE PÓŁ PROCENTA**

**FIKCYJNA OFERTA PRACY NA MARSIE – W FORMIE PLAKATU RETRO – OPUBLIKOWANA PRZEZ NASA W 2009 R.**

Przykład? Miliard najbiedniejszych ludzi żyje za równowartość dolara dziennie. Bilion dolarów wystarczyłby zatem, żeby każdego z nich utrzymać przez tysiąc dni, czyli niemal trzy lata. Zapewne wyeliminowałoby to wiele zachorowań z niedożywienia.

Inny przykład? Jeśli założymy, że koszt instalacji fotowoltaicznej spadnie do dolara za wat mocy, za bilion dolarów można będzie postawić elektrownie słoneczne o mocy biliona watów, czyli jednego terawata. Gdyby produkowały energię przez 10 godzin dziennie, rocznie przynosiłyby 3650 terawatogodzin. Tak się składa, że tylko trochę więcej konsumują całe Stany Zjednoczone rocznie (3911 terawatogodzin).

A zatem – za koszt podróży na Marsa i z powrotem największe mocarstwo mogłoby się w całości przestawić na energię słoneczną i z największego producenta dwutlenku węgla stać się najbardziej ekologicznym krajem na świecie (nawiasem mówiąc, taki cel obrały sobie Chiny i sukcesywnie zamykają elektrownie węglowe, zastępując je słonecznymi).

I jeszcze jedno szybkie obliczenie. Niech sadzonka drzewa kosztuje ćwierć dolara. Za bilion dolarów można zatem posadzić 4 bln drzew. To ok. 16 mln km kw. lasów – trzykrotnie więcej niż powierzchnia Amazonii i prawie połowa wszystkich lasów na całej planecie (liczą sobie 40 mln km kw.). Według różnych szacunków lasy pochłaniają nawet do 40 proc. dwutlenku węgla wytwarzanego przez ludzkość, więc gdyby ich powierzchnia zwiększyła się o połowę, pochłaniałyby już 60 proc.

Czy naprawdę nie mamy do roboty nic innego, niż lecieć na Marsa za bilion dolarów?

## DALEJ? BĘDZIE JESZCZE TRUDNIEJ

Tym, którzy bajają o podróżach międzygwiezdnych, wypada przypomnieć, że do najbliższego układu planetarnego, czyli do Alfy Centauri, jest ponad 100 mln razy dalej niż do Księżyca. Takie odległości da się oczywiście pokonać, trzeba tylko uzbroić się w cierpliwość. Najszybszy dotychczas statek kosmiczny, sonda Helios B, podczas przelotu wokół Słońca osiągnął niewyobrażalną prędkość 250 tys. km na godzinę. Z taką prędkością lot do Proximy Centauri trwałby ponad 18 tys. lat. Aby w rozsądnym czasie dotrzeć do najbliższych gwiazd, potrzebować będziemy napędu, który umożliwiłby osiągnięcie prędkości jeszcze wyższych.

Komisja budżetowa, która przydziela środki NASA, zachęca agencję do sporządzenia „mapy drogowej" rozwoju technologii napędów, które umożliwią osiągnięcie prędkości do 100 mln km na godzinę. Ma to się udać do czasu setnej rocznicy amerykańskiego lądowania na Księżycu, czyli 2069 r. Nie ma jeszcze żadnej technologii, która mogłaby rozpędzić cokolwiek do takich prędkości, choć istnieją koncepcje.

To np. napęd nuklearny, w którym za statkiem kosmicznym odpalany jest ładunek jądrowy. Pomysł został opracowany w 1955 r. przez współtwórców bomby wodorowej (w tym polskiego matematyka Stanisława Ulama). Zarzucono go jednak z powodu traktatu o zakazie prób jądrowych, podpisanego w 1963 r.

Inną koncepcją jest silnik strumieniowy opracowany w 1960 r. przez amerykańskiego fizyka Roberta Bussarda, ten jednak oparty jest o fuzję termojądrową, której jeszcze niestety nie opanowaliśmy (mówi się żartem, że fuzja termojądrowa zawsze jest 30 lat przed nami).

Ale nawet gdybyśmy nauczyli się latać z prędkością 100 mln km na godzinę, to podróż do Alfy Centauri zajmie 45 lat.

Wszystkim, którzy bajają o kolonizacji kosmosu, należy doradzać wstrzemięźliwość. Nasza przyszłość jest tutaj, na Ziemi. Załogowe loty w kosmos zostawmy autorom literatury science-fiction. A my – lepiej posadźmy drzewa, nakarmmy głodnych albo wykorzystajmy energię słoneczną, żeby nie zdewastować własnej planety.

SPACEX/COVER IMAGES/EAST NEWS

**Rakieta Falcon Heavy, najnowszy produkt firmy SpaceX, startuje z przylądka Canaveral na Florydzie, luty 2018 r.**

# Czemu one nas nie chcą, czyli rebelia inceli

## REPORTAŻ Z PIEKŁA ODRZUCONYCH MĘŻCZYZN

**Wiktor Cyrny**

RUSSELL COBB/IKON IMAGES/EAST NEWS

**UWAŻASZ, ŻE SEKS NA ŻĄDANIE POWINIEN ZOSTAĆ WPISANY DO KODEKSU PRAW MĘŻCZYZN? ŻE RÓWNOUPRAWNIENIE PŁCI TO CHOROBA CYWILIZACJI? JEŚLI TAK, DOŁĄCZ DO REBELII. ALBO IDŹ DO LEKARZA**

Masz do wyboru trzy tabletki. Pierwsza, niebieska – tę już przyjmujesz z automatu – pozwala ci zostać w twoim nieudacznym życiu. Wciąż jesteś przegrywem, nerdem, żałosnym piwniczakiem. Możesz tylko marzyć o kobietach, bo zawsze znajdzie się jakiś mięśniaczek z Instagrama, surfer z Tindera, typowy Chad, z którym one pójdą jak suka spuszczona ze smyczy.

Druga, czerwona, w pierwszej chwili nie zmieni wiele, lecz zyskasz świadomość. Zrozumiesz, że świat równouprawnienia jest zbudowany na oszustwie, na chorych iluzjach feministek. Po tej tabletce nie będziesz już godził się, żeby pozostawać dłużej stuleją, normalsem, geekiem.

Trzecia, czarna, to najwyższy stopień wtajemniczenia. Przyłączasz się do rewolucji, a kobiety będą ci podległe.

Arek, 38 lat: Ten moment, kiedy bierzesz wirtualną pigułkę, jest jak inicjacja. Stajesz się blackpillersem albo redpillersem, zaczynasz rozumieć, że świat oparty na równouprawnieniu jest opresyjny wobec mężczyzn.

A więc wziąłeś czerwoną pigułkę. Poznałeś prawdę. Na co dzień prowadzisz życie przegrywa, jesteś stuleją, ale to nie twoja wina. Już wiesz, że to feminoidy skazały cię na przymusowy celibat. Teraz jesteś incelem, wyszedłeś z matrixa poprawności politycznej. Incel walczy o prawo do posiadania własnych kobietonów. Zanim wejdziesz do środka, zapamiętaj słowa kluczowe.

## SŁOWA KLUCZOWE

Stacy – to typowa laska; puszcza się z facetami lepszej kategorii, do której nie należysz. Nigdy nie będziesz mieć Stacy, chyba że weźmiesz ją siłą.

Feminoid/kobieton – forma ciała do użytku zewnętrznego, stworzona do służenia mężczyźnie, lecz stracona w wyniku równouprawnienia płci, największego kataklizmu w dziejach zachodniej cywilizacji.

Chad – to cwaniak-przystojniak, zalicza laski i robi je, jak chce. Nie musi na nie polować, same wchodzą mu do łóżka. Nie zostaniesz Chadem, choć każdego dnia marzysz, żeby nim być. Chadem trzeba się urodzić. Feminoidy wybierają tylko Chadów, czym zmniejszają krąg beneficjentów swoich ciał.

Stuleja – obraźliwe określenie mężczyzny od nazwy schorzenia, zwężenia ujścia napletka czyli stulejki – nieoperowane praktycznie uniemożliwia normalne życie seksualne w dorosłym życiu.

Przemysław Staroń, kulturoznawca, psycholog, Szkoła Wyższa Psychologii Społecznej: „Specyficzny socjolekt inceli przypomina język sekty. Wymyślanie tych wszystkich pojęć daje im poczucie przynależności, identyfikacji z grupą. Mają wrażenie, że poznali tajemniczą prawdę i dzięki temu otrzymują władzę, na zasadzie »my wymyślamy pewne określenia, bo odkryliśmy mechanizmy, które rządzą społeczeństwem«. To daje im wrażenie siły".

Charles, 26 lat, Londyn: „Jeśli zgwałcę kobietę, powinna być wdzięczna za to, że wyświadczyłem jej przysługę. Dzięki mnie może się poczuć lepiej, bo w jakiś sposób mi się spodobała" (Reddit.com).

Incel3, anonimowo: „Obecny świat to miejsce kultu kobiet. To popier***one. Myślą, że są Bóg wie kim – a to po prostu pojemniki na spermę!" (Newsweek.pl)

Jacek, 34 lata, Gdańsk: „Oglądałeś *Opowieść podręcznej*? Ten serial to nasza biblia. Tak ma wyglądać świat w przyszłości. Będziemy hodować rozpłodnice. Feminoidy zamieszkają w barakach-burdelach, tam, gdzie ich miejsce".

BraIncel, Los Angeles: „Kobietony prędzej wyślą cię na 10 lat do więzienia, wolą, żebyś zdechł, niż zgodzą się na seks, więc same się proszą, żeby je gwałcić" (Reddit.com).

Nigdy nie byłeś na randce? Zrobiłeś wszystko, żeby zdobyć kobietę, ale masz już dość? Była Sympatia.pl, był E-darling i ShowUp.tv? Fryzjer za 100 zł? Próby zmiany wizerunku, nowe ubrania, internetowy kurs randkowania i prywatna szkoła podrywu? Tindera przerobiłeś, jak tylko się pojawił. Wszystkim dziewczynom dałeś plusy, lecz nie dostałeś nic w zamian. Jedyne wiadomości, jakie przychodzą na maila, to te z reklamami portali randkowych albo informacją o ochronie prywatności.

Zaczynasz kumulować złość. Czytasz kolejne wpisy inceli i zaciskasz pięści. Pierwszy raz w życiu odwracają się role, teraz to ty poniżasz, wykluczasz, dyskryminujesz. Nie jesteś już ofiarą.

## SŁOWA KLUCZOWE CD.

Incel – nazwa pochodzi od pierwszych liter angielskiego określenia na mimowolny celibat – *INvoluntary CELibate*. To zazwyczaj biały heteroseksualny mężczyzna z bagażem kompleksów i przykrych doświadczeń w relacjach z kobietami, których nienawidzi. Żeby nie czuć się looserem (przegrywem), obwinia kobiety o to, że nie uprawia seksu. Najczęściej mieszka z rodzicami, brakuje mu życiowych pasji poza światem wirtualnym.

Użyta – kobieton, który stracił dziewictwo. Incele nie mają szansy na dziewice.

Normik, normals, normie – uczestnik codzienności, czyli matriksu, w którym kobiety rządzą męskimi pragnieniami. Normik akceptuje warunki gry. Lata za babami, traci godność.

Jacek, Gdańsk, 24 lata: „Nigdy mi nie szło z kobietami. Byłem lamerem, dziewczyny w szkole mówiły na mnie »plankton«. Seks? Tylko za pieniądze. I tylko z użytymi. I nagle okazuje się, że takich jak ja są setki tysięcy, całe wielkie miasta facetów, którzy mają dość, którzy rzygają powiedzeniem

>>

»facet zaczyna się od 180 cm i 6 tys. na rękę«. Incele mówią: »Kobiety nie chciały uprawiać z tobą seksu? My to wyegzekwujemy!« Czy to nie jest kusząca oferta?"

Igor, 21 lat, Wrocław: „Mamy dość resztek po Chadach. Zostały tylko użyte. Kobietony uznają wyższość lepszych genetycznie mężczyzn, dlaczego my mamy je szanować, skoro one nie szanują nas?!"

Marek, 28 lat, Warszawa: „Miałem 21 lat, a jeszcze się nie całowałem. Pamiętam, że kiedy skończyłem 16, pojechałem na pielgrzymkę do Częstochowy w intencji zbliżenia. Klęczałem przed Matką Boską i prosiłem ją, żeby mi zesłała dziewczynę, która mnie pokocha. Nie wysłuchała. Wiadomo, kobieta..."

Andrzej Gryżewski, psychoterapeuta, gabinet CBTseksuolog: „Incelowi nie wiedzie się zbyt dobrze, zazwyczaj zarabia mniej, niż by chciał, ma kompleksy, nie potrafi rozmawiać z kobietami, w ogóle malarzem słowa nie jest, ze sportem też na bakier, godzinami siedzi w internecie i na pewno nie uprawia seksu. W obronie własnej powie: »Stosunków nie ma, bo kobiety to dziś ladacznice-blachary, co tylko lecą na pieniądze i drogie auta«. W moim gabinecie regularnie przyjmuję pacjentów inceli. Boją się kobiet, ich obecność jest dla nich frustrująca. Incel nie potrafi zbliżyć się do kobiety, więc zaczyna jej nienawidzić. A chce ją mieć, bo sądzi, że mu się należy. I to na zawołanie. Przyzwyczaja się do osiągania satysfakcji z szybkością, z jaką płyną megabajty w światłowodach".

Igor, 21 lat: „Kiedyś jedna dziewczyna zgodziła się pójść ze mną na kawę. Już na wstępie zaznaczyła, że to spotkanie czysto towarzyskie, jakby chciała uprzedzić »nie dla psa kiełbasa«. Dostałem dużo dowodów na to, że jestem brzydki. I co mam zrobić? Odciąć sobie jaja?" (Facebook)

Przemysław Staroń, kulturoznawca, psycholog: „Mężczyźni mają problem z wyrażaniem emocji. Już od dziecka mordujemy psychikę słowami »chłopaki nie płaczą«. Ponieważ incele kumulują w sobie emocje, ich frustracja jest ogromna – odrzucenie, kompleksy, złość, pożądanie i okropny smutek są jak wrząca woda w czajniku – ten ładunek frustracji wybucha. Para znajduje ujście i dotkliwie parzy. Agresja i złość łączą nie tylko inceli, ale też członków podobnych grup – jak ONR itp. Społeczności te dają im poczucie siły, ujście emocji i mit, w który wierzą: »Jeśli kobiety będą nam podległe, w końcu będziemy szczęśliwi«".

Marek, 28 lat, Warszawa: „Od lat siedzę w środowisku gamerów, mam kanał na YouTubie, ludzie patrzą, jak gram w gry. To tam w komentarzach ktoś napisał o mnie »incel«. Sprawdziłem i zobaczyłem setki facetów w podobnej sytuacji. Któryś z nich mi to po ludzku wytłumaczył. Kobiety nas nie szanują. Gdzie są obrońcy praw człowieka, kiedy taka Stacy niszczy nam psychikę? To jak tortury. Gdy nie istniejesz dla płci przeciwnej, jesteś pozbawiony jakiejś racji bytu. Zaczynasz wierzyć: »Po co się w ogóle to gówno urodziło«".

Andrzej Gryżewski, psychoterapeuta, gabinet CBTseksuolog: „Na ekranie wszystko jest od razu. W rzeczywistości nie ma orgazmów na zawołanie. Inceli frustruje zbyt długa procedura otrzymania od kobiet gratyfikacji (uśmiechu, pocałunku, stosunku). Taka nagroda przychodzi w niespodziewanym momencie, a incele chcą włączać kobiety jak gry online albo porno, gdzie satysfakcja gwarantowana. Przenoszą więc życie seksualne do internetu i czują coraz większy rozdźwięk między rzeczywistością a światem wirtualnym. To rodzi frustracje. Zaczynają żądać od kobiet natychmiastowej dostępności".

## ŁZY INCELI

Troll/hejter – incele różnią się od internetowych trolli. Przede wszystkim konsekwencją w działaniu, grupowym głoszeniem określonych poglądów. Trolling jest spontaniczny lub zlecony, służy rozrywce, zemście, poniżeniu i niekoniecznie wynika z wartości wyznawanych przez trolla. Incele natomiast atakują kobiety w imię wspólnych poglądów i wizji przyszłości.

Państwo Inceli – utopia, w której kobiety są uprzedmiotowiane, dygają na zawołanie, a przede wszystkim zmusza się je do seksu. Wiara w przemianę ustroju pozwala incelom marzyć o rzeczywistości, w której to oni przejmują władzę i za pomocą przepisów dokonują niemożliwego: zamieniają się w Chadów mimo wszystkich swoich wad.

Reddit.com – grupa dyskusyjna (pierwowzór polskiego Wykop.pl) skupiająca ponad 40 tys. inceli w jednym miejscu (według „Guardiana"). W listopadzie 2017 r. administratorzy zamknęli podgrupę Incels i zakazali publikacji treści, które „zachęcają, gloryfikują, podżegają lub nawołują do przemocy". Po zamknięciu Incels powstała na Reddit nowa grupa, wyszydzająca inceli, pod szyldem Łzy Inceli (IncelTears).

Incel anonimowo: „To my jesteśmy dyskryminowani. Dlaczego kobietony decydują o tym, kiedy uprawiamy seks, a kiedy nie? Walczmy o seksualne równouprawnienie. Głosuj na redpillersów!" (Facebook).

Adrian, 37 lat, Kraków: „Kobiety nie szanują tego, co im daliśmy. Dostają prawo głosu, a niedługo chcą rozwodu, odbierają ci majątek i dzieci. Naszym celem jest wprowadzenie odpowiedniego ustroju w Państwie Inceli, który zakończy tę farsę zwaną równouprawnieniem" (Facebook).

Fragment forum IncelTears: „Zamiast wysyłać kobiety do więzienia, proponuję pozostawienie ich na wolności, lecz w charakterze użytkowym, żeby świadczyły usługi seksualne".

Przemysław Staroń, kulturoznawca, psycholog SWPS: „Można leczyć inceli. Lekarstwem jest ochrona życia emocjonalnego chłopców. Edukowanie rodziców, by pozwolili młodemu mężczyźnie przeżywać uczucia".

## MUSZĄ ŻYĆ W STRACHU

Co możesz zrobić dla ruchu? Pamiętaj, bez nas jesteś stuleją, przegrywem, nic niewartym nerdem, co nigdy nie zamoczy. Znajdź kobietona i go postrasz. Jeden, dwa SMS-y, plama krwi na zjeżdżalni na jej przydomowym placu zabaw. Dwanaście nieodebranych połączeń na jej telefonie i jedna wiadomość z prywatnego numeru: „Będę czekać, aż wyjdziesz z domu sama".

**Miałem 21 lat, a jeszcze się nigdy nie całowałem. Pojechałem na pielgrzymkę do Częstochowy. Klęczałem przed Matką Boską i prosiłem, żeby mi zesłała dziewczynę, która mnie pokocha. Nie wysłuchała. Wiadomo, kobieta...**

Incel, anonimowo: „Muszą być w ciągłym strachu o KAŻDY ASPEKT ICH ŻYCIA. Preferuję ataki z użyciem kwasu".

Im bardziej okrutne pomysły pognębienia kobietonów, tym większy prestiż wśród inceli. Mistrzowie opisują, jak za pomocą narzędzi gospodarstwa domowego skutecznie torturować kobietę: „Siekierką rozbij baterie R14, wlej kwas do oczu, przytrzymaj. Teraz nie zrobi dobrze żadnemu innemu mężczyźnie".

Incel, anonimowo: „Chciałbym wysłać kobiety do obozów koncentracyjnych i obserwować z wieżyczki, jak umierają" (Facebook).

Igor, 21 lat: „Pamiętam swój pierwszy komentarz na incelskim forum. Napisałem: Lodzik albo Treblinka. Kliknąłem enter. Miałem chyba ze 100 komentarzy i kilkadziesiąt udostępnień. Zacząłem rebelię".

Myślicie, że ktoś nam coś zrobi za rzekomy „hejt w sieci"? Kryjemy się na końcu internetu. Znajdziesz nas dziś, jutro znikniemy. Zanim dasz nam bana, zgubimy cię. Ogłosimy przeprowadzkę, zmienimy domeny, zatrzemy ślady.

To nie my hejtujemy, tylko wy. Robiłyście zrzuty ekranu z naszych dyskusji na Reddit. Wstawiacie je teraz na IncelTears, by nas hejtować. Ale jesteście naiwne! Im więcej kliknięć, komentarzy oburzonych feministek i przerażonych kobiet, tym większy rozgłos dla nas. Robicie nam reklamę. Wiadomo. Naiwne kobietony.

The Verge, amerykański portal alarmuje: „Internet umożliwia funkcjonowanie wspólnoty mężczyzn planujących zabijanie kobiet".

## BOHATEROWIE

Od słów (w świecie wirtualnym) do czynów (w realu) przeszli na razie tylko nieliczni. Dla inceli są bohaterami. Największy z nich to Elliot Rodger, pionier rebelii, guru, męczennik. Pierwszy zaczął mordować kobiety. Nie oszczędził także Chadów. Za jego sprawą w 2014 r. o incelach usłyszał cały świat.

Studiował na University of California w Santa Barbara. Miał już 22 lata, ale nigdy nie całował się z dziewczyną. Lekko skośne, wypukłe oczy, wąsik, przetłuszczone włosy. Mówili o nim Sid, jak o wyjątkowo brzydkim leniwcu z animacji *Epoka lodowcowa*. A on chciał być jak Chady z bractwa studenckiego.

Tkwił w środku idyllicznego obrazka z amerykańskich filmów: na uczelni mijał popularne cheerleaderki i umięśnionych futbolistów. Nawet nie zauważali wpatrzonego w nich loosera z trądzikiem. Zatem Rodger postanowił się im przedstawić. Kupił broń. Jeździł po ulicach kampusu, strzelał i taranował. Kiedy uderzył w słup i samochód został unieruchomiony, popełnił samobójstwo.

Zostawił po sobie kilkusetstronicowy manifest. Tuż przed śmiercią opublikował też film na YouTubie, w którym wypowiedział „wojnę kobietom za to, że odmówiły mu seksu".

Przez inceli przedstawiany czasami jako ikona: niczym Mojżesz pokazuje tabliczki, na których zamiast dekalogu jest początek jego manifestu.

Następny był 26-letni Christopher Harper Mercer, który w 2015 r. rozstrzelał dziewięć osób w college'u w Roseburgu w stanie Oregon. W jego notatkach znaleziono dowody, że był zainspirowany Rodgerem. Na internetowym profilu randkowym pisał o sobie: „Nerd, geek, introwertyk samotnik. Szukam kobiety, swojego yin do yang. Jestem nieśmiały podczas pierwszego spotkania".

Jako incel przedstawiał się Alek Minassian, 25-latek z Toronto. W kwietniu br. taranował ciężarówką przechodniów spacerujących po centrum miasta, zabijając 10 osób, a raniąc kilkanaście. Przed zamachem na swoim facebookowym koncie oddał hołd guru, pisząc: „Chwała Najwyższemu Gentlemanowi Rodgerowi".

Mike: „Jestem przeciwny zabijaniu kobiet. Czy zastrzeliłbyś krowę, co daje mleko, kurę, co znosi jajka? Nie zabija się kobietonów, bo dają d*py" (Incel.me).

Andrzej Gryżewski, psychoterapeuta, gabinet CBTseksuolog: „Gdy incel przychodzi do mnie na terapię, okazuje się, że to bardzo opuszczony, nieszczęśliwy człowiek, który widzi w sobie tylko wady. Staram się pokazać mu, że nie wszystko stracone i warto nad sobą pracować, warto odszukać własne zalety, o których zapomniał, uwypuklić je, by stał się atrakcyjny dla kobiet. Czasem z dna wyciąga incela właśnie kobieta, która próbuje mu pomóc wyrwać się z matni frustracji i nienawiści".

Marek, 28 lat, Warszawa: „Wydaje wam się, że jesteśmy trollami, które siedzą i się bawią, hejtując kobiety? Rodgera też nikt nie brał na serio..."

# INDIE. NAJPIERW ROZWÓJ, POTEM EKOLOGIA

## BANGALUR, ZIEMIA OBIECANA MŁODYCH HINDUSÓW, ODPYCHA I PRZYCIĄGA SWOIM FRENETYCZNYM PĘDEM

Piotr Chałubiński

AIJAZ RAHI/AP/EAST NEWS

Pożar zanieczyszczonego jeziora Bellandur w Bangalur, styczeń 2018 r. Z ogniem walczyły tysiące żołnierzy i strażaków

**KIEDY ZACHODNI EKOLODZY WYTYKAJĄ INDIE PALCAMI, HINDUSCY POLITYCY PRZYPOMINAJĄ, JAK ZACHÓD TRUŁ I NISZCZYŁ PRZYRODĘ PODCZAS REWOLUCJI PRZEMYSŁOWEJ. „NADCHODZI NASZ CZAS. TERAZ MY SIĘ ROZWIJAMY" – MÓWIĄ**

Wielkie betonowe słupy linii średnicowej wyglądają jak wymarzona scenografia dla hinduskiego cyberpunka. Na poboczu wychudzona krowa wpatruje się w witrynę Starbucksa. Pada rzęsisty tropikalny deszcz. Grube krople uderzają o prowizorycznie rozwieszoną plandekę, którą bezdomni zasłonili rozpalone przez nich ognisko. Skuleni wpatrują się w gasnący ogień, paląc bidi – tanie indyjskie papierosy. Mija ich rozpędzony, dobrze ubrany, różnokolorowy tłum. Po ulicy płynie rzeka samochodów. Rozpoczął się wieczorny szczyt. Mokre powietrze przylepia się do skóry i utrudnia oddychanie. Ryk klaksonów ogłusza i otępia. Uliczne staccato – melodia megapolis i rodzącego się imperium.

Bangalur to indyjska Dolina Krzemowa i ziemia obiecana dla młodych Hindusów. Najbardziej dynamicznie rozwijające się miasto świata w rankingu JLL, amerykańskiego potentata na rynku nieruchomości w 2000 r. liczyło 5 mln mieszkańców; dziś jest ich dwa razy więcej; za 10 lat ma być 15 mln.

Szybkiemu przyrostowi populacji towarzyszy dzika urbanizacja, z jaką Europa nie mierzyła się od czasów rewolucji przemysłowej. Place budowy są wszędzie. Gdzieś przecież musi znaleźć się miejsce dla kolejnych setek tysięcy inżynierów, informatyków, doktorów i innych, którzy co roku przybywają tu w poszukiwaniu sukcesu i lepszego życia.

Zawieszone pomiędzy pierwszym a Trzecim Światem miasto zapatrzone jest na Zachód. Lub mówiąc ściślej – na wyobrażenie Zachodu zaczerpnięte z seriali i hollywoodzkich filmów. Dziewczyny zrzucają tradycyjne sari i zakładają modne dżinsy. W rękach trzymają najnowsze, drogie smartfony lub ich tanie indyjskie podróbki. Marzą o posadzie w Electronic City – technologicznym miasteczku przyszłości na obrzeżach metropolii, z własnym systemem transportowym, siecią szkół i szpitali. Tam mają swoje siedziby miejscowe i międzynarodowe koncerny takie jak HP, Intel czy Siemens.

Jednak dla wielu Electronic City to dopiero plany na dalszą przyszłość. Póki co pracują w call center. W wiel-

**AŻ 20 INDYJSKICH MIAST JEST NA LIŚCIE 25 NAJBARDZIEJ ZANIECZYSZCZONYCH MIAST ŚWIATA W 2018 R. WG ORGANIZACJI AIRVISUAL (MIARĄ JEST ŚREDNIE STĘŻENIE SZKODLIWEGO PYŁU**

kiej hali, wśród setek ludzi upchanych w małych boksach, ze słuchawkami na uszach godzinami cierpliwie odbierają telefony poirytowanych klientów z Ameryki, Australii, Wielkiej Brytanii – z całego anglojęzycznego świata.

## WODA ZNOWU SIĘ PALI

Cały ten frenetyczny pęd ku przyszłości ma jednak swoją cenę. Równie zwariowaną jak całe Bangalur. Najlepiej ze wszystkich wiedzą o tym mieszkańcy osiedla Orchid Lake View.

„Spójrzcie, woda znowu się pali!" – krzyczeli do siebie 19 stycznia 2018 r., gdy widoczne z ich okien jezioro Bellandur po raz kolejny stanęło w ogniu. Tak, to nie żadne przywidzenie. Z tafli wody buchały płomienie i unosił się gęsty, gryzący dym.

Jezioro Bellandur, rozlane na obszarze około 300 hektarów, to największy i zarazem najbardziej zanieczyszczony akwen w całym mieście. Jeśli akurat nie płonie, to zwykle pokryte jest białą toksyczną pianą: śmierdzącą mieszanką moczu, detergentów, ścieków, benzyny, smarów i oleju napędowego – wstydliwymi odchodami wielkiej metropolii.

>>

AIJAZ RAHI/AP/EAST NEWS

Toksyczna piana na jeziorze Bellandur, czerwiec 2017 r.

„Dlaczego, do cholery, jezioro płonie? Woda powinna gasić, a nie podsycać ogień" – pyta jakaś poirytowana kobieta.

Po powierzchni wody leniwie toczą się kule toksycznej piany. Powietrze szczypie w oczy, dusi i dławi. Im bliżej, tym gorzej. Co ciekawe, zupełnie nie przeszkadza to deweloperom.

Na brzegu toksycznego jeziora powstają nowe mieszkania dla inżynierów, informatyków i programistów. Wykształconej i mobilnej armii nowych Indii.

## Z NEOLITU DO EPOKI CYFROWEJ

W tym samym czasie w szwajcarskim Davos trwa coroczny zlot możnych tego świata: bankierów, polityków, szefów i menedżerów korporacji. Miejscowość na kilka dni zamienia się w twierdzę. Delegacji z Indii przewodzi premier Narendra Modi. Ma się czym pochwalić. W ostatnich latach Indie przeskoczyły niemal z neolitu do epoki cyfrowej; z petenta stały się pożądanym gościem, przed którym otwarte są wszystkie drzwi.

**DLACZEGO, DO CHOLERY, JEZIORO PŁONIE? WODA POWINNA GASIĆ, A NIE PODSYCAĆ OGIEŃ! – MÓWI KTOŚ Z GAPIÓW OBSERWUJĄCYCH STRAŻAKÓW**

W pobliskim meczecie kończą się właśnie piątkowe modły, a na ulicę wylewa się tłum odświętnie ubranych ludzi. Zaczepiam niektórych, pytam o jezioro. Większość mnie ignoruje. „Po co tu tak naprawdę przyjechałeś?" – mówi w końcu jeden z nich wyraźnie zniecierpliwiony. „Indie mają turystom o wiele więcej do zaproponowania..." Mężczyzna jest wzburzony. Od piany na jeziorze bardziej chyba nie lubi wścibskich dziennikarzy.

A przecież jeszcze tak niedawno, na początku lat 90. ubiegłego wieku, kraj tonął w straszliwych długach. Uginał się pod ciężarem skostniałej biurokracji; dławił się systemem nakazów, regulacji oraz koncesji. Wprowadzono liberalne reformy: deregulację, decentralizację, prywatyzację. Kraj zaczął się rozwijać, ale i społecznie rozwarstwiać. Za rządów Modiego (od 2014 r.) Indie wrzuciły piąty bieg. Według prognoz MFW w tym roku dochód narodowy wzrośnie tam o ponad 7 proc.

Ale kontrasty są porażające. Również w Bangalur, które stanowi koło napędowe i symbol nowych Indii. Piękne i sterylne Electronic City znajduje się zaledwie kilka mil od jeziora Bellandur, które od 2015 r. stawało w ogniu już kilka razy. Płomienie przyciągają żądne sensacji media, a Hindusi zasypują internet mrożącymi krew w żyłach filmikami. Toksyny z jeziora przenikają do powietrza, a do lekarzy (także onkologów) ustawiają się coraz dłuższe kolejki.

„Mam dwoje dzieci, które mają problemy z oddychaniem" – żali się jedna z mieszkanek osiedla Orchid Lake View.

## 300 MLN LUDZI BEZ PRĄDU

Okolice bazaru w Bangalur to plątanina przesmyków, przejść i uliczek. Niekiedy tak wąskich, że dwie osoby mają problem, by się spokojnie minąć. Nad głowami zwisa niewyobrażalna plątanina kabli. Tragarze uginają się pod ogromnymi pakunkami. Unosi się smród taniego ulicznego żarcia, który miesza się zapachem potu i śmieci. Trzeba patrzeć pod nogi. Na ulicy ktoś leży przykryty gazetą. Nie żyje, udar, drzemka? Nie wiadomo i nikogo to nie obchodzi. Ekologia z tej perspektywy wydaje się dziwną, odległą abstrakcją i europejską fanaberią.

Pęd do bogactwa zostawił w tyle miliony Hindusów. W Indiach nadal mieszka 300 mln ludzi bez dostępu do prądu. Są bombą z opóźnionym zapłonem, która może wybuchnąć z wielkim hukiem, np. przy najbliższych wyborach. Premier Modi zdaje sobie z tego sprawę, dlatego chce tę społeczną bombę rozbrajać jak najszybciej i nie przejmować się radami zachodnich ekologów. Obiecał, że „każda wioska w Indiach będzie mieć dostęp do elektryczności".

Ma to zapewnić węgiel – źródło energii, od którego reszta świata odchodzi. Przed szczytem klimatycznym w Paryżu w 2015 r. Indie zadeklarowały, że będą wydobywać aż 1,5 mld ton węgla rocznie, czyli jedną piątą światowej produkcji, i na razie trzymają się tego planu. Zachodni ekolodzy protestują, ostrzegają, publikują alarmistyczne raporty. Indie odpowiadają na to obojętnym wzruszeniem ramion.

Doktor Ajay Mathur, hinduski negocjator w Paryżu, zwrócił uwagę, że bogata Północ rozwinęła się dzięki brudnym źródłom energii. Prakash Javadekar, były indyjski minister środowiska, przypomina, jak bogate dziś kraje europejskie i Ameryka truły środowisko podczas rewolucji przemysłowej.

„Nadchodzi nasz czas. Teraz my się rozwijamy" – podkreślił.

Jak na razie nic nie zapowiada zmiany kursu. Taki model rozwoju gospodarczego dał Indiom status regionalnej potęgi. Teraz rządzący w Delhi coraz śmielej i bez kompleksów spoglądają na świat. Już niedługo rzucą wyzwanie Chinom i Stanom Zjednoczonym. A gdy wejdą do klubu bogaczy, będą mogli pozwolić sobie na luksus, jakim jest ekologia.

## JEZIORO TONIE W ŚMIECIACH

„W tym jeziorze nie żyją już żadne zwierzęta. Są tylko bakterie i trzy nieznane wcześniej nauce rodzaje mikrobów, które zmutowały i dostosowały się do toksycznej wody" – mówi prof. Ramachandra zajmujący się fenomenem toksycznego jeziora.

Piana pojawiła się na jeziorze już w połowie lat 90. Od tamtego czasu akwen powoli zamieniał się w breję. Odleciały ptaki, padły ryby, uschły drzewa. Okoliczne mokradła, naturalnie filtrujące miejskie nieczystości, zastawiono domami i fabrykami. I w ten sposób jezioro umarło. Ucierpiało nie tylko najbliższe otoczenie; cała 10-milionowa metropolia nie ma skąd czerpać czystej wody.

Najgorzej jest, gdy przychodzi letni monsun. Breja pieni się, jakby ktoś przesadził z płynem do kąpieli. Bałwany toksycznej piany występują z brzegów i zalewają most. Wtedy staje się on praktycznie nieprzejezdny, bo nieczystości szkodzą karoseriom samochodów i ludzkiej skórze.

Miejscowe władze rozkładają ręce i tłumaczą się brakiem pieniędzy. Tuż przed mostem mała armatka wodna leniwie rozbija pianę, pod którą gromadzi się łatwopalny metan.

Piana i pożary wody to nie wszystko, są jeszcze śmieci. „Firmy nieustannie opracowują nowe gadżety i zasypują nimi konsumentów. Tegoroczne smartfony, laptopy i tablety wypierają ubiegłoroczne. Co dzieje się z tymi wszystkimi gadżetami, gdy już przestajemy ich używać?" – pyta Akshat Ghiya, ekspert ds. ochrony środowiska z Karma Recycling.

Jedna z możliwych odpowiedzi brzmi: pływają w jeziorze Bellandur. Mieszkańcy okolicznych osiedli opowiadają o ciężarówkach, które wieczorami wyrzucają do wody potężne ładunki.

Bangalur, jak przystało na najbardziej dynamiczne miasto świata, również śmieci produkuje z niespotykaną gdzie indziej dynamiką i intensywnością.

Zatłoczone Bangalur jest kołem napędowym i symbolem nowych Indii

STRINGER/FORUM

# DZIECI OCIEPLAJĄ KLIMAT

## CZY W ZWIĄZKU Z TYM POWINNIŚMY ZREZYGNOWAĆ Z POTOMSTWA?

Bjørn Lomborg*

**ZAMIAST GDYBAĆ, LEPIEJ ZROBIĆ RACHUNEK ZYSKÓW I STRAT. WYNIKA Z NIEGO, ŻE – W PRZELICZENIU NA DOLARY – URODZENIE DZIECKA JEST DLA ŚWIATA OSIEM RAZY BARDZIEJ OPŁACALNE NIŻ NIEURODZENIE DZIECKA**

**STATYSTYCZNE NIEMOWLĘ, KTÓRE PRZYCHODZI NA ŚWIAT, WYGENERUJE W CAŁYM SWOIM ŻYCIU OK. 1350 TON DWUTLENKU WĘGLA**

Chór aktywistów, naukowców i dziennikarzy ostrzega: pomyśl dwa razy, zanim zdecydujesz się na potomka!

Amerykańskie publiczne radio NPR pyta: „Czy powinniśmy płodzić dzieci w erze globalnego ocieplenia?". Magazyn „The Nation" chce wiedzieć: „Czemu decydujesz się na dziecko, kiedy zmiana klimatu przewraca do góry nogami życie na ziemi?". Brytyjski „The Guardian" radzi swoim czytelnikom: "Chcesz walczyć z globalnym ociepleniem? Miej mniej dzieci". W „New York Timesie" możemy przeczytać, że kolejne dziecko to najgorsza rzecz, jaką człowiek może zrobić środowisku naturalnemu.

Decydując się na dwójkę dzieci, hipotetyczna amerykańska matka – która ma ekologiczne auto, jeździ nim niewiele, sortuje śmieci, instaluje energooszczędne żarówki i okna – narobi szkód „prawie 40-krotnie przewyższających wszystko, co zrobiła dobrego dla środowiska".

Już to wszytko kiedyś słyszeliśmy.

W latach 70., z obawy przed degradacją środowiska i degrengoladą społeczeństw, niektórzy pełni dobrych intencji ludzie wzywali do świadomej bezdzietności. Naukowcy, miliarderzy, aktywisci i politycy, którzy stworzyli tzw. Klub Rzymski, zasłynęli z przepowiedni, że ludzkość czeka zagłada, bowiem na świecie zabraknie miedzi, aluminium, złota, ołowiu, rtęci, molibdenu, gazu ziemnego, ropy naftowej, srebra, cynku i tungstenu. Postulowali, żeby wstrzymać rozwój gospodarczy, obciąć konsumpcję i przekonać ludzi, żeby mieli mniej dzieci.

Niektórzy obywatele zamożnego świata posłuchali tej rady. W 1972 r. w USA powstała Narodowa Organizacja na rzecz Bezdzietności (ang. *National Organization for Non-Parents*). W pracy naukowej z 1976 r. czytamy, że strach przed przeludnieniem planet stał się jednym z powodów, dla których ludzie nie decydują się na dzieci.

Swoją drogą ciekawe, czy któryś z tych naukowców miał wyrzuty sumienia albo ilu z tych niedoszłych rodziców żałowało, kiedy okazało się, że wszystkie te czarne przepowiednie to były tylko strachy na lachy.

Tak jak niegdyś Klub Rzymski, niektórzy dzisiejsi klimatolodzy wskazują, że każdy dodatkowy człowiek to brzemię dla środowiska i dla planety.

Większość analiz powtarza argumenty Paula A. Murtaugha i Michaela G. Schlaxa, naukowców z Oregon State University, którzy zapisują na konto każdego z rodziców połowę emisji dwutlenku węgla, jakie ich dziecko wygeneruje przez całe swoje życie. Na tym się nie kończy – jesteśmy rzekomo odpowiedzialni za ćwiartkę $CO_2$ wygenerowanego przez każde z naszych wnucząt, jedną ósmą emisji każdego prawnuka itd.

Murtaugh i Schlax wyliczają, że w takim scenariuszu każde dziecko, które przyjdzie na świat, odpowiada za 20 ton emisji $CO_2$ rocznie.

Takie wyliczenie jest problematyczne, i to z kilku powodów. Po pierwsze, prognozy emisji są zawyżone. Po drugie, obwinianie rodziców o wszystkie emisje ich wszystkich potomków jest niedorzeczne. Jeśli przyjąć tę logikę, to nasz praprzodek, który trudnił się myślistwem i zbieractwem, odpowiada za globalne ocieplenie bardziej niż współczesny miliarder krążący po świecie w prywatnym odrzutowcu.

To chyba oczywiste, że decyzje, które twoja córeczka podejmie za dwie czy trzy dekady – również w sprawie macierzyństwa – będą jej własnym wyborem i jej odpowiedzialnością.

Z drugiej strony, jest prawdą, że na konto każdego noworodka można zapisać emisję $CO_2$ wytworzonego przy produkcji towarów i usług, które ów noworodek przez całe swoje życie skonsumuje [wliczają się w to m.in. spaliny z odrzutowców, którymi będzie latał na wakacje – red.].

W najgorszym razie – zakładając przeciętną długość życia 90 lat i średnią roczną emisję na poziomie 15 ton na osobę – każde urodzone właśnie niemowlę dołoży 1350 ton dwutlenku węgla do ziemskiej atmosfery.

Jeśli jesteś rodzicem i martwi cię taki poziom emisji, możesz kupić prawo do emisji 1350 ton CO2 na giełdzie, którą stworzyła Unia Europejska dla swoich państw członkowskich i przedsiębiorstw. Będzie cię to kosztowało – po cenach z połowy marca 2019 r. – zaledwie 30 tys. dolarów.

A jesli faktycznie kupisz takie prawa i nigdy ich nie wykorzystasz, to oznacza, że de facto zmusisz Unię Europejską, żeby wyemitowała o 1350 ton CO2 mniej, niż planowała.

Żeby pokazać szerszy kontekst: amerykański departament rolnictwa szacuje, że koszt wychowania dziecka (do 17. roku życia) w rodzinie z klasy średniej to ok. 234 tys. dolarów. Oczywiście z punktu widzenia rodziców posiadanie dziecka jest wartością dużo większą.

Obniżenie emisji CO2, które byłoby efektem nieposiadania dziecka, ma – jak już ustaliliśmy – wartość 30 tys. dolarów. A zatem korzyści z dziecka są wiele razy większe niż koszty klimatyczne, jakie dziecko generuje.

Ale zastraszanie potencjalnych rodziców trwa. W wywiadzie dla „New York Timesa" pewna młoda kobieta stwierdziła: „Wiem, że ludzie są zaprogramowani do prokreacji. Ale instynkt mówi mi: żeby ochronić moje dzieci przed horrorem przyszłości, lepiej, jeśli w ogóle nie wydam ich na świat..."

Takie myślenie jest równie błędne jak dawne przepowiednie Klubu Rzymskiego. Panel klimatyczny ONZ zebrał z całego świata wyliczenia naukowców – nawet najbardziej pesymistyczne szacunki wskazują, że globalne ocieplenie generuje obecnie koszt rzędu 0,3 proc. globalnego produktu brutto.

Jeśli nie zrobimy nic (dla ratowania Ziemi), to straty wzrosną do 2 proc. globalnego produktu w połowie stulecia i do 3-4 proc. na poczatku przyszłego wieku.

Co to oznacza? Nikt nie zaprzecza, że globalne ocieplenie jest wyzwaniem, któremu musimy stawić czoła i które uzasadnia rozwój energetyki opartej na źródłach odnawialnych.

Ale odstraszanie ludzi od rodzicielstwa? Od jednej z najlepszych, najważniejszych rzeczy w życiu człowieka, żeby osiągnąć ekologiczny cel wart zaledwie 30 tys. dolarów? Taka mizerna oszczędność kosztem znacznego zubożenia człowieczeństwa? To nie jest dobry interes.

© Project Syndicate, 2019

* BJØRN LOMBORG JEST SZEFEM THINK TANKU COPENHAGEN CONSENSUS CENTER

MOHAMMAD PONIR HOSSAIN/NURPHOTO/EAST NEWS

# AUROVILLE, CZYLI ZRÓBMY SOBIE ŚWIAT IDEALNY

## REPORTAŻ Z INDYJSKIEGO MIASTA, KTÓRE MIAŁO STAĆ SIĘ MULTIKULTUROWĄ UTOPIĄ

Piotr Chałubiński

MARTON KALLAI/ANZENBERGER/FORUM

Centralnym punktem Auroville jest Świątynia Matki, czyli Matrimandir, wyłożona złoconymi płytkami

**W MIEŚCIE BRZASKU LUDZKOŚĆ MIAŁA SIĘ ZJEDNOCZYĆ PONAD PODZIAŁAMI. JAK MA SIĘ ZAPOMNIANA WSPÓŁCZESNA UTOPIA PO PÓŁ WIEKU ISTNIENIA?**

Świątynia Matki, czyli Matrimandir, przypomina gigantyczną piłkę do golfa. Złocone płytki kopuły połyskują w tropikalnej ulewie, nadając jej mistyczną aurę. „Co jest w środku?" – pytam kierowcę. „Dusza Auroville" – odpowiada tajemniczo. Tutaj znajduje się nie tylko duchowe, ale i geograficzne centrum Auroville, schowanego między drzewami „utopijnego" miasta na południu Indii. Wyłożone białym marmurem wnętrze skrywa wielką szklaną kulę, w której załamują się wpadające z góry promienie słońca. Pogrążona w półmroku wewnętrzna komnata, miejsce wspólnych modlitw i edytacji, może pomieścić sto osób.

### NARODZINY

28 lutego 1968 roku. Przy samotnym drzewie w pobliżu Pondicherry (dzielnica Puducherry) na południu Indii trwa podniosła ceremonia. Na wypaloną słońcem jałową ziemię zjechało 5 tys. osób z ponad 120 państw i wszystkich 29 indyjskich stanów.

Każdy przywiózł ze sobą garść ziemi ze swojej ojczyzny, którą następnie wsypano do urny w kształcie kwiatu lotosu. W wydarzeniu uczestniczyli urzędnicy z międzynarodowych organizacji, m.in. UNESCO, i dyplomaci. Obecny był nawet polski ambasador Romuald Spasowski, urzędujący w odległym o 2,5 tys. km Delhi. Tak właśnie narodziło się Auroville – Miasto Brzasku.

Wymyśliła je Francuzka Mirra Alfassa, partnerka duchowa hinduskiego filozofa i jogina – Sri Aurobindo. Miała nadzieję, że będzie to miejsce, w którym ludzkość zjednoczy się ponad podziałami, by w pokoju i braterstwie doskonalić się w duchowym rozwoju.

Idee Francuzki trafiły na żyzny grunt. Koniec lat 60. to czas wielkiego fermentu i przemian społecznych. Sypał się powojenny ład. Młodzi ludzie na

DAVID KLAMMER/VISUM/FORUM

Aurovillianie, którzy nie muszą pracować, mogą skupić się na medytacji

Zachodzie kontestowali tradycyjne wartości i krytykowali skostniałe, ich zdaniem, instytucje: rodzinę, szkołę czy armię. Wrzało w Paryżu, San Francisco, Rzymie. A nawet za żelazną kurtyną, czyli w Warszawie i Pradze (dla Czechów i Słowaków skończyło się najgorzej, ich bunt stłumiły bratnie armie Układu Warszawskiego).

Wszystkie te protesty, nawet jeśli ich przyczyny były różne, miały wspólny mianownik: ludzie, najczęściej młodzi, chcieli żyć pełniej, prawdziwiej i sprawiedliwiej. Niektórzy uwierzyli, że droga do celu wiedzie przez orientalną duchowość. Z zachodniej Europy do Indii wyruszyła więc fala wędrowców, którzy szukali równowagi oraz chcieli nadać swojej egzystencji głębszy sens.

## SANATORIUM DLA DUSZY

Deszcz miarowo i monotonnie uderzał w dach hostelu, usypiając nawet wszędobylskie komary. Przez wschodnie wybrzeże Indii przetaczał się właśnie potężny cyklon. Nawałnice niemal zmyły kilkumilionowe Ćennaj (daw. Madras) i podtopiły pobliskie Pondicherry. Ulewy zalały tam wiele ulic, a nieliczne studzienki przez wiele dni krztusiły się od nadmiaru wody.

Skryte między drzewami Auroville skutecznie oparło się deszczom. Korzenie cierpliwie piły wodę. Ludzie – miejscowi i przyjezdni – mieli względne poczucie bezpieczeństwa. Nie brakowało jedzenia. Na szwedzkim stole w naszej stołówce co dzień lądowały warzywa, owoce i świeżo upieczony chleb. Wszystko ekologiczne. Nawet kawę parzono na deszczówce.

W hostelu mieszkała jedynie garstka wędrowców. Masowi turyści, obawiając się cyklonu, grzali się na słonecznym zachodzie Indii.

Obok mnie przy stole siedziała emerytka z Niemiec, która narzekała, że przez ulewę nie może zwiedzić Świątyni Matki. Byli też znerwicowany Irlandczyk i wyciszona Japonka, która w skupieniu przeglądała ulotki z bogatą ofertą kulturalną Auroville: różnego rodzaju warsztatami i kursami począwszy od kółek teatralnych, przez sesje jogi, na zajęciach z medycyny naturalnej skończywszy.

Na tablicy w recepcji wisiały dwie czarno-białe, lekko pożółkłe fotografie.

Z pierwszej spoglądał Hindus Aurobindo Ghosh (1872-1950), ubrany w białą szatę, z długimi, zaczesanymi do tyłu siwymi włosami, przyciągając uwagę nobliwym spojrzeniem mędrca. Na drugiej fotografii czarowała tajemniczym uśmiechem jego współpracownica Mirra Alfassa (1878-1973) – zafascynowana Indiami Francuzka o egipsko-turecko-żydowskich korzeniach.

>>

DAVID KLAMMER/VISUM/FORUM

Tamilowie, lokalna tania siła robocza, dbają, żeby pozłacana kopuła Świątyni Matki nie utraciła blasku

Oboje nazywani są, odpowiednio, Guru i Matką.

Urodzony w Kalkucie, ale wykształcony w brytyjskim Cambridge Aurobindo na początku XX w. był ważną postacią w hinduskim ruchu narodowowyzwoleńczym. Polityczną aktywność przypłacił więzieniem. Po wyjściu na wolność osiadł w Pondicherry. Ta francuska enklawa w południowych Indiach przyjmowała politycznych zbiegów z kontrolowanego przez Brytyjczyków subkontynentu.

W Pondicherry rewolucjonista zamienił się w pisarza, filozofa i mistyka. Wokół niego szybko zebrała się grupa wiernych uczniów. Sława Aurobindo rosła i dotarła nawet do odległej Europy. W 1914 r. do drzwi jego aśramy, czyli pustelni, zapukała Mirra Alfassa. Guru był pod wrażeniem młodej Francuzki, wytworzyła się między nimi silna duchowa więź. Alfassa szybko przejęła obowiązki prowadzenia aśramy i coraz częściej nazywana była Matką.

Tymczasem Aurobindo stopniowo odsuwał się od ludzi, oddając się medytacji i pisaniu. Publikował m.in. teksty o jodze integralnej i duchowej spuściźnie cywilizacji indyjskiej, próbując łączyć zachodnią naukę ze wschodnią mądrością.

Po śmierci Aurobindo Matka postanowiła nadać jego ideom namacalny, materialny – i bardzo pokaźny kształt.

„Chciała założyć miasto idealne, będące połączeniem europejskich koncepcji z indyjską kulturą" – powiedział w 2011 roku w rozmowie z „Dwutygodnikiem" Janek Simon, artysta i socjolog, który w Auroville spędził pół roku. „Z jednej strony był to klasyczny modernistyczny projekt, chodziło o wynalezienie na nowo wszystkich instytucji społecznych, ekonomii, polityki, edukacji czy architektury. Z drugiej, inspirowała się filozofią Aurobindo, który uważał, że zmiana musi zajść najpierw w świadomości, co pociągnie za sobą zmianę w świecie realnym".

## OD UGORU DO TROPIKALNEGO OGRODU

Jest listopad 2015 roku, deszcz wciąż pada i pada. Siedzimy w wielkiej drewnianej chacie należącej do wspólnoty Sadhana – ekologicznej komuny założonej na obrzeżach Auroville w grudniu 2003 roku przez parę Izraelczyków – Yorit i Avirama Rozinów. Na wielkim ekranie wyświetlana jest *Pina* – film nakręcony w hołdzie zmarłej wybitnej niemieckiej choreografce Pinie Bausch.

Seans i wegańska kolacja to zwieńczenie długiego wieczoru. Raz na tydzień wspólnota zaprasza turystów na pogadanki o ekologii, zachęcając ich do wstąpienia w szeregi wolontariuszy. Minimalny okres wolontariatu to – w zależności od pory roku – od dwóch do czterech tygodni.

Wokół biegają dzieci. Skaczą, wspinają się na drewniane bale, dokazują, rozładowują nadmiar energii. Ich wolności nie ogranicza prawie nikt i nic. Zabronione są tylko gry rywalizacyjne. Na cenzurowanym są nawet szachy czy warcaby. Zamiast współzawodniczyć, mają się uczyć współpracy.

Część dzieci, by uniknąć skażenia kulturą wiecznej rywalizacji, w ogóle nie chodzi do szkoły.

„Uczą się od siebie nawzajem i od wolontariuszy" – tłumaczą nam członkowie wspólnoty. Nasze pytania o przyszłość dzieci, które postanowią opuścić Auroville i ruszyć w szeroki świat – co bez formalnego wykształcenia nie będzie łatwe – zbywane są milczeniem.

Tutejsza ekologiczna komuna podlega surowym regułom. Zęby myje się

specjalnym proszkiem, a naczynia czyści popiołem i piaskiem. Są też kompostowe toalety. Nic się nie marnuje. Z nabożną czcią podchodzi się tu do wody. Cenna jest każda kropla. Nie wolno też pić alkoholu i palić, a na czas pobytu we wspólnocie zostaje się weganinem.

Z życia komuny wyeliminowano wszystko, co mogłoby się przyczynić do cierpienia zwierząt. Wiąże się to nie tylko z odrzuceniem pewnych potraw, ale także z bojkotem produktów wielkich korporacji oraz skromnym i nieingerującym w naturę stylem życia.

Jednak nie wszyscy tutaj są chodzącymi ideałami. W utopijnym, ale i nieco plotkarskim Auroville opowiada się o wypadach „leśników" na piwo tuż za miejskie rogatki lub na papierosa. Pojawiają się nawet zupełnie przerażające pogłoski, że szef wspólnoty Sadhana pierze swoje rzeczy… w chemicznej pralni w Pondicherry.

Choć mieszkańcy Auroville nie darzą przesadną sympatią „ludzi lasu", to ich ekologicznych osiągnięć nikt nie podważa. Bo cała półwieczna historia Auroville to heroiczna walka o wyrwanie ziemi pustyni. Metr po metrze. Sadzonka po sadzonce. Studnia po studni.

Tym sposobem wypalony słońcem ugór zamienił się w miasto ogród.

„To jedno z głównych osiągnięć aurovillian i ewenement w skali świata" – mówił w Polskim Radiu Paweł Kowalczyk, który w 2010 r. spędził w Mieście Brzasku sześć miesięcy jako wolontariusz.

## OD UTOPII DO DYSTOPII

O państwie idealnym pisał już Platon. Ale zbiorczą nazwę takim marzeniom nadał dopiero Tomasz Morus (1478–1535), kanclerz Henryka VIII, który napisał słynny traktat o fikcyjnej, szczęśliwej wyspie Utopia. Jej nazwa jest dalece ironiczna, bowiem „ou-topos" w starożytnej grece oznacza „miejsce, którego nie ma" albo po prostu „nigdzie".

Na przestrzeni wieków wyobrażenia o utopii zmieniały się diametralnie.

**NIEKTÓRE DZIECI NIE CHODZĄ DO SZKOŁY, ŻEBY NIE ZOSTAŁY SKAŻONE CYWILIZACJĄ. CO Z NIMI BĘDZIE, KIEDY POSTANOWIĄ OPUŚCIĆ UTOPIĘ I RUSZYĆ W SZEROKI, ZEPSUTY ŚWIAT? TO PYTANIE ZBYWANE JEST W AUROVILLE MILCZENIEM**

W XVIII w. francuski filozof Jean-Jacques Rousseau zainspirowany m.in. wyprawami admirała Bougainville'a, który przemierzył Pacyfik i dotarł do dziewiczych wysp Polinezji, przekonywał, że szczęście i harmonia są możliwe tylko w świecie nieskażonym cywilizacją. Przykładem miała być Tahiti, wyspa „szlachetnych dzikusów".

Niestety w XX w. sny o utopii – idealnym ustroju społecznym – zamieniły się w koszmar komunizmu, który odebrał życie milionom ludzi, a zatruł setkom milionów.

Po tej spektakularnej katastrofie utopijny zapał w Europie wyraźnie osłabł. Pojawiła się za to moda na dystopie: *Rok 1984* Orwella, *Nowy wspaniały świat* Huxleya, *451 stopni Fahrenheita* Bradbury'ego, *Kongres futurologiczny* Lema.

Żeby szukać przyjaznego otoczenia dla utopii, trzeba było się wybrać do odległych – geograficznie i duchowo – Indii.

## LABORATORIUM

Monsun nie odpuszcza. Uprane przed tygodniem ubrania z powodu dużej wilgotności nadal schną na werandzie. Ulewa atakuje wściekłymi falami, co godzinę stawiając przed nami kolejną ścianę deszczu.

Nawet w taką pogodę jazda przez Auroville dostarcza niezapomnianych wrażeń. W deszczu błyszczą czerwone ulice, zaprojektowane na wzór galaktyki – dzieło znanego modernistycznego architekta Rogera Angera.

Sercem miasta jest kuchnia solarna – duma mieszkańców. Na jej dachu zamontowano gigantyczną baterię słoneczną o średnicy 15 m, która zasila w energię cały budynek. W porze obiadu robi się tutaj naprawdę tłoczno, a Auroville przez chwilę nabiera kosmopolitycznego charakteru. Mieszają się idee i języki. Jest głośno i gwarno. Stołuje się tu również wielu tubylców z okolicznych wiosek, które wianuszkiem otaczają Miasto Brzasku.

Na jego obrzeżach wyrosły też hotele, kurorty i domy spokojnej starości. Ceny gruntów szybko rosną, bo spekulanci i deweloperzy chcą odcinać kupony od utopii. Jednak samo Auroville nie rozwija się tak, jak wymarzyła sobie Matka. Plany były wielkie! Miało pomieścić aż 50 tys. osób. A dziś mieszkają tu niecałe 3 tys. ludzi z 56 krajów, z czego około połowa to przyjezdni z Europy.

Przyjętym w poczet obywateli aurovillianom pomagają wolontariusze i tamilscy tubylcy. Dlatego w mieście żyje łącznie prawie 10 tys. ludzi. Ale tylko obywatelstwo daje dostęp do licznych praw i przywilejów.

Obywatelem teoretycznie może być każdy, ale w praktyce nie jest to wcale łatwe. Kandydaci muszą przejść kilkumiesięczny staż. Później otrzymują status nowo przybyłego, który ma już część praw i obowiązków, ale wciąż nie jest jeszcze pełnoprawnym obywatelem. Okres próby trwa około roku; potrzeba niemałych oszczędności, by przez ten czas utrzymać się w mieście. Stać na to głównie bogatych mieszkańców Zachodu i coraz zamożniejszych Hindusów.

W Auroville pracuje się łącznie nad ok. 200 projektami. Spektrum jest bardzo szerokie: od ekologicznego rolnictwa, przez sprawiedliwy handel, po edukację i rzemiosło.

„Zamiast utopia lepiej używać określenia żywe laboratorium" – podkreśla Kowalczyk. Naukowcy, nauczyciele i inżynierowie dostają dużą swobodę. Można tu wystartować z własnym pomysłem lub przyłączyć się do jednego z już realizowanych. Ogród botaniczny Pitchandikulam specjalizuje się w rekultywacji terenów zdewastowanych

>>

East News

DAVID KLAMMER/VISUM/FORUM

Leniwe popołudnie w mieszkalnej dzielnicy Auroville, 2004 r.

przez człowieka. Z kolei Sacred Groves to nowe osiedle wybudowane z odpadów. Niektóre domy projektowała m.in. Anupama Kundoo – uznana dziś indyjska architektka.

Drogi w Auroville to plątanina skomplikowanych, często nieoznakowanych ścieżek i ślepych zaułków. Prowadzą one do różnych aurovillskich osiedli o dziwnych nazwach, takich jak Aspiracja, Zaufanie, Dyscyplina czy Łaska. Każde z nich wybudowano w innym architektonicznym stylu, z własną filozofią i tożsamością.

## UTOPIA POD RESPIRATOREM

W barze na przedmieściu z reguły jest tłoczno, a przy stolikach spotka się wiele znajomych twarzy. Tu można kupić to, czego w utopii zakazano – alkohol i papierosy. Oraz odrobinę zapomnienia. Zawieszone są surowe prawa i etyczne powinności, tutaj aurovillianie mają przerwę na małego papierosa i haust piwa.

Codziennymi problemami zajmują się liczne komitety i grupy robocze. Ale egzekwowanie prawa nie jest łatwe. Od śmierci Matki 45 lat temu miasto funkcjonuje bez formalnego przywódcy. Do pewnego stopnia rolę tę przejął rząd Indii. Od 1988 r., gdy indyjski parlament zatwierdził akt fundacyjny Auroville, miasto przynajmniej formalnie zarządzane jest przez państwową Fundację Auroville, jedynego właściciela ziemi w mieście, do której należą również sklepy i domy mieszkańców. Rząd w Delhi ma na miejscu również swojego sekretarza, który dogląda jego interesów.

– W mieście działa sklep, gdzie nie ma cen. Płaci się miesięczny abonament, a później można brać, ile się chce – opowiada Simon.

Gotówka jest jednak chętnie akceptowana. W samym centrum działa sklep dla turystów, którym miasto oferuje niezwykle ekologiczne produkty w niezwykle wysokich cenach.

Ale utopijna społeczność daleka jest od samowystarczalności. Polega na rządowych dotacjach, zwolnieniach podatkowych oraz darczyńcach, którzy podtrzymują ją przy życiu. Nie przetrwałaby bez armii wolontariuszy, którzy stanowią darmową siłę roboczą. Są wszędzie: kreślą plany w biurach projektowych, opiekują się zwierzętami, uczą dzieci w szkołach czy prowadzą lokalne radio.

Jednak najpoważniejszy zarzut, jaki pada pod adresem Auroville jest taki, że – zamiast burzyć mury między Wschodem a Zachodem i promować duchową syntezę różnych kultur – jedynie utrwaliła neokolonialne podziały. Widać to każdego dnia w solarnej kuchni, gdzie oddzielnie jedzą aurovillianie i Tamilowie. Pierwsi są uduchowionymi przybyszami z Zachodu. Drudzy – zacofaną tanią siłą roboczą: służbą, kucharzami czy robotnikami budowlanymi.

– Głównym problemem jest wyzysk miejscowej ludności, która pracuje na dużo gorszych warunkach niż aurovillianie. Ci, którzy to miejsce zakładali, zestarzeli się i przesunęli na zachowawcze pozycje. Za górnolotnymi hasłami kryją się przywileje dla wąskiej grupy bogatych mieszkańców – zauważa Janek Simon.

Czyżby zatem rację miał francuski filozof Bertrand de Jouvenel (1903–1987), gdy ostrzegał, że „w każdej utopii jest zarodek tyranii”? ◎

**AUROVILLIANIE I TAMILOWIE JEDZĄ ODDZIELNIE. PIERWSI SĄ UDUCHOWIONYMI PRZYBYSZAMI Z ZACHODU, DRUDZY – ZACOFANĄ TANIĄ SIŁĄ ROBOCZĄ: SŁUŻBĄ, KUCHARZAMI CZY ROBOTNIKAMI BUDOWLANYMI**

# CHMIELNA 89
## OFFICE BUILDING

Comfort in the heart of Warsaw business center

Chmielna, Warszawa

INTERNATIONAL PROPERTY AWARDS
BEST INTERNATIONAL OFFICE DEVELOPMENT
Chmielna 89
By Cavatina&Partners INT
2018-2019

EUROPEAN PROPERTY AWARDS
DEVELOPMENT
★★★★★
BEST OFFICE DEVELOPMENT POLAND
Chmielna 89
by Cavatina&Partners INT
2018-2019

INTERNATIONAL PROPERTY AWARDS
DEVELOPMENT
BEST OFFICE DEVELOPMENT EUROPE
Chmielna 89
by Cavatina&Partners INT
2018-2019

CAVATINA
LOCAL · GLOBAL · HOLISTIC

WYNAJMIJ BIURO


**Monika Rogucka**
Dyrektor Komercjalizacji Warszawa
monika.rogucka@cavatina.pl
+48 506 377 022

**Ewa Dudzicz**
Leasing Manager
ewa.dudzicz@cavatina.pl
+48 530 067 817


**25 144 m²** powierzchni biurowo-usługowej

**14** pięter biurowych

**122** miejsc parkingowych